



Jodi
Compton

TRZYDZIESTA SIÓDMA
GODZINA

Rozdział I

Każdy gliniarz potrafi opowiedzieć przynajmniej jedną historię o tym, jak to praca sama ich znalazła. Nie ma w tym nic dziwnego. Idący ulicą policjant, na służbie lub po pracy, widzi na przykład dwóch facetów w baseballówkach, którzy wybiegają z banku i gnają przed siebie, jakby paliły ich podeszwy. Zawsze, niezależnie od tego, czy uznamy to za dzieło przypadku, czy nie, jakiś policjant znajdzie się na miejscu zbrodni, jeszcze zanim centrala przyjmie zgłoszenie.

Trochę inaczej wyglądają jednak sprawy osób zaginionych. Ludzie, których szukamy, najczęściej już nie żyją, a może są daleko od miejsca zamieszkania albo się ukrywają. Z zasady nie przebywają w widocznych, łatwo dostępnych miejscach i nie czekają, żeby ktoś je znalazł. Ellie Bernhardt, lat czternaście, okazała się wyjątkiem, który potwierdza regułę.

Wczoraj zgłosiła się do mnie siostra Ellie, która przyjechała do Minneapolis aż z Bemidji w północno-zachodniej Minnesocie. Ainsley Carter ma na oko dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Jest bardzo szczupła, o delikatnej, kruchej urodzie, charakterystycznej dla nerwowych blondynek, ale wczoraj (i najprawdopodobniej nie tylko wczoraj) zdecydowała się podkreślić ją tylko ciemnobrązowym tuszem do rzęs i odrobiną podkładu pod oczy, który bynajmniej nie zamaskował sinawych cieni, pozostałych po źle przespanej nocy. Miała na

sobie dzinsy i sportową koszulkę, białą z kolorowymi długimi rękawami, w tym wypadku niebieskimi. Na prawej ręce nosiła prostą srebrną obrączkę, na lewej pierścionek z bardzo małym brylancikiem.

- Sądzę, że moja siostra jest gdzieś tutaj w mieście - powiedziała, kiedy posadziłam ją po drugiej stronie biurka i podałam kubek kawy. - Przedwczoraj nie wróciła do domu po szkole.

- Kontaktowała się pani z policją w Bemidji?

- Z posterunkiem w Thief River Falls - odparła. - Bo tam mieszka Ellie, z naszym tatą. Mój mąż i ja przenieśliśmy się po ślubie do Bemidji - wyjaśniła. - Tak, szukają jej, aleja myślę, że przyjechała tutaj. Wydaje mi się, że uciekła z domu.

- Zauważyła pani brak jej torby podróżnej czy plecaka?

Ainsley przekrzywiła głowę i zamyśliła się.

- Nie, ale plecak, który nosi do szkoły, jest dość duży, a kiedy przejrzałam jej rzeczy, zorientowałam się, że parę z nich znikło. Te, których normalnie nie zabrałyby ze sobą na zajęcia, ale których na pewno by nie zostawiła, gdyby zamierzała wyjechać.

- Na przykład?

- Na przykład fotografie naszej mamy - powiedziała Ainsley. - Mama umarła sześć lat temu. Potem ja wyszłam za mąż i oboje z Joem wyprowadziliśmy się z Bemidji, więc Ellie została sama z tatą...

Wszystko wskazywało na to, że podstawowe informacje, o jakie poprosiłam, zaczynają układać się w historię rodzinną, postanowiłam więc nie odzywać się i poczekać, aż opowieść sama się rozwinie.

- Ellie miała kilka bliskich przyjaciółek i koleżanek, tak jak większość dorastających dziewczyn. Była trochę nieśmiała, ale nigdy nie czuła się samotna. Sytuacja zmieniła się w ciągu ostatniego roku. Tata mówi, że kumpelki Ellie przestały do niej dzwonić i wpadać, ona także jakby straciła do nich serce. To chyba dlatego, że Ellie bardzo wyładniała. Dość szybko wystrzeliła w górę, jej figura stała się bardziej kobieca, a buzia

po prostu śliczna. W tym samym czasie skończyła podstawówkę i poszła do szkoły średniej, co zawsze oznacza wielką zmianę. Myślę, że dziewczyny zaczęły na nią patrzeć trochę inaczej, podobnie jak chłopcy...

- Chłopcy? - powtórzyłam pytająco.

- Odkąd Ellie skończyła trzynaście lat, chłopcy wydzwaniają do niej dniem i nocą. Tata mówi, że wielu z nich jest starszych od niej. Trochę go to niepokoi...

- Czy Ellie spotykała się z kimś starszym, kimś, kogo wasz ojciec nie akceptował?

- Nie. O ile mu wiadomo, Ellie w ogóle nie umawiała się na randki. Tak czy inaczej, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dzieje się z nią coś złego... - przerwała. - Tata ma prawie siedemdziesiąt lat i nie bardzo umie rozmawiać o dziewczynskich sprawach, nigdy zresztą tego nie robił, więc na podstawie jego słów trudno się zorientować, jak naprawdę wygląda życie Ellie... Starałam się z nią rozmawiać jak najwięcej przez telefon, ale to nie to samo. Wydaje mi się, że ona nie ma nikogo, komu mogłaby się zwierzyć ze swoich zmartwień...

- Czy odnosi pani wrażenie, że coś jest nie tak między nią i ojcem, kiedy pani rozmawia z nią albo przyjeżdża do domu? - zapytałam bardzo ostrożnie.

Natychmiast zrozumiała, o co mi chodzi.

- Och, Boże, absolutnie nie! - powiedziała, a ton jej głosu potwierdził, że naprawdę tak myśli.

Sięgnęła po kubek z kawą i utkwiła we mnie spojrzenie niebieskich oczu, czekając na następne pytanie.

W zamyśleniu przejechałam językiem po zębach i postukałam długopisem w notatnik.

- Z tego, co pani mówi, wynika, że martwi się pani, bo Ellie nie ma przyjaciółek ani żadnych kuzynek w jej wieku, z którymi mogłaby porozmawiać. To przykre, jasne, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby to była sytuacja kryzysowa czy powód do ucieczki z domu. Przychodzi pani do głowy coś jeszcze?

- Rozmawiałam z jej przyjaciółkami - powiedziała powoli Ainsley. - To znaczy, z jej koleżankami z klasy...

- I co?

- Nie dowiedziałam się niczego specjalnego. Były jakby trochę zażenowane, może miały wyrzuty sumienia, nie wiem. Ellie uciekła, a ja jestem jej siostrą, więc pewnie uważały, że mam do nich żal, bo nie okazały jej więcej serca czy coś takiego.

- Powiedziały coś konkretnego?

- Jedna wykrztusiła, że po szkole krążą plotki...

- Jakie plotki?

- Że Ellie prowadzi aktywne życie seksualne, chyba tak można to ująć. Próbowałam wydobyć z niej coś więcej, ale dwie inne natychmiast na nią naskoczyły i powiedziały, że ludzie zawsze gadają różne rzeczy.

Pokiwałam głową.

- Ale pani mówi, że Ellie nie spotykała się z chłopakami, więc chyba nie ma podstaw do takich pogłosek.

- Czasami zostawała na noc u koleżanek, tata pozwalał jej na to. - Ainsley znowu sięgnęła po kawę, ale się nie napiła. - Sądził, że to takie imprezki tylko dla dziewczyn, ale ja nie jestem do końca pewna, czy miał rację... Tyle się teraz słyszy o tym, że młodzi ludzie coraz częściej zaczynają bawić się w różne rzeczy...

Ainsley ucichła, nie wypowiadając najtrudniejszych podejrzeń.

- No dobrze - powiedziałam. - Mimo wszystko nadal nie mamy powodu ucieczki.

Ainsley długo milczała.

- Bardzo chciałabym, żeby mogła zamieszkać z nami - odezwała się wreszcie. - Rozmawiałam o tym z Joem, ale on mówi, że nie mamy dość miejsca... - Nerwowo okręciła na palcu pierścioneł z brylancikiem.

- Dlaczego przypuszcza pani, że Ellie jest w Minneapolis?

- Lubi to miasto.

Rozumiałam jej punkt widzenia. Dzieciaki często uciekają do najbliższej metropolii. Wydaje im się, że w wielkim mieście czeka je lepsze życie.

- Ma pani jakieś zdjęcie Ellie, które mogłabym wykorzystać?

- Oczywiście. Proszę bardzo...

Z fotografii patrzyła na mnie naprawdę śliczna dziewczyna o włosach odrobinę ciemniejszych niż siostry i oczach niebieskich, lecz zielonych. Na nosie i czole miała trochę piegów, a jej twarz była pogodna, chociaż jakby bez wyrazu, jak to często bywa ze szkolnymi zdjęciami.

- To fotografia z zeszłego roku - wyjaśniła Ainsley. - W szkole powiedzieli mi, że nowe, zrobione parę dni temu, będą dostępne za jakiś tydzień.

Był początek października.

- Ma pani jeszcze jakieś zdjęcie, które mogłaby pani powielić?

- Ja? - zdziwiła się.

- W tej chwili jestem kompletnie zawałona robotą - wyjaśniłam. - Natomiast pani może już zacząć szukać Ellie, im szybciej, tym lepiej. Szkoda czasu.

- Myślałam... - Ainsley wyglądała na trochę rozczarowaną.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - zapewniłam ją. - Ale w tej chwili to pani jest najlepszym adwokatem Ellie. Proszę pochodzić po mieście i pokazywać jej zdjęcie, komu się da - recepcjonistom w motelach, bezdomnym, księżom i pastorom, którzy prowadzą schroniska dla ubogich, każdemu, kto mógłby zetknąć się z Ellie. Niech pani zrobi kolorowe odbitki z opisem siostry i rozwiesi je wszędzie, gdzie pani na to pozwoli. Najlepiej, jeżeli poświęci pani na to cały dzień, a pewnie nie jeden, jak sądzę.

Ainsley Carter postanowiła pójść za moją radą, ale to ja znalazłam Ellie, za sprawą tak zwanego czystego przypadku.

Przed południem w dzień po wizycie Ainsley pojechałam do znajdującego się na przedmieściu hotelu, ponieważ pracująca tam recepcjonistka powiadomiła nas, że widziała mężczyznę i małego chłopca, poszukiwanych w sprawie o uprowadzenie dziecka przez ojca, którą to sprawę właśnie mi zlecono.

Zajmowałam się najróżniejszymi przestępstwami (wszyscy śledczy mają bogate doświadczenie), lecz zaginięcia były

czegoś w rodzaju specjalności mojej policyjnej partnerki, więc siłą rzeczy stały się i moją.

Kiedy przyjechałam na miejsce, ojciec i syn, których zauważyła recepcjonistka, właśnie pakowali bagaże do starego forda. Chłopiec był jakiegoś dwa lata starszy i sześć centymetrów wyższy od uprowadzonego dzieciaka, na wszelki wypadek zapytałam jednak, dlaczego nie jest w szkole. Odpowiedzieli, że wracają z pogrzebu bliskiego krewnego, więc życzyłam im spokojnej podróży do domu i poszłam do hotelu, żeby podziękować recepcjonistce za obywatelską czujność.

W drodze powrotnej, tuż przed rzeką, zauważyłam stojący między szosą i torami kolejowymi wóz policyjny.

Przy samochodzie stała zwrócona twarzą do wiaduktu policjantka, co sprawiało wrażenie, że trzyma straż przy torach. Trochę dalej znajdował się wiadukt, na który właśnie wchodził postawny stróż prawa. Scena była na tyle dziwna, że postanowiłam się zatrzymać.

- Co się dzieje? - zapytałam, gdy policjantka zbliżyła się do mojego samochodu.

Wyczułam, że zamierza mnie przegonić, więc wyjęłam odznakę z kieszeni kurtki.

Twarz kobiety trochę złagodniała. Jej oczy przesłaniały ciemne okulary, widziałam w nich swoje odbicie, zniekształcone jak w szkłe obiektywu. SIERŻANT MOORE, przeczytałam na przypiętej do munduru plakietce.

- Wydawało mi się, że skądś cię znam - powiedziała sierżant Moore. - Mamy skoczka - dorzuciła w odpowiedzi na moje pytanie.

- Gdzie? - wyraźnie widziałam partnera Moore, który stał teraz na torach pośrodku wiaduktu, ale nikogo więcej.

- Zeszła niżej po metalowej ramie - odparła. - Jeżeli dobrze się przyjrzyysz, to na pewno ją zobaczysz. Młodzianka dziewczynina, jeszcze dziecko.

Wyteżyłam wzrok i rzeczywiście dostrzegłam najpierw smukłą sylwetkę na ramie wiaduktu, a potem błysk słońca na ciemnoblonde włosach.

- Dziewczyna? Mniej więcej czternaście lat?
- Tak, coś koło tego. - Sierżant Moore pokiwała głową.
- Gdzie mogę zaparkować?

Na wiadukt szłam przez plamy słońca i cienia, na zmianę, powstałe nie tylko dzięki konstrukcji mostu, ale także wędrującym po niebie chmurom. Dzień był rześki, słońce raz po raz przebijało się przez białawe obłoki.

- Wezwaliśmy patrol policji rzecznej - powiedział na powitanie partner sierżant Moore, kiedy zbliżyłam się do niego.

Znałam go z widzenia, ale nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazywa. Coś na V, pomyślałam. Był parę lat młodszy ode mnie, mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Przystojny, o oliwkowej karnacji.

- Nie jestem z policji rzecznej, sierżancie Vignale - odparłam. Pamięć podsunęła mi jego nazwisko, zanim przeczytałam je na plakietce. - Po prostu tędy przejeżdżałam. Co się dzieje?

- Dziewczyna nadal tam tkwi, detektyw... - Zawiesił głos.

- Pribek - podsunęłam. - Sara Pribek. Próbowaliście z nią rozmawiać?

- Boję się, bo jeszcze straci równowagę...

Odwrociłam się, oparłam o balustradę i spojrzałam w dół. Dziewczyna stała na lekko rozstawionych nogach, z rękami opartymi o barierkę. Łagodny wiatr wicherzył jej włosy o dokładnie takim samym odcieniu jak na zdjęciu Ellie Bernhard.

- Ta mała uciekła z domu - powiedziałam. - Mieszka w Thief River Falls. Jestem prawie pewna, że to ona. Jej starsza siostra zgłosiła mi wczoraj zaginięcie.

Vignale skinął głową.

- Patrol policji rzecznej jest już w drodze, na wypadek, gdybyśmy musieli ją wyławiać.

Spojrzałam na Ellie i pędzącą niżej wodę.

Wybrała dość niski most, co samo w sobie było interesujące. Nigdy nie byłam szczególnie pilną studentką psychologii, ale słyszałam, że ludzie, którzy podejmują próby samo-

bójcze, często proszą w ten sposób o pomoc. Z drugiej strony, Ellie mogła być po prostu zagubiona, zniecierpliwiona i wściekła na cały świat, i właśnie dlatego zdecydowała się na pierwszy z brzegu most nad Missisipi, który znalazł się na jej drodze.

Tak czy inaczej, sytuacja nie była zła, oczywiście tylko pod pewnym względem, bo jednak rzeka, nad którą stała Ellie, to była Missisipi.

Dorastałam w Nowym Meksyku, wśród gór, w terenie poprzecinanym strumieniami i rzeczkami, ale nie mieliśmy tam nic, co przypominałoby taką rzekę. Kiedy skończyłam trzynaście lat, przeniosłam się do Minnesoty, lecz tam także nie mieszkalam w pobliżu rzeki. Missisipi była dla mnie czystą abstrakcją, wielką masą wody, na którą czasami patrzyłam z daleka lub którą przecinałam w czasie jakiejś podróży. Dopiero stosunkowo niedawno zesłam nad sam brzeg, żeby przyjrzeć się rzece z bliska. Tuż nad wodą stał chłopak z kawałkiem sznurka przywiązany do gałęzi i udawał, że łowi ryby.

- Czy ludzie w ogóle wchodzą tu do rzeki? - zagadnęłam.

- Widziałem raz, jak jeden facet wszedł do wody obwiązany w pasie liną - odparł chłopak. - Prąd wciągnął go pod powierzchnię tak szybko, że dwóch jego kumpli, oczywiście dorosłych, musiało nieźle się naszarpać, żeby go wydobyć.

Od tamtej pory słyszałam wiele różnych opinii na temat siły i złośliwości rzeki, przecinającej Minneapolis na dwie części. Policjanci i pracownicy pogotowia ratunkowego oraz innych służb specjalnych Bliźniaczych Miast często opowiadają o ludziach, którzy przeżyli upadki i skoki z mostów nad Missisipi, ale te wyjątki potwierdzają tylko regułę - nawet trzeźwi, zdrowi dorośli, którzy umieją pływać i nie zamierzają popełnić samobójstwa, zwykle mają duże problemy z pokonaniem tej rzeki, głównie z powodu jej silnych prądów i wirów. Prąd ciągnie ofiarę w złym kierunku, a w dole rzeki, gdzie wiry są najmocniejsze, ludzie zaplątują się w zatopione drzewa i korzenie. Najtrudniej jest poradzić sobie w środkowym nurcie, gdzie Missisipi jest najgłębsza.

Całkiem możliwe, że upadek z tego mostu można przeżyć i że woda nie była jeszcze paralizująco lodowata jak zima, ale uznałam, że jednak najlepiej będzie, jeżeli sprawa nie przybierze aż tak dramatycznego obrotu.

Mocno trzymając się grubego metalowego pręta, ostrożnie postawiłam jedną stopę na krawędzi wiaduktu.

- Chyba sobie żartujesz! - powiedział Vignale.

- Wcale nie. - Potrząsnęłam głową. - Gdyby jej nie zależało, by ktoś namówił ją do zejścia z mostu, już dawno by skończyła. - Miałam nadzieję, że rzeczywiście tak jest. - I to ja mam podstawy, by martwić się o ciebie, sierzancie, nie odwrotnie. Jeżeli twoja partnerka nie zadzwoniła do zawiadowcy najbliższych stacji, żeby wstrzymali ruch kolejowy przez ten wiadukt, to chyba powinienes się wycofać.

Przemieszczanie się po siatce mostu przedstawiało mniej więcej taki stopień trudności jak wspinaczka po drabinkach dla dzieci na placu zabaw w parku, ale na wszelki wypadek posuwałam się ostrożnie i powoli.

- Masz towarzystwo, nie przestrasz się - powiedziałam, kiedy znalazłam się na jej poziomie, niezbyt głośno i spokojnie. - Przyszłam, żeby z tobą porozmawiać...

Odwróciła się i wtedy zobaczyłam, że to naprawdę Ellie. Uderzyła mnie jej uroda, która tak niepokoiła starszą siostrę. Ellie rzeczywiście zmieniła się od chwili, gdy zrobiono jej tamto szkolne zdjęcie.

Należała do tych osób, którym powaga i smutek dodają więcej uroku niż uśmiech. Jej zielonoszare oczy patrzyły na mnie uważnie spod ciężkich powiek, skóra była czysta, jasna, dolna warga pełna. Uwiecznione na fotografii piegi, już blednące, były ostatnim dziedzictwem wieku dziecięcego. Miała na sobie szary t-shirt i czarne dżinsy. Poza tym żadnych pastelowych ozdóbek, żadnych wstążeczek, spinek, broszek, łańcuszków - takie rzeczy nie pasowały do Ellie, i doskonale o tym wiedziała. Gdybym nie zdawała sobie sprawy, kim jest i ujrzela ją z daleka, wzięłabym ją za bardzo szczupłą i delikatnie zbudowaną dwudziestolatkę.

- Chwileczkę, Ellie, daj mi sekundę na zmianę pozycji... - powiedziałam, ostrożnie przekładając dłonie na metalowej szynie, żeby stanąć bokiem do niej i patrzeć na nią w czasie rozmowy. - Teraz lepiej. - Uśmiechnęłam się lekko. Moje stopy stały równoległe do siebie i mogłam oprzeć się o metalową ramę. - Dorosłej osobie nie jest łatwo chodzić po czymś takim...

Czasami bardzo odpowiadało mi, że mam prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ale akurat w tej chwili wolałabym być trochę niższa.

- Skąd pani wie, jak się nazywam? - spytała.

- Wczoraj była u mnie twoja siostra - odparłam. - Bardzo się o ciebie niepokoi.

- Ainsley jest tutaj? - Ellie spojrzała w górę, w kierunku drogi, którą dotarliśmy na wiadukt ja i Vignale.

Nie mogłam się zorientować, czy ewentualna obecność siostry napełnia ją nadzieją, czy niezadowolaniem.

- Nie, tutaj jej nie ma, ale jest w mieście - odparłam.

Ellie znowu utkwiała wzrok w wodzie.

- Ainsley chce, żebyśmy wróciła do Thief River Falls.

- Obie chciałbyśmy się dowiedzieć, co cię dręczy - powiedziałam.

Ellie milczała.

- Dlaczego uciekłaś z domu? - spróbowałam.

Żadnej reakcji.

- Może chodzi o twoje koleżanki ze szkoły? - rzuciłam najogólniejsze, najłagodniejsze z możliwych pytań, dając jej szansę podjęcia tematu lub dalszego upartego milczenia.

- Nie mogę tam wrócić - odezwała się cicho. - Wszyscy bez przerwy gadają o mnie i o Justinie Teague. Ten dumny mówniarz opowiadał o mnie każdemu, kto chciał słuchać...

Nie wiem, dlaczego, ale za tego „durnego mówniarza” z miejsca polubiłam Ellie. Poza tym wszystko wskazywało, że Justin Teague w pełni zasłużył na ten epitet.

- Rozповідаł o tobie kłamstwa? - zagadnęłam.

Potrząsnęła głową.

- Nie, mówił prawdę. Naprawdę się z nim przespałam. Musiałam to zrobić.

- Dlatego, że bardzo ci się podobał i bałaś się go stracić?

- Nie - odparła sucho.

Wcześniej wydawało mi się, że właśnie tak należy postępować ze skoczkami - rozmawiać z nimi, aż poczują się lepiej i zdecydują się zejść na dół. Tymczasem ta rozmowa wcale nie odniosła oczekiwanego skutku, bo Ellie najwyraźniej wcale nie poczuła się lepiej.

Kiedy byłam w jej wieku, przeprowadziłam się do Minnesoty, zostawiając daleko resztę najbliższej rodziny, i czułam, że nigdy nie znajdę sobie własnego, bezpiecznego miejsca. Z pewnością nie pomogłabym Ellie, opowiadając jej o swoich przeżyciach. Historie „kiedy-byłam-w-twoim-wieku” niezwykle rzadko przenikają przez mury, bariery i systemy ochronne bardzo młodych ludzi z problemami, którzy uważają, że wszyscy dorośli są w najlepszym razie bezużytecznymi obserwatorami, a w najgorszym ich zaciekłymi wrogami.

- Posłuchaj... - zaczęłam. - Widzę, że wiele spraw w twoim życiu trzeba wyprostować, ale nie wydaje mi się, byśmy potrafiły się z tym uporać akurat w tym miejscu, więc może po prostu zeszlabyś stąd razem ze mną, co?

Głośno pociągnęła nosem.

- Przespałam się z nim, bo bardzo go nie lubiłam i chciałam to zmienić...

- Nie rozumiem.

- Ainsley też nie rozumie - mruknęła. - Ja... Ja lubię dziewczyny.

- Och... - wykrztusiłam. Masz ci los, lewy sierpowy prosto w oko. - No, przecież w gruncie rzeczy nie ma w tym nic złego...

Ellie zwróciła na mnie pełne łez i gniewu oczy.

- Nie ma w tym nic złego dla kogo? - warknęła. - Dla pani? Dla jakichś gliniarzy z Minneapolis?

I nagle, jakby gniew wyzwolił ją z więzów wahania, Ellie skoczyła.

Ja także.

Gdyby był styczeń, najzimniejszy miesiąc w tej części Stanów, może podjąłabym inną decyzję. Albo w ogóle nie musiałabym jej podejmować, gdybym nie rozmawiała z Ellie o jej problemach i nie zdenerwowała jej, tylko zrobiła wszystko jak należy.

A może okłamywałam samą siebie, nazywając to podejmowaniem decyzji, bo w gruncie rzeczy w ogóle nie pamiętam, żebym w tamtej chwili myślała o czymkolwiek konkretnym. Mam na myśli chwilę, kiedy oderwałam dłonie od metalowej barierki. Nim zderzyłam się z wodą, myślałam o kilku rzeczach, i to bardzo szybko. O chłopaku na brzegu, który udawał, że łowi ryby. O moim bracie, który wepchnął mi głowę do wody i przytrzymał, kiedy miałam pięć lat.

Na końcu pomyślałam o Shilohu.

Tamtego dnia dowiedziałam się też czegoś, co tylko wydawało mi się ogólnie znanym faktem: rzeka, do której wchodzisz w letni dzień i wstrząsas się z zimna, chociaż jest już koniec czerwca, nie jest tą samą rzeką, która atakuje twoje ciało, gdy wpadasz do niej z pewnej wysokości, nawet jeżeli ta wysokość nie jest zbyt wielka. Czułam się tak, jakbym z rozpędu runęła na chodnik. Siła uderzenia była tak potężna, że przygryzłam język do krwi.

Sekundy i minuty zaraz po skoku mknęły tak szybko, że prawie ich nie pamiętam. Kiedy znowu wychynęłam na powierzchnię, moje płuca płonęły żywym ogniem i dyszałam jak koń wyścigowy. To środowisko bardzo różniło się od spokojnej, chłodnej i pachnącej chlorem toni basenu, w którym pobierałam lekcje pływania. Przez parę chwil walczyłam i miałyam się w zimnej wodzie jak ktoś, kto nigdy w życiu nie uczył się pływać. Sądzę, że tylko szczęśliwy traf sprawił, iż spadłam na Ellie i chwyciłam ją z całej siły.

Dziewczyna albo straciła przytomność, uderzając głową o coś pod wodą, albo doznała paraliżującego szoku. Tak czy inaczej, nie szarpała się i nie próbowała uwolnić z moich ramion, co w tej sytuacji było prawdziwym błogosławieństwem.

Objęłam ją jedną ręką i powoli przewróciłam się na plecy, wciąż z trudem łapiąc powietrze otwartymi ustami.

Poczułam ostre ukłucie niepokoju, widząc, w jakim tempie oddalamy się od wiaduktu i spływamy na środek rzeki. Prąd mocno ciągnął moje poruszające się jak nożyce nogi, a zwłaszcza buty, które wydawały mi się ciężkie jak drewniane kloce.

Spróbowałam popłynąć w kierunku brzegu, słabo wiosłując wolną ręką. Po jakichś dwóch minutach zdałam sobie sprawę, że nie zdołam uratować Ellie. Nie byłam dość dobrą pływaczką.

Gdybym z całej siły poruszała nogami, może udałoby mi się utrzymać nas na powierzchni, ale to wszystko. Jak długo? Nie wiem, zresztą w pewnym momencie Ellie i tak mogłaby umrzeć, bo przecież wcale nie byłam pewna, czy rzeczywiście cały czas podtrzymuję jej twarz ponad wodą. Jeśli jej płuca napełnią się wodą, będzie po niej.

Jeśli dobrze pamiętałam, niedługo mogliśmy znaleźć się w pobliżu tamy przy Arch Bridge, w najbardziej niebezpiecznym miejscu w okolicy Minneapolis. Jeden z kolegów opowiadał mi, że ktoś kiedyś przepłynął tamtędy i przeżył, lecz określił wynik tej przygody jako „niewiarygodne szczęście”.

Mogłam puścić Ellie, swoim przeciętnym kraulem skierować się do brzegu i przeżyć, albo zostać z nią i pójść na dno.

Nie wydaje mi się, bym świadomie rozważała ten wybór – po prostu moje zlodowaciałe, zeszywniałe ramiona nie chciały uwolnić Ellie. Na chwilę zanurzyłyśmy się pod wodę. Wypłynęłam na powierzchnię, krztusząc się i parszcząc, i zobaczyłam, że słońce skryło się za kolejną chmurą, szarą i złowroźnie deszczową, chociaż jej brzegi były rozjaśnione przez słońce.

Boże, jakież to piękne...

I wtedy kątem oka dostrzegłam coś, co natychmiast skupiło na sobie całą moją uwagę. To była łódź, a właściwie holownik, ale bez podążającej za nim barki.

Mogę powiedzieć, że tamtego dnia ja i Ellie też miałyśmy niewiarygodne szczęście. Polegało ono na tym, że holownik w ogóle się tam znalazł, płynął bardzo powoli, dzięki czemu

nie zginęłyśmy we wzburzonej turbiną wodzie, a załoga miała szansę nas zauważyć i uratować.

Dostrzegli nas. Wrzeszczeli coś, ale w uszach miałam pełno wody, więc podskakujący i machający rękami ludzie wyglądali jak obsada niemego filmu. Jeden z nich rzucił coś w naszą stronę.

Była to lina z przywiązaną na końcu pustą, zamkniętą butelką po jakimś napoju, żeby nie zatoneła. Energiczniej poruszyłam nogami, wyrzucając w górę duże fontanny wody. Podpłynęłam do butelki i z wielką ulgą chwyciłam ją wolną ręką.

W wodzie z moją skórą stało się coś dziwnego. Zwykle, kiedy na dworze jest naprawdę zimno i nawet bardzo ciepłe ubrania nie zapewniają wystarczającej ochrony, najpierw tracimy czucie w czubkach palców rąk i nóg, potem zaś w całych dłoniach i stopach, ale kiedy wyciągnęli mnie z wody, mogłam poruszać palcami, natomiast zupełnie nie czułam górnej części ramion i klatki piersiowej, dzięki czemu zderzenie z krawędzią barki, na którą wciągnęły mnie liczne ręce, w ogóle nie sprawiło mi bólu. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że w wodzie zrzuciłam kurtkę, a może zaczepiłam nią o coś; tak czy inaczej, na barce już jej na sobie nie miałam.

Ellie leżała na plecach obok mnie, z zamkniętymi oczami. Skóra jej twarzy tak zbielała, że prawie niewidoczne wcześniej piegi wystąpiły teraz na niej bardzo wyraźnie. Usiadłam.

- Czy ona...

- Spokojnie, oddycha - powiedział najstarszy z załogi.

Jakby na potwierdzenie jego słów na wpół przytomna Ellie przewróciła się na bok i z wymiotowała wodą, której wcześniej się nałykała.

- Jezu... -jęknął młody marynarz, chyba Hiszpan.

- Nic pani nie jest, panienko? - zwrócił się do mnie starszy mężczyzna.

Jego przenikliwe, bardzo błękitne oczy patrzyły na mnie powątpiewająco spod szpakowatych, mocno przerzedzonych włosów. Wyglądał na Skandynawa, co wcale nie było dziwne, bo wielu ludzi z tej części Europy osiedlało się dawniej właś-

nie w Minnesocie, lecz w jego głosie pobrzmiewał teksański akcent.

- Nie czuję skóry - powiedziałam, przyciskając drżące palce do mięśni ramienia.

Było to bardzo nieprzyjemne, rozprasające uczucie. Niepewnie podniosłam się na nogi z nadzieją, że może wróć do siebie, kiedy zrobię kilka kroków.

- Mam żytniówkę - rzekł.

Kiedy przechodziłam szkolenie z udzielania pierwszej pomocy, instruktor odradzał nam proponowanie lub przyjmowanie tak zwanych środków połowych, czyli alkoholu i papierosów, ale w tej chwili nie myślałam ani o szkoleniu, ani o tym, że przed kilku laty przestałam pić, ani o motorówce policji rzecznej, która właśnie zbliżała się ku nam, podskakując na falach. Łyk żytniówki wydawał mi się bardzo rozsądnym rozwiązaniem sytuacji, i tyle.

Jednak tym razem moje własne słabe ciało uratowało mnie przede mną. Gdy marynarz włożył mi butelkę w dłoń, przeleciała między trzęsącymi się palcami i roztrzaskała o deski pokładu.

Rozdział 2

Zanim zostawiłam za sobą próbę samobójstwa Ellie Bernhardt, minęła większa część popołudnia.

Przewieziono nas obie do Centrum Medycznego Okręgu Hennepin. Gdy Ellie zabrano do gabinetu zabiegowego, pielęgniarka w średnim wieku zmierzyła mnie uważnym, czujnym spojrzeniem.

- Zbadam panią w drugim gabinecie - powiedziała.

- Mnie? - zdziwiłam się. - Nic mi nie jest.

- Bardzo możliwe. - Pokiwała głową. - Mimo to muszę obejrzyć pani uszy i sprawdzić...

- Z moimi uszami wszystko w porządku - zapewniłam ją,

ignorując uczucie zimnego ciężaru w jednym uchu, które wyraźnie świadczyło, że dostała się do niego woda.

Popatrzyła na mnie ze sceptycznym wyrazem twarzy. Warto zauważyć, że przedstawiciele personelu medycznego zwykle przyjmują lekceważenie ich poleceń prawie równie źle jak policjanci.

- Naprawdę - dodałam pośpiesznie. - Zresztą, ja i tak nie znoszę badań...

Była to absolutna prawda. Niewiele rzeczy budzi we mnie lęk, lecz z całą pewnością należą do nich gabinety lekarskie.

- Proszę tylko powiedzieć mi, gdzie jest prysznic, dobrze? - Uśmiechnęłam się.

Jeszcze chwilę przyglądała mi się z zastanowieniem, w końcu lekko wzruszyła ramionami.

- Dobrze, jak pani sobie życzy - powiedziała nieco kwaśno, jakby w gruncie rzeczy wcale nie miała ochoty mnie badać. - Szczerze mówiąc, wątpię, czy o tej porze roku pani organizm mógł ulec poważnemu wychłodzeniu...

W szatni przeznaczonej dla lekarzy i pielęgniarek wzięłam piętnastominutowy bardzo gorący prysznic i przebrałam się w strój niższego personelu szpitalnego, bluzę w kwiaty i szmaragdowozielone spodnie, a swoje mokre rzeczy zwinęłam w kulę i wrzuciłam do foliowej torby. Kiedy wyszłam, zająrzałam do izby przyjęć i do zabiegowego, szukając Ellie. Młoda pielęgniarka, która przyjmowała Ellie, uśmiechnęła się na mój widok.

- Zabraliśmy ją na oddział kryzysowy - rzekła, mając na myśli oddział psychiatryczny. - Zostanie tam przynajmniej do jutra. Zrobiliśmy jej prześwietlenie płuc, żeby sprawdzić, czy nie ma w nich wody. Nie ma jeszcze wyników, ale wydaje mi się, że pod względem fizycznym nic jej nie dolega.

Sierżant Moore pojechała już na komisariat po ubranie na zmianę, które zawsze trzymałam w swojej szafce. Co prawda detektywi nie bywają oblewani krwią i wymiocinami tak często jak szeregowi policjanci, którzy patrolują ulice, ale jednak spędzają sporo czasu w miejscach przestępstw, niejednokrot-

nie w błocie lub wśród jeszcze dymiących ruin, uznałam więc, że wcześniej czy później świeże rzeczy na pewno mi się przydadzą i teraz ten dzień właśnie nadszedł.

Gdy wyszłam do poczekalni, sierżant Moore jeszcze tam nie było, pod ścianą siedziała natomiast Ainsley Carter. Widząc mnie, natychmiast zerwała się z krzesła i uściskała mnie bardzo ostrożnie, jakbym była chora lub ranna.

- Ma pani dzieci? - zapytała.

- Słucham? - Uniosłam brwi, ponieważ spodziewałam się pytania o stan Ellie. - Nie, nie mam.

- Joe i ja dużo o tym rozmawiamy - powiedziała i okręciła pierścionek z brylantem na palcu takim samym gestem, jak poprzedniego dnia, kiedy mówiła mi o niechęci swojego męża do zamieszkania razem z Ellie. - Chcemy mieć dzieci, ale po tej historii wydaje mi się, że dziecko... - Zawiesiła głos i powoli pokręciła głową. - Wydaje mi się, że dziecko to przerażająca odpowiedzialność...

Pierwszy raz zauważyłam wyraźnie widoczne na jej policzkach ścieżki po wyschniętych łzach.

Sierżant Moore pchnęła właśnie podwójne drzwi i wkroczyła do holu, niosąc w jednej ręce plastikowy wieszak z ubraniami, a w drugiej wysokie buty.

- Mogę panią złapać pod tym samym numerem telefonu, w motelu, tak? - zwróciłam się pośpiesznie do Ainsley. - Skontaktuję się z panią później, zgoda?

- Tak, będę w tym samym motelu - odparła. - I... I dziękuję za wszystko, co pani dla nas zrobiła - dodała cicho.

Wyszłam na spotkanie sierżant Moore.

- Dziękuję - powiedziałam niepewnie i odchrząknęłam.

Zostałam detektywem stosunkowo niedawno i nie czułam się swobodnie, wysyłając inną policjantkę po swoje rzeczy.

- Nie ma za co. - Podała mi ubranie. - Byłaś partnerką Genevieve Brown, prawda?

- Tak. Nadal nią jestem.

- Jak ona się czuje?

- Nie wiem - odrzekłam. - Dawno z nią nie rozmawiałam.

- Wiele osób niecierpliwie czeka na jej powrót. - Moore lekko przekrzywiła głowę.

- Genevieve na pewno wróci - powiedziałam szybko.

- Naprawdę? Kiedy?

Musiłam trochę się wycofać.

- Nie podała jeszcze konkretnej daty. Chciałam tylko powiedzieć, że przecież wzięła tylko urlop okolicznościowy, więc prędzej, czy później wróci do pracy.

- Jasne, to musi potrwąć - przytaknęła sierżant Moore. - Spotkało ją coś naprawdę okropnego, to oczywiste...

- Tak - powiedziałam. - Genevieve przeżyła koszmar.

Genevieve Brown była pierwszą osobą, z którą zaprzyjaźniłam się w Minneapolis. Nie zaskoczyło mnie, że sierżant Moore ją znała, bo Genevieve miała mnóstwo przyjaciół i znajomych.

Urodziła się w Minneapolis. Od początku pracowała w policji, najpierw patrolując ulice, potem w wydziale detektywistycznym. Jej najmocniejszą stroną były przesłuchania. Genevieve potrafiła rozmawiać praktycznie z każdym.

Nie bał się jej żaden przestępca. Była niewysoka, niezbyt imponującej postury, z niskim, miękkim jak zamsz głosem, logiczna, wykształcona, rozsądna. Zanim podejrzani zdążyli się zorientować, już mówili jej rzeczy, których nigdy nie powiedzieliby innym oficerom z dochodzeniówki. Niektórzy detektywi nazywali ją Poligrafem w Ludzkiej Postaci.

Poznałam ją jeszcze w czasach, kiedy chodziłam w patrolu, i dużo się od niej nauczyłam. Za mądrość, którą się ze mną dzieliła, odpłacałam jej, trenując z nią na siłowni, pomagając się zmobilizować i utrzymać w szczytowej formie, chociaż zbliżała się już do czterdziestki. Gdy mieszkaliśmy sama w takiej kawalerce przy Seven Corners, Genevieve od czasu do czasu zapraszała mnie na kolację do swego domu w St. Paul.

W dniu, w którym dostałam odznakę i zaczęłam pracować z Genevieve, poczułam się szczęśliwa jak nigdy wcześniej. Genevieve była dobrą nauczycielką i instruktorką, ale co jeszcze ważniejsze, praca z nią bywała doskonałą zabawą.

Często chodziliśmy na kawę do wielkich galerii i spacerowałyśmy pasażami łączącymi sklepy, restauracje i kioski z prasą. Genevieve zatrzymywała się czasami na chwilę w jednym z przeszklonych pasaży, zwykle rankiem, kiedy temperatura zimą spadała do około dziesięciu stopni poniżej zera i trzymając w rękę papierowy kubek z gorącą kawą, spoglądała na położone pod nami miasto, gdzie kłęby białej pary buchały z otworów wentylacyjnych we wszystkich budynkach, a słońce budziło kuszące błyski w każdej kupce śniegu i lodowej tafli.

- Dzisiaj jest ten dzień, mała - mawiała. - Wyłączymy radio w samochodzie i pojedziemy na południe, aż do Nowego Orleanu. Będziemy wygrzewały się w słońcu i jadły bagietki...

Kiedy indziej dla odmiany mówiła, że wybierzemy się do San Francisco, żeby napić się świetnej kawy nad zatoką.

Genevieve nigdy nie była poważna i uwielbiała swoją pracę, chociaż była policjantką już od ponad dziesięciu lat.

Ale pewnego dnia jej jedyna córka, Kamareia, została zgwałcona i zamordowana.

Znałam Kamareię od dziecka, od wczesnych dni mojej kariery, kiedy to Genevieve zaczęła zapraszać mnie do siebie na kolacje. Kamareia, dziecko z młodzieńczego małżeństwa Genevieve z ciemnoskórym studentem prawa, zawsze była nad wiek dojrzała, rozumiała namiętną miłość matki do wymagającej pracy i wspierała ją we wszystkim.

Czasami inni policjanci opowiadali nam o swoich kłopotach z nastoletnimi dziećmi: o nieodrobionych pracach domowych, trudnych rozmowach z nauczycielami, i powrotach do brudnych, zaniedbanych domów.

- Boże, nie mam pojęcia, dlaczego jestem taką szczęściarą! - powtarzała wtedy Genevieve.

Byłam tam tego straszego wieczoru, gdy Genevieve znalazła córkę poważnie ranną, lecz jeszcze żywą. Pojechałam do szpitala z Kamareią i trzymałam ją za rękę, dopóki zespół medyczny nie zabrał ją na salę operacyjną. I stałam pod oknem w poczekalni, gdy lekarz wyszedł z sali i powiedział nam, że Kamareia, która pisała wiersze i złożyła podanie o wcześniej-

sze przyjęcie na specjalny tok studiów na Uniwersytecie Spełniana, chwilę wcześniej umarła z powodu silnego krwotoku wewnętrznego.

Genevieve wróciła do pracy dwa tygodnie po śmierci córki.

- Muszę pracować - powiedziała mi w niedzielę wieczorem, kiedy zadzwoniła z wiadomością, że następnego dnia będzie na komisariacie. - Proszę, wytłumacz to wszystkim...

W poniedziałek rano zjawiła się piętnaście minut przed rozpoczęciem pracy, z zaczerwienionymi oczami, w skromnym, lecz eleganckim kostiumie, z wilgotnymi włosami pachnącymi ziołowym szamponem, gotowa przyjąć każde wyzwanie. I radziła sobie bardzo dobrze, tego pierwszego dnia i w ciągu następnych tygodni.

Pomogło jej chyba przede wszystkim to, że podejrzanego aresztowano natychmiast po przewiezieniu Kamarei do szpitala. Był to robotnik budowlany i malarz pokojowy, zatrudniony przy pracach remontowych w jednym z domów w sąsiedztwie. Sama Kamareia zdążyła zidentyfikować go jako tego, który ją zaatakował. Dopóki morderca jej córki siedział w areszcie, a urząd prokuratorski okręgu Ramsey gromadził zarzuty i dowody zbrodni, Genevieve nieźle się trzymała. Pogrążona w pracy, zachowywała się jak spanikowany pasażer w czasie trudnego lotu albo jak alkoholik, który trwa w abstynencji jedynie dzięki sile woli.

Potem sprawa została umorzona z powodów technicznych i Genevieve kompletnie się zagubiła.

Wspierałam ją przez miesiąc. Bardzo schudła, fioletowe cienie pod oczami wyraźnie świadczyły o nieprzespanych nocach. Nie mogła skoncentrować się na pracy. Przesłuchując świadków i podejrzanych, zadawała tylko zupełnie podstawowe pytania. Jej zdolność obserwacji nagle stała się słabsza niż u przeciętnego cywila. Nie potrafiła wyciągnąć najprostszych logicznych wniosków ani zauważyć powiązań, które każdemu rzucały się w oczy.

Nie umiałam powiedzieć jej, żeby dała sobie spokój i na szczęście nie musiałam. Genevieve mimo wszystko wciąż była

na tyle czujna i samokrytyczna, aby zrozumieć, że jej praca nie pomaga naszemu wydziałowi. Poprosiła o bezterminowy urlop, wyjechała z Minneapolis i zamieszkała ze swoją młodszą siostrą i jej mężem na farmie niedaleko Mankato.

Kiedy ostatni raz dzwoniłam do Genevieve? Jadąc do centrum, bezskutecznie usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy to było. Natychmiast ogarnęła mnie wielka fala wyrzutów sumienia, więc pośpiesznie odepchnęłam tę myśl.

Na komisariacie spisałam raport z porannych wydarzeń, usiłując przedstawić swój skok do rzeki jako postępek całkowicie racjonalny, coś, co bez wątpienia zrobiłby każdy policjant. Czy „podążyłam” za Ellie? Brzmiało to jakoś dziwnie. Skasowałam podejrzany czasownik i zastąpiłam go prostym „skoczyłam”. Pisanie raportów zdecydowanie nie należało do moich ulubionych zajęć.

- Pribek!

Podniosłam głowę i zobaczyłam detektywa Johna Vanga, mojego partnera na czas nieobecności Genevieve.

- Przed chwilą słyszałem jakieś dziwaczne opowieści o tobie...

Vang był rok młodszy ode mnie i dopiero niedawno awansował na detektywa. Ujmując rzecz ściśle, uczyłam go, chociaż nie czułam się zbyt dobrze w roli instruktorki. Wciąż wydawało mi się, że sama jeszcze niedawno chodziłam krok za Genevieve, pozwalając jej podejmować decyzje w trudnych sytuacjach. Zerknęłam na jej biurko, przy którym teraz siedział Vang.

Postawił na blacie dwa zdjęcia w ramkach. Jedno przedstawiało jego żonę z dziewięciomiesięcznym dzieckiem w ramionach, drugie małą dziewczynkę na placu zabaw. Córeczka Vanga siedziała na czymś w rodzaju huśtawki, z głową i klatką piersiową wychyloną do przodu, z szeroko rozpostartymi w powietrzu ramionkami. Byłam pewna, że w chwili gdy zrobiono jej to zdjęcie, mała miała wrażenie, że leci wysoko nad ziemią, na dodatek o własnych siłach.

Któregoś dnia, kiedy Vang akurat nie było, przesunęłam fotografię tak, żebyśmy mogła na nią patrzeć od swojego biurka.

Gdy nieszczęścia rozmaitych Ellie Bernhardt piętrzyły się wokół mnie, lubiłam patrzeć na roześmianą buzię fruwającego dziecka.

- Jeżeli dziwaczne opowieści były o mnie i o rzece, to możesz uznać je za prawdziwe - powiedziałam.

- Chyba żartujesz...

- Nie twierdzę, że zrobiłam coś mądrego, tylko że te opowieści są zgodne z prawdą.

Ponieważ czułam się nieswojo, dotknęłam włosów, które w szpitalu ściągnęłam w ciężki węzeł na karku. Nie wyschły chyba jeszcze, bo były chłodne, chociaż już nie wilgotne.

Skończyłam raport i doszłam do wniosku, że muszę poprosić o nowy pager. Stary był w kieszeni kurtki, a kurtka leżała na dnie rzeki. Byłam szczerze wdzięczna losowi, że tego szalonego przedpołudnia moja komórka znajdowała się w torbie, którą zostawiłam w samochodzie.

Zanim zdążyłam podnieść się z krzesła, zadzwonił telefon na biurku. Dzwoniła Jane O'Malley, prokurator okręgu Hennepin.

- Chodź na górę - powiedziała. - Składanie zeznań idzie szybciej niż się spodziewaliśmy i najprawdopodobniej dzisiaj dotrzemy do ciebie.

O'Malley prowadziła dochodzenie w sprawie związanej z historią starą jak świat, historią młodej osoby i jej byłego chłopaka, który za nic nie chce zrezygnować. Tyle że tym razem stara historia miała troszkę inny wątek - zaginioną młodą osobą był mężczyzna. Późnym wieczorem wyszedł po tańcach z baru Gay 90s, nocnego lokalu popularnego wśród gejów i heteroseksualistów, sam i zupełnie trzeźwy. Wtedy widziano go po raz ostatni.

Genevieve i ja dostałyśmy tę sprawę kilka miesięcy wcześniej. Później, kiedy niejasne zeznania i pozorne alibi byłego chłopaka stawały się coraz mniej wiarygodne, dołączył do nas detektyw z wydziału zabójstw. Nie zdołaliśmy odnaleźć ani ofiary, ani zwłok, odkryliśmy tylko mnóstwo śladów krwi i jeden kolczyk w bagażniku samochodu, którego kradzież podejrzany zgłosił w dzień po zaginięciu swego byłego kochanka.

Kiedy szłam do windy przez hol w Centrum Urzędu Sprawiedliwości Okręgu Hennepin, zatrzymał mnie znajomy głos.

- Detektyw Pribek!

Christian Kilander wyszedł z bocznego korytarza i stanął przede mną. Był prokuratorem okręgu Hennepin, mężczyzną, który imponował wzrostem i pragnieniem rywalizacji nie tylko na sali sądowej, ale także na boisku do koszykówki, gdzie czasami grałam z nim lub przeciw niemu w naprędce organizowanych meczach.

Jeżeli głos Genevieve był miękki jak zamsz, to głos Kilandera wydawał się wręcz pieszczotliwie ciepły, po prostu ircha. Prawie zawsze pobrzmiwała w nim nuta lekkiej wyniosłości, co normalnie sprawiało wrażenie, że Kilander drwi z ludzi, natomiast na sali sądowej nadawało jego pytaniom i oskarżycielskim mowom ton ostrej ironii i niedowierzania.

Ogólnie rzecz biorąc, lubiłam Kilandera, ale wiedziałam, że spotkań z nim nigdy nie należy traktować lekko.

- Miło znowu widzieć cię na suchym lądzie - powiedział. - Twoje innowacyjne techniki pracy policyjnej jak zwykle wprawiają nas wszystkich w podziw i zdumienie...

- Wszystkich? - powtórzyłam, wydłużając krok, żeby z nim nadążyć. - Widzę tylko ciebie. Czyżbyś miał pchły?

Roześmiał się, szczerze i głośno, usuwając w cień własny żart i dając wyraz rozbawieniu moim.

- Jak wyszła z tego ta dziewczynka? - zapytał, kiedy przystanęliśmy przy windach.

- Dochodzi do siebie - odparłam.

Podwójne drzwi cicho rozsunęły się po lewej stronie i za parą urzędników weszliśmy do kabiny. Nagle pomyślałam sobie, że najprawdopodobniej już nigdy więcej nie usłyszę o Ellie Bernhardt. Zrobiłam dla niej wszystko, co mogłam; w uporaniu się z resztą problemów musi jej pomóc ktoś inny. I pewnie nie dowiem się, czy to przyniosło Ellie ulgę, czy też nie. Tak wyglądała praca w policji, taka była nasza rzeczywistość. Policjanci, którym to nie odpowiadało, odchodzili i podejmowali pracę w dziale pomocy społecznej.

Para urzędników wysiadła z windy na piątym piętrze. Lekko potarłam lewe ucho.

- Masz wodę w uchu, co? - odezwał się Kilander, kiedy znowu ruszyliśmy w górę.

- Tak.

Wiedziałam, że to nic groźnego, ale odgłos przelewającej się wewnątrz mojej czaszki wody wyprowadzał mnie z równowagi.

Winda zatrzymała się na moim piętrze i w krótkiej chwili między ostatnim drgnięciem kabiny a otwarciem się drzwi Kilander zmierzył mnie uważnym spojrzeniem z wysokości swojego metra dziewięćdziesięciu pięciu.

- Jesteś dziewczyną, która nie chowa się przed życiem - powiedział. - Z całą pewnością.

- Dziękuję - odparłam, zerkając na rozsuwające się drzwi, niepewna, jakiej właściwie odpowiedzi miałabym mu udzielić.

Kilka lat wcześniej okropnie by mnie wkurzyło, że nazwał mnie dziewczyną i daremnie próbowałamby wymyślić ostrą ripostę, która ostatecznie zaświtałaby mi w głowie mniej więcej piętnaście minut po rozstaniu z Kilanderem. Na szczęście nie byłam już spłoszoną początkującą policjantką i zdawałam sobie sprawę, że Kilander w żadnym razie nie jest męskim szowinistą, chociaż na pierwszy rzut oka ktoś mógłby odnieść właśnie takie wrażenie.

W holu nie było żywej duszy. Powoli podeszłam do drzwi sali sądowej. Poprawiłam torbę na ramieniu i usiadłam na ławce. Musiałam zaczekać, aż O'Malley wyjdzie i wezwie mnie, znałam zasady.

Tylko raz składałam zeznania w sprawie kryminalnej, w której sama nie prowadziłam śledztwa, i nie było to w Minneapolis, ale w St. Paul, na wstępnym przesłuchaniu Royce'a Stewarta, oskarżonego o zamordowanie Kamareia Brown.

To właśnie w mojej obecności Kamareia w mknącej do szpitala karetce pogotowia zidentyfikowała człowieka, który ją zaatakował.

Tamtego popołudnia Kamareia była w domu sama, lecz

Stewart rzucił się na nią w domu sąsiadów, którzy zlecili mu przeprowadzenie remontu. Dwóch malarzy, którzy tam pracowali, skończyło pracę koło szesnastej, ale tylko jeden miał solidne alibi na następne godziny.

Drugim był Stewart, dwudziestopięcioletni robotnik z dolnej części stanu. Na tabliczce rejestracyjnej jego samochodu widniała jego ksywka - KRÓTKI. Tak naprawdę Stewart wcale nie był taki znowu niski - miał koło metra siedemdziesięciu, byczy kark, mocną budowę i nieporządnie związaną kitkę jasnych włosów. Kamareia nazwała go jego przydomkiem, niezależnie od tego, czy był tramy, czy nie. Nie wiedziała, jak się nazywał, widziała natomiast tablice rejestracyjne jego wozu.

Tydzień przed śmiercią córki Genevieve powiedziała mi, że Kam zauważyła spojrzenia, jakie rzucał jej Krótki, co ją zaniepokoiło. Dziewczyna wyznała, że kiedy czuje na sobie wzrok Krótkiego, dreszcz przebiega jej po plecach.

Nie udało nam się dowiedzieć, w jaki sposób Stewart skłonił Kamareię, żeby weszła do domu sąsiadów.

Akta Stewarta z okresu wczesnej młodości były zamknięte i zaplombowane, a ponieważ nie należałam do zespołu dochodzeniowo-śledczego w tej sprawie, nie było mi dane ich zobaczyć. Jako dorosły, Stewart był aresztowany za sprzedaż alkoholu nieletnim i obnażanie się przed nastolatkami w pobliżu szkoły. Wszystko wskazywało na to, że od początku miał słabość do młodych dziewcząt.

Jackie Kowalski, adwokat z urzędu, która reprezentowała Stewarta, powiedziała mi później, że oskarżony zwierzył się jej, iż płaci alimenty na dziecko „czarnej cipki, którą przeleciałem tylko jeden, jedyny raz”.

Stewart nie wierzył, że to jego dziecko. Uważał, że testy na ojcostwo zostały sfałszowane przez współczujących pracowników szpitala, którzy oczywiście opowiedzieli się po stronie młodej, niezamężnej kobiety, przeciwko mężczyźnie.

- Bo faceci nie mają już w tym kraju żadnych praw, wie pani, jak to teraz jest - wyjaśnił Krótki.

Wracał do tej historii kilkakrotnie i Jackie Kowalski zorien-

towała się, że traktuje ją jako podstawę swojej linii obrony. Fakt, że płacił alimenty na małego mulata, miał świadczyć, że jest przyzwoitym facetem, a przede wszystkim, że nigdy nie zrobiłby krzywdy Kamarei, która także była mulatką.

Uparcie podsuwał też swojej prawnicze sugestię, że Kamareię zabił jakiś czarny, którego życiowym celem było wrobiecie w gwałt i morderstwo białego mężczyzny. Radził Jackie, żeby przedstawiła tę teorię przed sądem.

Gdyby Krótki kiedykolwiek publicznie złożył zeznania na sali sądowej, wzbudziłby koszarne obrzydzenie w każdej ławie przysięgłych i praktycznie sam wydałby na siebie wyrok.

Niestety, Krótki nigdy nie stanął przed sędzią i ławą przysięgłych, i to ja ponosiłam winę za ten stan rzeczy.

Tkwiłam przy pulpicie dla świadków w salce Urzędu Sprawiedliwości Okręgu Ramsey i składałam zeznania w czasie wstępnego przesłuchania w sprawie śmierci Kamarei Brown. obrońca Stewarta, Jackie Kowalski, złożyła wniosek o odrzucenie aktu oskarżenia jej klienta, zgodnie z przewidywaniami Marka Urbana, prokuratora okręgu Ramsey.

Urban siedział za stołem obok na razie pustej ławy przysięgłych, ale to nie na niego patrzyłam. Na sali był obecny także Christian Kilander, który usadowił się na jednym z krzeseł przeznaczonych dla obserwatorów. Wyglądało na to, że wziął sobie wolne przedpołudnie, by wysłuchać moich zeznań. Zaskoczyło mnie to, chociaż może nie powinno. Śmierć Kamarei wywołała wielkie poruszenie wśród ludzi, którzy znali i lubili Genevieve.

Kilander przyjął moje spojrzenie lekkim skinieniem głowy, którego nie mogłam odwzajemnić, a jego twarz była niezwykle poważna.

Jackie Kowalski stała tuż przede mną. Była to drobna młoda kobieta, świeżo po studiach na Wydziale Prawa Uniwersytetu Minnesota, z jasnobrązowymi włosami, ubrana w tani kostium z katalogu wysyłkowego.

Mniej więcej wiedziałam, jakie pytania będzie mi zadawała (Urban poinformował mnie, czego mogę się spodziewać), ale to wcale nie ułatwiało sprawy.

— *Detektyw Pribek, prawda? Czy mogę zwracać się do pani, pomijając pani rangę, jako że nie jest pani zaangażowana w to śledztwo jako przedstawiciel prawa?*

— *Proszę bardzo.*

— *Pani Pribek, była pani w domu ofiary niedługo po dokonaniu zbrodni, jak już nam pani mówiła, potem zaś pojechała pani karetką do szpitala razem z panną Brown, czy tak?*

— *Tak.*

— *Dlaczego pani, a nie jej matka?*

— *Genevieve dostała silne środki uspokajające. Kiedy zabierano Kamareię, była jeszcze w szoku. Doszłam do wniosku, że powinien pojechać z nią ktoś, kto zdoła zapanować nad sobą, by Kamareia czuła się w miarę bezpieczna i spokojna...*

— *Rozumiem. Jak to się stało, że zidentyfikowała mężczyznę, który ją zaatakował? Pytała ją pani, kto to był?*

— *Nie, sama mi to powiedziała.*

— *Jak to ujęła? Prosiłabym o dokładne przytoczenie jej słów, jeżeli jest to możliwe, oczywiście.*

— *Powiedziała: „To był Krótki. Ten facet, który ciągle mi się przyglądał”.*

— *A pani uznała, że chodzi o pana Stewarta, tak?*

— *Tak. Tak brzmiał jego przydomek.*

Jackie Kowalski przerwała. Gdybym składała zeznania w czasie procesu, przed ławą przysięgłych, najprawdopodobniej drążyłaby tę kwestię dalej, podając w wątpliwość identyfikację przez użycie przydomku, ale przysięgłych nie było na sali, był tylko sędzia, do którego Kowalski wystąpiła o oddalenie zarzutów. Musiała wykazać, na czym polega główna słabość aktu oskarżenia, więc na razie zostawiła kwestię ksywy Stewarta w spokoju.

— *Co jeszcze powiedziała Kamareia Brown?*

— *Że powinna była bardziej uważać, czy coś w tym rodzaju. Odpowiedziałam: „Nieprzejmuj się, skąd mogłaś wiedzieć...”.*

— *I to tyle, jeśli chodzi o atak na osobę zmarłej?* — *zapytała Kowalski.*

Dobrze wiedziała, że to tyle, bo przecież czytała zapis moich zeznań.

- Tak.
- Nie zadała jej pani pytania, kto to był?
- Nie.
- Czy towarzyszyła pani Kamarei Brown jako przedstawicielka prawa?
 - Zawsze jestem przedstawicielką prawa.
 - Zdają sobie z tego sprawą - odparła Kowalski. - Ale w domu swojej partnerki, Genevieve Brown, była pani jako jej przyjaciółka, prawda?
 - Tak.
 - Często spotykałyście się po pracy i uważałyście się za przyjaciółki, czy tak?
 - Tak.
 - Kamareia Brown często panią widywała i znała jako przyjaciółką swojej matki, prawda?
 - Tak.
 - Kiedy więc okazało się, że Genevieve Brown nie może jechać do szpitala z córką, ponieważ jest jeszcze w szoku, pani wsiadła do karetki zamiast niej, bo była pani „opanowana”. Moim zdaniem wskazuje to, że chciała pani uspokoić Kamareię Brown i pocieszyć ją. Zgadza się pani z tym punktem widzenia?
 - Nie chciałam, żeby Kamareia była wtedy sama i to było moim głównym celem.
 - Nie zamierzałam ułatwiać zadania, z jakim musiała się uporać Jackie Kowalski.
 - Czy w jakimś momencie przypomniała jej pani o swoim statusie przedstawicielki prawa?
 - Kamareia wychowywała się wśród...
 - Proszę odpowiedzieć na pytanie, które pani zadałam.
 - Nie, nie przypomniałam jej.
- Kowalski przerwała, sygnalizując zmianą kierunku przesłuchania.
 - Pani Pribek, pielęgniarka, która siedziała z tyłu karetki razem z panią i panną Brown, oświadczyła, że starała się pani pocieszyć ranną. Zeznała też, że dwukrotnie słyszała, jak -

zapewniała pani pannę Brown, iż „wszystko będzie dobrze”.
Czy to prawda?

Wreszcie padło pytanie, do którego prowadziły wszystkie wcześniejsze.

- Nie pamiętam, czy powiedziałam to dwa razy.

- Ale przypomina pani sobie, że powiedziała to pani przy-
najmniej jeden raz, tak?

Napotkałam spojrzenie Kilandera i wyczytałam w nim wy-
rok. Kilander wiedział, co oznacza pytanie Jackie Kowalski
i doskonale rozumiał, że to już koniec sprawy.

- Tak — odpowiedziałam wreszcie.

Genevieve, potencjalny świadek, nie mogła być obecna
w czasie tego przesłuchania i w tej chwili byłam wdzięczna lo-
sowi, że sędzia zdecydował się wydać ten zakaz i mojej part-
nerki nie było wśród obserwatorów.

- Poza tym mówiła pani wiele innych uspokajających i po-
cieszających rzeczy, pozwalając pani Brown uwierzyć, że
wyjdzie z tego cało, że przeżyje.

- Nie wydaje mi się, aby moje słowa pozwoliły jej w cokol-
wiek uwierzyć.

Kowalski uniosła brwi.

- Czy w takim razie mogłaby mi pani wyjaśnić, jaki inny
wniosek ranna mogła wyciągnąć z zapewnienia, że „wszystko
będzie dobrze”?

- Sprzeciw! - Urban zerwał się z krzesła. - Obrona każe
świadczeni snuć spekulacje!

- Cofam pytanie. - Kowalski przepaszającym gestem pod-
niosła rękę. - Pani Pribek, czy powiedziała pani pannie Brown
cokolwiek, co wskazywałoby, że jej obrażenia są śmiertelne?

Przepraszam cię, Genevieve, pomyślałam. Tak mi przykro...
Starałam się zrobić to, co wydawało mi się słuszne.

- Nie, nie powiedziałam jej nic takiego.

Oświadczenia składane na łożu śmierci to niezwykle ryzy-
kowna sprawa. Wszystko opiera się na założeniu, że osoba,
która wie, iż umiera, nie ma powodu kłamać. Właśnie z tej

przyczyny najważniejszą kwestią jest rozstrzygnięcie, czy umierająca osoba rzeczywiście była świadoma, że jej życie zaraz się skończy.

Kowalski wyjaśniła sądowi, że Kamareia ponad wszelką wątpliwość nie widziała we mnie oficera policji, dlatego wcześniej nalegała, aby w czasie składania zeznań nie tytułować mnie zgodnie z rangą; jeszcze ważniejsze było jednak to, że obrona wykazała, iż moje zapewnienia pozwoliły Kamarei uwierzyć, że nie umrze z powodu doznanych obrażeń.

Dawno temu, na długo przed śmiercią Kamarei, Kilander mówił mi o oświadczeniach osób umierających, nie mogę więc powiedzieć, że nie wiedziałam o prawnych aspektach oskarżeń wypowiedzianych na łożu śmierci. Prawda jest prosta - tamtego popołudnia, patrząc na umierającą młodą kobietę, córkę mojej najbliższej przyjaciółki, myślałam tylko o tym, żeby przynieść jej ulgę i pociechę.

Jackie Kowalski miała rację co do jednego - wsiałam do karetki jako przyjaciółka Genevieve i Kamarei. Starałam się zrobić dla dziewczyny to, co zrobiłaby jej matka, czyli uspokoić ją i pocieszyć. Stanowisko, jakie zajęłam w tej sytuacji, praktycznie unieważniło oskarżenie Kamarei i zagroziło sprawie, która i tak była chwiejna pod innymi względami.

Mimo gwałtu lekarzom nie udało się znaleźć śladów nasienia, co zdarza się częściej, niż sądzi większość osób. Może Krótki włożył wcześniej prezerwatywę, a może po prostu nie miał wytrysku. Od początku uważałam, że zamordowanie Kamarei było zbrodnią odpowiadającą najprostszej definicji - owocem nienawiści. Moim zdaniem Stewart zgwałcił Kamareię, ponieważ dla niego był to inny sposób pobicia jej na śmierć.

Ostatecznie jednak nie zdołano odnaleźć materiału, którego zbadanie pozwoliłoby określić DNA mordercy. Włosy i tkanka skórna okazały się bezużyteczne, ponieważ Stewart przez dwa tygodnie kręcił się po całym domu, naprawiając, tynkując i malując. Spod paznokci Kamarei nie wydobyto fragmentów naskórka napastnika, który najwyraźniej całkowicie zaskoczył ją swoim atakiem, pozbawiając przytomności i możliwości obrony.

Cała sprawa opierała się na oskarżeniu, które Kamareia wypowiedziała na krótko przed śmiercią. Kiedy sędzia odrzucił to oskarżenie, reszta runęła jak domek z kart. Sędzia uznał, że podstawy do rozpoczęcia procesu są niewystarczające i Royce Stewart był wolny. Stracił tylko prawo jazdy w wyniku niezwiązanego ze sprawą wypadku drogowego, którego okazał się sprawcą.

- Saro?

Drzwi sali sądowej otworzyły się prawie bezgłośnie. Jane O'Malley stanęła w progu, lekko unosząc brwi.

- Gotowa? - zapytała.

- Tak - odpowiedziałam.

Rozdział 3

Chociaż O'Malley powiedziała wcześniej, że składanie zeznań przebiega szybciej, niż się spodziewała, opowiedzenie mojej części tej historii zajęło sporo czasu. Kiedy wróciłam do pracy, było już po piątej. Vang nadal siedział przy biurku i znowu wisiał na telefonie. Czekał chyba na rozmówcę, bo na mój widok zasłonił dolną część słuchawki i uśmiechnął się.

- Był tutaj twój mąż - powiedział. - Szukał cię.

- Shiloh był tutaj? - zapytałam z idiotycznym zdziwieniem. - Czy...

Ale Vang skoncentrował się już na rozmowie telefonicznej.

- Halo? Kapitan Erickson? Mówi...

Przestałam go słuchać. Shiloh zajrzał na komisariat, ale najwyraźniej było to jakiś czas temu. Chociaż mój dzień pracy dobiegł końca i zamierzałam zaraz udać się do domu, czułam się dziwnie rozczarowana, że się nie spotkaliśmy. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej Shiloh był detektywem wydziału dochodzeniowego policji w Minneapolis. Nie pracowaliśmy razem, ale czasami nasze zadania zazębiały się i pozwalały na krótkie spotkania. Teraz już nie wpadałam na niego w centrum i bardzo mi tego brakowało.

Musiałam się do tego dopiero przyzwyczaić. W następnym tygodniu Shiloh wyjeżdżał na szkolenie FBI dla kandydatów na agentów do Quantico, które miało potrwać cztery miesiące.

Zerknęłam na telefon, sprawdzając, czy nie ma żadnych wiadomości. Ponieważ ich nie było, nastawiłam automatyczną sekretarkę na nagrywanie po jednym sygnale i sięgnęłam po torbę. W progu pomachałam Vangowi, który odpowiedział krótkim kiwnięciem głowy.

Moja nova z 1970 roku była pierwszym samochodem, jaki kupiłam. Niektórzy koledzy z pracy krzywili się na widok wozu; myślę, że wyobrażali sobie, w jak cudowny sposób by go wyremontowali, gdyby należał do nich. Szary lakier wyblakł z braku regularnego woskowania, którym pieściły go wielbiciel starych aut, a przednia szyba była miejscami popękana, lecz samochód okazał się zdumiewająco solidny i trwały, i może właśnie to budziło we mnie uczucie perwersyjnego przywiązania. Co roku na początku zimy snułam marzenia o wymianie novy na coś lepiej trzymającego się na śniegu i śliskich nawierzchniach, najlepiej na jakiegoś pikapa z napędem na cztery koła, jednego z tych, jakimi jeździło wielu moich kolegów, lecz teraz był już październik, a ja wciąż nie dałam ogłoszenia o sprzedaży auta.

Nie pojechałam prosto do domu. Wskaźnik paliwa chwiał się poniżej kreski oznaczającej jedną czwartą pojemności baku, więc najpierw zatankowałam na najtańszej ze znanych mi stacji benzynowych, a potem zawiozłam buty do szewca. Jeśli miały przetrwać nieoczekiwane moczenie w Missisipi, musiałam oddać je w ręce profesjonalisty.

Przez te zajęcia dopiero po ponad półgodzinie od wyjścia z pracy skręcałam w spokojną uliczkę w północno-wschodniej części Minneapolis, przy której mieszkalam z Shilohem.

W tej dzielnicy jakiś czas temu osiedlali się głównie imigranci z Europy Wschodniej i dopiero ostatnie lata przyniosły jej jaką taką integrację. Była poprzecinana torami kolejowymi, stały przy niej głównie stare domy z dużymi gankami, nie-

wielkie zakłady przemysłowe i usługowe oraz bary, gdzie w oknach wisiały tabliczki reklamujące pulpeciki mięsne i zapiekanki. Ta okolica od razu mi się spodobała, podobnie jak mocno sfatygowany dom Shiloha z wąskim podwórkiem, za którym kilka razy dziennie przejeżdżały pociągi; latem uwielbiałam siedzieć w ruchomych, rozproszonych plamach cienia pod potężnymi wiązami, w sielankowej, sennej atmosferze. Wiedziałam jednak także, że na sąsiedniej ulicy Shiloh wyrwał kiedyś składany, dobrze naostrzony nóż z ręki jedenastoletniego chłopaka, a tuż przed Halloween w zeszłym roku ktoś wypisał czerwoną kredą wulgarne antypolicyjne hasła na asfalcie podjazdu przed naszym domem. Nie należało zapominać, że mieszkamy w typowej, niezbyt bezpiecznej dzielnicy wielkiego miasta.

Leciwa pani Muzio, nasza najbliższa sąsiadka, wychodziła właśnie z domu ze swoim starym, skundlonym wilczurem o imieniu Snoopy. Chciałam jej pomachać, ale przypomniałam sobie, że aby przyciągnąć uwagę Neddy Muzio, najczęściej trzeba stanąć tuż przed nią, więc przejechałam obok niej i zwołniłam przed naszym domem. Starego pontiaca catalina Shiloha nie było na podjeździe.

Może zabrał go do warsztatu, pomyślałam. Podobnie jak moja nova, pontiac był pierwszym samochodem Shiloha. Twierdził on, że nie zmienia wozu raczej z lenistwa niż z przywiązania. Pontiac pochodził z 1968 roku i był obciążony wszystkimi możliwymi problemami starych aut - ostatnio wysiadł w nim zegar. Co jakiś czas Shiloh odgrażał się, że sprzeda go i kupi coś solidniejszego, ale jak na razie na pogrózkach się kończyło.

Weszłam do domu tylnym wejściem, przez które trafiało się nie wprost do kuchni, ale do niewielkiego korytarza z podłogą pokrytą wiecznie brudnym linoleum oraz z pralką i suszarką w prawym rogu. Rzuciłam foliową torbę na blat suszarki i postanowiłam od razu wyprać mokre rzeczy.

Wepchnęłam je do bębna pralki i właśnie miałam wsypać pół miarki proszku do pojemnika, kiedy kątem oka zauwa-

żyłam, że ktoś mnie obserwuje, oparty o białą ścianę po drugiej stronie korytarzyka.

Podskoczyłam nerwowo. Prawą rękę, którą zawsze sięgałam po broń, wyrzuciłam w powietrze, rozsypując część proszku. Dopiero po sekundzie uświadomiłam sobie, kto to jest i odwróciłam się twarzą do Shiloha.

- Cholera jasna! - powiedziałam. - Nie podkradaj się tak do mnie! - Wzięłam głęboki oddech, żeby odzyskać równowagę. - Myślałam, że cię nie ma, bo samochodu...

Przerwałam, nagle dziwnie zaniepokojona.

Chociaż mój mąż miał trochę ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, nigdy nie sprawiał szczególnie imponującego wrażenia. Wysoki i szczupły, o twarzy, która moim zdaniem była typowym przykładem cech rasy euroazjatyckiej, z bladą skórą, lecz mocnymi, wyraźnymi rysami; najbardziej niezwykle były jego oczy, leciutko skośne, zupełnie jakby dawno temu jego przodkowie żyli gdzieś wśród stepów. Wyraz oczu Shiloha był zawsze trudny do odgadnięcia, lecz teraz wydawało mi się, że widzę w nich dezaprobatę.

- Co się stało? - zapytałam.

Shiloh powoli pokręcił głową. Nie ulegało wątpliwości, że ma mi coś za złe.

- Ty durna gówniaro...-rzekł cicho.

- O co ci chodzi? - zdenerwowałam się, ale on nie spuszczał ze mnie swoich skupionych, pełnych wyrzutu oczu.

Shiloh i ja nigdy nie pracowaliśmy razem nad żadną sprawą, więc nigdy dotąd nie miałam okazji widzieć jego technik przesłuchiwania podejrzanych. Wszystko wskazywało na to, że teraz doświadczę ich działania na sobie.

- Masz pojęcie, ile osób co roku traci życie w Missisipi? - spytał w końcu.

- Och... - mruknęłam. - Vang ci powiedział? - Gniew ludzi, którzy rzadko się gniewają, jest zwykle głęboko denerwujący. - Nic mi nie jest - zapewniłam go.

- Co ci strzeliło do głowy?

- Zrobiłbyś dokładnie to samo - odparłam.

Nie zaprzeczył.

- Tylko że ja nie nauczyłem się pływać dopiero w wieku dwudziestu trzech lat... - warknął.

- Miałam dwadzieścia dwa lata, nie dwadzieścia trzy - sprostowałam.

- Nie w tym rzecz!

Odwrociłam się do niego plecami, zmiotłam rozsypany proszek na chusteczkę i wyspałam do pralki. Ustawiłam tarczę na pranie w ciepłej wodzie i usłyszałam stłumiony syk rozpoczynającego się cyklu.

Shiloh podszedł do mnie od tyłu i oparł dłonie na moich biodrach.

- O mało nie dostałem zawału, kiedy Vang powiedział mi, co zrobiłaś... - szepnął.

Ponieważ tak szybko mi wybaczył, ogarnęła mnie ulga i zapragnęłam go przeprosić.

- Przydałbyś mi się tam dzisiaj - powiedziałam zamiast tego.

Shiloh miał spore doświadczenie w negocjacjach z samobójcami.

- Była moim pierwszym skoczkiem - dodałam.

Wiedziałam, że w odpowiedzi mogę usłyszeć: „Mało brakowało, a byłaby także ostatnim”, ale Shiloh postanowił mnie dłużej nie dręczyć. Pochylił się nade mną i powąchał moje włosy.

- Czuję zapach rzeki... - wymamrotał.

Potem podniósł ciężki węzeł włosów i pocałował mnie w kark.

Wiedziałam, co oznacza ten gest.

Później, już w naszej sypialni, Shiloh milczał tak długo, że myślałam, iż usnął. Podniosłam głowę z jego piersi i spojrzałam na niego - oczy miał zamknięte.

Potem jedną ręką pogładził mnie po plecach, wciąż nie otwierając oczu. Gdybym nie znała go tak dobrze, pomyślałabym, że właśnie tak przyjmuje wszystkie przeżycia - spokojnie i lekko.

Ale znałam go bardzo dobrze. Obserwowałam Mike'a Shiloha od lat, z daleka i z bliska. Czasami sądziłam, że celowo wybiera najtrudniejszą ścieżkę, nawet nie rozważając łatwiejsze możliwości.

Jego kariera była bardziej skomplikowana i burzliwa niż moja. Kiedy go poznałam, pracował w brygadzie antynarkotykowej, często jako tajniak. Później zgłosił się na szkolenie dla negocjatorów w sprawach porwań, ale nie został wybrany. Zamiast tego przydzielono mu zadanie, o które nie prosił i którego wcale nie chciał - współpracownika wydziału zabójstw. Jakiś czas potem awansowano go na detektywa tegoż wydziału. Miał zajmować się sprawami zamkniętymi i umorzonymi z braku dowodów.

Specjaliści tego typu są czymś w rodzaju towaru luksusowego. W dobrych dla gospodarki czasach, przy nadwyżkach budżetowych i spadającej liczbie zabójstw, wiele wydziałów policji może pozwolić sobie na wysyłanie detektywów do analizowania i wznawiania dochodzenia w starych, nierozwiązanych sprawach, zwykle o zabójstwa. Pod wieloma względami była to idealna praca dla Shiloha, który uwielbiał pozornie niemożliwe do rozwiązania zagadki intelektualne. Mimo to świetnie zdawał sobie sprawę, że przydzielenie mu dawno zamkniętych spraw i skazanie na pracę całkowicie samodzielną, bez partnera, było wyrazem marnie zawołowanej krytyki.

Shiloh miał siedemnaście lat, kiedy porzucił swój dom w Utah, nie kończąc szkoły średniej. Pracował w Montanie jako drwal, zanim podjął pracę w policji. Był członkiem zespołu ratunkowo-poszukiwawczego pod dowództwem miejscowego szeryfa.

Później los zaprowadził go na Środkowy Zachód, gdzie najpierw był szeregowym policjantem, patrolującym ulice, potem zaś włączono go do brygady antynarkotykowej jako agenta do zadań specjalnych. Potem często przerzucano go z jednej takiej brygady do drugiej, ponieważ w tej pracy zawsze brakuje świeżych, trudnych do rozpoznania twarzy. Pracował w takich miastach jak Gary, Indiana, Madison i Wisconsin, często

sam. Zdarzało się, że trafiał na uczciwych, dobrych kolegów, lecz pracował też z bigotami i niedoszłymi kowbojami, którzy lubili sobie postrzelać. Jego zwierzchnicy często nie byli o wiele lepsi.

Kiedy przyjechał do Minneapolis, żeby zapuścić na wpół trwałe korzenie i zrobić dyplom z psychologii, był samotnikiem, który nauczył się ufać przede wszystkim własnemu instynktowi i zdaniu.

Poza tym Shiloh był synem kaznodziei. W samym sercu mormońskiego Utah ojciec Shiloha czuwał nad trzódką bliżej nieokreślonego pod względem doktrynalnym odłamu religii chrześcijańskiej, którego surowe credo dzieliło świat na zbawionych i potępionych. I chociaż sam Shiloh co najmniej od dziesięciu lat nie chodził w niedzielę do kościoła, to jakaś część sztywnych zasad moralnych jego młodości wciąż w nim żyła, teraz przekształcona w tolerancję i poglądy znacznie łagodniejsze i mocniej naznaczone wyrozumiałością wobec bliźnich niż u większości policjantów.

W nieco dusznej atmosferze wielkomiejskiego wydziału policji opinie Shiloha nie zyskały mu wielu przyjaciół. Często popadał w konflikt z prokuratorami i nadzorującymi dochodzenia detektywami, z którymi pomysłami i taktyką po prostu się nie zgadzał. Reakcją na jego poglądy było zwykle zdumienie czy wręcz zgorzzenie - Shiloh okazywał współczucie narkomanom i prostytutkom, których jego zwierzchnicy i koledzy mieli za nic, a pogardę informatorom, których tamci wysoko cenili. Jakiś anonimowy żartowniś przysłał mu kiedyś do pracy literaturę przeznaczoną dla pracowników wydziałów społecznych, zupełnie jakby była to szczególnie wstydliva forma pornografii.

Sama wielokrotnie się z nim spierałam, wpadając w gniew i przybierając agresywnie-obronną postawę, kiedy podawał w wątpliwość policyjne wartości moralne i cnoty, których nie miałam ochoty kwestionować. Po takich dyskusjach nigdy nie rozstawaliśmy się w złości, lecz gdybyśmy pracowali w tym samym wydziale, najpewniej nikt nigdy nie przydzieliłby nam

wspólnego zadania, a tym bardziej nie przewidział, że będziemy małżeństwem.

- Wszyscy się dziwią, co was łączy - powiedziała kiedyś Genevieve. - Kiedy cię poznałam, mówiłaś „zdezorientowany” zamiast „zdezorientowany”, gdy tymczasem Shiloh... - Zamyśliła się. - Wiesz, Shiloh raz pokłócił się z detektywem, który przekazywał ważne informacje telewizyjnej dziennikarce, zresztą wszyscy podejrzewali, że z nią sypia. Tak czy inaczej, Shiloh nazwał go „pieprzonym quislingiem”. Gdy obaj wyszli, ci z nas, którzy słyszeli ich kłótnię, rzucili się do słownika, żeby sprawdzić, co to takiego ten „quisling”. Myśleliśmy, że to jakieś przekleństwo, a okazało się, że „quisling” to nazwisko, które stało się synonimem zdrajcy... - Genevieve parsknęła śmiechem.

- To cały Shiloh. - Westchnęłam. - Naraża się ludziom i jeszcze używa w kłótni trudnych słów, których większość ni cholery nie rozumie...

Nikt nie mógłby jednak przyczepić się do jakości pracy Shiloha. W wydziale było sporo osób, które ceniły jego inteligencję i zasady etyczne, ale też wielu uważało, że Mike Shiloh powinien wreszcie dostać po łapach. I dostał.

Praca nad dawno zamkniętymi sprawami nie stwarza wielu okazji do zabłyśnięcia, ponieważ składa się głównie z przeglądania i czytania starych dokumentów. Przełomy w tego rodzaju wypadkach zdarzają się tylko wtedy, gdy jakiś świadek nagle zdecyduje się złożyć nowe zeznania, doznając nawrócenia lub dręczony wyrzutami sumienia.

W tym samym czasie, gdy Genevieve i ja jak burza szłyśmy od jednej sprawy do drugiej, kariera Shiloha utknęła na mieliźnie.

- Masz pecha - powiedziałam mu wtedy. - Ale to się zmieni, zobaczysz.

Okazało się, że miałam rację. Shiloh aresztował Annelise Eliot, morderczynię, która ukrywała się przez dziesięć lat, a niebawem agent FBI zasugerował, aby mój mąż zgłosił swoją kandydaturę na szkolenie w Quantico.

Nasz osobisty związek w ciągu prawie pięciu lat zmieniał się i umacniał, okrężną drogą zmierzając w kierunku małżeństwa. Z całą pewnością nie byliśmy idealnie pasującą do siebie parą, jak powiedziała Genevieve; spotykaliśmy się, rozstawaliśmy, godziliśmy, a wreszcie zamieszkaliśmy razem i niedługo potem wzięliśmy ślub. Mimo tych wszystkich zmian przez cały czas czułam, że z Shilohem łączy mnie jakaś niemożliwa do pokonania siła. Trudno było mi wytłumaczyć to nawet Genevieve, która rozumiała nasz związek lepiej niż ktokolwiek inny.

Dość wcześnie powiedziałam jej, że się spotykamy, chociaż jeśli mam być szczerą, to określenie „powiedziałam” nie jest chyba właściwe, ponieważ wymknęło mi się to przypadkiem.

Kiedy jeszcze patrolowałam ulice, Genevieve zawsze próbowała pomóc mi w znalezieniu lepszej pracy. Pewnego wieczoru, gdy byłam na kolacji w jej domu w St. Paul, zaczęła ze mną rozmowę na ten temat.

- Szef dowództwa miejskich brygad antynarkotykowych ma o tobie bardzo dobre zdanie - powiedziała.

Miała na sobie stary sweter i dżinsy, w które zwykle przebierała się do gotowania, i obszerny fartuch. Kroiła pomidory i oliwki na sos do makaronu, lecz co jakiś czas zerkała na mnie, ponieważ siedziałam niedaleko, przy dużym blacie na środku kuchni, a w jej orzechowych oczach malowało się skupienie. Genevieve nie potrafiła rozmawiać bez kontaktu wzrokowego, podobnie jak nie umiałaby prowadzić samochodu w ciemności bez włączonych przednich świateł.

- Myślałaś kiedyś o tego rodzaju pracy? - zapytała, spoglądając na mnie. - Radich ma w swojej brygadzie dwóch weteranów, Nelsona i Shiloha, którzy wcześniej czy później prawdopodobnie zechcą poprosić o przeniesienie do innego wydziału...

- Shiloh nic mi o tym nie mówił - rzuciłam, zupełnie nie zastanawiając się nad swoimi słowami.

O, cholera jasna, pomyślałam natychmiast.

- Dlaczego Shiloh miałby ci o tym mówić? - Genevieve uniosła brwi.

Kiedyś wykonywałam niewielkie zadanie dla brygady an-

tynarkotykowej, ale było to już jakiś czas temu, i Gen doskonale o tym wiedziała.

I wtedy zrozumiała.

- O mój Boże... - Zakryła usta dłonią. - Chyba żartujesz...

- W pracy staramy się z tym nie afiszować - mrukniętam sucho, zażenowana wpadką.

- Na pewno mówimy o tym samym facecie? - zażartowała. - Metr dziewięćdziesiąt z okładem, kasztanowe włosy, małomówny, regularnie kiwa cię, jak chce, kiedy gramy w koszykówkę?

- Nieprawda!

- Ależ tak, Saro, to prawda. Musisz przyznać, że nie jesteś dość dobra, by go upilnować.

- Nie, chodziło mi o jego małomówność. Ze mną rozmawia, słowo daję.

Jej orzechowe oczy rozszerzyły się, a na wpół rozgotowany pomidor niepostrzeżenie ześlizgnął się z dużej drewnianej szpatułki, którą mieszała w garnku. Uwierzyła mi.

- A niech mnie! - powiedziała. - Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że może z was być para. Wydajecie się tacy różni, w każdym razie pozornie... Najwyraźniej bardzo słabo znam Shiloha... - Przerwała, zamyśliła się. - Więc jaki on naprawdę jest?

Wiedziona pierwszym impulsem, miałam ochotę odpowiedzieć: „Chodzi ci o to, jaki jest w łóżku?“, ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć.

- Shiloh jest jak głęboka rzeka - odparłam po chwili zastanowienia.

Nie było to ani jasne, ani wyczerpujące podsumowanie, lecz czułam, że nie potrafię wyjaśnić Genevieve, iż potrzebuję i pragnę Shiloha nie mimo dzielących nas różnic, tylko właśnie z powodu ich istnienia. Shiloh nie był podobny ani do mnie, ani do mężczyzn, z którymi zwykle czułam się swobodnie.

Gdy byliśmy razem, nie musiał trzymać mnie za rękę ani mnie dotykać. Nie wymagał, żebym dzieliła jego zainteresowania czy lubiła te same rzeczy. Tak czy inaczej, od początku

wiedziałam, że aby dotrzymać mu kroku pod względem intelektualnym, będę musiała bez przerwy stać na palcach.

Gdybym spotkała go rok wcześniej, ta świadomość pewnie by wystarczyła, żeby mnie wystraszyć, tymczasem teraz dostrzegłam w Shilohu możliwość stworzenia więzi opartej na czymś o wiele głębszym niż wspólne zainteresowania, na czymś, przy czym te dawne kryteria wydawały się nieistotne, wręcz banalne. Shiloh miał w sobie głębię, która niepokoiła mnie i ekscytowała, sprawiała, że czułam się jak wychowany na pre-rii człowiek, po raz pierwszy w życiu stojący na brzegu oceanu. Kiedy poznałam Shiloha, mężczyźni, z którymi wcześniej się spotykałam, przyszyżeni na jeża szeroko uśmiechnięci faceci w samochodach z napędem na cztery koła nagle wydali mi się jednowymiarowi, płacy, znacznie mniej atrakcyjni niż poprzednio.

Teraz Shiloh poruszył się i wysunął spod ramienia, które przerzuciłam przez jego pierś. Patrzyłam, jak podchodzi do komody i wyjmuje z szuflady obcinak do paznokci.

- Będziesz sobie obcinał paznokcie? Byłeś już dziś u fryzjera, prawda? - zapytałam trochę oskarżycielskim tonem.

Wiedział, jak bardzo podobały mi się dłuższe włosy, które nosił, kiedy się poznaliśmy. Gdy były krótko ostrzyżone, słońce nie miało szans wydobyć jasnorudawych błysków w ciemnokasztanowej gęstwinie.

Zignorował tę łagodną krytykę.

- Nie, zamierzam tobie obciąć paznokcie - rzekł, siadając na brzegu łóżka i sięgając po moją dłoń.

Wyrwałam mu ją.

- Dlaczego?

- Bo mnie podrapałaś - powiedział. - Nie wiem, czy w Quantico mają zbiorowe prysznice, ale wołałbym nie pokazywać się tam z czerwonymi śladami na plecach, tak na wszelki wypadek...

- Wcale nie mam długich paznokci!

- Nie mówię, że są długie, tylko poszarpane, ponieważ często je ogryzasz.

- Już nie - skłamałam.

Kiedy poczułam ostre krawędzie obcinaka na pierwszym paznokciu, moja ręka drgnęła nerwowo. Shiloh spojrział mi w oczy.

- Ufasz mi? - zapytał.

- Tak - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Obcinak z metalicznym kliknięciem zgilotynował paznokieć mojego palca wskazującego; Shiloh uwolnił palec i zajął się następnym. Ogarnęło mnie nagle uczucie oderwania od ciała, fizyczne wspomnienie sprzed wielu, wielu lat. Zamknęłam oczy, starając się je wyizolować. Tak, naturalnie - w dłoniach Shiloha czułam dotyk mojej matki. Była jedyną osobą, która obcinała mi paznokcie. Gdy robiła to przez trzy czy cztery ostatnie lata swego życia, rak jajnika szerzył się wewnątrz jej ciała niczym ohydne wykwity grzyba na murach kopalni.

Shiloh strząsnął obcięte paznokcie z przykrywającego łóżko koca na podłogę. Otworzyłam oczy.

- Już po wszystkim - powiedział spokojnie.

- Dziękuję... - wymamrotałam. - Bo chyba jest za co... - Zeskoczyłam z materaca i rozejrzałam się w poszukiwaniu ubrania. - Czas pomyśleć o kolacji - dodałam, wciągając koszulkę.

Shiloh ułożył się na boku i patrzył, jak się ubieram.

- Mam nadzieję, że nie jesteś potwornie głodna - odezwał się. - Nie chcę wprawiać cię w popłoch, ale kiedy ostatni raz zaglądałem do kuchni, w szafkach było raczej pusto.

- Poważnie? - zaniepokoiłam się. - To bardzo źle...

Weszłam do kuchni. Za oknem zapadał zmrok. Gdy Shiloh stanął w progu, siedziałam na piętach przed otwartą lodówką, sprawdzając jej zawartość. Miał rację, niestety, nie było tu niczego obiecującego.

- Mogłabym przejść się do Ibrahima - zaproponowałam.

Tą nazwą określaliśmy najbliższą stację benzynową firmy Conoco i mieszczący się na jej terenie minimarket. Chociaż w Minneapolis nie brakowało otwartych przez całą dobę sklepów spożywczych, najwygodniej było nam robić zakupy

u Ibrahima, szczególnie jeśli w środku nocy okazywało się, że nie mamy mleka czy kawy. Chodziliśmy tam bardzo często, Shiloh napomknął nawet kiedyś, że gdybyśmy po ślubie urządzili tradycyjne wesele, potrawy z pewnością zamówilibyśmy właśnie w Conoco.

- Może... - powiedział z wahaniem Shiloh.

W jego głosie nie było entuzjazmu dla mrożonych, gotowych dań z minimarketu.

- Albo moglibyśmy zrobić coś z tych migdałowych płatków, oliwek i ryżu - dodałam z namysłem. - Gdybyśmy dokupili trochę pomidorów, cytryny...

- I kurczaka, wiem - przerwał mi. - Już widzę, do czego zmierzamy...

Żadne z nas nie mogło pochwalić się szczególnymi umiejętnościami kulinarnymi, ale Shiloh gotował lepiej niż ja. Z kilku żelaznych przepisów, które znał na pamięć, najbardziej lubiłam kurczaka po baskijsku. Shiloh robił go co drugi lub trzeci tydzień, ale zawsze czekał, aż „zamówię” u niego tę potrawę. Myślę, że sprawiało mu przyjemność, kiedy żarliwie prosiłam o przyrządzenie kurczaka, dlatego teraz podejrzewałam, że demonstrowana przez niego niechęć do gotowania jest pozorna. Nacisnęłam trochę mocniej.

- To prawda, że dużo przy nim pracy... - mruknęłam. - Nie dziwię się, że ci się nie chce...

Zgodnie z moimi oczekiwaniami potrząsnął głową.

- Nie, zrobię go, ale musiałybyś pojechać do sklepu i kupić parę rzeczy.

- W porządku - powiedziałam, wracając do sypialni po buty. Nagle jego słowa o czymś mi przypomniały. - Hej, a gdzie jest twój samochód?

- A, tak... - odezwał się z kuchni.

Słyszałam, jak wyjmuje z lodówki puszkę coli i robi sobie drinka.

- Sprzedałam go.

- Naprawdę? - zdziwiłam się. - To dość nagła decyzja...

Shiloh często straszył, że pozbędzie się starego samochodu,

ale tyle razy cierpliwie dawał go do naprawy, że wiadomość o sprzedaży trochę mnie jednak zaskoczyła. Chwyciłam sportowe buty i skarpetki, wróciłam na próg kuchni i usiadłam na podłodze, żeby je włożyć.

- Nie wierzyłem, że spokojnie dojadę nim aż do Wirginii - wyjaśnił. - Polecę samolotem. Nowe auto kupię później, kiedy skończę kurs w Quantico.

- Zostało ci jeszcze trochę czasu do wyjazdu - przypomniałam mu, wiążąc sznurówki. - Zdażyłbyś kupić samochód teraz, gdybyś chciał.

- Tylko tydzień. - Końcem noża zdjął podobną do bibuły skórkę z ząbka czosnku. - Mogę kupić nowy wóz, ale mogę też przeżyć te parę dni bez niego.

- Ja bym chyba oszalała. - Zerwałam się z podłogi. - Nie mam nic przeciwko chodzeniu pieszo, ale... Najbardziej przeszkadzałyby mi świadomość, że jestem jakby ubezwłasnowolniona...

- Rozumiem cię. - Pokiwał głową. - Samochód to coś więcej niż tylko środek transportu. To inwestycja, biuro, szafka, broń...

- Broń? - powtórzyłam powątpiewająco.

- Gdyby ludzie mieli pełną świadomość praw fizycznych i sił, jakie wprawiają w ruch, siadając za kierownicą, nie ośmieliliby się wyjechać na ulicę. - Zgarnął posiekane kawałeczki czosnku w jedno miejsce. - Sama widziałas przecież, jak wyglądają miejsca wypadków...

- Tak, widziałam. Aż zbyt wiele razy... - Nagle uderzyła mnie inna myśl. - Zajrzałeś na komisariat, żebym podwoziła cię do domu, prawda?

- Tak. Musiałem odstawić wóz ludziom, którzy go kupili, a potem wpadłem do ciebie, ale Vang powiedział, że poszłaś do sądu.

- Trzeba było poczekać. Zrobiłeś sobie niezły spacer...

- Jakies trzy kilometry, nie więcej. - Zmiażdżył czosnek nożem. - Miałaś jakieś wiadomości od Genevieve? - zapytał po chwili.

Zaskoczył mnie. Sięgnęłam po jego szklankę z colą i pociągnęłam spory łyk, zwlekając z odpowiedzią.

- Nie - odparłam w końcu. - Gen nigdy do mnie nie dzwoni, a kiedy ja telefonuję do niej, mówi monosylabami. Nie wiem, czy to zmiana na lepsze, czy na gorsze w stosunku do tego, jak zachowywała się tuż przed wzięciem urlopu. Wtedy przez jakiś czas chciała rozmawiać wyłącznie o Stewarcie...

Genevieve mieszkała teraz godzinę drogi na północ od Blue Earth, rodzinnego miasta Royce'a Stewarta, który wrócił tam po zwolnieniu z aresztu. Gen znała lokalnych zastępców szeryfa, którzy najwyraźniej chętnie udzielali jej informacji o poczynaniach Krótkiego. Genevieve mówiła mi, że Stewart znowu pracuje na jakiejś budowie, natomiast wieczorami prześiaduje w barze. Ponieważ odebrano mu prawo jazdy, a jego dom znajdował się pod miastem, często widywano go, jak twierdzili informatorzy Gen, idącego pieszo poboczem szosy o bardzo późnej porze. Policja nigdy nie przyłapała go na prowadzeniu wozu bez prawa jazdy, wyglądało też na to, że po alkoholu zachowuje się całkiem przyzwoicie i nie wszczyna burd.

- Pamiętam - powiedział Shiloh. - Mówiłaś mi o tym.

- Teraz przestała o nim wspominać, nie wiem jednak, czy to znaczy, że także przestała o nim myśleć. - Westchnęłam. - Chciałabym, żeby wróciła do pracy. Powinna się czymś zająć.

- Pojedź do niej.

- Tak uważasz?

- Już od jakiegoś czasu zastanawiasz się przecież, czy i kiedy się do niej wybrać.

Rzeczywiście, mówiłam mu o tym, i to już przed paroma tygodniami. Nie zrealizowałam tego planu. Ogarnął mnie wstyd. Byłam zajęta, oczywiście - tak brzmi klasyczna wymówka, którą gliniarze posługują się równie często jak dyrektorzy wielkich firm i biznesmeni. *Jestem zajęta, mam bardzo wymagającą pracę, wiele osób na mnie polega.* Dopiero później, zwykle za późno, zdajemy sobie sprawę, że potrzeby i wymagania obcych ludzi stały się dla nas ważniejsze od potrzeb ludzi bliskich, tych, z którymi jesteśmy na co dzień.

- Masz jeszcze kilka dni urlopu - dodał Shiloh.
Kiwnęłam głową. Nagle jego pomysł bardzo mi się spodobał.

- Tak. To kiedy pojechalibyśmy do niej?

- Nie my, tylko ty. - Stał przy lodówce, odwrócony do mnie plecami, więc nie widziałam jego twarzy.

- Mówisz poważnie? Chciałam wziąć sobie wolne teraz, przed twoim wyjazdem do Wirginii...

- Wiem - odrzekł cierpliwym tonem, odwracając się do mnie. - Zostawimy sobie sporo czasu dla siebie, nie martw się. Mankato nie jest daleko, mogłabyś pojechać tam, przenoćować i wrócić.

- Dlaczego nie chcesz jechać ze mną?

Potrząsnął głową.

- Mam jeszcze parę ważnych spraw do załatwienia. Poza tym jeden gość na pewno nie sprawi siostrze Genevieve kłopotu, ale dwoje to już co innego. Przeszkadzałbym wam.

- Nieprawda! - zaprotestowałam. - Znasz Genevieve dłużej ode mnie. Niosłeś trumnę Kamarei, na miłość boską...

- Tak, tak... - Shiloh podniósł rękę.

Przez jego twarz przemknął wyraz bólu. Pożałowałam, że w ogóle poruszyłam ten temat.

- Próbuję tylko powiedzieć, że skoro nie możesz jechać ze mną teraz, odłożę tę wizytę, wybiorę się do Gen po twoim wyjeździe do Quantico - wyjaśniłam szybko. - Będę wtedy miała mnóstwo czasu...

Shiloh popatrzył na mnie w milczeniu. Pod tym jego spojrzeniem zawsze czułam się nieswojo, jak wtedy, gdy próbowałam wytłumaczyć mu, dlaczego skoczyłam do rzeki.

- To ty jesteś jej partnerką - rzekł. - Genevieve cię potrzebuje. Dobrze wiesz, że nie jest z nią dobrze.

- Wiem - odparłam powoli. - Zastanowię się nad tym.

Patrząc, jak wyjmuje słoik oliwek z lodówki, pomyślałam, że wcale nie próbuje mnie zawstydzić. Shiloh to Shiloh - bezpośredni, szczery aż do bólu.

- Nie chcę cię poganiać, ale zaraz będzie mi potrzebny kurczak i parę innych rzeczy - przypomniał.

I podał mi oliwkę, prosto ze słoika. Wiedział, że je uwielbiam.

Kiedy jechałam w kierunku sklepu, mój wzrok przyciągnęły jasno oświetlone okna osiedla Northeast, zabudowanego wysokimi, kremowymi domami. Wyglądały ciepło i zapraszająco i może dlatego pomyślałam o zimie i zbliżających się powoli świętach.

Przyszło mi do głowy, że powinniśmy się zastanowić, jak spędzimy je w tym roku.

- *Nie, przecież słucham* - powiedziała Genevieve. - *Eliasz w dziczy. Mów dalej.*

W domu Genevieve w St. Paul była duża kuchnia, w której spokojnie mogło przygotowywać jedzenie kilka osób, oraz duży wybór narzędzi dla poważnego kucharza lub kucharki. Gen i Kamareia mieszkały same i właśnie dlatego przyjechalśmy, aby razem z nimi ugotować świąteczny obiad.

Gdy pod grubą warstwą ziół w starym rondlu w piecyku skwierczała pieczeń, Shiloh robił puree ziemniaczane z czosnkiem, a Genevieve kroїła czerwoną paprykę i brokuły, które należało ugotować w ostatniej chwili. Mnie, osobie najmniej utalentowanej kulinarnie, znacznie wcześniej powierzono obranie i pokrojenie na ćwiartki ziemniaków o jasnej skórce, więc teraz nie miałam już nic do roboty. Kamareia poprzedniego dnia upiekła sernik i także była zwolniona z kuchennych obowiązków, dzięki czemu mogła spokojnie czytać nową książkę w salonie.

Shiloh zwierzył się Genevieve, że ma pewną teorię na temat pracy dochodzeniowej, opartą na starotestamentowej historii o pobytku Eliasza w dziczy.

- *Wyjaśnij mi to* - poprosiła Genevieve, sięgając po szklankę bezalkoholowego ponczu.

Jej policzki były mocno zarumienione od ciepła, które biło od piekarnika.

- *Dobrze...* - odparł Shiloh powoli, takim tonem, jakby właśnie przypominał sobie elementy historii, którą dobrze zna,

ale której od dawna nikomu nie opowiadał. - Eliasz poszedł tam i czekał, aż Bóg przemówi do niego. W tym czasie zerwał się mocny wiatr, ale Boga nie było w wietrze. Potem ziemia zadrzała, ale Boga nie było w trzęsieniu ziemi. Rozszalał się pożar, ale Boga nie było w ogniu. W końcu usłyszał cichy, bardzo cichy głos.

- I ten cichy, bardzo cichy głos był głosem Boga.

Żadne z nas nie słyszało kroków Kamarei i teraz wszyscy spojrzeliśmy w stronę drzwi do kuchni, skąd obserwowała nas spokojnymi, orzechowymi oczami.

Kamareia była wyższa i smuklejsza od matki. W szarowrzosowej bluzie i spranych džinsach (wcześniej ustaliliśmy, że nie będziemy się szczególnie ubierać na ten wieczór), z mnóstwem warkoczyków, ściągniętych i związanych na karku, wyglądała raczej na tancerkę niż przyszłą pisarkę.

- Właśnie - przytaknął Shiloh, pełen uznania dla erudycji dziewczyny.

Kiedy byłyśmy we trzy, Kamareia wydawała się dość pewna siebie i rozmowna, lecz w obecności Shiloha śmiałość opuszczała ją, chociaż zauważyłam, że często podąża za nim spojrzeniem.

- I co z tego? - zapytała Genevieve.

- To, że dochodzenie w sprawie kryminalnej czasami przypomina cyrk - rzekł Shiloh.

- Cyrk? - powtórzyła lekkim tonem Genevieve. - Przecież Eliasz był w dziczy, na pustyni, prawda? Uwielbiam takie świeże połączenia metafor...

- Naprawdę Eliasz czuwał na górze - sprostował Shiloh, wrzucając czosnek do garnuszka z rozgrzaną oliwą. - Chodź mi po prostu o to, że poważne dochodzenie niejednokrotnie toczy się w gorączkowej, rozpraszającej atmosferze, tymczasem w środku tego zamieszania trzeba zignorować ogień, wicher i trzęsienie ziemi i wyłować cichy, bardzo cichy głos...

- Powinieneś być urodzić się jako katolik — powiedziała Genevieve. - Mógłbyś wtedy zostać jezuitą. Nigdy nie spotkałam człowieka, który cytowałby Biblię z taką łatwością jak ty.

- Nawet Szatan potrafi cytować Pismo Święte, jeżeli odpowiada to jego celom — wtrąciła Kamareia.

Shiloh, zupełnie niezmierny porównaniem do Szatana, mrugnął do niej wesoło. Kamareia pośpiesznie odwróciła wzrok, udając zainteresowanie warzywami, które przygotowała matka. Pomyślałam nagle, że gdyby miała jasną skórę, własna śmiałość zabarwiłaby jej policzki ciemnym rumieńcem.

I wtedy zaskoczyła mnie, spoglądając Shilohowi prosto w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że w swojej pracy starsz się słuchać głosu Boga? - zapytała.

Shiloh wlał mleko do garnka i zamieszał skwierczący, zbrązowiały czosnek. Nie odpowiedział od razu, ale nie ulegało wątpliwości, że zastanawia się nad jej pytaniem. Genevieve także patrzyła na niego wyczekująco.

- Nie - rzekł wreszcie. - Wydaje mi się, że ten cichy, bardzo cichy głos pochodzi z najstarszej i najmądrzejszej części naszego umysłu...

- Podoba mi się ten pomysł - mruknęła Kamareia.

Tego wieczoru Shiloh i ja nie rozmawialiśmy więcej ani o Genevieve, ani o pracy, ani o zbliżającym się wyjeździe na szesnastotygodniowe szkolenie do Quantico. Kurczak po baskijsku był tak samo pyszny jak wtedy, gdy jadłam go pierwszy raz i pochłonęliśmy go niemal w milczeniu, które zwykle towarzyszy prawdziwemu uczuciu głodu. Później znaleźliśmy *Otella* na jednym z kanałów - była to wersja z 1995 roku, z Laurence'em Fishburnem w roli głównej. Shiloh zasnął przed ekranem, lecz ja dotrwałam do końca tragedii.

Rozdział 4

Shiloh był rannym ptaszkiem, natomiast ja najprawdziwszą sową. Od dnia, kiedy zamieszkaliśmy razem, działaliśmy na

siebie niczym silne prądy morskie - ja wstawałam wcześniej niż zwykle, on ze względu na mnie kładł się później, niż miał ochotę. W dniu wyjazdu do Mankato nie obudziłam się jednak, kiedy wyśliznął się z łóżka, nawet nie drgnęłam.

Oczywiście w końcu słowa Shiloha (Jesteś jej partnerką) zaciążyły na moim sumieniu i postąpiłam zgodnie z jego sugestią. Zadzwoiłam do Genevieve i porozmawiałam także z jej siostrą, Deborahą. Omówiliśmy wszystko, co było do omówienia: miałam przyjechać do Mankato w sobotę i prznocować, aby mieć dość czasu na ocenę stanu ducha mojej przyjaciółki i może trochę ją rozruszać. Dość długo, żeby z nią porozmawiać, lecz nie za długo, gdyby okazało się, że mimo najlepszych chęci nie umiem wyciągnąć jej z depresji.

Kiedy wyszłam z łazienki, ubrana, z włosami jeszcze mokrymi po prysznicu, Shiloh siedział w salonie na szerokim parapecie okna, które wychodziło na wschód. Otworzył je i do pokoju napływało rześkie, zimne powietrze.

W nocy padało, więc gdy nad ranem temperatura spadła, woda zamarzała. Za oknem nagie gałęzie drzew lśniły w srebrzystych powłokach z lodu. Pierwszy śnieg powinien spaść najwcześniej za jakieś dwa tygodnie, lecz tego ranka nasza dzielnica przeistoczyła się w bajkową krainę lodu, przepiękną iluzję, z której każdy scenograf byłby naprawdę dumny.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam, ponieważ coś w jego bezruchu i milczeniu nagle mnie zaniepokoiło.

Spojrzał na mnie.

- Tak - odparł, opuszczając nogi na podłogę. - Wyspałaś się?

Poszedł za mną do kuchni.

- Chyba tak... - Zegar nad kuchenką wskazywał prawie dziesiątą. - Szkoda, że nie obudziłam się wcześniej...

- Nie masz przecież napiętego planu. Przed tobą cały dzień, a podróż zajmie ci koło dwóch godzin.

- Wiem. - Skinęłam głową. - Słuchaj, może jednak zdecydujesz się pojechać ze mną?

Napełniłam wodą pojemnik ekspresu do kawy.

- Nie - odrzekł. - Dziękuję.
- Trochę się boję, że nie będę wiedziała, o czym z nią rozmawiać. Ty zawsze umiesz powiedzieć coś odpowiedniego w trudnych sytuacjach, a ja nie...

- Dasz sobie radę. - Shiloh potarł sobie kark, jak zwykle, kiedy zastanawiał się nad doborem słów. - Muszę zameldować się w Quantico w poniedziałek, więc nie chcę ryzykować. Wykupiłem bilet na określony lot.

- Dlaczego uważasz, że moglibyśmy spóźnić się z powrotem? Zresztą przecież i tak liczysz, że zawiozę cię na lotnisko...

- Nie. Mój samolot odlatuje o drugiej trzydzieści. Jeżeli nie przyjedziesz do pierwszej, albo przynajmniej nie zadzwonisz, że zaraz będziesz na miejscu, wezmę taksówkę.

Z ekspresu do kawy wydobyło się zduszone gulgotanie. Wiedziałam już, że nie przekonam Shiloha, nie namówię go na wspólną wyprawę do Mankato. Kiedy mój mąż raz podejmie decyzję, nie ma sensu nakłaniać go do jej zmiany. Z równym efektem mogłabym przekonywać górski strumień, żeby zawrócił do źródła. Shiloh zdjął z półki mój podróżny kubek i podał mi go.

W sypialni wyciągnęłam torbę spod łóżka i sprawdziłam, co już zapakowałam. Ubranie na zmianę, coś do spania, dres na wypadek, gdybym chciała pobiegać. Nie potrzebowałam nic więcej, ale kiedy eksperymentalnie podniosłam torbę, jej boki zapadły się do środka. Była pełna najwyżej w jednej trzeciej, śmiesznie lekka.

Poczułam i usłyszałam, jak Shiloh klęka za mną na podłodze. Odgarnął mi włosy z karku i pocałował ciepłą skórę.

Śpieszyło nam się, więc nawet się porządnie nie rozebraliśmy.

W ciągu ostatniego roku zmieniło się wiele rzeczy. Zginęła Kamareia, Shiloh zdecydował się na wyjazd do Wirginii i oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że później może pracować w różnych miejscach, Bóg wie, gdzie. Na pewno, podobnie jak ja, on też czuł, że świat chwieje się w posadach, traci równowagę.

To Shiloh zaproponował, żebyśmy się pobrali, chwilę po tym, jak powiedział mi, że pomyślnie przeszedł testy drugiego etapu i otrzymał miejsce w następnej grupie kandydatów do FBI.

Ta propozycja była próbą ustabilizowania przynajmniej jednej części świata, który okazał się zbyt nietrwały, płynny. Rozumiałam to i zdawałam sobie sprawę, że rozważając małżeństwo, zbyt mocno chwytam coś, co powinno dojrzewać i kształtować się znacznie dłużej.

Mimo to powiedziałam „tak” i wyszłam za niego. Nigdy nie byłam osobą, która ceni i pielęgnuje doskonałość.

- To na wypadek, gdybyś jednak została tam dłużej i nie zdążyła wrócić przed moim wyjazdem - powiedział Shiloh, ciężko oddychając.

- Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. - Uśmiechnęłam się i szybko odgarnęłam opadające mi na czoło włosy.

Shiloh wyszedł ze mną na podjazd i zabrał się do zeskrobywania lodu z przedniej szyby nowy, podczas gdy ja rzuciłam torbę na tylne siedzenie i otworzyłam drzwi po stronie kierowcy.

- Zadzwoń, gdybym miała nie zdążyć - powiedziałam, kiedy stanął obok mnie. - Ale jestem pewna, że będę na czas i odwiozę cię na lotnisko.

Przechyliłam się przez otwarte drzwi i cmoknęłam go w policzek.

Zanim się odsunęłam, Shiloh ujął moją twarz między dłonie i pocałował mnie w czoło.

- Jedź ostrożnie - rzekł.

- Dobrze.

- Mówię poważnie. Wiem, jak prowadzisz. Nie chcę się o ciebie martwić.

- Będę jechała powoli i ostrożnie - zapewniłam go. - Wszystko będzie w porządku, do zobaczenia jutro.

Zamarzający deszcz, który nad ranem padał w Minneapolis, sięgnął aż po południową część stanu. Gdy znalazłam się za miastem, zwolniłam, ponieważ na drodze wciąż miejscami

widać było płaty lodu, choć już szybko topniejące pod kołami samochodów. Radiowa prognoza pogody zapowiadała dalsze opady nad południem Minnesoty i prawdopodobnie nocne przymrozki, co wcale mnie nie zaniepokoiło, bo przecież nie zamierzałam wracać w nocy. Tuż przed południem przekroczyłam granicę okręgu Blue Earth.

Niezrozumiałe dla przybyszów spoza stanu zawiłości podziału administracyjnego sprawiły, że Mankato jest stolicą okręgu Blue Earth, natomiast miasto Blue Earth, leżące przy granicy Iowa, jest stolicą okręgu Faribault.

Siostra i szwagier Genevieve mieszkali na farmie na południe od Mankato. Mieli działkę o powierzchni zaledwie osiemdziesięciu arów i nie uprawiali ziemi. Nigdy wcześniej nie byłam w ich domu, chociaż w okresie bezpośrednio po śmierci Kamarei często widywałam Deborę Lowe, która przyjechała wtedy do Minneapolis i ze wszystkich sił starała się pomóc siostrze.

Ich rodzina, pochodzenia włosko-chorwackiego, od czterech pokoleń mieszkała w St. Paul. Rodzice Genevieve i Debory mieli liberalne przekonania i byli działaczami związków zawodowych. Posłali na studia czwórkę dzieci, a ich najmłodszy syn został duchownym. Kiedy Genevieve zaczęła pracować w policji, rodzice przyjęli jej wybór tak samo spokojnie, jak wcześniej małżeństwo z czarnoskórym mężczyzną i narodziny wnuczki.

Wiedziałam, że Debora jako nastolatka zastanawiała się nad wstąpieniem do klasztoru, lecz dość szybko zrezygnowała z tego pomysłu. („Przez facetów”, wyjaśniła mi kiedyś zwięźle i soczyście).

Została nauczycielką, nie zakonnica, podjęła pracę w St. Paul, a jakiś czas później razem z mężem porzuciła miasto i zdecydowała się na styl życia, jakiego jej rodzina nie znała od ponad stu lat.

Debora i Doug Lowe nie uprawiali ziemi, mieli jednak duży ogród warzywny i hodowali kury, żeby zmniejszyć koszty utrzymania i podreperować dwie skromne nauczycielskie pensje.

Debora pierwsza usłyszała warkot silnika i wyszła z domu, żeby mnie przywitać. Zaparkowałam samochód przed rosnącą na dziedzińcu jabłonią i wyjęłam torbę.

Debora była odrobinę wyższa i szczuplejsza niż Genevieve, lecz poza tym bardzo do niej podobna. Obie miały ciemne włosy (Debora dość długie, tego dnia ściągnięte w koński ogon) i oczy oraz jasnooliwkową cerę. Za Debora z domu wybiegł pies, tłusty karmelowo-biały corgi, ujadając co jakiś czas z wyraźnym znudzeniem. Przystanął u stóp schodów, gotowy obserwować zachowanie intruza z bezpiecznej odległości.

Debora podeszła i uściskała mnie. Trochę zdziwiona, stałam nieruchomo, otoczona jej twardymi, umięśnionymi ramionami.

- Dziękuję, że przyjechałaś - powiedziała, uwalniając mnie.

Chciałam zapytać, jak się czuje Genevieve, ale nim zdążyłam to zrobić, drzwi znowu się otworzyły i moja przyjaciółka stanęła na progu.

Jej krótkie, ciemne włosy znacznie urosły. Może postanowiła je zapuścić, a może po śmierci Kamarei po prostu nie przyszło jej do głowy, żeby pójść do fryzjera. Była trochę cięższa od Debory, lecz ta różnica leżała w wypracowanych na siłowni mięśniach. Sylwetka Genevieve przywodziła mi na myśl silne kucyki, takie, które dawno temu pracowały w kopalniach węgla.

Zarzuciłam torbę na ramię, wymięłam Debora i weszłam na ganek. Genevieve nie spuszczała ze mnie wzroku.

Objęłam ją, bo nie wyobrażałam sobie innego powitania, ale ona była równie sztywna w moich ramionach, jak ja w uścisku Debory.

Z dużego pokoju dobiegały odgłosy transmisji meczu koszykówki. Mąż Debory, Doug, podniósł rękę w powitalnym geście, lecz nie wstał przed telewizora.

Debora poprowadziła mnie w głąb korytarza.

- Możesz zostawić torbę tutaj - powiedziała, wskazując otwarte drzwi gościnnego pokoju.

Wewnątrz znajdowały się dwa identyczne łóżka. Narzuta na jednym była trochę pognieciona, jakby ktoś leżał na niej w środku dnia. Dopiero ten widok uświadomił mi, że będę nocowała razem z Genevieve.

Postawiłam torbę na podłodze w nogach drugiego łóżka. Na komodzie, w staroświeckiej porcelanowej ramce, stało dobrze mi znane zdjęcie Kamarei. Pochodziło sprzed roku - szesnastoletnia Kam patrzyła na mnie szeroko rozstawionymi orzechowymi oczami. Uśmiechała się, a właściwie śmiała, trzymając na kolanach karmelowo-białego corgi. Pies wyrwał się z jej ramion, a ona usiłowała przytrzymać go jeszcze sekundę, żeby ktoś zdążył zrobić im wspólne zdjęcie, i chyba właśnie to było powodem jej rozweselenia.

Widziałam to samo zdjęcie w domu Genevieve i teraz zastanawiałam się, czy przywiozła je tu ze sobą, czy Debora i Doug mieli własne, które zawsze stało w tym pokoju.

- Napijesz się czegoś? - zapytała Debora. - Mamy colę i chyba wodę mineralną. No i piwo, jeżeli to dla ciebie nie za wcześnie...

Dochodziła pierwsza.

- Poproszę colę.

W dużej słonecznej kuchni dostałam szklanek coli z lodem. Genevieve wciąż milczała i gdyby nie to, że tu stała, można by pomyśleć, że w ogóle jej nie ma. Celowo pochwycałam jej spojrzenie.

- Co robicie, kiedy macie ochotę na odrobinę rozrywki? - zapytałam ją.

- Myślałam, że przyjechałaś tylko na parę godzin - powiedziała.

Zarumieniłam się lekko z zażenowania. Szukałam jakiegoś lekkiego tematu, żeby zacząć rozmowę, ale najwyraźniej nie bardzo mi się udało.

- Nie mówię o dzisiejszym dniu, tylko tak w ogóle...

Gdy Genevieve nie odpowiedziała, Debora rzuciła jej zaniepokojone spojrzenie.

- W mieście jest duże kino, i to by było tyle - odparła. -

Jeżeli potrzeba nam czegoś więcej, jeździmy do Mankato. Jest tam filia uniwersytetu stanowego, więc mają też wszystko, co lubią młodzi ludzie - puby, restauracje, kina, sale koncertowe, teatr...

- Młodzi ludzie lubią przede wszystkim bary. - Uśmiechnęłam się.

- I muzykę - dorzuciła Debora.

Cisza.

- Jak tam twój chłopak... Zaraz, jak mu na imię...

Zerknęłam na Genevieve, pewna, że zaraz sprostuje pomyłkę siostry. Genevieve wiedziała, że wzięliśmy ślub, ale milczała.

- Mój mąż - powiedziałam. - Shiloh. Wszystko u niego w porządku.

Pociągnęłam łyk coli i odwróciłam się do Debory. Było jasne, że Genevieve nie zamierza włączyć się do rozmowy.

Nie zachowywała się jak katatoniczka, poruszała się, odpowiadała na pytania, wykonywała rozmaite czynności, a jednak nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jest z nią gorzej niż przed wyjazdem z Minneapolis. Niewykluczone, że pobyt na wsi w końcu jej pomoże, ale na razie nie było tego widać.

Przez następne pół godziny Debora i ja rozmawialiśmy głównie o przestępczości w Minneapolis i polityce prowadzonej przez władze miasta. Konwersacja kulała. Ja popijałam colę, Genevieve po prostu słuchała. W końcu Debora powiedziała, że ma jakieś prace klasowe do sprawdzenia, a Gen i ja przyłączyliśmy się do siedzącego w salonie Douga Lowe, który nadal oglądał mecz koszykówki.

Tkwiłam przed telewizorem jakieś piętnaście minut. Przez cały okres dorastania grałam w kosza, ale tego dnia nie mogłam obudzić w sobie zainteresowania grą. Genevieve nigdy nie była entuzjastką sportu, lecz teraz nie odrywała oczu od ekranu, podobnie jak Doug.

Wydawało mi się, że nawet nie zauważyła, kiedy wstałam i wymknęłam się z pokoju.

Debora nadal siedziała w kuchni. Na stole obok niej leżały

dwa stopy kartek - prace ocenione i jeszcze nie sprawdzone. Przebiegała wzrokiem jakiś esej, trzymając w ręku czerwony długopis. Gdy usiadłam na krześle naprzeciwko, podniosła wzrok.

- Myślisz, że Genevieve jest na mnie zła? - zapytałam.

Debra odłożyła długopis i w zamyśleniu przejechała językiem po zębach.

- Teraz zachowuje się tak w stosunku do wszystkich - zapewniła mnie. - Jeżeli chce się wydobyć z niej parę słów, trzeba ją dosłownie kopnąć w tyłek...

- Zauważyłam... - mruknęłam. - Wiesz, jak to było ze wstępnym przesłuchaniem Stewarta, prawda?

- To znaczy?

- Chodzi mi o jego identyfikację, której Kamareia dokonała w drodze do szpitala - powiedziałam. - To moja wina, że sąd odrzucił to jako dowód...

Deb potrząsnęła głową.

- Wiem, o czym mówisz, ale to nie twoja wina.

- Gdybym wtedy w karetce pomyślała, jakie to może mieć znaczenie, Royce Stewart siedziałby dziś za kratkami.

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

- Gdybyś wtedy myślała jak policjantka, tak? Musiałabyś powiedzieć Kamarei, że umrze, prawda?

Nie odpowiedziałam.

- Sądzisz, że właśnie tak zachowałyby się Genevieve?

Pokręciłam głową.

- Sama widzisz... Gdybyś to zrobiła, Genevieve nigdy by ci tego nie wybaczyła. Nigdy.

- Nie żałuję tego, co mówiłam Kamarei w drodze do szpitala - powiedziałam powoli. - Ale...

- Ale co?

- Nie jestem pewna, czy Genevieve też tak uważa.

Debra chwyciła moją zaciśniętą pięść i objęła ją ciepłą dłonią.

- Genevieve nie czuje do ciebie żalu. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- No, skoro tak... - wymamrotałam. - To chyba dobrze. Przepraszam, że przeszkodziłam ci w pracy.

- Wydaje mi się, że ucieszyła się z twojego przyjazdu - powiedziała Debora. - Musisz być wobec niej bardzo cierpliwa.

Koło dziesiątej trzydzieści, po spokojnym wieczorze, znalazłam się w gościnnym pokoju z Genevieve.

Rozbierałam się przy niej dziesiątki razy w szatniach w pracy i na siłowni, ale siostrzany, intymny kontekst tej sytuacji sprawił, że poczułam się dziwnie onieśmielona. Próbowałam się rozebrać, siedząc na wąskim łóżku, z pochyłą głową, udając, że nie przywiązuję żadnej wagi do jej obecności, lecz nie było to łatwe.

- Cholera jasna... - odezwałam się, zdejmując skarpetkę z pokrytej stwardniałą skórą pięty. - W łóżku o dziesiątej... Teraz wiem, że naprawdę jestem na wsi.

- Jasne - powiedziała takim tonem, jakby czytała tekst z kartki.

- Nie nudzi cię takie życie? - zapytałam, wciągając nocny T-shirt.

Miałam nadzieję, że odpowie: „Tak, strasznie mnie nudzi. Chyba będzie lepiej, jeżeli wrócę do miasta”.

- Tu jest całkiem przyjemnie - odparła. - Cicho i spokojnie.

- No, tak - przytaknęłam niemrawo, układając się na łóżku.

- Będzie ci jeszcze potrzebne światło?

- Nie.

Genevieve wyłączyła lampkę stojącą na nocnej szafce.

Co do jednego miała całkowitą rację - rzeczywiście było to cicho i spokojnie. Mimo wczesnej godziny czułam, jak senność zaczyna obmywać moje ciało, ale oparłam się jej. Chciałam usłyszeć, jak oddech Genevieve zmienia się powoli. Pomyślałam, że jeżeli zasypia bez większych kłopotów, to może jednak nie jest z nią tak źle.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim uznała, że już śpię. Dobiegł mnie szelest pościeli i odgłos lekkich kroków. Po paru

minutach zorientowałam się, że nie poszła do łazienki po drugiej stronie korytarza. Wstałam i cicho uchyliłam drzwi pokoju.

Światło palącej się w kuchni lampy wąską strugą wylewało się na zewnątrz, do holu. Nie musiałam zgadywać, gdzie jest Gen. Na palcach przeszłam wyłożonym chodnikiem korytarzem, sama prawie nie słysząc swoich kroków. Przystanąłam na progu kuchni.

W jaki sposób można radzić coś swojej mistrzyni, nauczycielce zawodu, jak stać się autorytetem dla kogoś, kto nadal jest autorytetem dla nas? Nagle zapragnęłam odwrócić się i niepostrzeżenie odejść.

Jesteś jej partnerką, powiedział Shiloh.

Weszłam do kuchni, przysunęłam sobie krzesło i usiadłam przy stole. Genevieve spojrzała na mnie bez zaskoczenia, ale w jej oczach lśniło mroczne światło, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

- Wrócił do Blue Earth - odezwała się.

Mówiła o Krótkim. O Stewarcie.

- Wiem. - Pokiwałam głową.

- Mam znajomą na tutejszej pocztce. Mówi, że co wieczór zjawia się w barze ze swoimi kumplami. Jak to możliwe, że ktoś taki ma przyjaciół?

Mówiła wyraźnie, zupełnie normalnie, ale otaczała ją aura dziwnego zagubienia, zupełnie jakby jej spojrzenie, mowa i myśli nie miały ze sobą zbyt wielu punktów stycznych.

- Jak to możliwe? - powtórzyła. - Myślisz, że nie wiedzą, że zabił nastoletnią dziewczynę? Czy po prostu nic ich to nie obchodzi?

- Nie wiem - odparłam cicho.

Genevieve podniosła szklankę i pociągnęła łyk alkoholu, większy i głębszy niż normalnie.

- Wraca do domu pieszko, brzegiem szosy. Mieszka za miastem.

- Mówiłaś mi już o tym - powiedziałam. - Pamiętasz?

Pamiętała. Jej obsesja na punkcie Stewarta była zrozumiała, lecz napełniała mnie lękiem.

- Pozwól jej się wygadać - poradził mi Shiloh tuż przed wyjazdem. - Najprawdopodobniej wyrzuci to wszystko z siebie i w swoim czasie wróci do normalnego życia. Musisz zrozumieć, co to dla niej znaczy - Kamareia nie żyje, a Stewart jest cały, zdrowy i wolny... Nie ma mowy, aby szybko przeszła nad tym do porządku dziennego.

Tyle że mnie dręczył teraz bardzo konkretny niepokój.

- Trochę mnie martwi, że ciągle o nim mówisz, Gen - wyznałam.

Znowu podniosła szklankę i rzuciła mi pytające spojrzenie znad jej brzegu.

- Nie przyszło ci chyba do głowy, żeby złożyć mu wizytę?

- W jakim celu? - Twarz miała otwartą, jakby naprawdę nie wiedziała, co mam na myśli.

- Żeby go zabić.

Boże, nie pozwól, abym właśnie teraz zasiała w jej umyśle zamiar, którego tam wcześniej nie było...

- Przecież wiesz, że zdałam służbową broń.

- Ale gdybyś chciała, mogłabyś kupić pistolet albo pożyczyć go od kogoś znajomego. Na wsi prawie każdy ma broń.

- On nie zastrzelił Kamarei - powiedziała cicho i dołączyła sobie alkoholu.

- Nie zbywaj mnie, do cholery! To ważne, muszę wiedzieć, że nie pojedziesz do niego!

Milczała długi chwilę.

- Często rozmawiałam z rodzinami ofiar morderstw, próbowałam im doradzać. Nie doznają poczucia sprawiedliwości, nawet jeśli policja złapie sprawcę zbrodni. W Minnesocie nie ma kary śmierci... - Zamyśliła się. - Tak czy inaczej, gdybym go zabiła, raczej nie uniknęłabym więzienia.

Były to wymijające twierdzenia, niezbyt uspokajające.

- Istnieje jeszcze coś takiego jak zemsta - powiedziałam. - To też można nazwać zamknięciem sprawy...

- Zamknięciem sprawy? - powtórzyła. - Do diabła z zamknięciem! Chcę odzyskać moją córkę!

- W porządku - szepnęłam. - Rozumiem...

W jej głosie było tyle gorzkiej rozpacz, że uwierzyłam, iż naprawdę nie zamierza zabić Royce'a Stewarta.

Genevieve spojrzała na blat stołu przede mną, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że nic nie piję.

- Podać ci szklanekę? - zapytała.

- Nie - odparłam. - Chyba powinniśmy wracać do łóżka.

Zignorowała moją uwagę i oparła podbródek na złożonych na stole rękach.

- Czy ty i Shiloh chcecie mieć dzieci?

- My... jeszcze się nad tym nie zastanawialiśmy, mamy czas - wykrztusiłam, zaskoczona.

Pytanie Gen skojarzyło mi się z podobnym, zadany przez kogoś innego. Nie tak dawno Ainsley Carter, siostra Ellie Bernhardt, chciała wiedzieć, czy mam dzieci.

- Myślę, że za jakiś czas pomyślimy o dziecku - dodałam po chwili.

- Nie. - Genevieve zdecydowanie potrząsnęła głową, jakbym błędnie odpowiedziała na proste, banalne pytanie. - Nie myślcie o jednym dziecku. Wszystko, tylko niejedno... Postarajcie się o dwoje. Albo troje. Gdybyście mieli tylko jedno i stracili je, to... Tego nie da się znieść.

- Och, Gen...

Pomóż mi, Shiloh, poprosiłam w myślach. Shiloh na pewno by wiedział, co teraz powiedzieć Genevieve.

- Musisz się upewnić, że Shiloh także chce mieć więcej niż jedno dziecko - ciągnęła Gen. Wyciągnęła rękę i mocno, z prawie fanatycznym zapałem zacisnęła ją na moim ramieniu. - Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale...

- Nie powinnaś mówić czego?

- Powinnam powtarzać, że cieszę się, iż miałam Kam przez kilkanaście lat, tak radzi nowoczesna psychologia, prawda? Tak samo jest z pogrzebem - kiedy umiera młoda osoba, ceremonię nazywają teraz „celebracją życia"... - Jej oczy były suche, ale dziwnie przyćmione. - Gdybym mogła cofnąć czas, w ogóle nie zdecydowałabym się na dziecko. Nie sprowadziłabym jej na świat po to, żeby spotkało ją coś takiego.

- Myślę, że... - zaczęłam, niepewnie szukając odpowiednich słów. - Myślę, że za jakiś czas twoje uczucia trochę się zmieniają... Na pewno nie stanie się to szybko, ale może kiedyś...

Genevieve wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i znowu je otworzyła. Wyglądała teraz przytomniej.

- Od tego „kiedyś” dzieli mnie kawał drogi. - Spojrzała na butelkę szkockiej i zakreśliła ją powoli. - Tak czy inaczej, wiem, że masz dobre intencje.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Posłuchaj, Shiloh wyjeżdża do Quantico na całe szesnaście tygodni. Mogłabyś wrócić do Minneapolis i zamieszkać ze mną przez ten czas. Może tak będzie ci łatwiej, wrócisz nie od razu do swojego domu... - Przerwałam. - Nie musisz przecieć od razu rezygnować z urlopu, mogłabyś po prostu dotrzymać mi towarzystwa w czasie nieobecności Shiloha...

Milczała.

- Wiem, że Shiloh bardzo chciałby zobaczyć się z tobą przed wyjazdem - dodałam, żeby pomóc jej podjąć decyzję.

Przez chwilę wydawało mi się, że ją przekonałam, ale w końcu pokręciła głową.

- Nie. Nie jestem jeszcze gotowa.

Wstałam. Ona także.

- Moja propozycja będzie aktualna tak długo, jak zechcesz - powiedziałam.

Odstawiła butelkę do szafki i zamiast zostawić szklanke w zlewozmywaku, jak najczęściej robią ludzie z naczyniami używanymi późnym wieczorem, umyła ją i umieściła na półce. Uświadomiło mi to, że picie w samotności stało się dla niej często powtarzaniem rytuałem, który starała się ukryć przed siostrą i szwagrem.

Kiedy wróciliśmy do łóżka, zasnęła prawie natychmiast, niewątpliwie rozluźniona i uspokojona dzięki whisky. Ja długo leżałam bezsennie, poruszona naszą rozmową. Zamknęłam oczy, pewna, że szybko ogarnie mnie poprzednie rozleniwienie, ale nic takiego się nie stało.

Przewracałam się na wąskim łóżku, wdychając charaktery-

styczny zapach wybielacza, którego Debora najwyraźniej używała do prania pościeli. Na szafie stał stary zegar, białe cyfry zmieniały się co minutę, a pierwsza z dwóch wskazujących minuty co dziesięć przeskakiwała z głośnym kliknięciem. Podobny zegar mieliśmy w głównym pokoju przyczepy kempingowej, w której mieszkałam w dzieciństwie.

Kiedy minęła jedenasta trzydzieści, co dostrzegłam dzięki palącemu się z boku zegara pomarańczowemu nocnemu światelku, usiadłam na łóżku i prawie ze zdziwieniem poczułam, jak moje stopy dotykają podłogi.

Zbyt długo mieszkałam w miastach, za bardzo przywykłam do tego, że w mieście o każdej porze dnia i nocy słychać odgłosy życia i nigdy nie panuje tam kompletna ciemność. Nie byłam na wsi od dnia, kiedy wyjechałam z Nowego Meksyku. Wiedziałam, że kiedy odsunę cieniutką zasłonę, zobaczę czarne niebo, obficie usiane gwiazdami, które płoną jasno, mimo bladego blasku księżyca w pełni. Ostatni raz patrzyłam z okna sypialni w takie niebo, gdy nie trzymałam jeszcze w ręku pistoletu, nie miałam żadnych własnych pieniędzy ani kochanka, z którym dzieliłabym łóżko.

Położyłam głowę na poduszce, przykryłam się i gwałtownie zatęskniłam za Shilohem. Gdyby był przy mnie, moglibyśmy zrobić coś bardzo niegrzecznego i dorosłego, coś, co usunęłoby w cień to niezbyt przyjemne uczucie powrotu do dzieciństwa.

Gdzieś w oddali zagwizdała lokomotywa pociągu, pewnie towarowego, bo było już naprawdę późno. Przejeżdżał za daleko, żebym mogła usłyszeć charakterystyczny stukot kół o szyny, ale po chwili gwizd rozległ się powtórnie, pocieszając mnie wspomnieniem Minneapolis i codzienności.

Genevieve zgodziła się wybrać ze mną rano na trzykilometry, łatwy bieg. Kiedy wróciliśmy, Debora i Doug szykowali się do wyjścia na późne niedzielne śniadanie u przyjaciół.

- Zaparzyłaś świeżą kawę - powiedziała Debora, gdy weszliśmy do kuchni.

Rzeczywiście, cudowny zapach kawy wypełniał cały dom.

Zanim Debora i Doug wyszli, udało mi się zamienić z nimi parę słów w kuchni, kiedy Gen brała prysznic.

- Słuchajcie, wczoraj w nocy rozmawiałam z Genevieve... - zaczęłam ostrożnie. - Czy... Czy macie w domu broń palną?

- Broń? - zdziwił się Doug. - Nie. Ja nie poluję.

- *Czemu* pytasz? - odezwała się Debora.

- Martwię się o Gen - powiedziałam. - Mieszkacie bardzo blisko Royce'a Stewarta. Czasami się zastanawiam, czy zawsze stać ją na logiczne myślenie...

Doug rzucił mi niedowierzające spojrzenie.

- Nie sądzisz chyba, że...

- Nie - przerwałam mu. - Prawdopodobnie się myślę i bredzę, ale w tym zawodzie łatwo zwariować.

W tej chwili na progu stanęła Genevieve, więc umilkłam. Debora otworzyła lodówkę i zaczęła przeglądać jej zawartość.

- Kochanie, myślałam, że mamy więcej dietetycznej coli - odezwała się do Douga. - Przypomnij mi, żebyśmy w drodze powrotnej wstąpili do sklepu, dobrze?

Gdy Doug poszedł do garażu, aby wyprowadzić samochód, Deb wzięła mnie na stronę.

- Chodź ze mną na chwilę na górę - poprosiła.

Poszłam za nią do sypialni. Odsunęła na bok wiszące w szafie ubrania i z haczyka wbitego w deskę zdjęła małą czarną torebkę. Torebka sprawiała wrażenie pustej, lecz Debora wzięła ją do ręki z ogromną ostrożnością. Przysiadła na łóżku, otworzyła torebkę i sięgnęła do środka. Zaciekawiona jej zachowaniem, podeszłam bliżej.

Deb podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

- Doug chyba nie wie, że to mam - powiedziała. - Genevieve także...

W jej dłoni zalśnił mały pistolet kalibru 25, pokryty tanią, błyszczącą farbą.

- Kiedy zaczęłam uczyć w East St. Louis, prowadziłam zajęcia w szkole, która znajdowała się w dość niebezpiecznej okolicy. Znajomy, który tam mieszkał, dał mi ten pistolet. Nie

jest zarejestrowany na mnie, nawet nie wiem, na kogo właściwie wypisano zezwolenie...

Debora Lowe miała na sobie elegancką białą bluzkę i prostą czarną spódnicę, wargi delikatnie pomalowała jasnoczerwoną szminką. Uniosłam brwi, całkowicie zaskoczona.

- Pani nauczycielka ma coś specjalnego na sobotni wieczór... - Uśmiechnęłam się lekko.

- To okropne, wiem. - Skinęła głową. - Dlatego chciałam, żebyś to zabrała, nie tylko ze względu na Genevieve. Nie chcę trzymać pistoletu w domu, a nie mam pojęcia, jak się go pozbyć.

Podawała mi broń. Z dołu dobiegł nas donośny głos Douga.

- Deb! Czas ucieka, pośpiesz się! - krzyknął.

Wyjęłam pistolet z jej ręki.

- W porządku - powiedziałam. - Zajmę się tym.

Gdy odjechali, zostałam jeszcze trochę z Genevieve. Próbowiałam obudzić w niej zaciekawienie rozmaitymi nowinami i plotkami z naszego wydziału, chociaż nie znałam ich zbyt wiele. Sęk w tym, że zwykle to Gen informowała mnie, co dzieje się między naszymi kolegami, to ona była dla mnie źródłem ciekawych wiadomości.

Odprowadziła mnie na ganek. Przystanąłam na najwyższym schodku i odwróciłam się twarzą do niej.

- Dzwon, kiedy tylko będziesz miała ochotę pogadać. Wiesz, jak późno kładę się spać.

- Zadzwoń - obiecała cicho.

- Powinnaś pomyśleć o powrocie do pracy - rzuciłam lekkim tonem. - Chyba dobrze by ci zrobiło, gdybyś zajęła się czymś konkretnym, poza tym jesteś nam potrzebna...

- Wiem - odparła. - Robię co mogę.

Z jej oczu wyczytałam jednak, że znajduje się w odległym, mrocznym miejscu i że kilka moich pocieszających słów na pewno jej nie pomoże.

Pierwsze krople deszczu uderzyły o przednią szybę mojego samochodu parę minut po tym, jak dom Debory i Douga zniknął za zakrętem drogi.

Wydawało mi się, że mam mnóstwo czasu, ale powinnam być mądrzejsza. Warto pamiętać, że w podróży zawsze należy spodziewać się pecha, zwłaszcza gdy pada.

Pech dał o sobie znać w odległości dwudziestu minut drogi na północ od Mankato. Samochody na szosie 169 poruszały się w żółtym tempie. Zniecierpliwiona, włączyłam radio i natychmiast je przyciszyłam, potem zaś podkręciłam ogrzewanie, żeby nie przegrzać leniwie powarkującego silnika.

Przez dwadzieścia pięć minut czołgaliśmy się naprzód, żeby wreszcie zobaczyć przyczynę korka - przewróconą na bok ciężarówkę. Dwóch policjantów z drogówki kierowało ruchem. Wyglądało na to, że kierowca nie doznał obrażeń, nikomu innemu też nic się nie stało. Kraksa, i tyle.

Minąwszy ciężarówkę, wcisnęłam gaz, lekceważąc ulewę. Jeżeli chciałam zastać Shiloha w domu, musiałam się śpieszyć.

Mniej więcej godzinę później wjechałam na długi podjazd przed naszym domem. Zerknęłam na zegarek. Za piętnaście pierwsza, nieźle, pomyślałam. Zdążyłam.

Z trzaskiem otworzyłam i zamknęłam kuchenne drzwi, robiąc tyle hałasu, że Shiloh na pewno by usłyszał, niezależnie od tego, w którym był pokoju, ale w odpowiedzi dobiegło mnie tylko głośne tykanie zegara na lodówce.

- Hej, Shiloh!

Cisza. Z kuchni widziałam połowę salonu. Nie było go tam.

- Cholera... - mruknęłam.

Zanim wyruszyłam w drogę, zastanawiałam się, czy nie zadzwonić i nie zapewnić Shiloha, że zdązę odwiedzić go na lotnisko. Najwyraźniej powinnam była posłuchać instynktu.

Po chwili byłam już pewna, że Shiloh wyjechał. Znowu spojrzałam na zegarek. Było jeszcze wcześniej, dziwne, że nie zaczekał przynajmniej do pierwszej.

Dom wyglądał jak zwykle, nie do końca czysty i wysprzątany, ale i nie zaniedbany. Shiloh pozmywał naczynia, a w sypialni przykrył łóżko kolorową indyjską narzutą.

Postawiłam torbę na podłodze przy łóżku i poszłam do korytarza przy wejściu. Na haczyku obok drzwi nie było klucza

Shiloha, jego codzienna kurtka także zniknęła. Nie ulegało wątpliwości, że przesadził z ostrożnością i sam pojechał na lotnisko.

Nie znalazłam żadnego liściku pożegnalnego.

W normalnych okolicznościach zupełnie nie przeszkadzał mi jego brak sentymentalizmu, ponieważ sama nie znosiłam demonstracji uczuć, ale w pewnych sytuacjach jego szorstkość i całkowite lekceważenie konwencjonalnych form zachowania trochę mnie raniły. Tak było właśnie tym razem.

- Cóż... - powiedziałam głośno, odpychając uczucie osamotnienia. - Do widzenia, ty skurwysynu.

Rozdział 5

Człowiek zawsze płaci za wolne dni dodatkową porcją pracy albo przed urlopem, albo zaraz po nim. W poniedziałek pojechałam do pracy znacznie wcześniej, wiedząc, że potrzebuję sporo czasu na odrobienie zaległości.

Kiedy usiadłam przy biurku, Vanga jeszcze nie było, ale zostawił mi kilka raportów o zaginionych w ostatnich dniach.

Żaden z raportów nie wydał mi się szczególny. Zwykle można je podzielić na parę kategorii ogólnych - Zmęczonych Małżeństwem, Zmęczonych Życiem Według Zasad Narzuconych Przez Rodziców i Zbyt Roztargnionych, Aby Powiadomić Kogokolwiek, Że Wyjeżdżają Z Miasta Na Kilka Dni.

Vang wpadł koło dziewiątej, z kubkiem parującej kawy w ręku.

- Jak ci się udał urlop? - zagadnął.

- Nieźle - odparłam krótko.

Nie powiedziałam, że odwiedziłam Genevieve. Moja przyjaciółka żyła w stanie policyjnego niebytu, bez wyznaczonej daty powrotu do pracy. Nasz porucznik pozwalał na to, ponieważ Gen była zasłużoną, powszechnie lubianą i szanowaną weteranką, ale mimo wszystko nie chciałam zwracać uwagi

kolegów na jej przedłużającą się nieobecność i prowokować pytań o termin jej powrotu.

- Co się tu działo? - zapytałam.

- Niewiele - powiedział Vang. - Mamy obfity raport na temat pani Thorenson, przejrzałaś te papierki? Położyłem ci je na biurku.

- Przeczytałam. - Kiwnęłam głową, sięgając po teczkę przykrywającą stos papierów.

Annette Thorenson wybrała się z przyjaciółką na weekend do uzdrowiska położonego na południe od St. Cloud i nie wróciła. Zdaniem przyjaciółki nic nie wskazywało na to, aby Annette nie zamierzała jechać do domu w Lakę Harriet, gdzie mieszkała razem z mężem. Byli bezdzietni. Pan Thorenson wychodził z siebie.

- Użyto jej karty płatniczej, wystawionej przez sieć stacji benzynowych - podjął Vang. - Cztery razy korzystano z jej karty, pobierając pieniądze z bankomatu, dwa razy przy drodze na wschód, do Wisconsin, i dwa razy w Madison.

- Co jeszcze?

- Jego przyjaciele twierdzą, że z ich małżeństwem wszystko było w jak najlepszym porządku, jej przyjaciele zaprzeczają. Jedna z jej kumpelek, która ostatnio wzięła rozwód, mówi, że Annette zadawała jej mnóstwo pytań w rodzaju: „Jak to jest po rozwodzie, kiedy trzeba wszystko zaczynać od nowa?”, i tak dalej.

- Zmęczona Małżeństwem, sam widzisz.”- Pokiwałam głową.

Vang znał kategorie, na jakie dzieliłam zaginionych.

- Pytałem, czy Annette zna kogoś w Madison - ciągnął. - Okazało się, że chodziła tam do szkoły, a później pracowała przez cały rok...

- I nadal ma tam dobrych znajomych?

- Nikt nie podał mi nazwisk, ale domyślałam się, że w Madison mieszka dawny ukochany Annette. Problem polega na tym, że zapadła się jak pod ziemię. Podałem gliniarzom z Madison numer jej prawa jazdy i rejestracji wozu z nadzieją, że

zgarną ją gdzieś, dowiozą na komisariat i nakłonią, żeby zadzwoniła do męża i powiedziała mu, co się dzieje, ale na razie nie natknęli się na jej samochód. Poza tym od paru dni nie korzysta z karty bankomatowej.

- Pozwól, że ja zrobię zakupy, skarbie... - mruknęłam.

Nie miałam cienia wątpliwości, że chwilowo Annette nie potrzebuje pieniędzy, ponieważ dawny ukochany dba o jej potrzeby.

- Pewnie tak - odparł Vang. - Ale pan Thorenson nie może w to uwierzyć. Powtarza, że ktoś ją sterroryzował, zmusił, żeby jechała na wschód i wyciągała forszę z bankomatów. Starałem się delikatnie wyjaśnić mu, że wszystko wskazuje na to, iż jego żona postanowiła sobie zrobić wakacje od szarej codzienności, lecz on nie daje się przekonać. Ciągłe do nas wydzwania i mówi, że policja lekceważy jego sytuację. Chce rozmawiać z moim zwierzchnikiem...

- Podejrzewam, że masz dla mnie różową karteczkę z numerem telefonu.

- Nawet kilka. - Uśmiechnął się.

- Potrzebna mi tylko jedna.

Zadzwoiłam do biura pana Thorensona i wysłuchałam streszczenia nie satysfakcjonujących go rozmów z Vangiem. Nie był uszczęśliwiony, kiedy powiedziałam, że Vang zrobił to wszystko, co i ja zrobiłabym na jego miejscu.

- Może przyszedł czas, żeby zaangażować kogoś do pomocy - zasugerowałam ostrożnie. - Mogę podać panu numery paru bardzo kompetentnych prywatnych detektywów...

- W tej chwili rozważam możliwość zatrudnienia prawnika, panno Pribek - oznajmił pan Thorenson i odłożył słuchawkę.

Trudno, pomyślałam. Prawników znam jeszcze więcej niż prywatnych detektywów, więc mogłam mu kogoś polecić, ale skoro nie chciał... Panno Pribek, też mi coś... Jeżeli ten uprzejmościowo-obraźliwy tytuł był jego pomysłem na pierwszą wymianę strzałów w wojnie psychologicznej, to chyba rozumiałam, dlaczego jego żona mogła mieć go dosyć.

Głównym punktem dnia okazała się wyprawa na drugi koniec miasta i przeszukanie czystego, pustego mieszkania młodego człowieka, który narobił mnóstwo długów, z zapalem uprawiając hazard. Jeszcze jedna osoba, która opuściła miasto z własnej woli, i tyle.

- Widziałeś ślady odkurzacza na dywanie? - zapytałam Vanga w drodze powrotnej. - Zacieranie tropów. Nieczyste sumienie. Ludzie często dokładnie sprzątaj, kiedy nie zamierzają wrócić.

- Tak - odrzekł Vang. - Moja żona zwykle sprząta przed wyjazdem na wakacje, bo nie chce, żeby nasi bliscy zobaczyli nasz codzienny bałagan, gdybyśmy mieli wypadek na autostradzie. Jest to jej wersja zmieniania bielizny.

Zamilkliśmy. Z niechęcią myślałam o czekającym mnie wieczorze.

Gdyby Genevieve była w mieście, zaproponowałaby, żebyśmy wybrały się gdzieś po pracy, w ten mój pierwszy wieczór bez Shiloha. Wiedziała, że zdążyłam się już odzwyczaić od mieszkania w pojedynkę, ale z pewnością nie wspomniałaby o tym ani słowem, żeby nie wpędzić mnie w jeszcze gorszy nastrój.

Może wreszcie powinnam trochę lepiej poznać mojego nowego partnera, pomyślałam.

- Masz ochotę na filiżankę kawy po pracy? - odezwałam się, zjeżdżając po spiralnej metalowej rampie do garażu.

Vang rzucił mi chyba trochę zdziwione spojrzenie.

- Dziękuję.- powiedział. - Ale dzisiaj muszę lecieć do domu na kolację, więc może kiedy indziej, dobrze?

- Jasne - mruknęłam.

Nagle pomyślałam, że jestem stara i nikomu niepotrzebna.

Siedziałam w pracy do późna, zajmując się różnymi drobnymi sprawami, które na pewno mogłam załatwić następnego dnia. Kiedy wyczyściłam biurko, poszłam do sali gimnastycznej, gdzie grupa świeżo przyjętych do pracy policjantek grała w kosza dwie na dwie. Wszystkie wyglądały jak zawodowe koszykarki z uczelnianego zespołu - wysokie, szybkie, trzy

blondynki, jedna ruda. Grały bardzo dobrze, więc nie potrzebowały dodatkowej zawodniczki, nawet gdybyśmy się znały.

Na progu domu znalazłam koszyk pomidorów i humor trochę mi się poprawił. Karteczki nie było, ale i tak wiedziałam, kto zrobił mi prezent. Pani Muzio przez całe lato uprawiała swój ogródek i regularnie obdarowywała nas warzywami. Przystanąłam na progu kuchennych drzwi i chwilę patrzyłam na powolne konanie warzywniaka pani Muzio - słoneczniki chyliły się ku ziemi pod własnym ciężarem, dawno przekwitłe zioła żółtkły i brązowiwały, tylko krzaki pomidorów wciąż dawały ostatnie owoce tego sezonu.

Mocno wątpiłam, czy pani Muzio słyszała o wyjeździe Shiloha. Najczęściej podrzucała nam właśnie pomidory, ponieważ wiedziała, jak bardzo mój mąż je lubi. Kiedy Shiloh był zbyt zajęty pracą, aby coś ugotować, kanapki z pomidorem stanowiły podstawę jego diety. Czasami wpadał do domu, żeby zrobić sobie krótką przerwę, i wtedy zjadał kanapkę z pomidorem, stojąc nad zlewem.

Poprawiłam pasek torby na ramieniu, przytrzymałam koszyk z pomidorami łokciem i drugą ręką otworzyłam drzwi.

Shiloh mówił, że zadzwoni, żeby podać mi numer telefonu, pod którym będzie można go złapać w Quantico, ale na automatyczną sekretarkę spojrzałam dopiero po chwili. Najpierw wstawiłam pomidory pani Muzio do lodówki, potem zrobiłam sobie colę z lodem i przebrałam się w domowe rzeczy, i wreszcie poszłam sprawdzić, czy Shiloh nagrał mi wiadomość.

Wiadomości nie było, żadnej. Mała czerwona lampka, która często mrugała, gdy wracaliśmy do domu po całym dniu w pracy, tym razem się nie paliła.

W porządku, jest bardzo zajęty, to wszystko. Ledwo przyjechał i teraz przyzwyczajają się do nowego otoczenia. Telefony działają w dwie strony, przecież wiesz, więc sama do niego zadzwoń...

I tu pojawia się problem - nie miałam numeru telefonu.

Prawdopodobnie mogłabym się jakoś dodzwonić tam, gdzie zakwaterowano przechodzących szkolenie agentów, ale

o tej porze nie byłoby to łatwe. Kontakty z FBI zwykle wiązały się z wielokrotnym dzwonieniem i oddzwanianiem, nawet w sprawach oficjalnych, a co dopiero osobistych, i to po godzinach pracy. W Wirginii była już ósma wieczorem.

Miałam gdzieś numer telefonu agenta FBI, który blisko współpracował z Shilohem w sprawie Annelise Eliot, więc mogłam zadzwonić najpierw do niego, wyjaśnić sytuację i poprosić o pomoc.

Po kilku minutach poszukiwań w naszym domowym notesie w końcu udało mi się znaleźć numer agenta Thompsona. Trzymałam już w ręku słuchawkę, kiedy nagle przyszła mi do głowy pewna myśl.

Dwa miesiące wcześniej oglądałam z Shilohem dokumentalny film o szkoleniu agentów FBI i na tej podstawie wyrobiłam sobie jakieś takie pojęcie o tym, jak wygląda życie w Quantico. Kandydaci od pierwszego dnia przechodzą niezwykle wymagające testy sprawności fizycznej i psychicznej, muszą też uczestniczyć w zajęciach z procedur formalno-prawnych, etyki i wielu innych przedmiotów. Wieczorami siedzą przy biurkach w swoich pokojach i uczą się jak pilni studenci, co jakiś czas zerkając na wiszące na ścianach zdjęcia najbliższych, a kiedy zrobią już wszystko, co mieli zrobić, rozmawiają, żeby się trochę rozluźnić po ciężkim dniu.

Po latach zawodowego życia na pozycji outsidera Shiloh na pewno czuje się wreszcie jak ryba w wodzie, otoczony ludźmi równie pochłoniętymi pracą i pełnymi poświęcenia, jak on sam, pomyślałam. Jeżeli ma odrobinę wolnego czasu, stara się poznać kolegów, przygląda się wiszącym nad ich biurkami fotografiom. Najprawdopodobniej wszyscy opowiadają sobie teraz, jakie zawodowe ścieżki przywiodły ich do Quantico. Jeżeli teraz zadzwonię, Shiloh będzie pewnie jedynym, który musi pędzić do telefonu, aby porozmawiać ze stęsknioną żoną, bardzo zaniepokojoną, ponieważ minął już cały dzień, a mąż jeszcze nie zadzwonił...

Odłożyłam słuchawkę i włączyłam telewizję.

- ...w zeszłym roku eksplodował ładunek wybuchowy, zabijając na przystanku autobusowym dwóch żołnierzy. Żadna ze stron nie przyznaje się do zorganizowania tego zamachu. W Blue Earth policja poszukuje 67-letniego Thomasa Halla, który najprawdopodobniej odniósł obrażenia w wypadku drogowym. W niedzielę rano pod miastem znaleziono jego półciężarówkę, która rozbiła się o przydrożne drzewo. Grupy poszukiwawczo-ratunkowe rozszerzyły teren działania, lecz jak dotąd nie udało im się odnaleźć zaginionego. Tu stacja radiowa WMNN, serwis informacyjny, jest godzina szósta pięćdziesiąt dziewięć...

Był wtorkowy ranek. Obudziło mnie nastawione na tę godzinę radio z budzikiem, ale nie byłam jeszcze gotowa, by wyjść spod kołdry. Gdy kilka minut później zadzwonił telefon, zapadałam w przyjemną drzemkę. Chwyciłam słuchawkę i odchrząknęłam.

- Przepraszam, że cię budzę - usłyszałam.

- Shiloh? - Jego głos brzmiał jakoś dziwnie.

Vang parsknął śmiechem.

- Naprawdę cię obudziłem - powiedział rześko.

Usiadłam, trochę zawstydzona.

- Musimy sprawdzić jakiś grób w Wayzata - ciągnął.

- Tak? Dlaczego?

- Jeszcze nie wiadomo. Dziś rano zadzwoniła do nas kobieta, która mieszka w tamtej okolicy i jest sąsiadką niedawno zwolnionego z więzienia faceta, oskarżonego o molestowanie seksualne dzieci. Wczoraj późnym wieczorem widziała, jak kopał w ziemi, przyświecając sobie latarką.

- Skąd wie, że kopał grób?

- Powiedziała, że dziura była odpowiedniego rozmiaru, ale nie widziała, żeby coś w niej układał. Potem uściśliła, że właściwie to facet nie kopał, a raczej zasypywał dziurę. Babka chyba mieszka na wzgórzu, ma dobry widok na całą okolicę i korzysta z tej możliwości...

- Należy do sąsiedzkiego patrolu, czy coś w tym rodzaju? - Stłumiłam ziewnięcie.

- Nie, ale ten facet, nazywa się Bonney, denerwuje tam wszystkich samą swoją obecnością. Wydrukowali nawet ulotkę z informacją, za co siedział. Ta kobieta obudziła się o czwartej nad ranem, ponieważ wyrzuty sumienia, że od razu nie zaalarmowała policji, nie dały jej spać, więc w końcu do nas zadzwoniła. Teraz my musimy trochę pogrzebać w ziemi.

Wyprostowałam się i przeciągnęłam.

- Mamy nakaz i zezwolenie na kopanie na terenie działki tego faceta? - zapytałam. - Bo podstawy są słabe, sam rozumiesz... Nikt nie zaproponował, żebyśmy najpierw po prostu z nim pogadali?

- Wysłali już do niego patrol - odparł Vang. - Nie ma go w domu ani w pracy, chociaż ma ranną zmianę. Nikomu się to nie podoba, ale jest jeden punkt zaczepienia - facet kopał nie na swoim terenie, ale na gminnym, tuż za ogrodzeniem.

- Ach, tak... - mruknęłam.

- Wobec tego nie potrzebujemy nakazu. Przyjechać po ciebie? Jestem jeszcze w domu, ale zaraz wychodzę.

Wolną ręką zrzuciłam koc z nóg.

- Dobrze - powiedziałam. - Za piętnaście minut będę gotowa.

Trzydzieści pięć minut później Vang i ja staliśmy na spokojnej uliczce w pobliżu Zatoki Wayzata. Chociaż do miasta było stąd bardzo blisko, okolica sprawiała wrażenie nie tyle przedmieścia, ile wsi albo małego miasteczka. Domy stały na dużych działkach i zrozumiałam, że Vang słusznie nazywał to miejsce nie dzielnicą, lecz okolicą.

Ciężarówka wydziału zabójstw stała przy krawężniku, a dwóch policjantów ostrożnie rozkopywało ziemię łopatami. Naprędce kopane groby są często płytkie i wydobywanie zwłok jest zadaniem zbyt delikatnym dla mechanicznej koparki.

Ludzie, którzy uprawiają marihuanę, zwykle sieją ją na odizolowanych terenach gminnych. Ma to tę dobrą dla nich stronę, że aby oskarżyć kogoś o hodowanie marychy, trzeba przytapać go na zbieraniu zielska na własnej działce, bo inaczej nie

sposób dowieść związku między zbiorem i hodowcą. Jeżeli więc Bonney faktycznie kogoś zabił, kierował się podobną motywacją, nie grzebiąc ofiary na własnym terenie. Nie udał się daleko, bo pewnie uznał, że bezpieczniej będzie nie podróżować z trupem w samochodzie.

Vang i ja właśnie skończyliśmy przeglądać świeżo sporządzoną listę osób zgłoszonych jako zaginione w ciągu ubiegłych czterdziestu ośmiu godzin. Vang zabrał też ze sobą kryminalne akta Bonneya.

- Nie wydaje mi się, żeby chodziło o którąś z tych osób. - Pokręciłam głową. - Nie czuję tej sprawy... Wszystko to są dorośli albo prawie dorośli...

- Nie w typie Bonneya, prawda?

- Właśnie. Poza tym sam czytałeś jego akta - molestowanie seksualne, obnażanie się, obraza moralności, ale facet nigdy nikogo nie zabił ani nawet nie próbował.

Vang słuchał w milczeniu.

- Czasami przestępcy seksualni posuwają się do gorszych aktów, na przykład do zabójstwa, lecz w ciągu minionych dwóch dni nie zgłoszono nam zaginięcia nikogo, kto pasowałby do profilu psychologicznego Bonneya... - Patrzyłam, jak jeden z policjantów przerywa pracę i ostrożnie odgarnia czubkiem łopaty grudki wilgotnej ziemi.

Staliśmy w pewnej odległości, pozwalając im wykonywać pracę spokojnie i dokładnie, aby cały bałagan można było jak najszybciej uprzątnąć.

- Zwykle czujesz, że jesteś na właściwym tropie. - Westchnęłam. - Dostajesz wiadomość, że gdzieś znaleziono zwłoki i od razu myślisz: „Znaleźliśmy Jane, Mary czy Paula”. W tym wypadku nie mam takiego uczucia. Wiesz, co myślę? Myślę, że Bonney robił coś sobie na kolację, ale spalił potrawę razem z garnkiem i postanowił to zagrzebać, żeby nie patrzeć na to nieszczęście... Jego sąsiadka spostrzegła, że coś się dzieje, popracowała wyobraźnią, aż malutka dziura stała się grobem i zadzwoniła do nas. Czasami mam wrażenie, że sytuacja z przestępcami seksualnymi, z całym tym ujawnianiem, roz-

wieszaniem, rozsyłaniem ulotek i zebraniem straży sąsiedzkiej coraz bardziej wymyka się spod kontroli...

Umilkłam. Shiloha nie ma dopiero dwa dni, a ja już powtarzam jego słowa z pamięci, przekazując mało popularne liberalne poglądy mojego męża swojemu nowemu partnerowi.

- Jeżeli znajdą coś podejrzanego, wystąpimy o nakaz rewizji - powiedziałam pośpiesznie. - Jeśli nie, to niech posterunkowy złoży Bonneyowi kilka niespodziewanych wizyt, szukając podstaw do oskarżenia go o pogwałcenie zasad zwolnienia warunkowego, w końcu to jego praca.

- Gdybym wiedział, że zajmie to tyle czasu, wstąpiłbym po kawę - rzucił Vang.

- Kiedy w takiej sytuacji wysyłają człowieka w teren, kawa może okazać się najjaśniejszym punktem całego dnia - zgodziłam się.

Szczerze mówiąc, w tej chwili miałam ochotę nie tyle na kawę, ile na prysznic. Prysznic ma w sobie coś, co w gruncie rzeczy nie ma nic wspólnego z kwestią czystości fizycznej; chodzi raczej o sam fakt wykonania gestu oczyszczenia z tego, co było - bez prysznica ślady poprzedniego dnia, nocy i łóżka ciągle się nas trzymają, niezależnie od tego, jak jesteśmy ubrani i co robimy.

Od jeziora powiał silniejszy wiatr. Nie widzieliśmy stąd wody, ponieważ brzeg porastały gęsto zasadzone nagie drzewa o cienkich pniach.

- Czy naprawdę mam głos podobny do głosu twojego męża? - zapytał Vang.

Przypomniałam sobie, jak odebrałam jego poranny telefon.

- Nie, raczej nie. Im bardziej...

- Hej, popatrz na to - przerwał mi nagle.

Spojrzałam na policjantów, którzy właśnie wyciągali na brzeg wykopanej dziury coś szczelnie owiniętego w duży zielony worek na śmieci.

- Na pewno nie jest to spalony garnek - przyznałam.

- Ale na człowieka wydaje się za małe - powiedział Vang, idąc za mną w stronę policjantów. - Chyba że to dziecko...

- Albo część osoby dorosłej - zauważyłam.

Vang się skrzywił.

Jeden z policjantów, Penhall, wyjął aparat fotograficzny i zaczął fotografować kształt w worku, ułożony na brzegu dziury w ziemi.

Drugi, Malik, sięgnął do torby po scyzoryk, naciągnął folię, żeby nie uszkodzić tego, co znajdowało się w worku, i ostrożnie ją przeciął.

Przez otwór w zielonym plastiku wysunęły się jasne włosy, ale szybko okazało się, że ukryte wewnątrz ciało całe pokryte jest jasnorudym owłosieniem. Był to pies, golden retriever, którego sierść tu i ówdzie zabrudzona była zaschłą krwią.

- O cholera! - powiedział Malik.

Z tonu głosu trudno było wywnioskować, czy mówi jako wielbiciel psów, czy policyjny technik, który zmarnował mnóstwo czasu.

- Zaraz, zaraz, spokojnie - odezwał się Penhall. - Facet zabił psa sąsiadów, to poważna sprawa...

Spojrzał na mnie i Vanga, szukając potwierdzenia.

- Możecie zdjąć z niego tę folię? - zapytałam.

Malik spełnił moją prośbę. Zerknęłam na Vanga i lekko uniosłam brwi.

- Moim zdaniem wygląda na to, że pies został przejecha-ny - zauważył Vang.

Malik pokiwał głową.

- Więc po co Bonney zadał sobie tyle kłopotu? - spytał Penhall.

- Bo najprawdopodobniej ze śmiertelnym skutkiem potra-cił ulubienica rodziny, która mieszka gdzieś niedaleko, a facet ma świadomość, że i tak nie cieszy się sympatią sąsiadów. - Spojrzałam na wznoszący się na szczyście wzgórze duży, piękny dom.

Poranne słońce odbijało się w wysokich francuskich oknach, za którymi wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znajdował się salon. Kobieta, która do nas zadzwoniła, miała wspania-ły widok na jezioro oraz na posiadłość pana Bonneya, oskar-

żonego o seksualne molestowanie nieletnich i warunkowo zwolnionego z więzienia.

- Bonney nie chce jeszcze bardziej pogarszać swojej reputacji - dodałam.

Malik się wyprostował.

- Co z tym zrobicie?

- Dobre pytanie. - Westchnęłam. - Pies stanowi czyjaś własność, więc mamy do czynienia z przypadkiem zniszczenia własności, a nie z odnalezieniem osoby zaginionej. Myślę, że wstąpimy na komisariat w Wayzata i zostawimy im tę sprawę do załatwienia...

Kiedy Vang zakręcił i ruszył w stronę miasta, długo obserwował w lusterku wstecznym parterowy dom Bonneya z zapadającym się nad gankiem daszkiem.

- Ciekawe, co znaleźlibyśmy w środku... - wymamrotał.

- Może podstawy do wytoczenia następnego oskarżenia - powiedziałam. - Ale nie z powodu, o który nam chodziło.

Vang zawiózł nas do Minneapolis, ale nie do pracy. Musiałam zabrać własny samochód z garażu, poza tym koniecznie chciałam wziąć prysznic. Miałam trochę czasu, bo biorąc pod uwagę wymagania i napięcia związane z zawodem, nasze godziny pracy są dość elastyczne. Vang i ja przepracowaliśmy już prawie godzinę, chociaż dzień jeszcze się na dobre nie rozpoczął.

- Zapomniałem powiedzieć ci o tym wczoraj, ale w niedzielę w nocy dziewczyna Fieldinga dostała telefon podobny do tych, jakie wcześniej odebrały żony Manna i Juareza - rzekł Vang.

- Naprawdę?

Wiedziałam, o co chodzi, zresztą w całym wydziale nie było chyba nikogo, kto nie wiedziałby, że żony dwóch detektywów z okręgu Hennepin odebrały ostatnio anonimowe telefony.

W jednym i drugim wypadku głos dzwoniącego brzmiał szczerze; twierdził, że jest sanitariuszem ze stacji pogotowia ratunkowego. Za pierwszym razem, gdy zadzwonił do żony

Manna, powiedział, że jej mąż został ciężko ranny w wypadku samochodowym, jadąc służbowym wozem.

Póływa ze zdenerwowania kobieta zażądała konkretnych informacji, lecz mężczyzna podał jej tylko kilka szczegółów ubranych w terminy medyczne i zanim zdążył powiedzieć, z którego szpitala dzwoni, został „rozłączony”.

Pani Mann zadzwoniła do komisariatu. Minęło parę minut, zanim telefonistka znalazła jej męża. Mann zapewnił żonę, że na jego zmianie nie wydarzył się żaden nieszczęśliwy wypadek i że nie ma pojęcia, kto podał jej tę informację.

Cztery tygodnie później w podobnej sytuacji znalazła się żona Juareza, tyle że jej rozmówca z wielkim żalem poinformował ją o śmierci męża.

Było to trochę za dużo jak na zbieg okoliczności. Do pracowników wydziału rozesłano notkę z opisem „chorego dowcipu” i poleceniem, aby ostrzegli swoich najbliższych.

Wśród policjantów zaczęła krążyć teoria, że za całą historią stoi ktoś z wydziału, komu udało się w jakiś sposób zdobyć listę nazwisk i telefonów. Wielu moich kolegów miało zastrzeżone numery, co chroniło ich przed agresją ze strony ludzi, których sami aresztowali albo których sprawy pomagali rozpracowywać.

- Czy Fielding ma zastrzeżony numer? - zapytałam.

- Nie wiem - odrzekł Vang. - Ale to podobno bez znaczenia, bo niedawno mieliśmy przecież sprawę z tą cholerną stroną internetową „Słońce”...

- No, tak - przypomniałam sobie.

Strona „Słońce” wzięła nazwę od „słonecznych” zasad wolności przepływu informacji, praw, które zapewniały wszystkim dostęp do publicznych procesów i danych na temat urzędów państwowych. „Słońce”, powstałe w rezultacie intensywnej działalności społecznej pewnej pary małżeńskiej, publikowało numery telefonów, a czasami nawet adresy policjantów i detektywów, przypadkowo znalezione w rozmaitych raportach i dokumentach sądowych, do których kiedyś gdzieś się odwoływano. Twórcy organizacji głosili teorię, że każdy policjant

zastanowi się dwa razy, zanim źle potraktuje niewinnego obywatela, jeżeli będzie miał świadomość, iż numer jego telefonu i adres znajdują się w sieci internetowej.

- Mówisz, że numery Manna i Juareza były na stronie internetowej? - zapytałam.

Przejeżdżaliśmy przez tory kolejowe w dzielnicy Northeast i zbliżaliśmy się do mojego domu.

- Numer Juareza jest w książce telefonicznej - powiedział Vang. - Swoją drogą, ich numery podano na stronie „Słońce”. Teraz nikt się nie dowie, jak to naprawdę było, ale przecież jakiś psychol mógł ściągnąć te dane właśnie z Internetu.

Potrząsnęłam głową.

- Zaglądałam kiedyś na tę stronę i nawet mnie to bawiło - przyznałam się. - Napisali o mnie, że jestem żoną policjanta z Minneapolis. Strasznie się z tego śmialiśmy.

- Teraz już nikt nie śmieje się z informacji podanych w „Słońcu” - rzekł Vang. - Niektórzy mówią, że jeżeli uda się dowieść, iż tych danych użyto w celu psychicznego terroryzowania kobiet poprzez anonimowe telefony, strona może zostać zlikwidowana.

- Dobry pomysł.

Zatrzymaliśmy się na ulicy przed moim domem.

- Do zobaczenia za jakieś pół godziny - rzucił Vang.

Prysznic sprawił mi tym większą przyjemność, że wzięłam go z pewnym opóźnieniem. Kiedy wyszłam z łazienki, pomyślałam, że może jednak mam przed sobą całkiem miły dzień. Najwyraźniej zdążę jeszcze kupić bajgielka na śniadanie, postanowiłam wziąć też jednego dla Vanga, chociaż nie znałam jego upodobań. Genevieve zawsze zamawiała bajgla posmarowanego cieniuteńką warstwą niskokalorycznego kremowego serka, z suszonym pomidorem w środku, lecz Vang, dużo młodszy i chudy jak wieszak, pewnie wolałby zacząć dzień od pączka.

Rozczesałam wilgotne włosy, zarzuciłam torbę na ramię i ruszyłam do kuchennych drzwi. Wlewające się przez wychodzące na wschód okno było tak mocne, że prawie nie za-

uważyłam czerwonej lampki sekretarki automatycznej, mrużącej w ciemnej oprawie telefonu. Prawie.

- Wiadomość dla Michaela Shiloha - rozległ się nieznajomy kobiecy głos. - Mówi Kim z ośrodka szkoleniowego w Quantico. Proszę nas powiadomić, jeżeli ma pan problemy z dotarciem do nas albo jeżeli musi pan z jakiegoś powodu opóźnić swój przyjazd. Pańska grupa została wczoraj zaprzysiężona. Mój numer...

Natychmiast przesłuchiwałam nagranie jeszcze raz, jakby to mogło uczynić je bardziej zrozumiałym. Ale nie dowiedziałam się niczego ponad to, co usłyszałam za pierwszym razem i natychmiast poczułam ostre ukłucie niepokoju.

Daj spokój, powiedziałam sobie. Przecież wiesz, że Shiloh jest w Quantico. Ten telefon to po prostu wynik jakiegoś biurokratycznego nieporozumienia. Tak to wygląda u tych federalnych - co dziesięć lat przeprowadzają spis ludności, w którym gubią kilka milionów Amerykanów. Zadzwoń do niej, niech sama ci powie, że to pomyłka.

Wybrałam numer.

- Dzień dobry - powiedziałam, kiedy się przedstawiła. - Nazywam się Sara Pribeek. Zostawiła pani wiadomość na mojej sekretarce automatycznej, wiadomość przeznaczoną dla Michaela Shiloha, mojego męża. Rozumiem, że spóźnił się, więc chcę się tylko upewnić, kiedy dojechał...

- Nie ma go tutaj - oświadczyła.

- Och... Jest pani tego pewna?

- Tak, całkownie - odparła. - Na tym polega moja praca. Chce pani powiedzieć, że nie ma go w Minneapolis?

- Nie ma - potwierdziłam po chwili.

Czułam, jak mięśnie mojego przełyku kurczą się i rozluźniają, kurczą i rozluźniają. Nie miałam w ustach ani odrobiny śliny, serce biło mi coraz mocniej i głośniej.

- Czasami ludzie wycofują się w ostatniej chwili - powiedziała. - Zwykle nachodzą ich wątpliwości, kiedy się dowiadują, że będą musieli na co dzień nosić broń...

- Mąż raczej by ich nie miał - rzuciłam. - Muszę już iść...

Odłożyłam słuchawkę, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że nawet nie powiedziałam „do widzenia”.

Najpierw przyszło mi do głowy, że został ranny w poważnym wypadku samochodowym, może w drodze z lotniska do Quantico, zaraz jednak zorientowałam się, że coś tu nie gra. Gdyby rzeczywiście tak było, policja może nie powiadomiłaby Quantico, ale z pewnością powiadomiłaby mnie. Shiloh miał przy sobie prawo jazdy, a w nim domowy adres. Policja zawsze zawiadamia najbliższą rodzinę, tymczasem do mnie nie dzwonił nikt poza Kim.

Parę minut później zadzwoniłam do Vanga.

- Przyjadę dopiero za jakąś godzinę - powiedziałam. - Muszę coś sprawdzić, przepraszam.

- W związku z pracą?

- Nie, to sprawa osobista - rzekłam wymijająco. - Postaram się załatwić ją jak najszybciej.

Miałam mętne wyrzuty sumienia, że od razu nie wracam do pracy, ale nic nie mogłam na to poradzić.

Shiloha nie było w Quantico. Co to oznacza?

Gdyby zmienił plany i postanowił wycofać się z programu szkoleniowego, na pewno by mi o tym powiedział, przede wszystkim jednak powiadomiłby o swojej decyzji FBI. Tak czy inaczej, te przypuszczenia były całkowicie bezsensowne, bo Shiloh w żadnym razie nie zmieniłby planów. Bardzo pragnął przejść to szkolenie i zostać agentem FBI. Jeżeli nie dotarł na miejsce, to znaczy, że przydarzyło mu się coś złego.

Czy w ogóle polecił do Wirginii?

Uświadomiłam sobie, że przede wszystkim właśnie to muszę sprawdzić. Jeśli tego nie zrobię, zmarnuję mnóstwo cennego czasu, bo przecież nie będę mogła prowadzić prywatnego dochodzenia jednocześnie w Minnesocie i Wirginii.

Sięgnęłam po książkę telefoniczną i odszukałam numer linii lotniczych Northwest.

- Potrzebna mi lista pasażerów niedzielnego lotu do Reagan o czternastej trzydzieści pięć - powiedziałam urzędnicze.

- Słucham? Nie udzielamy...

- Tego rodzaju informacji - dokończyłam za nią. - Wiem o tym. Jestem detektywem w biurze szeryfa okręgu Hennepin i znam zasady. - Przyłożyłam słuchawkę do drugiego ucha, grzebiąc prawą ręką w szufladzie biurka. - Proszę powiedzieć swojemu zwierzchnikowi, że nazywam się Sara Pribek i że za jakieś pół godziny zgłoszę się do waszej agencji z formalną prośbą o udostępnienie tej listy.

Rozdział 6

Było jeszcze dość wcześnie, więc bez większych problemów dojechałam na miejsce. Pogodna część poranka dobiegła końca i z zachodu napływały ciężkie chmury. Kiedy skręciłam na zachód, na drogę numer 494, znajome czerwono-szare cielska samolotów linii Northwest wzbijały się w niebo ze znajdującego się przede mną lotniska.

Kierowniczką biura sprzedaży biletów Northwest - Marilyn, jak wynikało z identyfikatora, który nosiła na piersi - zaprowadziła mnie do niewielkiego gabinetu za głównym kontuarem.

Położyłam formalną prośbę na biurku. Szybko przebiegła ją wzrokiem, uważnie czytając tylko tekst pieczętki.

- Mogę zobaczyć pani legitymację służbową?

Wyjęłam skórzaną oprawkę, w której nosiłam odznakę i legitymację, otworzyłam ją i podsunęłam jej pod nos.

- Proszę jeszcze raz powiedzieć, o co chodzi - powiedziała, siadając za biurkiem.

- Szukam pasażera, który miał być na pokładzie waszego samolotu, lecącego w niedzielę o czternastej trzydzieści pięć do Reagan. Nie jestem pewna, czy tam był.

- W niedzielę? - powtórzyła, obracając się z krzesłem i wyjmując teczkę z szuflady szafki tuż przy biurku. - Nazwisko?

- Michael Shiloh, z „h” na końcu.

Przedstawiłam się jako Sara Pribek i postanowiłam nie

wspominać, że Shiloh jest moim mężem. Uznałam, że najlepiej będzie udawać, iż szukam informacji jako przedstawicielka policji.

- No, mam go. - Głos Marylin wyrwał mnie z zamyślenia. - Jest na liście pasażerów niedzielnego lotu z czternastej trzydzieści pięć, tak jak pani myślała... - przerwała. - Ale się nie zgłosił...

- Nie wszedł na pokład?

- Nie.

- Co z następnym lotem?

- Do Reagan czy do Dulles? - zapytała. - Następny samolot odlatywał do Dulles, o czternastej pięćdziesiąt pięć.

- Może pani sprawdzić listę pasażerów?

- Tego dnia mieliśmy jeszcze po dwa loty do Reagan i Dulles - powiedziała. - Mogę sprawdzić wszystkie...

Znowu sięgnęła do szuflady, wyjęła parę teczek i zaczęła je przeglądać. Polizała czubek palca wskazującego prawej ręki i szybko przerzuciła kilka kartek.

Oparłam się o ścianę i czekałam, przyglądając się, jak przebiega wzrokiem listy nazwisk. Kiedy kończyła sprawdzać jedną, lekko potrząsała głową. Wreszcie przejrzała wszystkie, odwróciła się z krzesłem twarzą do mnie.

- Nigdzie go nie znalazłam.

- Rozumiem.

- Czasami ludzie lecą do Reagan przez Baltimore - odezwała się po chwili milczenia.

- Nie - powiedziałam. - W tym wypadku to raczej niemożliwe. Tak czy inaczej, bardzo dziękuję za pomoc.

Pożegnałam się i poszłam do windy.

Shiloh mógł polecieć do Baltimore albo wybrać inne linie lotnicze, ale nie było żadnego powodu, by robić coś takiego. Miał bilet, kupił go sporo wcześniej i nawet gdyby spóźnił się na lot o czternastej trzydzieści pięć, co już zupełnie do niego niepasowało, i złapał późniejszy samolot, jeszcze tego samego dnia byłby w Quantico, a wcześniej zawiadomił Kim, że się spóźni.

Czy wykluczyłam możliwość, że Shiloh jednak poleciał do Wirginii? Nie. Musiałam brać pod uwagę, że zdarzyły się dwie złe rzeczy jednocześnie - spóźnił się na samolot i musiał skorzystać z usług innego przewoźnika, a potem miał wypadek w Wirginii. Jeżeli tak właśnie się stało, to zawężenie poszukiwania do terenu Minnesoty byłoby katastrofą. Powinnam za wszelką cenę dowiedzieć się, gdzie zaginął Shiloh.

Zaginiony... Nie zamierzałam pozwolić, aby moje myśli podążyły tym torem i teraz poczułam, że ogarnia mnie zdenerwowanie, a policzki i szyję zalewa ciemny rumieniec.

Na chwilę usiadłam na ławce, patrząc na mijających mnie pasażerów.

Wysoko nad moją głową umieszczona była kamera, której oko dyskretnie obserwowało podróżnych. Gdybym znalazła się w sytuacji bez wyjścia, zawsze mogłam jeszcze przejrzeć taśmy ochrony lotniska. Może jakiś fragment filmu okaże się jedynym potwierdzeniem, że Shiloh był tutaj w niedzielę.

Zaginiony - to słowo szybko zyskało nowe znaczenie w moim słowniku, niezależnie od tego, czy mi się to podobało, czy nie.

Mniej więcej przed dwoma laty pewien nadopiekuńczy ojciec z Ediny, przedmieścia Minneapolis, wysłał swoją bystrą najstarszą córkę na studia na Uniwersytecie Tulane w Luizjanie. Powiedział, że nie chciał, aby pojechała tam samochodem, ale dziewczyna wygrała w uczelnianej loterii bezpłatne miejsce na parkingu pod akademikiem i nie wyobrażała sobie życia bez swojej małej hondy.

Tak czy inaczej, tatuś nie był zadowolony, że córeczka sama wybiera się w tak daleką drogę. Nalegał, aby dzwoniła do niego, kiedy tylko zatrzyma się na noc w motelu (miała spędzić w podróży dwa i pół dnia), a ona przystała na to dla świętego spokoju.

Córeczka nie pamiętała jednak, że zaledwie rok wcześniej dzielnica, w której mieszkała z rodziną, została wyłączona spod kodu telefonicznego 612, obowiązującego dawniej dla Minneapolis i całej okolicy. Działo się tak ze wszystkimi przedmie-

ściami wielkich miast, ponieważ sieci komórkowe oraz Internet pożerały dostępne numery telefoniczne, ale córeczka nie zwróciła uwagi na ten istotny fakt. Przez poprzednie trzy lata nie miała okazji dzwonić do domu spoza miasta, gdyż nigdzie nie wyjeżdżała.

Kiedy próbowała zadzwonić do ojca pierwszego wieczoru, usłyszała nagrany informację, że połączenie nie może zostać zrealizowane. Zaskoczona, spróbowała jeszcze raz, potem trzeci i czwarty. Nie wiedziała, co się dzieje. Zostawiła ojcu wiadomość w poczcie głosowej w pracy, mając świadomość, że rodzic odsłuchają dopiero za dwa dni, ponieważ była to sobota, i wreszcie spokojnie udała się na posiłek.

Troskliwy tatuś, zaniepokojony milczeniem córeczki, zadzwonił do nas. Genevieve i ja potraktowałyśmy jego słowa z dużą dozą sceptycyzmu. Dziewczyna wyjechała z domu zaledwie dwanaście godzin wcześniej, była pełnoletnia i zaczynała studia - nowa sytuacja na pewno dała jej przedsmak wolności. Obie byłyśmy przekonane, że po prostu zapomniała zadzwonić do tatusia.

- Niemożliwe - upierał się. - Moja córka obiecała, że za-telefonuje, a ona zawsze dotrzymuje słowa.

- Wiem, że trudno panu w to uwierzyć, ale ta historia ma proste, logiczne wytłumaczenie - powiedziała Genevieve. - Sęk w tym, że jeszcze go nie znamy.

- Nie ma takiego wytłumaczenia - oznajmił twardo tatuś.

W niedzielę po południu córeczka dała znak życia. Przekroczywszy granicę stanu Luizjana, przypomniała sobie, że Edina ma nowy numer kierunkowy i zatrzymała się, żeby ponowić próbę dodzwonienia się do tatusia. Tym razem połączenie zostało zrealizowane i córeczka, nieco zawstydzona i roześmiana, wreszcie porozmawiała z tatusem. Parę chwil później tatuś zadzwonił do nas, głęboko zażenowany, ale nie roześmiany.

Ta historia ma proste, logiczne wytłumaczenie. Nie, to niemożliwe. Te dwa sprzeczne zdania tworzą jin i jang większości przypadków osób zaginionych. Co tydzień pocieszałam tym pierwszym zgłaszających się do nas ludzi, oni zaś, pełni wątp-

liwości i złych przeczuć, odpowiadali drugim. Czasami opowiadałam im historyjkę o tatusiu, córeczce i nowym numerze kierunkowym na dowód, jak niewinne sytuacje mogą przeszkodzić ich bliskim w dotarciu do domu lub przekazaniu ważnej wiadomości. Niewielu sprawiało wrażenie uspokojonych, prawie wszyscy potrząsali głowami, wyraźnie nieprzekonani. Uważali, że opowieść o tatusiu jest nawet dość zabawna, ale nie ma nic wspólnego z ich sytuacją.

Teraz po raz pierwszy naprawdę rozumiałam, co czuli. Jadąc na północ drogą 35W, uparcie powtarzałam sobie, że zniknięcie Shiloha musi mieć proste, logiczne wytłumaczenie. Wkrótce się okaże, dlaczego nie pojawił się w Quantico i nie zadzwonił do mnie. Powtarzałam to sobie raz po raz, lecz w głębi mojego umysłu już zrodził się głos, który mówił: „Nie, nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia”.

Koło południa Vang znalazł mnie w pracy przy faksie. Rozsyłałam właśnie do szpitali w rejonie Quantico prośbę o informację, czy w ostatnich dniach nie przyjęli człowieka, którego opis odpowiadałby opisowi mojego męża. Na mój widok Vang zrobił zdziwioną minę.

- Gdzie byłaś? - zapytał. - Mówiłaś przecież, że przyjedziesz później...

- Byłam na lotnisku - odparłam. - A potem objechałam kilka szpitali.

Nie powiedziałam mu wszystkiego. Dzwoniłam i wysłałam faksy także do firm taksówkowych, prosząc o sprawdzenie, czy nie wysyłali kierowcy na nasz adres. Linie lotnicze Northwest poprosiłam o pisemne podanie stanu rachunku, z którego opłacaliśmy nasze bilety samolotowe, po namyśle z tą samą prośbą zwróciłam się do linii Qwest.

Podniosłam wzrok.

- Mam problemy osobiste. Szukam męża.

- Myślałem, że miał zacząć pracę w FBI - rzekł Vang. - Zmienił zdanie?

- Nie. - Przyglądałam się, jak mój dokument centymetr po

centymetrze wysuwa się z drugiej strony faksu. - Ale nie dojechał na miejsce.

- Serio? - Vang zmarszczył brwi. - Nie dotarł do Quantico czy w ogóle do Wirginii?

Jego głos i zachowanie były spokojne, oczami wyobraźni widziałam jednak, jak dziesiątki pytań przebiegają przez jego mózg. Było to zupełnie naturalne - ostatecznie niecodziennie najbliższa współpracowniczka mówi ci, że jej mąż zginął.

- Nie jestem pewna - powiedziałam. - Nie wsiadł do samolotu, ale w domu nie ma jego rzeczy.

Doszłam do wniosku, że okres niewyjaśnionej nieobecności Shiloha należy liczyć od czternastej trzydzieści pięć w niedzielę, kiedy to miał odlecieć do Wirginii, lecz z jakiegoś powodu tego nie zrobił.

- Zamierzam złożyć oficjalny raport - dodałam.

Vang się zawahał.

- Zgodnie z polityką wydziału chyba nie powinnaś angażować się w dochodzenie...

Ponieważ poruszył obowiązujące w policji zasady, zrozumiałam, że nie chce zadawać mi pytań, które niewątpliwie kłębły się w jego głowie.

- Wiem, ale pod nieobecność Genevieve jestem jedyną osobą w wydziale, która regularnie zajmuje się przypadkami zaginięć... - Przerwałam, świadoma, że muszę dokładniej wyjaśnić mu, co planuję zrobić. - Nie twierdzą, że to jakaś szczególna sprawa. Nie mówię przecież, że nie będę przychodziła do pracy, dopóki nie dostanę od niego wiadomości...

- Rozumiem - powiedział. - Mogę coś zrobić?

- Na pewno przyjdą faksy w odpowiedzi na moje pytania. Możesz zadzwonić i przekazać mi, co w nich jest. To mi naprawdę pomoże.

- Gdzie będziesz? - zapytał.

- U siebie - odpowiedziałam. - W każdej takiej sprawie zaczęłabym dochodzenie od przeszukania domu.

- ...jak podają analitycy z firmy Piper Jaffray. Tu stacja radiowa WMNN, serwis informacyjny, godzina dwunasta dwadzieścia osiem. Więcej wiadomości podamy za chwilę.

Przyciszyłam radio i wystawiłam nos mojego auta z garażowej rampy, włączając się do ruchu.

To, co powiedziałam Vangowi, nie było do końca prawdą. Normalnie zaczęłabym dochodzenie nie od przeszukania, lecz od rozmowy z najbliższą rodziną zaginionego.

Na przykład z jego żoną. Otóż to... Powoli wyjechałam na główną drogę.

Kto poza mną był najbliższą rodziną Shiloha? Jego rodzina mieszkała w Utah, ale od lat nie utrzymywał z nią kontaktów.

Doskonale rozumiał się ze swoim dawnym zwierzchnikiem, porucznikiem Radichem, który nadal prowadził międzywydziałową brygadę antynarkotykową. No i oczywiście znał Genevieve, i to dłużej niż ja, ale ostatni raz widzieli się wiele tygodni temu.

Shiloh nie miał partnera, pracował nad starymi sprawami sam, w pojedynkę. Wcześniej, jeszcze w brygadzie antynarkotykowej, czasami podejmował zadania razem z detektywami okręgu Hennepin, a kiedy działał jako tajniak, oczywiście zawsze był sam. Podobnie jak ja, grał w koszykówkę z luźną, stale zmieniającą skład grupą policjantów i pracowników sądu, lecz nigdy nie nawiązał żadnych naprawdę bliskich przyjaźni. Nie pił, więc nie miał kumpli, z którymi chodziłby do pubu.

Czasami traciłam z oczu fakt, że dzielę małżeńskie łóżko z samotnikiem.

Parkując nową na miejscu starego pontiaca, gorzko pożałowałam, że Shiloh w ubiegłym tygodniu sprzedał swój samochód. Dopóki wszyscy nie będziemy mieli wytatuowanych w widocznym miejscu numerów identyfikacyjnych, a czasami nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ten dzień zbliża się wielkimi krokami, jedynym znakiem rozpoznawczym są numery rejestracyjne samochodów. Kiedy do zawiadomienia o zaginionej osobie wpisujemy rejestrację pojazdu, policjanci patro-

lujący drogi całego kraju szukają samochodu. Znacznie trudniej jest wpaść na trop dorosłego, który nie ma wozu.

Chociaż z naszej uliczki łatwiej wjeżdża się na podwórko za domem, tym razem podjechałam od frontu i weszłam głównymi drzwiami, nie kuchennymi, wiodącymi do korytarzyka za kuchnią, w którym stoi pralka. Chciałam postać chwilę w progu i popatrzeć na haczyk, na którym jeszcze przed paroma dniami wisiały klucze Shiloha.

Teraz nie było kluczy, kurtki i butów. Właśnie po tym w niedzielę zorientowałam się, że Shiloh już pojechał na lotnisko. I rzeczywiście pojechał, prawda?

Nie sprawdziłam jednak jeszcze jednego.

Kiedy pracowałam na ulicy, czasami zatrzymywałam ludzi za drobne wykroczenia i potem puszczałam ich, jeżeli wydawało mi się, że na to zasługują. Wypowiadałam wtedy standardową formułkę: „Jeżeli jeszcze raz zobaczę, jak podrywasz klientów na ulicy, malujesz ściany sprayem, lub coś w tym rodzaju, to lepiej, abyś miał przy sobie szczoteczkę do zębów”.

Wiedzieli, że znaczy to, iż następnym razem spędzą noc w areszcie. Później, już jako detektyw, zawsze sprawdzałam, czy zaginiona osoba zostawiła szczoteczkę do zębów w domu, czy nie. Ten test działał niezależnie od pokolenia, płci i rasy. Nawet jeżeli ktoś nie miał czasu się spakować, zawsze miał czas sięgnąć po szczoteczkę.

Wracając myślami do dzisiejszego ranka, zobaczyłam swoją szczoteczkę, samotnie wiszącą na uchwycie po wewnętrznej stronie drzwiczek szafki na leki. Chwilę później zajrzałam do łazienki, nieufna wobec swojej pamięci, ale szczoteczki Shiloha rzeczywiście nie było. Poszłam do sypialni, otworzyłam szafę i spojrzałam na najwyższą półkę. Walizka Shiloha zniknęła.

Wszystko wskazywało na to, że naprawdę pojechał na lotnisko.

Może jednak zostawił kartkę, tylko jej nie znalazłam?

Shiloh zauważył kiedyś, że nasz kuchenny stół to „nie-doszła szafka na dokumenty”, bo zawsze leżało na nim mnó-

stwo rachunków, reklam, gazet, listów, karteczek, jakie pisaliśmy do siebie. Wiedziałam, że muszę teraz uporządkować ten bałagan.

Gazety były lokalne, „Star Tribune” oraz „Pioneer Press” z St. Paul. Pod nimi znalazłam list informacyjny od związku zawodowego policjantów i ulotkę Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt (Shiloh wpłacał czasami pieniądze na ich konto) oraz rachunek telefoniczny z billingiem. Szybko przebiegłam wzrokiem numery. Wszystkie wydały mi się znajome, nic nie budziło podejrzeń. Katalog od firmy zajmującej się sprzedażą broni z wetkniętą między kartki barwną reklamówką: „...tak wysoko ceniony, że kupuje go dla swych pracowników policja izraelska...”. Pognieciona biała papierowa torebka z delikatesów w centrum, płaska i pusta - przypomniałam sobie, że mniej więcej trzy tygodnie wcześniej przyniosłam w niej coś na kolację. Kawałek kartki z zapisanym telefonem, który rozpoznałam dopiero po chwili - był to numer miejscowego biura FBI.

Pod tymi wszystkimi rzeczami, na najniższym poziomie archeologicznym, leżały dwa arkusze kartonu, jeden zaplamiony czerwoną stearyną. Były pamiątką kolacji, którą zjedliśmy w dniu naszego ślubu, przed dwoma miesiącami. Shiloh wyciągnął skądś sześciokątną czerwoną świecę i zapalił ją ironicznie sentymentalnym gestem, podkładając pod nią arkusz kartonu, żeby topiąca się stearyna nie popłamiła blatu.

Nie znalazłam żadnej wiadomości od Shiloha.

Zawróciłam do drzwi wejściowych, żeby rozpocząć poszukiwania od początku. Szczerze mówiąc, nie wierzyłam, aby Shilohowi stało się coś złego. Tkwiło we mnie głębokie przekonanie, że nie jest ranny ani tym bardziej martwy, ale mimo wszystko chciałam rozejrzeć się po domu.

Drzwi nie nosiły śladów włamania, zamek zaskakiwał i otwierał się normalnie. Obeszłam wszystkie pomieszczenia, sprawdzając, czy ktoś nie próbował dostać się do środka przez okno. Nic. Za meblami czały się tylko kłęбки kurzu. Nie brakowało żadnego cennego przedmiotu ani tym bardziej tanie-

go, w każdym razie tak mi się wydawało. Półki były pełne książek Shiloha, jak zwykle, zresztą i tak nigdy nie potrafiłabym powiedzieć, czy któraś z nich zniknęła. Mój mąż miał bardzo urozmaicone zainteresowania - czytał beletrystykę, pamiętniki, książki historyczne, dramaty i poezję Szekspira, teksty o prowadzeniu dochodzenia, Biblię, wiersze zupełnie nieznanymi mi autorów: Saundersa Lewisa, Sinclaira Goldmana.

Nie znalazłam nic, co przypominałoby plamy zaschniętej krwi.

W sypialni panował względny porządek, ale zdążyłam już tam trochę nabałaganić - rano nie posłałam łóżka, zrywając się w pośpiechu po telefonie Vanga.

Kiedy znikają dzieci, na początku zaglądam pod ich łóżka. Większość dzieciaków uważa, że jest to najbezpieczniejsza na świecie skrytka, dziewczęta często chowają tam pamiętniki. Dorosli wykazują się większą rozważą i przebiegłością w ukrywaniu swoich skarbów.

Przysiadłam na piętach i podwinęłam koc, zwisający z nierównej powierzchni materaca.

- No, nie...-jęknęłam.

Nie była schowana, tylko po prostu lekko wepchnięta pod łóżko, żeby nie plątała się pod nogami. Gdybym poprzedniego wieczoru spojrzała w dół, na pewno zobaczyłabym przyćmiony błysk światła na czarnej skórze tuż pod ramą łóżka.

Jednym szarpnięciem wyciągnęłam podniszczoną walizkę Shiloha. Była ciężka, najwyraźniej pełna. Otworzyłam ją. Kosmetyczka na przybory do golenia, w środku szczoteczka do zębów. Shiloh dobrze sobie radził w każdej sytuacji. Spakował się i wsunął walizkę pod łóżko, żeby nie zawadzała mu w naszej malutkiej sypialni.

Na starannie złożonych ubraniach spoczywał egzemplarz klasycznego opracowania na temat dochodzenia, a między kartkami skryptu, niczym zakładka, tkwił bilet na samolot linii lotniczych Northwest, odlatujący o czternastej trzydzieści pięć do Waszyngtonu.

Nie pojechał nawet na lotnisko. Dziwne, ale właśnie to sprawiło, że nagle ujrzałam całą tę sytuację w prawdziwym świetle.

Rozdział 7

Nie jestem pewna, jak długo siedziałam przy łóżku, nie myśląc, lecz całą sobą chłonąc świadomość tego, co się stało. Minęło trochę czasu, zanim wstałam, poszłam do kuchni i stałam na środku domu i życia, które Shiloh zostawił w Minneapolis.

Zaginiony dorosły mężczyzna. Na co Genevieve i ja zwróciłybyśmy przede wszystkim uwagę?

Na pieniądze. Jak wyglądały jego finanse? Na tyle źle, aby chciał uciec z miasta? Jak układało mu się z żoną? Czy miał kochankę? Problem z alkoholem lub narkotykami? Czy był zamieszany w jakąś działalność przestępczą? Czy miał kryminalną przeszłość? Spotykał się z przestępcami? Czy miał poważnych wrogów? Kto skorzystałby na jego śmierci? Czy wiemy, gdzie przebywał tuż przed zniknięciem? Jeżeli nie, to jak wyglądał jego dom? Gdzie jest samochód?

Niezwykle płodne poletko pytań, tyle że mogłam odpowiedzieć na nie wszystkie w ciągu minuty.

Finanse Shiloha były moimi finansami i wiedziałam, że nie dzieje się z nimi nic złego.

Stan naszego małżeństwa? Rozmowy z małżonkami nauczyły mnie, że żadne pytanie nie stwarza takich możliwości do okłamywania siebie jak właśnie to, ale Shiloh i ja naprawdę nie mieliśmy kłopotów. Pobraliśmy się zaledwie przed dwoma miesiącami, więc musielibyśmy bardzo się starać, żeby w tak krótkim czasie spieprzyć sprawę.

W lodówce zawsze trzymaliśmy dwie zielone butelki piwa Heineken na wypadek niespodziewanej wizyty gości. Wciąż stały na miejscu, nietknięte. Chociaż Shiloh odszedł od religii

swego dzieciństwa, jego osobowość pozostała naznaczona prawie pustelniczymi cechami. Kiedy go poznałam, od czasu do czasu pozwalał sobie na alkohol, lecz później w ogóle przestał pić, a jeśli chodzi o narkotyki, to nigdy nie widziałam, żeby brał coś mocniejszego niż aspiryna.

Przeszłość kryminalna przekreśliłaby wszelkie szanse Shiloha na pracę w FBI, przeszedł rygorystyczną lustrację. Z przestępcami miał do czynienia wyłącznie jako detektyw, który utrzymuje normalne w tej sytuacji kontakty z informatorami.

Wrogowie? Sądzę, że Annelise Eliot, która za jego sprawą trafiła do więzienia po trzynastu latach ukrywania się, miała powód go nienawidzić. Wiedziałam jednak także, że Eliot skierowała swoją wrogość na większe i bardziej polityczne cele, na przykład kalifornijskich prawników, których otwarcie oskarżyła w mediach o robienie kariery na jej sprawie, podkreślając jednocześnie, że jest niewinna.

Nie znałam nikogo, kto mógłby odnieść korzyść ze śmierci Shiloha.

Nasz dom z całą pewnością nie był sceną zbrodni. Przeszukałam go już i wiedziałam, że nic nie budziło najmniejszych podejrzeń.

Przygryzłam koniec ołówka.

Może zabrałam się do tego w niewłaściwy sposób. Myślałam o Shilohu bezosobowo, a przecież znałam go, i to chyba lepiej niż ktokolwiek inny. Miałam do czynienia z perwersyjnie idealną sytuacją.

Co robił Shiloh przez półtora dnia mojej nieobecności? Następnego dnia wybierał się do Wirginii. Spakował się, to oczywiste. Możliwe, że wcześniej zrobił pranie. I prawdopodobnie poszedł kupić coś do jedzenia, bo zapasy w lodówce uzupełnialiśmy raczej z dnia na dzień niż raz na tydzień.

Shiloh codziennie biegał. Uwielbiał pokonywać duże odległości, większe niż pięciokilometrowe odcinki, które mogłam przebiec razem z nim i które stanowiły szczyt moich możliwości, więc dałabym głowę, że zafundował sobie tę przyjemność. Co jeszcze? Może czytał, może oglądał mecz ko-

szykówki w telewizji. Niewykluczone, że wcześniej poszedł spać, zachęcany panującą w domu ciszą.

Bezpieczny, łatwy do przewidzenia, nudny bieg wydarzeń. Żadne z zajęć, które mogłam sobie wyobrazić, nie stwarzało możliwości czy okazji do nagłego zniknięcia Shiloha. Chyba że...

Długodystansowy bieg byłby najbardziej niebezpieczną częścią weekendowej rutyny, jaką przed chwilą zrekonstruowałam. Zdecydowana większość biegaczy w najgorszym razie natyka się na upierdliwego psa, ale zdarzają się wyjątki. Czasami trasa wiedzie przez odosobnione, ciemne miejsca, nieoświetlone blaskiem latarni. Najczęściej sanitariusze wynoszą takich nieszczęśników z parków i ścieżek zdrowia, gdzie ogłuszył ich lub zranił amator portfela albo komórki, lecz wysoki, młody i atletyczny Shiloh raczej nie był idealnym celem dla złodzieja. Tak czy inaczej, nie powinnam lekceważyć teorii o nieszczęśliwym wypadku w czasie biegu, bo wydawała się przynajmniej z grubsza sensowna.

Wróciłam do sypialni i otworzyłam walizkę. Przeglądając spakowane ubrania, zobaczyłam szarozielony T-shirt, w którym Shiloh zwykle biegał i grał w kosza. Przy samym brzegu, zawinięte w foliową torbę, żeby podeszwy nie pobrudziły czystych rzeczy, tkwiły jego jedyne buty do biegania.

Znalazłam buty i koszulkę do biegania, ale nigdzie w domu ani w walizce nie było butów na grubych, solidnych podeszwach i kurtki Shiloha. Poczułam leciutką satysfakcję - robiłam postępy.

Shiloh wybrał się gdzieś pieszo. Nie na długodystansowy bieg i nie na lotnisko. Miał jakąś sprawę do załatwienia. Wyszedł z domu w codziennym ubraniu i nie wrócił.

Ciszę rozdarł dzwonek telefonu.

- To ja - powiedział Vang. - Przyszło do ciebie parę faktów ze szpitali w Wirginii. W ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin nigdzie nie przyjęli nikogo, kto odpowiadałby opisowi twojego męża...

- Wiem - odparłam.

- Kiedy masz do czynienia z zaginięciem, co do którego są jak najgorsze przeczucia, o wszystkim decyduje pierwszych dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin - powiedziała mi Genevieve, gdy zaczynałam pracę jako jej partnerka. - Trzeba więc pracować szybko i nie szczędzić wysiłków.

Zwykle chodziło o dzieci lub o kobiety, których zaginięcie stwierdzano w podejrzanych okolicznościach, a były to najczęściej: widoczne ślady włamania albo bójki, chór przyjaciół, opowiadających o rzucającym groźby byłym chłopaku, starania zaginionej o wydanie sądowego nakazu, zabraniającego byłemu partnerowi wszelkich kontaktów.

Żadna z tych okoliczności nie towarzyszyła zniknięciu Shiloha. Pierwsze trzydzieści sześć godzin spędziłam w całkowitej nieświadomości, że mój mąż zaginął.

Ale teraz zamierzałam zrobić wszystko, co należało zrobić wcześniej - w ciągu dwudziestu czterech godzin prześledzić i sprawdzić wszystkie możliwe aspekty tej sprawy.

Musiałam porozmawiać z sąsiadami, lecz większość pracowała i wracała do domu dopiero późnym popołudniem. Wiedziałam, że w rozmowach z dalszymi sąsiadami potrzebne mi będzie zdjęcie Shiloha, by pobudzić ich pamięć.

Była tylko jedna osoba, która doskonale знаła Shiloha z widzenia i prawie zawsze przebywała w domu.

Wdowa Muzio prawdopodobnie widywała mojego męża znacznie częściej niż inni sąsiedzi. Uwielbiała go, głównie dlatego, że się nią opiekował. Robił to, ponieważ Nedda Muzio mieszkała sama i powoli traciła kontakt z rzeczywistością.

Pani Muzio miała starego psa o pogodnym, przyjaznym usposobieniu i kwadratowej budowie ciała, ni to owczarka niemieckiego, ni to skarlałego charta, po prostu kundla.

Ta suczka o imieniu Snoopy miała zwyczaj uciekać z podwórka pani Muzio przez rozchwianą, nie domykającą się furtkę. Shiloh często słyszał, jak wdowa bezskutecznie nawołyuje Snoopy i wyruszał na poszukiwania. Znajdował psa przy pojemniku na śmieci któregoś z sąsiadów i odprowadzał do domu.

Pani Muzio zawsze dawała wyraz ogromnej radości z powrotu Snoopy, częściowo dlatego, że przypisywała zniknięcia swojej ulubienicy „draniom”, którzy ją okradali. Ci sami dranie wyciągali jej czek emerytalny ze skrzynki na listy wtedy, gdy pani Muzio zapominała, że pierwszy dzień miesiąca przypada dopiero w następnym tygodniu. Włamywali się też do jej domu i odkręcali krany, zabierali jedzenie z kredensu i zaglądali w nocy przez okna. Shiloh cierpliwie uspokajał sąsiadkę, ale nigdy nie rozbijał fikcyjnej struktury świata, którą sama stworzyła. Wolał świadczyć jej bardziej konkretną pomoc i któregoś sobotniego popołudnia naprawił zepsutą furtkę, dzięki czemu Snoopy przestała uciekać.

Kiedy przeprowadziłam się do Shiloha, pani Muzio przez dłuższy czas mierzyła mnie krytycznymi, podejrzliwymi spojrzeniami. W swojej demencji natychmiast uznała mnie za wroga.

- Dlaczego mnie okradasz?! - krzyczała, gdy Snoopy znowu wymknęła się z podwórka. - *Strega!* - mamrotała na mój widok.

„Strega”, czyli „wiedźma” - sprawdziłam to w słowniku włosko-angielskim. Rozbawiony Shiloh często opowiadał mi, że szeptem ostrzegała go przed „tą kobietą”, głęboko zatroskana o jego szczęście.

I nagle, bez żadnego konkretnego powodu (w każdym razie ja nie mogłam się go dopatrzeć), może dlatego, że wiatr zmienił kierunek, pani Muzio spojrzała na mnie przychylnym wzrokiem. Przestała zwracać się do mnie per *strega*; stałam się dla niej nawet nie dziewczyną Shiloha, ale *fidanzata*, jego narzeczoną.

Idąc do niej, z niepokojem popatrzyłam na prowadzący do jej drzwi chodnik. Beton pękał miejscami pod wpływem drgań płyt tektonicznych, poruszanych energią minnesotańskich zim i lat. Pani Muzio mogła się łatwo potknąć i przewrócić; postanowiłam powiedzieć o tym Shilohowi, kiedy znowu go zobaczę.

Zapukałam do drzwi, uderzając w panel nie knykciem,

lecz bokiem dłoni, dość mocno. Nie dlatego, że byłam nieuprzejma, po prostu wiedziałam o kłopotach ze słuchem, na jakie już od dawna skarżyła się pani Muzio.

- Dzień dobry, czy mogę wejść? - zapytałam, kiedy stanęła w progu.

Licząca najwyżej metr pięćdziesiąt parę wzrostu przygarbiona staruszka wyprostowała się i uniosła ku mnie łagodną, lekko uśmiechniętą twarz.

- Poznaje mnie pani, prawda? - upewniłam się.

- *Fidanzata* - powiedziała, uśmiechając się szerzej.

- Już nie, wzięliśmy ślub - wyjaśniłam.

Nie zareagowała.

- Mogę wejść? - powtórzyłam, wycierając buty o wycieraczkę, aby podkreślić, o co mi chodzi.

Lubiłam dom pani Muzio. Dużo gotowała, przyrządzając proste dania z hodowanych w ogródku warzyw, i w rezultacie całe wnętrze pachniało włoską kuchnią, nie zapleśniałą starością, której zaduch zwykle czuło się w domach ludzi po osiemdziesiątce.

Pani Muzio parzyła właśnie kawę. Stałam na popękany, jasnoróżowym linoleum i przyglądałam się jej. Nie zrozumiała, kiedy powiedziałam jej, że Shiloh i ja wzięliśmy ślub. Nie miało to większego znaczenia, ale jeżeli nie umiałam przekazać jej tak prostej rzeczy, to jak mogłam liczyć, że z naszej rozmowy wyniknie coś dobrego... Czy w ogóle miałam szanse do niej trafić?

Pochwyciłam jej spojrzenie.

- Nie jestem już *fidanzata* - powiedziałam. - Wzięliśmy ślub.

Popatrzyła na mnie bez cienia zrozumienia. Uniosłam prawą dłoń, pokazałam jej obrączkę.

- Wzięliśmy ślub, widzi pani?

Zrozumiała. Uśmiechnęła się.

- To cudownie! - ucieszyła się.

Mówiła z wyraźnym włoskim akcentem. Przypomniały mi się filmy o życiu włoskich emigrantów w Ameryce, w których

prawie zawsze pojawia się postać starej wdowy. Nalała kawę do filiżanek i usiadłyśmy przy kuchennym stole.

- Jak tam Snoopy? - zapytałam.

- Snoopy? - Ruchem głowy wskazała kuchenne drzwi, pod którymi spał pies. Posiwały pysk spoczywał na linoleum, tuż obok pustej miski. - Snoopy jest... - zastanowiła się. - Jest stara, tak jak ja...

Roześmiała się, jej oczy zabłysły.

Nagle ujrzałam młodą dziewczynę z Sycylii, dziewczynę o ciemnych oczach, wesołym uśmiechu i silnym, sprawnym ciele. Wcześniej nigdy nie zauważyłam, że nadal żyła w przygarbionej wdowie. Zawstydziłam się.

- Proszę posłuchać, muszę z panią porozmawiać - odezwałam się. - Pamięta pani mojego męża, Mike'a?

- Mike'a?

- Tak. - Kiwnęłam głową. - Widziała go pani ostatnio?

- Naprawił mi furtkę.

- To było parę miesięcy temu, ale czy widziała go pani w tym tygodniu? Kiedy widziała go pani ostatni raz? - powtarzałam pytanie, starając się pobudzić jej pamięć.

- Widziałam, jak szedł ulicą...

- Którego dnia?

Zmrużyła oczy, jakby usiłowała zobaczyć oddalającą się postać Shiloha.

- Wczoraj? - W jej głosie brzmiała niepewność.

- Chyba nie wczoraj... Pamięta pani może coś jeszcze, co zdarzyło się tamtego dnia? Coś, dzięki czemu mogłybyśmy określić, kiedy to było?

- Gubernator przemawiał przez radio.

- O czym mówił?

Potrząsnęła głową.

- Przemawiał przez radio. Chyba był zły.

- I było to tego samego dnia, kiedy widziała pani Mike'a na ulicy?

- Tak. Mike idzie ulicą. Chyba jest zły. Bardzo poważna twarz.

- Dobrze. A zauważyła pani ostatnio coś dziwnego? Może ktoś kręcił się w pobliżu naszego domu?

Wiedziałam, że najprawdopodobniej otwieram puszkę Pandory i uwalniam nieistniejące w rzeczywistości obrazy wszechobecnych „drani”, ale pani Muzio zdecydowanie pokręciła głową. Jak zwykle miała kłopoty z pamięcią, ale tego dnia demencjadała jej spokój.

Posiedziałam jeszcze dziesięć minut, rozmawiając z nią o sąsiadach z nadzieją, że przypadkiem poruszę jakiś temat, który skojarzy jej się z czymś ważnym dla mnie, ale niczego się nie dowiedziałam. Wstałam i postawiłam pustą filiżankę w zlewie.

- Wychodzi pani? - zapytała.

- Kiedy Mike wróci, na pewno panią odwiedzimy - obiecałam.

Na dworze zimny wiatr, którego wcześniej nie zauważyłam, huśtał nagimi gałęziami drzew.

Pani Muzio utrzymuje, że ostatni raz widziała Siloha idącego ulicą. Jej zdaniem sprawiał wrażenie rozgniewanego i miał bardzo poważną twarz. Tego samego dnia gubernator przemawiał przez radio i chyba był zły. W świecie pani Muzio wszyscy wydawali się wzburzeni, pełni gniewu. Zastanawiałam się, do jakiego stopnia mogę polegać na jej informacjach.

Z drugiej strony, kiedy Shiloh popadał w zamyślenie, jego twarz często przybierała poważny, wręcz surowy wyraz, niektórzy mogli go interpretować jako gniew, więc może stara pani Muzio miała rację...

Zapamiętała Shiloha idącego ulicą. Nie biegnącego, nie jadącego czymś samochodem. To pasowało do mojej teorii, że Shiloh wybrał się gdzieś pieszo, może niedaleko, i już nie wrócił do domu.

Miałam za sobą najtrudniejszą rozmowę. Zawsze warto zaczynać od najtrudniejszego zadania i kończyć na najłatwiejszym. Teraz powinnam pogadać z Darrylem Hawkinsem. Spojrzałam na zegar w mojej komórce. Dochodziła trzecia, więc było jeszcze za wcześnie. Darryl i jego żona wracali z pracy koło piątej. Nie chciałam marnować czasu.

Nadal nie miałam dobrego zdjęcia mojego męża, które mogłabym dołączyć do formalnego zgłoszenia o zaginięciu. To, które nosiłam w głębokiej kieszonce portfela, zupełnie nie nadawało się do tego celu. Shiloh nie wiedział chyba nawet, że je mam.

Annelise Eliot nie wierzyła, że zostanie zidentyfikowana i aresztowana po ponad dziesięciu latach spokojnego życia pod przybranym nazwiskiem. Kiedy Shiloh w końcu zjawił się u niej z nakazem aresztowania, straciła panowanie nad sobą. Działając pod wpływem impulsu, podobnie jak trzynaście lat wcześniej, gdy popełniła morderstwo, chwyciła nóż do otwierania listów i zaatakowała nim policjanta. Shiloh, który zawsze miał świetny refleks, zasłonił się uniesioną ręką, ale Eliot głęboko zraniła go w dłoń.

Miejscowe media nie wiedziały o aresztowaniu, lecz już następnego dnia dziennikarze czekali na oskarżoną i policję przed gmachem sądu w St. Paul.

Na pierwszych stronach „Star Tribune” i „Pioneer Press” umieszczono to samo zdjęcie - Shiloh w niewielkiej grupie umundurowanych policjantów, prowadzący Annelise Eliot na pierwsze przesłuchanie, grzecznie, lecz zdecydowanie przytrzymujący ją za ramię; wyraźnie widać bandaż na jego dłoni.

Ten wizerunek Shiloha miał dla mnie szczególne znaczenie. To był prawdziwy Shiloh i dlatego wycięłam fotografię z gazety. Tak czy inaczej, nie mogłam pokazać jej obcym, bo Shiloh odwrócił twarz od reporterów, ukazując tylko profil.

Kiedy wróciłam do domu, chwyciłam słuchawkę i wybrałam numer, który znałam już na pamięć.

Debra poszła zawołać Genevieve do telefonu.

- To ja - powiedziałam, gdy usłyszałam głos przyjaciółki. - Muszę poprosić cię o dziwną przysługę...

Cisza.

- Jesteś tam? - zapytałam.

- Jestem.

- Kiedy byliśmy u ciebie w dzień Bożego Narodzenia, Kamareia miała aparat fotograficzny. - Dopiero teraz, kiedy z ta-

kim trudem wypowiedziałam imię dziewczyny, uświadomiłam sobie, że podczas wizyty u Genevieve ani razu o niej nie wspomniałam. - Robiła wszystkim dużo zdjęć, także Shilohowi. Muszę wpaść do ciebie i wziąć jedno.

Znowu cisza, lecz tym razem Gen przerwała ją sama.

- W porządku.

- Muszę wiedzieć, gdzie mogą być te zdjęcia - dodałam.

- Zaraz, zaraz... - powiedziała powoli. - Na półce w swojej szafie Kam trzyma pudełko po butach... Widziałam, że ma tam dużo fotografii.

- Dobrze. Dom jest zamknięty, tak?

- Tak, ale Evansowie, ci z naprzeciwka, mają klucz. - Genevieve znowu na chwilę umilkła. - Zadzwoń do nich i uprzedź, że wpadniesz.

- Dzięki. Rozmawiałaś może ostatnio z Shilohem?

- Nie - odparła. - Od dawna z nim nie rozmawiałam.

Prawie zawsze prosiłyśmy rodziny o aktualne zdjęcia zaginionych osób. Był to jeden z najważniejszych elementów procesu poszukiwania.

Genevieve najwyraźniej nie wpadła na to, że z Shilohem stało się coś złego. Przynajmniej pozornie nie widziała nic dziwnego w fakcie, że muszę wybrać się do jej pustego, zamkniętego domu, aby poszukać aktualnego zdjęcia mojego męża.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedziałam, chociaż wcale w to nie wierzyłam i odłożyłam słuchawkę.

Rozdział 8

W dniu śmierci jedyne dziecko Genevieve w pracy wszystko układało nam się doskonale, czułyśmy, że los nam sprzyja. Pamiętam, że obie byłyśmy w świetnych nastrojach.

Tamtego ranka podwiozłam Gen do pracy, ponieważ jej samochód był w warsztacie, a potem odwiozłam ją do domu. Genevieve powiedziała, że skoro ją odwożę, to powinnam zostać

na kolacji. Doszliśmy też do wniosku, że zabierzemy ze sobą Shiloha.

Shiloh był wtedy całkowiec pochłonięty analizowaniem poszlak i dowodów, które trochę później naprowadziły go na trop Annelise Eliot, chociaż nikt nie wierzył, aby było to możliwe. Nie chciał odrywać się od pracy i jechać z nami, ale wspólnym wysiłkiem jakoś udało nam się go namówić. Szczególnych starań dołożyła Genevieve, szczerze zmartwiona, że Shiloh się pracowuje.

Był luty, jeden z tych dni, kiedy to Minneapolis przytłacza gruba warstwa ciężkich, nisko wiszących chmur, które w gruncie rzeczy dają więcej ciepła niż słoneczna, rześka pogoda. Rano spadł świeżutki śnieg i przykrył czarne od sadzy kupki starego śniegu, leżące na brzegu chodników od pierwszych tygodni zimy.

Tylko ostatnia sprawa, jaką załatwiłyśmy, w pewnym sensie okazała się stratą czasu - było to zgłoszenie zaginięcia dziecka. Pojechaliśmy do niewielkiego kompleksu domów mieszkalnych w Edina na rozmowę z młodym ojcem, którego sześćioletni syn nie wrócił ze szkoły żółtym autobusem.

Młody człowiek („Mówcie mi: Tom”) był - zjawisko dość rzadkie - rozwiedzionym ojcem, któremu sąd przyznał prawo do opieki nad dzieckiem.

- Chociaż nie było lekko - powiedział, wprowadzając nas do salonu, gdzie pod ścianami piętrzyły się kartonowe pudła.

- Dopiero się wprowadziliście? - zapytałam i w tej samej chwili zorientowałam się, że nie są to kartony pozostałe po przeprowadzce, ponieważ wszystkie były takiej samej wielkości i kształtu.

- Nie - odparł. - To są sokowirówki. Prowadzę sprzedaż ziołowych produktów dietetycznych, no i tych maszynek. Parę tygodni temu dostałem dyplom instruktora fitnessu, więc przy okazji staram się zbudować stałą bazę klientów. Mam mnóstwo roboty.

Nie widziałyśmy powodu, aby wątpić w jego słowa. Tom miał szczupłą, lecz muskularną sylwetkę sportowca, a jego

brązowe oczy były uważne, skupione, ale wyprane z osobistego zainteresowania rozmówcą, jak na dobrego sprzedawcę przystało.

Czasami, niezależnie od zewnętrznych okoliczności zniknięcia, od pierwszej chwili mam uczucie, że nie stało się nic naprawdę złego. Kiedy razem z Genevieve zaczęłam zadawać Tomowi pytania, natychmiast poczułam, że jego synkowi nic nie grozi.

Oczywiście najbardziej interesowała nas była żona Toma - uprowadzenia dzieci przez pozbawionych prawa do opieki nad nimi rodziców zdarzają się znacznie częściej niż zwyczajne porwania.

- Nie, to niemożliwe. - Tom zdecydowanie potrząsnął głową. - Dzwoniłem już do Denise, do pracy. Mocno ją wystraszyłem, ale prosiłem, żeby na razie spokojnie czekała, bo już was zawiadomiłem... - Zmarszczył brwi. - Denise na pewno nie zabrałaby Jordy'ego tak ni stąd, ni zowąd. Szczerze mówiąc, trudno mi ją przekonać, aby spędzała z Jordym tyle czasu, ile powinna. Ma nowego chłopaka, a poza tym kompletnego kręcka na punkcie antyków. Kiedy zwykle przyjeżdżam po Jordy'ego w sobotę po południu, okazuje się, że przez cały dzień chodził z Denise po antykwiariatach, oglądając abażury Tiffany'ego i piękną porcelanę. Same powiedzcie, czy w ten sposób dostarcza się rozrywki sześciolatkowi?

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć.

- A inni krewni? - zapytałam.

- Pyta pani, czy ktoś inny mógł odebrać go ze szkoły? - Tom ściągnął brwi. - Nie wyobrażam sobie, kto mógłby to zrobić. Moja rodzina mieszka w Wisconsin, a rodzina Denise... - Przerwał tak nagle, jakby poraził go prąd. - O, nie... -jęknął.

Genevieve i ja spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo. Eureka.

- Co się stało? - ponagliła Genevieve.

- O, nie! - Tom zaczerwienił się, chyba raczej ze złości niż z zażenowania. - Moment! - Zerwał się z miejsca i pobiegł do telefonu.

Wybrał numer i odbył z kimś krótką rozmowę. W ciągu minuty stało się jasne, że Jordy jest cały, zdrowy i bezpieczny.

- Jest tam? - dopytywał się Tom. - Jest? Zaraz po niego przyjadę!

Zerknęłam na Gen.

- Jak myślisz, siostra żony? - mruknęłam.

Pokręciła głową.

- Teściowa Toma, dam sobie rękę uciąć...

Chcąc nie chcąc, słyszałyśmy fragmenty rozmowy, wypowiedziane coraz ostrzejszym tonem.

- Nawet mi o tym nie wspomniałaś! Boże, tak się martwiłem... Nie, nie uprzedziłaś! Mówiłem zresztą, że nie musisz zabierać go do fryzjera! Nie, nic nie ustaliliśmy, nie zgodziłem się, nic z tych rzeczy... Przekręcasz moje słowa, żeby... Jego włosy nie są... Nie, wszyscy chłopcy noszą teraz takie fryzury! W ogóle mnie nie słuchasz!

Po chwili nawet opanowana, niewzruszona Genevieve utkwiała wzrok w przeciwnym rogu pokoju i potarła palcem skrzydełko nosa, jak często robią ludzie, gdy woleliby nie słyszeć rozmowy, której są świadkami. Podniosłam się, mając nadzieję, że w ten sposób Tom zrozumie, iż musimy się zbierać, skoro wszystko dobrze się skończyło.

- Dobrze, nie mam teraz czasu - powiedział Tom. - Przyjadę po niego. Nie, ja przyjadę! Nigdzie nie wychodźcie!

Odłożył słuchawkę i wrócił do nas, z ponurą miną kręcąc głową.

- Matka Denise - wyjaśnił. - Nie mogę w to uwierzyć... Chociaż, dlaczego nie... Ta kobieta nie może znieść myśli, że to mnie sąd przyznał prawo do opieki nad Jordym. Nie może się z tym pogodzić.

Dokładnie powiedział nam, skąd całe nieporozumienie. Niedawno rozmawiał z teściową na temat fryzury Jordy'ego i właśnie na podstawie tej rozmowy kobieta doszła do całkowicie błędnego wniosku, że Tom pozwolił jej odebrać małego ze szkoły i zawieść do fryzjera w Burnsville, gdzie mieszkała.

- Powiedziałem jej, że Jordy nie potrzebuje strzyżenia, ale oczywiście ona mówi teraz, że się zgodziłem.

Tom opowiedział nam obu tę historię, lecz obserwacja jego zachowania była naprawdę bardzo interesująca. Na początku patrzył na mnie, może dlatego, że byłem mniej więcej w jego wieku, wyglądałam na stałą klientkę siłowni, a może dlatego, że nie miałam obrączki na palcu. Kiedy jednak nie dopatrzył się w mojej twarzy zachęty do dalszego wylewania żalów, najzupełniej prawidłowo zidentyfikował Genevieve jako lepszą słuchaczkę, ponieważ ona przynajmniej kiwała głową we właściwych momentach. Stopniowo zmienił kierunek spojrzeń i skupił całą uwagę na Gen. To właśnie jej przedstawił tło swoich kłopotów i krótką historię trudnych kontaktów z byłą teściową, która wtrącała się we wszystko, udzielała zbędnych rad i pozwalała sobie na słabo zawoalowane zjadliwości na temat umiejętności wychowawczych Toma.

Wykorzystałam sytuację, zesłam z linii widzenia stroskanego ojca i podeszłam do wychodzącego na parking okna. Trójka ciepło ubranych dzieciaków rzucała piłką do przymocowanego do słupka kosza z obciążoną siatką, jakie można kupić w sklepach sportowych. Pomyślałam, że kiedy znajdą się na prawdziwym boisku, z koszem zawieszonym na normalnej wysokości, czeka ich niemiła niespodzianka.

Odchrząknęłam.

- Gen, naprawdę powinniśmy już lecieć - odezwałam się. Ale Gen miała miękkie serce.

- Rozumiem, że nie chce pan wnosić oskarżenia, ale może byłoby dobrze, gdybyśmy obie porozmawiały z pańską teściową i wytłumaczyły jej, że zabieranie dziecka bez jasno wyrażonej zgody rodzica to bardzo poważna sprawa - powiedziała.

Spojrzałam za plecami Toma na Genevieve, marszcząc brwi i potrząsając głową. Zignorowała mnie, ale na szczęście jej propozycja nie została przyjęta.

- Nie... - Tom westchnął. - To nic nie da. Będzie w kółko

powtarzała, że się zgodziłem. Powie wam nawet, że umówiliśmy się właśnie na dzisiaj. Tak czy inaczej, serdecznie dziękuję.

Poczułam ulgę, ale Tom jeszcze z nami nie skończył. W drodze do drzwi próbował sprzedać Genevieve sokowirówkę. Gen odmówiła, lecz wcisnął jej do ręki swoją wizytówkę na wypadek, gdyby jednak zmieniła zdanie.

- Co za pomysł, żeby pojechać do Burnsville i wysłuchać drugiej wersji tej męczącej rodzinnej kłótni? - warknęłam, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

Genevieve spojrzała na mnie spokojnie.

- To mogło być całkiem interesujące. Nie jesteś ani trochę ciekawa, czy babcia rzeczywiście jest starą wiedźmą, jak twierdzi Tom? A gdyby okazała się pełną uroku, rozsądną starszą damą, która doskonale wie, co mówi i w dodatku ma rację? - przyspieszyła lekko, żeby włączyć się do ruchu.

- Czyżbyś chciała porównać ją z innymi pełnymi uroku, rozsądnymi ludźmi, z którymi zawsze mamy do czynienia w związku z naszą pracą? - zapytałam. - Zresztą nawet gdyby faktycznie tak było, to wycieczka do Burnsville nie jest chyba najlepszym sposobem wykorzystania czasu, za który dostajemy pieniądze, prawda?

- Byłby to proaktywny sposób uprawiania naszego zawodu - powiedziała tonem urodzonej pedantki. - Lepsza chyba wizyta w Burnsville niż ostra interwencja następnym razem, kiedy babunia zdecyduje się znowu zabrać Jordy'ego bez zgody ojca, co?

Nie umiałam odpowiedzieć na to pytanie, więc przez resztę drogi zgodnie milczaliśmy.

- Z czego się tak śmiałaś? - zapytała Gen, gdy byliśmy już w biurze.

- U Toma? Wcale się nie śmiałam. Wydawało mi się, że zdołałam zachować całkowitą powagę w chwili, kiedy wreszcie uświadomił sobie, gdzie jest jego dzieciak.

Genevieve wytarła serwetką plamiący tuszem długopis, a następnie wyrzuciła go do kosza na śmieci.

- Nie wtedy, tylko kilka minut wcześniej, w kuchni. Spojrzałam na ciebie i zobaczyłam, że dosłownie krztusisz się ze śmiechu. Musiałam odwrócić uwagę tego biedaka, żeby się nie zdenerwował.

Zastanawiałam się chwilę.

- Ach, wtedy... Nie zauważyłaś tego znaczka na lodówce?

- Jakie znaczka?

- Na lodówce miał magnesik reklamujący te ziołowe produkty dietetyczne, z napisem: „Zgubiłem 30 kilogramów. Zapytaj mnie, jak!”. - O mały włos znowu nie parsknęłam śmiechem. - Miałam go tuż przed oczami i nagle pomyślałam o tym małym, nic na to nie poradzę...

Genevieve zamrugała ze zdziwienia.

- Sześćoletnie dziecko waży koło 30 kilogramów. „Zgubiłem 30 kilogramów”, rozumiesz?

Zrozumiała.

- Czasami masz takie współczujące serduszko... - Pokręciła głową. - A nie przyszło ci do głowy, że Jordy'ego mógł porwać jakiś cholerny pedofil i...

- Bzdury - przerwałam. - Od początku, odkąd weszliśmy do tego mieszkania, wiedziałaś, tak samo jak ja, że chłopcu nic się nie stało. Przez parę minut zastanawiałam się nawet, czy nie zgubił się gdzieś między tymi wszystkimi pudłami, mówię poważnie...

Obdarzyła mnie spokojnym, pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem.

- Jesteś wściekła, bo nie spodobałaś mu się na tyle, żeby chciał ci sprzedać sokowirówkę! - oznajmiła triumfalnie.

- Jasne! - prychnęłam. - A wiesz, dlaczego? Bo ludzie nigdy nie próbują wciskać mi gówna! Strasznie mnie wkurzają ci domowi sprzedawcy...

- No, świetnie! - Westchnęła. - Teraz pogadamy sobie o domowej sprzedaży...

- Bo jak to się dzieje, że ludzie wierzą we wszelkie ogłoszenia w rodzaju: „Zarób wielkie pieniądze, pracując w domu”? Ci „domowi sprzedawcy” sprzedają towary wszystkim swoim

krewnym, przyjaciółom, znajomym i sąsiadom, prawda? Więc co to ma w ogóle wspólnego z prawdziwą sprzedażą? I co się dzieje, kiedy ten tak zwany sprzedawca przeleci już całą listę przyjaciół?

- Niektórym z nas zajęłoby to mniej czasu niż innym... - mruknęła.

Minęła dłuższa chwila, zanim zorientowałam się, o co jej chodzi. Skrzywiłam się.

- Czasami jesteś taka złośliwa, że po prostu można się wściec!

Nie okazała skruchy.

- Chcę tylko powiedzieć, że dzięki takiej pracy samotny rodzic, na przykład Tom, ma więcej czasu, żeby być w domu, z synem - oznajmiła tolerancyjnym tonem. - Poza tym to jest kwintesencja amerykańskiego marzenia, nie sądzisz? Każdy chce być swoim własnym szefem, pracować na własną rękę...

- Nie ja. - Podniosłam rękę. - Ja jestem całkowicie zadowolona z tego, że pracuję dla ciebie.

- Och, litości! - jęknęła Genevieve. - Przecież to ja wykonuję czarną robotę w tym niby-partnerstwie! To ja zajmuję uwagę niczego nieświadomych biedaków, kiedy ty pękasz ze śmiechu w trakcie przesłuchania!

Odwróciła się do mnie tyłem i zaczęła pisać na komputerze, ale nie zamierzałam tak łatwo odpuścić. Uwielbiałam ją prowokować.

- Genevieve? - odezwałam się cicho.

- Tak?

Spojrzała na mnie dopiero po paru minutach, kiedy moje milczenie w końcu ją zaintrygowało.

- No, co takiego?

- „Zgubiłem 30 kilogramów”...

Odwróciła się znowu, ale nie dość szybko. Jej ramiona dygotały, śmiała się. Wygrałam.

Niejedna osoba mogłaby poczuć się zgorszona, ale policyjne poczucie humoru często jest dość mroczne. Spieszę zapewnić, że nie ma to najmniejszego wpływu na naszą pracę.

- Doigrasz się, zobaczysz. - Z uśmiechem pogroziła mi palcem. - Poczekaj, aż sama będziesz miała dziecko, wtedy zrozumiesz i zapragniesz pojechać do Edyny i na kolanach błagać tego nieszczęsnego faceta o wybaczenie, co tam, na kolanach - na czworakach...

Jakiś czas pracowałyśmy w milczeniu. Kiedy usłyszałam skrzypienie szuflady w jej biurku, wiedziałam, że skończyłyśmy pracę. Gen wyjmowała torebkę, szykując się do wyjścia.

- Jesteś mniej więcej gotowa? - zapytała.

Nie zawsze wychodziłyśmy z pracy o tej samej porze, ale tamtego dnia odwoziłam ją do domu.

- Tak - powiedziałam, rozprostowując plecy i ramiona.

Zatrzasnęła szufladę.

- Masz ochotę zostać na kolacji, skoro i tak jedziemy do mnie?

- Dobry pomysł - odparłam, przyglądając się, jak wstaje i owija szyję czerwonym szalikiem, wyciągając spod niego krótkie kosmyki ciemnych włosów. - Ostatnio często jadam kolację sama, bo Shiloh prawie codziennie pracuje do późna.

- Niedobrze. - Pokręciła głową. - Vincent robił to samo, kiedy przygotowywał się do egzaminu adwokackiego. Nigdy nie było go w domu. Czasami bałam się, że Kam zacznie wołać: „Tatusiu!” do każdego wysokiego czarnoskórego mężczyzny, jakiego zobaczy na ulicy. - Genevieve włożyła kurtkę i poprawiła czerwony szalik. - No, w takim razie chodźmy po niego...

- Nie pojedzie z nami - oświadczyłam, kiedy szliśmy w kierunku windy. - Rozpracowuje sprawę tej Eliot.

- Pozwól, że ja się nim zajmę.

- Świetnie, zaskocz mnie, pokaż, w jak niezwykle umiejętny sposób radzisz sobie z Shilohem... - wymamrotałam. - Nie, nie tędy! - Złapałam ją za ramię. - Nie idziemy na posterunek.

Spojrzała na mnie pytająco.

- Stawiam pięć dolców, że o tej porze siedzi w bibliotece prawniczej.

I rzeczywiście, siedział tam, pogrążony w pracy. Kiedy stanęłyśmy przy jego stole, podniósł wzrok.

- Cześć - powiedziałam, kładąc jedną rękę na stole.
- Cześć - odpowiedział.

Musnął wierzch mojej dłoni palcami. Ten gest trudno było dostrzec, chyba że ktoś patrzył w tej chwili na blat stołu.

- Będę w domu za jakieś półtorej godziny - dodał cicho. - Witaj, Genevieve, co u ciebie?

- Wszystko w porządku. Sara i ja zabieramy cię do mnie na kolację.

- Nie mogę - rzekł krótko.

- Jestem już winna pięć dolarów twojej dziewczynie, która założyła się ze mną, że cię tu znajdziemy. - Genevieve westchnęła, chociaż moja uwaga wcale nie była prawdziwą propozycją zakładu. - Musisz mi to jakoś wynagrodzić, nie masz wyjścia...

Shiloh spojrzął na nią, sięgnął do kieszeni po portfel, wyjął z niego pięciodolarowy banknot i położył go na stole.

- Przestań się z nią zakładać, bo przegrasz więcej - powiedział i znowu przeniósł wzrok na rozłożone dookoła dokumenty, jakby spodziewał się, że Genevieve natychmiast odejdzie.

- Kamareia ma dla was prezent - nie ustępowała Gen.

- Jaki prezent? - zapytał Shiloh.

- Wasze zdjęcie z gwiazdkowego przyjęcia u nas.

- Broń Boże nie dźwigaj tego do pracy - rzucił z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. - Wiem, jakie ciężkie są fotografie robione polaroidem...

Genevieve milczała.

- Mam tu coś ważnego - rzekł Shiloh. - A przecież wiesz, że nie mogę zajmować się tym w godzinach pracy...

Przysiadła na piętach, chcąc zająrzeć mu w twarz.

- Za ciężko pracujesz - powiedziała łagodnie. - Musisz nauczyć się wrzucać luz, Shiloh...

Nie odpowiedział.

- Brakuje nam ciebie - dodała.

Odgarnął włosy z czoła.

- Kto gotuje, ty czy Kamareia?

- Kamareia, masz szczęście. - Uśmiechnęła się.

Wiedziała już, że wygrała.

Było koło szóstej trzydzieści, kiedy podjechalśmy pod jej dom. Na parterze było ciemno, lecz z klatki schodowej sączyło się światło razem z cichą muzyką z radia.

Genevieve zapaliła lampy, wydobywając z mroku pustą, wysprzątaną kuchnię. Kamarei nie było. Gen zmarszczyła brwi.

- Dziwne, mówiła mi przecież, że koło szóstej weźmie się do kolacji. - Spojrzała w kierunku schodów i płynących z góry odgłosów włączonego radia. - Może jest na górze...

Rozumiałam jej zdziwienie. Kamareia była odpowiedzialna i naprawdę lubiła gotować.

- Wszystko w porządku - pośpieszyłam z zapewnieniem. - Nie umieramy z głodu, jakoś przeżyjemy...

- Zaraz sprawdzę, co się dzieje - powiedziała.

Oparłam się o ścianę pod schodami, czekając na Gen. Słyszałam, jak puka we framugę drzwi córki i nie znajduje jej tam. W miarę jak przechodziła z jednego pokoju do drugiego, w jej głosie pojawiła się pytająca nuta, ale nie był to jeszcze niepokój.

- Saro... - dobiegł mnie głos Shiloha.

Odwrociłam się. Ruchem głowy wskazał rozsuwane, przeszkłone drzwi, wychodzące na tyły domu. Były zamknięte, lecz na świeżym śniegu wyraźnie rysowały się ślady stóp.

Teren za domem Genevieve należał w połowie do niej, a w połowie do najbliższych sąsiadów, Myersów. Nie rozdzielili posiadłości płotem, więc dokładnie widziałam tył ich domu. Nie mogłam dostrzec, co dzieje się z frontu, ale wśród posadzonych z boku krzewów migotały w znajomym rytmie czerwone światła.

Kamareia, pomyślałam. Nie miałam cienia wątpliwości, że stało się coś złego. Nawet nie zaświtało mi w głowie, że to komuś z rodziny Myersów przydarzyło się nieszczęście, a Kam poszła tylko udzielić pomocy i zadzwonić na pogotowie.

Myersów nie było. Podobnie jak w domu Genevieve, na parterze panowała ciemność. Piętro pulsowało światłem i gwarem. Wbiegłam na górę, przeskakując po dwa schodki na raz.

Na półpiętrze leżał kawałek rury długości mniej więcej siedemdziesięciu centymetrów, cały we krwi. Podłogę znaczyły plamy krwi i krwawe odciski butów.

W przeciwieństwie do reszty domu, sypialnia była jasno oświetlona. Elektryczne światło zalewało dwoje pracowników pogotowia, rzucony na podłogę telefon w kłębie splątanego kabla i Kamareię, naga od pasa w dół, z udami i łydkami czerwonymi od krwi. Na podłodze było mnóstwo krwi. Za dużo. Przypomniałam sobie leżącą na półpiętrze rurę i już wiedziałam, że dziewczyna została nią skatowana.

Cofnęłam się tak gwałtownie, że o mało nie poślizgnęłam się na drewnianej podłodze i jednym ruchem dopadłam progu. Genevieve była już w połowie schodów, Shiloh biegł za nią. Spojrzałam mu w oczy i szybko potrząsnęłam głową. Natychmiast zrozumiał, o co mi chodzi i chwycił Genevieve w pól, przytrzymując ją mocno.

Wróciłam do sypialni i przyklekłam obok Kamarei. Kiedy zebrałam siły, żeby na nią spojrzeć, zobaczyłam, że oczy ma otwarte, chociaż nie wiedziałam, czy mnie widzi.

- Proszę się cofnąć. - Głos pielęgniarki brzmiał tak ostro, jak pozwalała na to jej południowy akcent.

- Jestem przyjaciółką rodziny - powiedziałam. - Jej matka jest tutaj. Proszę ją czymś przykryć, jeżeli pani może...

Za drzwiami dobiegał mnie głos Genevieve, która krzyczała na Shiloha, żeby ją puścił. Ona także widziała rurę i plamy krwi.

- Może raczej powinna pani zająć się matką- zasugerował młody sanitariusz.

Nie ulegało wątpliwości, że Shiloh z najwyższym trudem utrzymuje Genevieve na półpiętrze.

- Kamareia jest ranna, nie wiem jeszcze, co z nią - powiedziałam głośno ze szczytu schodów. - Ona cię słyszy, Gen. Jeśli chcesz pomóc, to się uspokój.

Genevieve nadal próbowała dojrzeć, co dzieje się w sypialni, ale przestała się szarpać i krzyczeć na Shiloha, który mimo to nie uwolnił jej z uścisku.

- Dobrze - rzuciłam. - Musisz być twarda za nią i za siebie, postaraj się myśleć, że jesteś w pracy...

- Co jej się stało? - Głos Genevieve był dziwnie wysoki, zupełnie obcy.

Wtedy wynieśli Kamareię. Przykryli ją kocem, ale wystarczyło spojrzeć na twarz, żeby wszystko zrozumieć. Nos i usta, częściowo zasłonięte maską tlenową, wyglądały jak rozlewisko zasychającej krwi; było oczywiste, że otrzymała co najmniej kilka ciosów w twarz. Jej krwią poplamione były także ubrania pracowników pogotowia i ich jasne lateksowe rękawiczki.

Genevieve wyrwała się z ramion Shiloha i dotknęła twarzy córki, potem podniosła dłoń do czoła, jakby miała zaraz zemdleć. Shiloh znowu ją chwycił i ostrożnie posadził na podłodze.

- Możesz zostać tu i zająć się nią? - zapytałam.

Shiloh przeszedł trochę dokładniejsze szkolenie medyczne niż ja, bo gdy zaczynał pracę w Montanie, policjanci musieli zajmować się także udzielaniem pierwszej pomocy w nagłych wypadkach. Skinął głową, patrzył jednak nie na mnie, ale na Kamareię, która z każdą chwilą coraz bardziej się od nas oddalała.

Dogoniłam sanitariuszy już na dworze.

- Jadę z wami - rzuciłam.

Młody mężczyzna był w już w karetce razem z Kamareią, kobieta właśnie zamykała drzwi.

Zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem. Spod utlenionej grzywki i starannie wyregulowanych brwi patrzyły oczy tak chłodne i zdecydowane, że poczułam się trochę niepewnie, zupełnie jakbym stała przed lekarzem dowodzącym zespołem operacyjnym. Ta pielęgniarka dokładnie wiedziała, co robi, a nikt nie lubi, gdy mu się mówią, w jaki sposób powinien wykonywać swoją pracę.

- To znaczy, chciałabym z wami pojechać - sprostowałam pośpiesznie. - Jej matka jest zupełnie wytraconą z równowagi, a Kam powinna mieć przy sobie kogoś bliskiego... - Zrobiłam krok do przodu. - Jeżeli jeszcze nie wezwała pani zespołu kry-

minalnego policji, proszę zrobić to po drodze. Powinni jak najszybciej pobrać odciski palców i przeprowadzić potrzebne badania.

Chyba się zorientowała, że jestem gliną, bo szybko kiwnęła głową.

- Zaraz po nich zadzwonię - powiedziała. - Niech pani wsiada.

Evansowie, sąsiedzi, którzy mieli klucz Genevieve, wracali z pracy dopiero po południu, ale miałam szczęście, ponieważ zastałam w domu ich córkę, która studiowała na miejscowej uczelni i mieszkała z rodzicami.

- Zajmie mi to jakieś piętnaście minut, najwyżej dwadzieścia - powiedziałam, biorąc z jej ręki klucze.

Pomyślałam, że może będę musiała poświęcić trochę czasu na poszukiwania, jeżeli pudełka po butach nie będzie we wskazanym przez Genevieve miejscu albo okaże się, że nie ma w nim zdjęć.

Przeszłam na drugą stronę spokojnej uliczki, zabudowanej wysokimi, wąskimi domami. Chwilę stałam na ganku, mimo woli wspominając tamten lutowy dzień, a potem wsunęłam klucz do zamka i przekręciłam go.

W domu panował nieco przykurzony porządek, który zwykle wita nas po długiej nieobecności. Przed wyjazdem Gen starannie posprzątała. Dostrzegłam ślady po odkurzaczu na dywanie i kilka świeżych odcisków stóp, niewątpliwie pozostawionych przez córkę Evansów. Na parapecie i półkach stały doniczki z kwiatami, zielonymi i obficie obsypanymi liśćmi, które trzeba było przecież podlewać.

Pokój sprawiał wrażenie większego i bardziej pustego, niż zapamiętałam. Kiedy byłam tu ostatni raz, w rogu obok kominika stała pękata, duża jodła, przystrojona kolorowymi lampkami, wokół niej kłębił się tłumek roześmianych, lekko wstawionych gliniarzy i kuratorów sądowych, a Kamareia z zapałem pstrykała jedno zdjęcie po drugim.

Poszłam na górę i zapaliłam światło w pokoju, który kiedyś

należał do córki mojej przyjaciółki. Wcześniej nigdy do niego nie zaglądałam, ale nie miałam cienia wątpliwości, że od dnia jej śmierci nic w nim się nie zmieniło.

Wnętrze utrzymane było w jasnych, pastelowych barwach - brzoskwińowa kołdra i narzuta na łożku, sosnowe biurko, kremowe ściany. Dość typowy pokój nastolatki ze szkoły średniej, tyle że ze ściany groźnym wzrokiem patrzył Tupać Shakur.

Kamareia kochała poezję, lecz w przeciwieństwie do Shiloha dawała wyraz swojej pasji, ustawiając na półkach ulubione dzieła w chronologicznym porządku, od najstarszego, którym były *Opowieści z Canterbury*, po najnowsze, zbiór wierszy Mayi Angelou. Kolaż barwnych plam na okładce przypominał mi nagle, że chyba widziałam tę książkę w dłoniach Shiloha.

Przykucnęłam i wyjęłam zbiór z najniższej półki. Na stronie tytułowej widniała wypisana ręką Shiloha prosta, krótka dedykacja - DLA KAMAREI, RZEŹBIARKI SŁÓW.

Szkolny plecak stał na podłodze przy biurku, gotowy, aby właścicielka chwyciła go, zarzuciła na ramię i zniosła do szkoły. Przyszłam tu w zupełnie innym celu, ale trochę wbrew sobie zajrzałam do środka - wewnątrz znajdował się notes z kartkami na spiralnych kółkach, skrypt do matematyki i *Rozmowy z Amiri Baraka*.

Najprawdopodobniej właśnie te rzeczy przyniosła z zajęć w dniu swojej śmierci; nienaruszona zawartość plecaka wskazywała wyraźnie, że Genevieve zamknęła drzwi pokoju córki, nie zamierzając nic w nim zmieniać.

Gen dobrze znała zwyczaje Kamarei. Pudełko po butach rzeczywiście znajdowało się na najwyższej półce szafy i zawierało kilka kopert z wywołanymi zdjęciami. Na każdej widniała pieczętka z datą wywołania, ostatnią oznaczono datą 27 grudnia.

Wyjęłam z niej plik zdjęć. Niektóre przedstawiały moich kolegów i przyjaciół, inne zupełnie obcych ludzi. Na jednym ujrzałam siebie z Shilohem, który obejmował mnie ramieniem i uśmiechał się szeroko, co zdarzało mu się naprawdę rzadko.

Wzięłam tę fotografię i jeszcze jedną, Shiloha stojącego

z Genevieve obok wesołej, przysadzistej choinki. Dokładnie widać było na niej twarz mojego męża i prawie całe jego ciało - obecność Genevieve i choinki dawała pewne wyobrażenie o jego wzroście.

Włożyłam zdjęcia z powrotem do koperty i odstawiłam pudełko na półkę, gdzie trzymała je Kamareia. Albo trzyma, jak powiedziała Genevieve. Trzyma...

Do diabła z tym wszystkim, pomyślałam, zbiegając na dół po dwa schodki na raz. Czułam, że muszę natychmiast wyjść z tego domu.

Darryl Hawkins, jego żona Virginia oraz ich jedenastoletnia córka Tamara mieszkali w dzielnicy Northeast od dość niedawna. Darryl pracował jako roznosiciel poczty. Miał trzydzieści parę lat, ale wyglądał na dwudziestoparolatka; zaraz po przeprowadzce zjawił się na naszym podjeździe, żeby z podziwem przyjrzeć się mojemu samochodowi. Sam był właścicielem mercury cougara, którego wciąż naprawiał. Rozmawialiśmy o wozach blisko dwadzieścia minut.

Shiloh od razu zwrócił uwagę na coś jeszcze - Hawkinsowie mieli dużego czarnego psa, który wyglądał na krzyżówkę labradora z rottweilerem i był trzymany na łańcuchu.

Boczną furtkę i część ogrodzenia wokół posiadłości Hawkinsów zbudowano z szeroko rozstawionych sztachet, dlatego codziennie patrzyliśmy na przykute do łańcucha zwierzę. Pies regularnie dostawał jedzenie i wodę, a przy złej pogodzie nocował w sieni, ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś z rodziny wychodził z nim na spacer, bawił się czy biegał.

Niepokoiło mnie to, ale nie tak bardzo jak Shiloha.

- Dobrze, że chociaż nie bije tego biednego kundla - powiedziałam. - Nie tłucze także żony, w przeciwieństwie do ostatniego faceta, który tam mieszkał.

- Zwierzę nie powinno tak żyć - odparł Shiloh.

- Czasami nie można nic poradzić na to, jak zachowują się inni.

Na jakiś czas Shiloh dał sobie spokój, ale któregoś popołu-

dnia zobaczyłam, że siedzi na parapecie okna wychodzącego na ulicę. Gryzł jabłko i przyglądał się czemuś czy komuś. Podeszłam bliżej i ujrzałam Darryla Hawkinsa, który z pietyzmem woskował swojego ciemnoniebieskiego cougara.

- Znowu myślisz o tym psie, prawda? - zapytałam.

- Hawkins co tydzień poświęca kilkanaście godzin na dopieszczanie swojego cholernego samochodu, który jest przecież tylko martwym przedmiotem, do diabła!

- Oduść sobie - poradziłam.

Ale Shiloh cisnął ogryzek w krzaki, przerzucił nogi przez parapet i zeskoczył na trawę przed naszym domem.

Spędził po drugiej stronie ulicy mniej więcej piętnaście minut. Żaden z nich nie podniósł głosu - usłyszałabym, bo stałam przy oknie. Darryl Hawkins wyprostował się sztywno na samym początku rozmowy i podszedł bardzo blisko do Shiloha, który nie cofnął się nawet o milimetr. Widziałam gniew nawet w linii jego karku i pleców. Kiedy wrócił, oczy miał pociemniałe ze złości.

Nie zapytałam, co sobie powiedzieli, ale ta rozmowa położyła kres miłym stosunkom między naszymi domami. Virginia Hawkins unikała mojego wzroku, wyraźnie zażenowana, kiedy mijałyśmy się na targu.

Gdy wróciłam z St. Paul, niebieski cougar stał na podjeździe.

Drzwi otworzył Darryl, wciąż jeszcze w pocztowym uniformie.

- Co słyszać? - zapytałam.

- Wszystko w porządku - odparł bez uśmiechu.

- Potrzebna mi wasza pomoc.

Nie zaprosił mnie do środka, ale otworzył siatkowe drzwi, tak że znaleźliśmy się twarzą w twarz.

- Znacie mojego męża, Shiloha?

- Aha... - Hawkins prychnął krótkim, pozbawionym wesołości śmiechem.

- Czy któreś z was widziało go w ciągu ostatnich kilku dni?

- Widziało go? Jak to? O co ci chodzi?

- Szukam go - odrzekłam. - Pięć dni temu nie wrócił do domu i od tego czasu nie mam od niego żadnych wiadomości, zresztą nikt inny także nie...

Darryl uniósł brwi.

- Nie wrócił do domu? A to ci dopiero... Gdybyś to ty nabrała rozumu i odeszła, łatwo bym to zrozumiał, ale...

- Nie przyszedłam po to, żeby wysłuchiwać pochlebstw kosztem Shiloha - przerwałam mu spokojnie. - On nie odszedł, tylko zagaął. Staram się dowiedzieć, kiedy widzieliście go ostatni raz, a może zauważyliście coś dziwnego w pobliżu naszego domu lub w okolicy...

- Nie zauważyłem niczego niezwykłego. - Darryl oparł się o drzwi. - A twój facet? Ciagle widzę, jak wychodzi pobiegać, więc przestałem już o tym nawet myśleć, nie rejestruję, czy dzieje się to codziennie, czy nie. Nie pamiętam, kiedy widziałem go ostatni raz. - Wzruszył ramionami. - Teraz, kiedy o tym mówisz, wydaje mi się, że w ogóle nie widziałem go od jakiegoś tygodnia...

- W porządku. - Kiwnęłam głową. - Zapytaj żonę i Tamarę, czy nic nie zwróciło ich uwagi i daj mi znać, gdyby sobie coś przypomniały, dobrze?

- Jasne. - Drzwi z metalowej siatki były już prawie zamknięte, lecz znowu je uchylił. - Nie wiedziałem, że jesteście małżeństwem.

- Wzięliśmy ślub dwa miesiące temu.

- No, tak... Słuchaj, jeżeli przyjdzie mi coś do głowy, zawiadomię cię, naprawdę.

- Dziękuję.

Rozmowy z innymi sąsiadami okazały się równie bezowocne. Nikt nie mógł sobie przypomnieć nic szczególnego. Wszyscy od czasu do czasu widywali Shiloha, kiedy wychodził pobiegać, lecz nie w ostatnich dniach.

Podsuwałam jego fotografię dalszym sąsiadom, pracownikom sklepów i firm znajdujących się blisko naszego domu, dzieciakom na rowerach i wracającym po południu do domu dorosłym.

- Chyba skądś go znam... - mówili niektórzy, uważnie przyglądając się twarzy na zdjęciu.

Ale nikt nie pamiętał, czy widział Shiloha w minioną sobotę lub niedzielę.

Ibrahim przywitał mnie uniesieniem dłoni, kiedy pchnęłam drzwi do sklepu na stacji benzynowej Conoco. Zaczekałam, aż skończy obsługiwać klienta i dopiero wtedy powiedziałam mu, z czym przyszedłam.

Skinął głową.

- Mike był tutaj parę dni temu. - Spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek. - Może trochę wcześniej, sam już nie wiem...

Ibrahim posługiwał się doskonałym angielskim; gdyby nie jego akcent, nikt by nie odgadł, że wychował się nie w Stanach, ale w odległej Aleksandrii.

- Przed ostatnią niedzielą? - zapytałam.

W zamyśleniu potarł powiększającą się łysinę.

- Spróbuj przypomnieć sobie coś innego, co także wydarzyło się tamtego dnia - poradziłam mu. - To często pomaga uporządkować fakty...

Jego oczy zabłyśły.

- Wieczorem tego dnia odebrałem dostawę paliwa, więc była to sobota...

- Shiloh zjawił się tu przed dostawą czy później?

- Och, na pewno przed dostawą. Było koło południa, może pierwsza... Teraz już pamiętam - kupił dwie kanapki, jabłko i butelkę wody.

- Może powiedział coś, co utkwilo ci w pamięci?

Potrząsnął głową.

- Zapytał, co u mnie, ja zapytałam, jak się czuje, i to wszystko.

- Co odpowiedział?

- Przykro mi, nie pamiętam... - Zmarszczył brwi.

- Więc na pewno powiedział, że u niego wszystko w porządku - zauważyłam gorzko.

Uśmiechnął się.

- Bystra z ciebie kobieta, Saro.
- Nie do końca - mruknełam.

Kiedy weszłam do domu, czerwona lampka automatycznej sekretarki mrugała rytmicznie. Jedna wiadomość, odczytałam na małym ekranie.

- Saro, Ainsley Carter prosi, żebyś do niej zadzwoniła, kiedy będziesz miała wolną chwilę - odezwał się nagrany głos Vanga. - Podała numer spoza stanu, więc chyba wróciła już do Bemidji...

Chwyliłam długopis i szybko zapisałam serię cyfr.

Ainsley podniosła słuchawkę po czwartym sygnale.

- Och, cieszę się, że pani dzwoni! - zawołała.
- Jak Ellie?
- Wygląda na to, że dużo lepiej.

Pogodna nuta, brzmiąca w jej głosie, powiedziała mi, że nie stara się udawać, ale naprawdę czuje ulgę.

- Wczoraj lekarze pozwolili jej wrócić z nami do domu - ciągnęła. - Joe i ja postanowiliśmy, że może zamieszkać u nas, a psychiatra uspokoił nas, że pod opieką rodziny powinna szybko dojść do siebie. Szukamy tu dla niej psychoterapeuty.

- To dobrze. Jestem wam do czegoś potrzebna?

- Nie, nie! - zapewniła pośpiesznie. - Chciałam tylko pani podziękować... To, co pani zrobiła tamtego dnia... Byłam zbyt zdenerwowana, żeby wtedy w pełni zdać sobie z tego sprawę, ale teraz już wiem, że było to coś niezwykłego...

Mój skok do rzeki, chwilowa sława wśród kolegów z wydziału, towarzyszące jej zażenowanie, wszystko to wydawało mi się tak odległe, jakby wydarzyło się co najmniej przed rokiem.

- Cieszę się, że Ellie odzyskuje równowagę - powiedziałam.

- Wszystko na to wskazuje. Naprawdę wierzę, że poradzi sobie z życiem. Chciałam zapytać...

- Tak? - odezwałam się, kiedy przez dłuższą chwilę milczała.

- Próbowałam złapać panią w pracy, ale od pani partnera

dowiedziałam się, że jest pani na urlopie. Nie chciał mi powiedzieć, dlaczego...

- Po prostu, jestem na urlopie.

- Chyba nie z powodu Ellie?

- Oczywiście, że nie - odparłam. - Dlaczego miałabym...

- To, co pani zrobiła, było tak niezwykle, że przyszło mi do głowy, iż może złamała pani obowiązujące w takich wypadkach procedury i dlatego wysłano panią na urlop - przerwała mi z lekkim śmiechem. - Przestraszyłam się, że może ma pani przykrości...

- Nie, nic z tych rzeczy - powiedziała. - Wzięłam urlop z powodów osobistych, nie ma powodu do obaw.

- Och, całe szczęście... Cieszę się, że udało mi się z panią porozmawiać. Pomyślałam, że po tym, co pani dla niej zrobiła, powinna pani wiedzieć, że nie jest z nią źle i to już zamknięta sprawa.

- Dziękuję...

Ainsley mówiła prawdę. W mojej pracy często mam styczność nie z przestępcami, lecz z ludźmi uginającymi się pod masą problemów, z którymi nie umieją sobie poradzić. Często się zdarza, że policjanci odwożą niektórych ludzi na obserwację na oddziałach psychiatrycznych, kontaktują się z gorącymi liniami dla ofiar przemocy w rodzinie lub przemocy seksualnej, a potem nikt nigdy ich nie informuje, jakie są dalsze losy ich chwilowych podopiecznych.

- Wiele razy w mojej pracy chciałam wiedzieć, że wszystko dobrze się skończyło - powiedziała.

Pożegnałyśmy się, a ja przez chwilę łudziłam się nadzieją, że dobre wiadomości o Ellie poprawią mi nastrój, nie czułam jednak zupełnie nic i w końcu usiadłam przed telewizorem, żeby obejrzeć wieczorny serwis informacyjny. Włączyłam w połowie informacji, którą mętnie zapamiętałam z porannych dzienników radiowych.

W sobotę patrol drogowy znalazł niedaleko Blue Earth forda pikapa, który rozbił się o drzewo. Właściciela wozu, sześćdziesięcioletniego mężczyzny, do tej pory nie odnaleziono. Po-

licjanci byli zdania, że w rezultacie powypadkowego szoku stracił orientację, odszedł z miejsca wypadku i błąka się gdzieś w okolicy. Cała historia nie zasługiwała na czas antenowy, który jej poświęcono, zwłaszcza że do wypadku doszło w sporej odległości od Minneapolis, lecz zdjęcia były niezłe - policyjny helikopter krążący nad jesiennymi koronami drzew, pies tropiciel, szarpący się na smyczy, ładowany na lawetę pomocy drogowej pikap. Z przodu maska forda była paskudnie wgnieciona, lecz poza tym samochód wyglądał przyzwoicie; nie ulegało wątpliwości, że właściciel bardzo o niego dbał, bo czarny lakier lśnił czystością, skażony jedynie uszkodzeniami w przedniej części.

Prezenter serwisu przeszedł do wiadomości ze świata, kiedy w kuchni rozdzwonił się telefon.

- Czy rozmawiam z Sarą Shiloh? - Nieznajomy męski głos posłużył się nazwiskiem, którego rzadko używałam jako własnego.

- Tak.

- Tu Frank Rossella z biura medycyny sądowej, przykro mi, że nie skontaktowałam się z panią w pracy...

- O co chodzi? - zapytałam.

- Mamy tu niezidentyfikowane zwłoki, chyba powinna pani do nas wpaść.

Gdy szłam do samochodu, przypomniało mi się, co powiedziałam Ainsley Carter: „Wiele razy chciałam wiedzieć, że wszystko dobrze się skończyło”.

Usiadłam za kierownicą i wsunęłam kluczyk do stacyjki. Oto twoja zamknięta sprawa, Saro, szumiało mi w głowie. Oto zamknięta sprawa, zamknięta sprawa...

Zagłuszyłam ten głos, włączając silnik.

Rozdział 9

Nawet gliniarze, którzy nie pracują w wydziale zabójstw, też zbyt często mają okazję odwiedzać kostnicę. Czasami zja-

wiałam się tam sama, tylko z czyjąś fotografią w rękę, kiedy indziej z krewnymi zaginionej osoby, aby pomóc im przejść proces identyfikacji.

Dość dawno nie byłam w kostnicy, nie znałam więc pomocnika lekarza sądowego, który przedstawił się jako Frank Rossella, od niedawna zatrudniony w wydziale medycyny sądowej. Jego płaskie, nieco gardłowe „a” sugerowało, że pochodzi z Bostonu albo Nowego Jorku.

Miał trzydzieści parę lat i około metra siedemdziesięciu wzrostu, kasztanowe włosy opadały dość długą grzywką na czoło. Jak na niewysokiego faceta poruszał się bardzo szybko i musiałam przyspieszyć, żeby dotrzymać mu kroku, kiedy szliśmy korytarzem między drzwiami z nierdzewnej stali, za którymi czekali zmarli.

Przystanęłam w progach. Stoły były puste, lecz obok jednego stał wózek ze zwłokami. Ciało było odsłonięte od stóp do szyi, głowa przykryta białym płótnem - odwrotnie niż zazwyczaj, gdy dla członków rodziny wystawia się starannie przykryte do szyi zwłoki z odsłoniętą twarzą.

Rossella zauważył kierunek mojego spojrzenia.

- Ktoś strzelił facetowi prosto w twarz z obrzyna - wyjaśnił. - Więc praktycznie nie ma czego identyfikować. Gdyby było inaczej, wysłałbym do pani zdjęcie. Wie pani przecież, że staramy się tak postępować, kiedy jest to możliwe, ale w tym wypadku to nie miało sensu. Badanie przednich zębów również jest poważnie utrudnione...

- Odciski palców? - odezwałam się.

Sformułowanie kompletnego pytania przekraczało w tej chwili moje możliwości.

- Także do niczego. Znaleźliśmy go w krzakach nad rzeką, trochę za miastem. Leżał tam jakiś czas, nie wiemy, jak długo. Zginął mniej więcej dwa dni temu, tylko tyle możemy określić.

Rossella czekał, nie spuszczać ze mnie wzroku. Podeszłam do wózka. Poczułam znajomy zapach, zapach Missisipi.

Twoje włosy pachną rzeką, usłyszałam głos Shiloha.

- Pani Shiloh?

Dopóki Rossella się nie odezwał, nie zdawałam sobie sprawy, że stoję z zamkniętymi oczami. Podniosłam powieki.

- Przepraszam... - powiedziałam.

Jesteś tu w pracy, przemówił nagle inny głos, już nie Shiloha, ale mój własny. Rób, co do ciebie należy. Popatrz na niego.

Chociaż wiele razy przeprowadzałam bliskich ofiar przez to doświadczenie, nagle odkryłam, że nie wiem, co robić. Czulałam się tak, jakbym zupełnie nieprzygotowana przystąpiła do ważnego egzaminu.

- Przepraszam - powtórzyłam cicho. - Twarz jest kompletnie zmasakrowana, więc nie wiem, czego szukać. Nie jestem pewna, czy cokolwiek mogę wykluczyć albo potwierdzić...

Zamordowany był mniej więcej wzrostu Shiloha, lecz wagę trudniej było określić. Mężczyzna rasy białej, to było oczywiste, chyba niezbyt solidnej budowy ciała.

- Ile ma wzrostu? - zapytałam.

- Sto osiemdziesiąt osiem centymetrów długości.

- Długości? - sama usłyszałam niesmak w swoim tonie, nie potrafiłam go ukryć.

- Wzrostu - poprawił się Rossella.

- Shiloh miał metr dziewięćdziesiąt dwa.

- Czasami wykonywane po śmierci pomiary są niedokładne - powiedział. - Kiedy ciało sztywnieje, kończyny ulegają lekkiemu przykurczowi, co utrudnia mierzenie... - Zawahał się na chwilę. - Szczerze mówiąc, musiałem połamać mu część palców, żeby pobrać odciski.

- Słucham? - wykrztusiłam.

Mimo woli natychmiast spojrzałam na ręce zmarłego, szukając wzrokiem powykrzywianych, wybitych ze stawów palców. Wiele razy słyszałam, jak ludzie strzelają knykциями, i to głośno. Trudno mi było wyobrazić sobie, jaki odgłos wydaje łamana kość.

Podniosłam oczy. Rossella wpatrywał się we mnie.

- To się zdarza - powiedział spokojnie. - Myślałam, że słyszała pani o takich wypadkach...

- Nie - odparłam, walcząc o odzyskanie równowagi.

Znowu spojrzałam na dłonie zamordowanego.

- Nie ma obrączki - odezwałam się.

- Mogli mu ją ściągnąć, jeśli był to napad rabunkowy - zauważył Rossella.

Podeszłam jeszcze bliżej, schyliłam się.

- O co chodzi? - zapytał.

Prawe ramię było naturalnie sztywne, więc nie mogłam go odgiąć. W końcu przysiadłam na piętach i lekko uniosłam dłoń, żeby ją obejrzeć. Po chwili odetchnęłam z ulgą.

- To nie on - powiedziałam.

- Widzi pani coś?

- Shiloh ma bliznę na tej dłoni, a ten człowiek nie...

- Rozumiem.

Ściągnął prześcieradło w dół, przykrywając całe ciało.

- Dziękuję, że pani przyjechała - rzekł. - Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro, że musiałem postawić panią w tej sytuacji...

Uśmiechnął się.

Kiedy szłam do windy, kolana mi drżały, na szczęście tylko trochę.

Na podjeździe przed naszym domem stał ciemny samochód nieznanej mi marki. Przy drzwiach dostrzegłam sylwetkę mężczyzny, którą wydobywały z mroku zainstalowane na dachu reflektory.

Zatrzymałam nową w połowie podjazdu i wyskoczyłam zza kierownicy.

Gdy odwrócił się i zszedł na chodnik, zobaczyłam jego twarz. Był to porucznik Radich, szef międzywydziałowego zespołu agencji antynarkotykowej.

- Porucznik Radich? Co się stało? - zapytałam.

Zatrzasnęłam drzwi wozu i ruszyłam w stronę domu przez trawnik, byle szybciej. Musiałam odezwać się ostrzejszym tonem, niż myślałam, bo szybko potrząsnął głową i unióś białą torbę, jakby chciał się poddać.

- Tak tylko wpadłem - powiedział. - Późno skończyłem robotę, poszedłem kupić sobie coś do jedzenia i pomyślałem, że może jesteś głodna...

Kiedy ostatni raz miałam coś w ustach? Rano zaparzyłam sobie kawę, później, już w pracy, znowu piłam kawę... Chyba w ogóle nic nie jadłam.

- Jestem głodna. - Uśmiechnęłam się lekko. - Proszę, niech pan wejdzie.

Poznałam Shiloha, gdy pracował jako tajny agent brygady antynarkotykowej. Radich był wtedy jego dowódcą, lecz ja zetknęłam się z nim już wcześniej, w sali do gry w kosza. Porucznik nie grywał tak często jak Shiloh czy ja, ale był naprawdę niezły. Miał pięćdziesiąt lat, naznaczoną wiecznym zmęczeniem twarz o oliwkowej cerze i siwe pasma w czarnych włosach.

- Odebrałem twoją wiadomość - powiedział, kiedy zapalałam światła w salonie i kuchni. - Nagrałem się na pocztę głosową w pracy, ale chyba powinienem był łąpać cię w domu. Nie widziałem Mike'a. Nie rozmawiałem z nim od jakichś trzech tygodni...

- Tak myślałam.

- Przykro mi.

- Ma pan ochotę na piwo? - zapytałam.

- Jasne.

Wyjęłam jedną z dwóch butelek piwa Heineken z przegródki na drzwiach lodówki i otworzyłam ją. Podeszłam do szafki i podałam Radichowi szklanę.

- Nie trzeba - powiedział.

Wziął zimną butelkę i pociągnął dwa duże łyki. Na jego znużonej twarzy odmalował się wyraz przyjemności i nagle poczułam zadowolenie, że mamy ten niewielki zapas piwa dla gości, chociaż sami nie pijemy alkoholu.

- Długi dzień? - zapytałam.

- Na pewno nie tak długi jak twój - rzekł. Postawił butelkę na stole i zaczął rozpakowywać torbę. - Siadaj i jedz.

Położył na serwetce dwie kanapki i pojemniczek sałatki

ziemniaczanej. Szybko wyjęłam talerze i łyżki, nalałam sobie szklankę mleka. Bałam się, że jeżeli o tej porze napiję się coli, ręce zaczną mi się trząść ze zmęczenia.

Jedliśmy w milczeniu. Kiedy sięgnęłam po kanapkę, bagietka była jeszcze ciepła, a żółty ser na krawędziach stopiony. Radich przyniósł mi ciepły posiłek. Starając się zapanować nad drżeniem dłoni, chyba po raz pierwszy w życiu uświadomiłam sobie, dlaczego wierzący ludzie wypowiadają modlitwę dziękczynną przed rozpoczęciem jedzenia.

Radich nie był tak głodny jak ja, ale także jadł szybko i ze smakiem. Prawie skończyłam już kanapkę, gdy zdecydował się odezwać.

- Co wiesz? - zapytał, patrząc na mnie znad butelki.

- Właściwie nic - odparłam. - Nie wiem, gdzie jest, ani dlaczego nie wrócił. Nie znam nikogo, kto miałby jakikolwiek pomysł, co się mogło stać. Gdyby nie był moim mężem i gdyby zlecono mi to dochodzenie, zamęczałabym jego żonę pytaniami, drażyłabym i wracała do tych samych spraw. Przecież to ja z nim mieszkałam, ja znałam go najlepiej i... i...

Nagle stało się coś dziwnego. Usłyszałam, jak mówię: „znałam go najlepiej”, i reszta zdania kompletnie mi uciekła. Nie miałam pojęcia, co dalej.

Radich położył mi rękę na ramieniu.

- Nic mi nie jest... - Przełknęłam odrobinę mleka. - I nikt nic nie wie... - Z ulgą przypomniałam sobie, co chciałam powiedzieć.

- Wrogowie? - zagadnął Radich.

Wzruszyłam ramionami.

- Każdy gliniarz musi się martwić, czy ktoś nie zechce się na nim zemścić, ale oboje jesteśmy ostrożni. Mamy zastrzeżony telefon, nigdy nie podajemy adresu. Shiloh podawał swoim informatorom tylko numer komórki.

Radich powoli skinął głową.

- Co już zrobiłaś?

- Mniej niż sądziłam, że uda mi się zrobić w ciągu jednego

dnia. Puściłam w obieg wiadomość o jego zaginięciu, przepytawałam sąsiadów. I... - Mimo woli wzdrygnęłam się. - I dopiero co byłam w kostnicy.

Po drugiej stronie kuchennej ściany przetoczył się przeciągły grzmot, potem seria przyciszonych, głuchych uderzeń. Radich podniósł wzrok.

- Co to jest, do diabła?

- Pociąg - odparłam. - Przesuwają towarowy na bocznice. Kiedy szepiąją wagony, drgania przechodzą przez cały skład, jak przez kręgi w kręgosłupie...

- Przyzwyczailiście się do tego?

- Taki hałas zdarza się raczej rzadko, ale pociągi przejeżdżają za naszym podwórkiem kilka razy dziennie, czasami częściej. Zdażyłam już przywyknąć, a Shiloh nawet to lubi.

- Wezwali cię do kostnicy, bo mają niezidentyfikowane zwłoki? - wrócił do najważniejszego tematu.

- Tak. To nie on.

Radich dokończył piwo.

- Dlaczego cię tam ściągnęli? Nie mogli pobrać odcisków palców?

- Chyba nie - powiedziałam. - Asystent koronera mówił, że odciski są do niczego.

- Dlaczego?

- Właściwie to nie wiem... - W kostnicy wyjaśnienia Rosselli brzmiały zupełnie rozsądnie i nawet nie przyszło mi do głowy, aby je kwestionować, pewnie głównie dlatego, że tak bardzo bałam się, iż to już koniec i w ogóle nie myślałam. - Twierdził, że ciało było długo wystawione na działanie czynników zewnętrznych...

Radich pokręcił głową.

- Zdaję sobie sprawę, że medycyna sądowa to nie twoja działka, zresztą moja także nie, ale wiem, że odciski można pobrać praktycznie zawsze. Słyszałem, że w naprawdę mocno rozgrzanym, suchym powietrzu skóra traci wilgoć i wtedy odciski zanikają, lecz są to niezwykle rzadkie wypadki.

- Tu na pewno nie chodziło o to.

Znowu miałam przed oczami prawą dłoń zabitego, na której szukałam pozostawionej przez Annelise Eliot blizny.

- Współczuję ci, że musiałaś tam jechać - rzekł Radich.

Zaczął pakować brudne serwetki i pojemnik po sałatce do torby.

- Sprzątnę to. - Ogarnęłam gestem stół. - Naprawdę dziękuję za posiłek...

Wstał i wyjął długopis z kieszeni kurtki.

- Masz mój telefon do pracy, ale chyba nie domowy. - Rozejrzył się, zobaczył jasnobrzoskwiniową kartkę, na której wydrukowano menu delikatesów, gdzie kupił kanapki, i szybko zapisał na niej dwa numery. - Domowy i komórkowy - wyjaśnił. - Gdybyś czegoś potrzebowała, pomocy albo... Albo czegoś do jedzenia... - Kąciki jego ust drgnęły lekko, jakby uważał, że w tych okolicznościach nawet uśmiech byłby przesadą. - Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, dzwoń bez wahania.

- Dziękuję - powiedziałam. - Bardzo dziękuję...

Nie wiedziałam, jak jeszcze mogłabym wyrazić wdzięczność.

- Trzymaj się, dziecko.

- Staram się...

- Wszyscy jesteśmy myślami z tobą.

W jego czarnych, ciepłych oczach wyczytałam współczucie. Radich to zbyt doświadczony gliniarz, by pocieszać mnie, że wszystko będzie dobrze.

Rozdział 10

Następnego dnia rano wstąpiłam do pracy. Vang siedział już przy biurku.

- Masz jakieś wiadomości, Pribek? - zapytał.

Potrząsnęłam głową.

- Nic. Doprowadza mnie to do szału. Nikt nic nie wie, nikt go nie widział.

Była to prawda. Odebrałam fakсы z linii lotniczych Qwest i z banku, i właśnie je przeglądałam. Zadzwoiłam pod jedyny numer telefoniczny z billingu, który był mi zupełnie nieznaany i okazało się, że należy on do biura prokuratora stanowego w San Diego. Prawnik prowadzący sprawę Eliot, Coverdell, wyjaśnił, że Shiloh musiał odpowiedzieć na kilka pytań w związku ze śledztwem.

- Kiedy rozmawiał pan z nim ostatni raz? - zapytałam Coverdella.

- Ponad tydzień temu, nie pamiętam dokładnie, którego dnia.

Vang odwrócił się, wybrał numer i przytrzymał słuchawkę ramieniem. W milczeniu notował coś na kartce, sprawdzając nagrane w czasie jego nieobecności informacje.

- Prewitt chce się z tobą widzieć - powiedział, odkładając słuchawkę.

- Tak? - Podniosłam wzrok, szukając w jego twarzy jakiejś wskazówki. Prewitt był naszym dowódcą. - Mówił dla czego?

- Chyba chodzi o twojego męża. Kazał ci powtórzyć, że- byś wpadła do niego, kiedy przyjdiesz. Nie sądzę, żeby było to coś pilnego, ale na twoim miejscu złapałabym go teraz, dopóki jest u siebie - przerwał. - Pojawił się Bonney, wiesz?

Spojrzałam na niego niepewnie.

- Ten skazany za molestowanie seksualne z Wayzata, pamiętasz? - wyjaśnił, widząc, że nie mam pojęcia, o kim mówi. - Okazało się, że zamienił się z kolegą z pracy, który za parę dni musi wziąć wolny dzień, więc jego nieobecność była zupełnie niewinna.

- Tak? - zapytałam bez zainteresowania.

- Przyznał się, że przejechał i zakopał psa. Płakał, kiedy nam o tym opowiadał. Hmmm... Chcesz zostać sama, tak?

- Przepraszam. - Podniosłam wzrok znad faksów. - Jestem trochę roztargniona, to prawda.

Vang pokiwał głową.

- W takim razie lecę. Za chwilę zaczyna się spotkanie zespołu poszukiwań zaginionych dzieci.

- No, tak...

Gdybym nie była na urlopie, poszłabym na to spotkanie. Genevieve także, gdyby...

Jednak ton głosu Vanga powiedział mi, że jeszcze nie skończył, więc pośpiesznie znowu oderwałam oczy od listu.

- Coś jeszcze?

- Posłuchaj, Prewitt skontaktował się z koronerem - rzekł Vang. - Poinformował go o Shilohu, więc niewykluczone, że zadzwonią do ciebie z kostnicy, jeżeli dostaną niezidentyfikowane zwłoki...

- Już dzwoniли.

- Naprawdę? - zdziwił się Vang. - Szybko. Żałuję, że nie zadzwoniłem do ciebie wczoraj wieczorem i nie uprzedziłem...

- Nie przejmuj się - powiedziałam. - Nie ma powodu.

Nie mówiłam prawdy. Wcześniej udało mi się wyrzucić Rossellę ze swojej świadomości, lecz nagle znowu przypomniałam sobie naszą rozmowę. Pomyślałam o tym, jak zwracał się do mnie per „pani Shiloh”, nie „detektyw Pribek”, i jak uśmiechnął się, kiedy dziękował mi za przyjście.

Oficerowie, którzy byli dotąd moimi zwierzchnikami, zwykle musieli usuwać pliki kopert i papierów z krzesła, żeby ktoś mógł na nim usiąść, ale porucznik Prewitt miał prawdziwy gabinet, chociaż niewielki, a naprzeciwko biurka zawsze wolne krzesło dla gościa.

Często umawiał się na rozmowy z Genevieve, teraz zaś, pod jej nieobecność, ze mną, chociaż od chwili przejęcia obowiązków Gen wcale nie czułam potrzeby komunikowania się z nim.

- Chciał się pan ze mną widzieć? - odezwałam się, stając w otwartych drzwiach.

Prewitt podniósł wzrok znad pracy. Był wyglądającym młodo pięćdziesięcioletkiem i do tej pory nie stracił gę-

stej, szpakowatej czupryny, która dawniej lśniła marchewkową czerwinią, co zostało na szczęście uwiecznione na zdjęciach z dawnych dobrych czasów.

- Proszę usiąść - powiedział.

Spełniłam jego polecenie.

- Widziałem pani raport - rzekł. - Proszę mi powiedzieć, co się właściwie dzieje.

Przezcesałam włosy palcami, chociaż wydawało mi się, że już wyrosłam z tego gestu, i streściłam sprawę.

- Shiloh miał lecieć do Quantico w niedzielę, o czternastej trzydzieści pięć, ale nie dotarł ani na lotnisko, ani do kwatery głównej FBI. Jego rzeczy wciąż są w domu. Nie dzwonił, nie zostawił żadnego listu. Sprawdziłam zwykłe źródła - szpitale, centralę zgłoszeń drogówki - ale nic nie wskazuje na to, że miał wypadek.

Prewitt skinął głową.

- Co mówią jego przyjaciele?

- Ostatnio rozmawiałam z Genevieve, to znaczy z detektywem Brown, i jestem pewna, że nie kontaktował się z nią. Shiloh przyjaźnił się także z porucznikiem Radichem, ale on także nic nie wie.

- Pytała pani kogoś jeszcze?

- Tak, agenta FBI, który pracował z Shilohem nad sprawą Annelise Eliot, i oczywiście sąsiadów. - Nagle uświadomiłam sobie, jak nieliczna była grupa bliskich znajomych mojego męża i przygryzłam wyschniętą skórkę na dolnej wardze. - Shiloh nie był...

- Nie był szczególnie towarzyski, prawda? - dokończył za mnie Prewitt.

- Nie, panie poruczniku.

- Co z rodziną?

- Nie utrzymywał z nimi kontaktów.

Prewitt uniół brwi i pokiwał głową. Nie powiedziałam nieprawdy, ale nagle ogarnęła mnie złość na samą siebie, jakbym odstąpiła przed oczami porucznika najbrudniejsze zakamarki życia mojego męża. Prewitt nie był nawet jego zwierzchni-

kiem, bo Shiloh pracował dla policji metropolitalnej, nie dla biura szeryfa okręgu Hennepin.

- A wasz związek?
- Układało nam się bardzo dobrze.
- Czy Shiloh pił?

Gliniarze nigdy nic nie owijają w bawełnę, pomyślałam.

- W ogóle nie pije.

Prewitt westchnął jak lekarz, który nie może stwierdzić żadnej choroby u stojącego przed nim pacjenta i myśli już o szczęściu następnych, którzy siedzą w poczekalni.

- I co my mamy z panią zrobić... - odezwał się spokojnym, bynajmniej nie pytającym tonem.

- Zamierzam przeprowadzić dochodzenie.

- Mamy tu konflikt interesów. Myślałem, że wystąpiła pani o urlop.

- Wystąpiłam. - Kiwnęłam głową. - I zdaję sobie sprawę, że można mówić o konflikcie interesów, chociaż nie prowadzę przecież dochodzenia w sprawie, gdzie podejrzanym jest członek mojej rodziny, ani nie aresztowałam osoby, która popełniła przestępstwo przeciwko moim najbliższym... - Przerwałam, żeby pozbierać myśli. Nie miałam okazji przywyknąć do absolutnie szczerych rozmów ze zwierzchnikami. - Shiloh zaginął. Nie mogę stać z boku i patrzeć, jak szukają go obcy ludzie...

Prewitt pokiwał głową i kilka razy stuknął długopisem w biurko. Zmierzył mnie uważnym, czujnym spojrzeniem.

- Proszę mi wierzyć, nie jesteśmy obojętni wobec pani... Wobec pani sytuacji.

Nie przychodziło mi do głowy, o jakie słowo lub słowa potknął się w myśli.

- Jeżeli jednak chce pani zaangażować się w tę sprawę, musi to być zaangażowanie nieoficjalne - ciągnął. - Nie jestem naiwny i rozumiem, że policyjna odznaka może okazać się pomocna w szukaniu odpowiedzi. Nie oczekuję, że całkowicie powstrzyma się pani od wykorzystywania swojej pozycji w naszym wydziale, proszę jednak pamiętać, że nawet na urlo-

pie nadal reprezentuje pani urząd szeryfa i pani postępowanie musi stanowić odbicie tego faktu...

- Rozumiem.

- Chodzi też o to, że nie jestem do końca pewny, jakie wsparcie możemy pani zaoferować.

Nie odezwała się, lecz Prewitt na szczęście wcale na to nie czekał.

- Shiloh mieszkał... Mieszka w Minneapolis - mówił dalej. - Dochodzenie powinna więc prowadzić policja metropolitalna, nie my, bo sprawa podpada pod ich jurysdykcję. Poza tym, mamy w tej chwili, niestety, dwie osoby na urlopie, mówię o pani i detektyw Brown.

- Wiem, sir.

- Chcielibyśmy zapewnić pani bardziej konkretną pomoc, lecz w świetle tego wszystkiego po prostu nie możemy sobie na to pozwolić.

- Wiem - powtórzyłam.

- Oczywiście zawiadomienie o zaginięciu zostało już rozesłane i wszyscy wiedzą, że Shiloh jest jednym z naszych ludzi. Nie wątpię, że policjanci ze wszystkich wydziałów okażą ponadprzeciętne zainteresowanie tą sprawą... - Przerwał. - Czy on rzeczywiście nie miał samochodu?

- Sprzedał go tydzień temu.

- Ach, tak...

W jego głosie zabrzmiało znużenie. Wiedziała, że powinienam wstać, ale chciałam powiedzieć coś jeszcze.

Prewitt zorientował się, że coś nie daje mi spokoju.

- O co chodzi? - zapytał.

- O pewną rzecz, na którą na pewno zwróciłabym panu uwagę, gdyby wydarzyła się w naszym wydziale - zaczęłam z wahaniem, bardzo ostrożnie. - Ale wydarzyła się gdzie indziej, więc nie jestem pewna, czy powinnam podejmować temat...

Prewitt lekko uniósł brwi.

- To wyjaśnienie niewiele mi mówi, jeśli mam być szczerą...

Jego słowa były ironiczne, ale usłyszałam w nich także za-

ciekawienie. Powiedziałam już za dużo, żeby się wycofać. Musiałam brnąć dalej.

- Wczoraj wieczorem byłam w kostnicy, wezwał mnie tam asystent koronera. Chciał, żebym osobiście zidentyfikowała zwłoki, jego zdaniem najprawdopodobniej mojego męża. Na szczęście to nie był Shiloh.

- Przykro mi - powiedział Prewitt. - Cóż, takie sytuacje się zdarzają...

- Może, ale Shiloh miał bliznę na prawej ręce, podkreśliłam to w opisie dołączonym do zawiadomienia o zaginięciu. Najwyraźniej nikt z pracowników kostnicy tego nie sprawdził. Zastanawiam się, czy nie powinnam zgłosić tego koronerowi...

Widziałam, że Prewitt rozumie, o co mi chodzi, ale wyraz jego twarzy mówił, że nie zgadza się ze mną.

- Wygląda mi to na zwyczajne zaniedbanie. Wielka szkoda, że musiała pani przez to przejść, ale tego rodzaju pomyłki nie są niczym niezwykłym.

Siedziałam w milczeniu, chociaż naprawdę powinnam już wyjść. Chciałam powiedzieć mu o czymś, co dopiero przed paroma chwilami przybrało konkretny kształt w moim umyśle - Rossella oświadczył, że jest mu przykro, iż musiałam przyjechać do kostnicy. Tymczasem teraz nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu, że w gruncie rzeczy był z tego zadowolony. W ostatniej chwili ugryzłam się w język, bo jednak odczucia to tylko odczucia, nie mogłam oczekiwać, że Prewitt potraktuje moje podejrzenia jako podstawę do podjęcia działań.

- Czy w czasie tych oględzin zdarzyło się coś jeszcze? - zapytał nagle.

Lekko dotknęłam miedzianej obrączki na mojej prawej ręce.

- Powiedział, że musiał połamać zmarłemu palce, żeby wziąć odciski.

Wreszcie skupiłam na sobie całą uwagę porucznika.

- Powiedziała pani coś takiego? To dość niezwykłe...

- Bardzo niezwykłe. Miał przecież świadomość, że być może mówi o moim mężu. Nigdy nie słyszałam, żeby patolog

lub ktoś z biura koronera opowiadał takie rzeczy w obecności członków rodziny.

- Najwyraźniej uznał, że nie musi przed panią nic ukrywać, skoro pracuje pani w policji. Czasami ludzie, którzy współpracują z policjantami, uważają, że w tym zawodzie każdy ma grubą skórę, niektórzy czują nawet potrzebę brutalnie szczerego wypowiedzenia się w rozmowie z nami, może żeby zrobić na nas wrażenie, sam nie wiem... - Prewitt powoli pokręcił głową. - Najprawdopodobniej ten człowiek nie miał na myśli nic złego. Krewni zmarłych często pochopnie oceniają niewinne zachowanie jako niewłaściwe. - Przerwał na chwilę. - Moim zdaniem, raczej nie powinna pani rozmawiać o tym z jego zwierzchnikami, ale naturalnie decyzja należy do pani...

- Na pewno ma pan słuszność, sir.

Świetny pomysł, Saro, pomyślałam ze złością. Zaginał twój mąż, więc co by tu mogło poprawić ci humor? Już wiem! Najlepiej zniszcz szanse na awans asystenta koronera, spieprz mu karierę, co ty na to?

Dobrze chociaż, że nie wymieniłam jego nazwiska.

Podniosłam się z krzesła, lecz teraz to Prewitt postanowił przedłużyć rozmowę.

- Detektyw Pribek... - odezwał się, kiedy byłam już przy drzwiach. - Naprawdę nie jestem obojętny wobec pani bólu...

Najwyraźniej właśnie o tym zamierzał zapewnić mnie już wcześniej.

- Dziękuję, sir - powiedziałam.

Na schodach wróciłam myślami do rozmowy z porucznikiem. Prewitt niepokoił się, czy zdołam zachować zdolność obiektywnej oceny, prowadząc dochodzenie w sprawie Shiloha, czy nie dam plamy, krótko mówiąc, a fakt, że wzięłam urlop, stanowił dla niego sporą komplikację. Zrobił pewien wysiłek, aby zapewnić mnie o swoim współczuciu. Nie jestem obojętny wobec pani bólu... Vang nie powiedział nawet tego, kiedy dowiedział się, że Shiloh zaginał.

Doceniałam słowa Prewitta, nie mogłam jednak nie zauwa-

żyć, jakiej sfery mojego życia dotyczyły zadawane przez niego pytania i co właściwie miały obnażyć. Porucznik chciał wiedzieć, czy Shiloh pił i jak układał się nasz związek. Doskonale rozumiałam, do czego zmierzał.

Genevieve powtarzała mi wiele razy, że dorośli mężczyźni raczej rzadko tak po prostu rozplývają się w powietrzu. Była to prawda. Znikali celowo, opuszczając miejsce zamieszkania, aby uciec przed długami i romantycznymi związkami, w których przestali czuć się dobrze.

Oto prawda, która kryła się za pełnym zażenowaniem milczeniem Vanga i pytaniami Prewitta - obaj uważali, że Shiloh mnie porzucił.

Rozdział 11

Popołudnie upłynęło mi na rutynowych czynnościach. Najpierw zajęłam się sprawami formalnymi. Usiadłam na kanapie i na niskim stoliku do kawy rozłożyłam dokumenty.

Zapis wypłat kartą kredytową Shiloha wykazywał tylko jeden przelew na konto linii lotniczych - 325 dolarów dla Northwest Airlines. Wiedziałam o tym. Ponieważ nie znalazłam żadnych płatności na rzecz linii kolejowych Amtrak czy autobusowych Greyhound, postanowiłam pojechać do biur obu firm. Nikt z ich pracowników nie rozpoznał Shiloha na zdjęciu.

Kiedy dochodzenie okazuje się bezowocne, zwykle zaczyna zataczać coraz szersze kręgi. Gliniarze niechętnie przyznają, że zewnętrzne kręgi dochodzenia bardzo przypominają najwyższe warstwy wokółziemskiej atmosfery - są rzadkie i zwykle nie mają w sobie nic, co zasługiwałoby na uwagę. Zwykle, bo czasami zdarza się, że jednak znajdujemy w nich coś, czego w żadnym razie nie należy lekceważyć.

Dla mnie taką zewnętrzną warstwą miała być nasza dzielnica, przez którą jeszcze raz zamierzałam przejść. Chciałam rozejrzeć się, pomyśleć, pójść domniemanymi śladami Shiloha,

choć już zdejmując kurtkę z kapturem z wieszaka, czułam, że niewiele z tego wynika.

Planowaliśmy, że kiedy Shiloh zakończy szesnastotygodniowe szkolenie w Quantico i dostanie pierwszy przydział do jednego z terenowych biur FBI, spakuję się i dołączę do niego. Było raczej niemożliwe, aby skierowano go do Minneapolis. Gdy mówił mi o tym, w jego głosie brzmiała nuta niepewności, miałam wrażenie, że chce przeprosić mnie za tę życiową komplikację.

- Hej, jestem tylko marną policjantką - powiedziałam półżartem. - Nie przyszłoby mi do głowy, żeby przeszkadzać ci w wykonywaniu ważnych zadań: łapaniu uciekinierów, śledzeniu terrorystów...

- ...udawaniu, że jestem trzynastoletnią dziewczynką na internetowych czatach - wtrącił. - Mówię poważnie, Saro. Nowi agenci rzadko dostają atrakcyjne przydziały, więc najprawdopodobniej będziemy mieszkali w jakimś podupadającym mieście drugiej kategorii. Będziesz pracowała w brygadzie antynarkotykowej lub w dochodzeniówce, jeśli nie okaże się, że w miejscowej policji w ogóle nie ma wolnych miejsc...

- Coś sobie znajdę.

- Życie na prowincji bardzo różni się od życia w Minneapolis. - Shiloh rzucił mi poważne spojrzenie. - A ty od dawna mieszkasz w Minnesocie...

- Więc już najwyższy czas, żebym poznała inne miejsca.

Shiloh malował wtedy mroczny, chociaż niezbyt konkretny obraz miasta, w którym mieliśmy zamieszkać po jego szkoleniu. Teraz musiałam zadać sobie pytanie, czy to możliwe, że coś złego przydarzyło mu się tutaj, w okolicy, która od lat była jego domem, gdzie czuł się naprawdę dobrze. W ostatnich dniach nie miał samochodu; pani Muzio widziała, że wybierał się gdzieś pieszo w okresie mojej krótkiej nieobecności. Dostępne dowody i poszlaki wskazywały, że decydujące wydarzenia rozegrały się właśnie w naszej dzielnicy.

Szłam wzdłuż University Avenue, jednej z głównych ulic przecinających Northeast. Przystanąłam i spójrzałam w głąb

szerokiej, wyłożonej płytami chodnikowymi alejki za pralnią i sklepem monopolowym. Jakaś dziewczyna minęła mnie na różowym rowerze z wysoko zawieszoną kierownicą i żółtym jak dojrzały banan siodełkiem; stanęła na pedałach, aby jeszcze przyspieszyć i jak najprędzej znaleźć się w domu.

W dziennym świetle alejka wyglądała na całkowicie bezpieczną, podobnie jak wszystkie inne miejsca, które mijałam po drodze. Trudno mi było wyobrazić je sobie jako scenę zbrodni, nawet w nocy. Nasza dzielnica była doskonale oświetlona i bezpieczna, nie miała mrocznych, nieprzyjemnych zaułków, przynajmniej pozornie.

Tyle że były to pozory, złudzenia, którym łatwo ulegali normalni ludzie, przekonani, że przestępstwa popełniane są w ciemnych, odludnych miejscach. Nie była to prawda. Napady rabunkowe, pobicia, nawet morderstwa najczęściej zdarzają się w publicznych miejscach, gdzie w pobliżu prawie zawsze kręcą się ludzie.

Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem był napad, którego przebieg wymknął się rabusiowi spod kontroli.

Czy Shiloh miał wtedy przy sobie sporą sumę pieniędzy? Raczej nie, ale to i tak bez znaczenia. Pieniądze stwarzają ryzyko tylko wtedy, gdy przestępca wierzy, że mamy je w kieszeni czy torebce. Shiloh nie nosił drogich ubrań i był dość ostrożny, aby nie pokazywać banknotów o dużych nominałach w miejscach publicznych. Tak czy inaczej, napady rabunkowe w dużym mieście są na porządku dziennym i ich ofiarami padają nie tylko zamożni ludzie.

Co zrobiłby Shiloh, gdyby ktoś na niego napadł? Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Potrafiłam wyobrazić sobie spokojnego, praktycznego Shiloha, który oddaje pieniądze i uspokaja nerwowego nastolatka, wymachującego pistoletem lub nożem, ale znałam także upartego, nieustępliwego Shiloha, który przez kilka miesięcy wbrew opiniom innych obstawał przy swoim, twierdząc, że Aileen Lennox to w rzeczywistości Annelise Eliot, oraz wdał się w bezowocną kłótnię z Darrylem Hawkinsem.

Niezależnie od tego, który Shiloh doszedł wtedy do głosu, mógł zginąć z ręki przestępcy, a jego pieniądze i prawo jazdy mogły trafić do zakrwawionych rąk.

Ale gdzie ciało? Umiałam wyobrazić sobie całą scenę napadu, od początku do końca, lecz nie miałam pojęcia, co stało się z ciałem. Nie wierzyłam, aby rabuś, który chwilę wcześniej stał się mordercą, marnował naprawdę cenny w takiej sytuacji czas na ukrycie zwłok. Najgorszą rzeczą, jaką mógł zrobić, było zatrzymanie się przy zabitym o chwilę dłużej, niż musiał. Jeżeli miał chociaż odrobinę oleju w głowie, na pewno rzucił się do ucieczki.

- „Zaginiony bez śladu” to banał - powiedziała mi Genevieve na początku mojego szkolenia. - „Nikt nie znika bez śladu” - oto zasada, którą wyznaję, złota zasada w wydziale osób zaginionych...

Jedynym przypadkiem, który wydawał się podważać słuszność tej reguły, okazała się właśnie sprawa Shiloha. Mocno podejrzane, prawda? Może robiłam coś nie tak, może popełniłam jakiś błąd, może stałam za blisko... Jak oceniłby tę sytuację inny gliniarz? Co powiedziałyby Genevieve?

Zostało mi jeszcze sześć godzin z trzydziestosześciodzinnego limitu, ale nagle przestało to mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Czułam, że muszę coś zrobić i nie chciałam dłużej zwlekać.

O piątej w środę po południu znowu byłam na farmie Lowesów pod Mankato.

Mogłam zadzwonić do Genevieve. Postęp technologiczny zmienił wiele rzeczy. Kiedy włączamy telewizor, jakaś firma natychmiast reklamuje nam pomysł zakupu swoich akcji na giełdzie i zachwala swoje dobre strony ze szczytu jednej z najwyższych gór w Tybecie. Gliniarze należą do nielicznych już raczej ludzi, którzy wciąż dostrzegają potrzebę kontaktu bezpośredniego, twarzą w twarz. Tkwiło we mnie mocne przekonanie, że tej rozmowy z moją partnerką nie mogę przeprowadzić przez telefon.

Potrzebowałam Genevieve. To ona była moją nauczycielką, musiałam więc wierzyć, że pomoże mi w sytuacji, z którą sama nie potrafię sobie poradzić. Jadąc drogą 169 mniej więcej z bezpieczną prędkością 100 km na godzinę, świadoma, że w krzakach mogą kryć się wozy drogówki, zastanawiałam się, jak najlepiej opowiedzieć jej, co się stało.

W głębi duszy uważałam, że pomoże to nie tylko mnie, ale także Genevieve. Musiała wreszcie się czymś zająć, nie mogła przecież w nieskończoność mieszkać na starej farmie i opłakiwać śmierć córki. Gen była doskonałym oficerem dochodzeniowym, więc rozwiązywania zagadki po prostu musiało jej pomóc.

Kiedy Genevieve podeszła do drzwi, nie wyglądała na zaskoczoną, zupełnie jakbym mieszkała kilkadziesiąt metrów dalej.

- Wejźdź - powiedziała.

Weszłam za nią do środka, ale wyglądało na to, że Gen chyba nie bardzo wie, co zrobić.

- Gdzie Debora i Doug? - zapytałam.

- Doug niedługo wróci. Czasami zostaje trochę dłużej w szkole, żeby sprawdzić prace uczniów. Deb pojechała do Le Sueur. Trenuje drużynę koszykówki dziewcząt i dziś grają mecz na wyjeździe.

Skończyła mówić i najwyraźniej czekała, że ja przejmę inicjatywę.

- Muszę z tobą porozmawiać - przerwałam milczenie.

- W porządku.

Spojrzałam na drzwi prowadzące do salonu. Wydawało mi się, że gdyby Genevieve czuła się tu gospodynią, właśnie tam zaprosiłaby gościa, ale nie ulegało wątpliwości, iż ona nie myśli w takich kategoriach.

- Chcesz zaparzyć kawę czy coś takiego? - zagadnęłam, niechętnie przejmując jej rolę.

Poszłyśmy do kuchni, ja przodem. Gdy zaczęłam rozglądać się za kawą i filtrami do ekspresu, Gen otworzyła szafkę nad lodówką i wyjęła wszystko, co było mi potrzebne. Rękawy jej koszulki zsunęły się, odsłaniając gładkie, pięknie zarysowane

mięśnie. Nie straciła jeszcze formy wypracowanej w czasie długich godzin ćwiczeń na siłowni.

Wyjęłam śmietankę z lodówki. W pojemniku na drzwiach leżały jajka, duże i brązowe; przypomniałam sobie kurnik, stojący za domem Lowesów.

- Jaja są od kur, które hodują Deb i Doug, prawda? - odezwałam się.

- Tak.

- Na pewno są bardzo świeże, na pewno... - przerwałam.

Z trudem przełknęłam ślinę. Na miłość boską, dobrze wiesz, że nie przyjechałaś tu z towarzyską wizytą, pomyślałam z rozpaczą. Odwróciłam się i spojrzałam Genevieve prosto w oczy.

- Shiloh zniknął - powiedziałam.

Nie odwróciła wzroku, jej brązowe spojrzenie było całkowicie trzeźwe i skupione, ale milczała.

- Słyszałaś, co powiedziałam?

- Tak - odparła pozbawionym wyrazu głosem. - Nic nie rozumiem...

Nie poszłyśmy do salonu. Opowiedziałam jej wszystko w kuchni, kiedy czekałyśmy, aż ekspres zacznie bulgotać, a potem piłyśmy kawę. Gen usiadła przy stole, natomiast ja stałam, rozgorączkowana i spięta.

Chociaż nie wiedziałam, co było przyczyną zniknięcia Shiloha i jak to się stało, mówiłam i mówiłam. Chciałam wytłumaczyć jej, że sprawdziłam wszystkie dane, jakimi dysponowałam, niczego nie zaniedbałam, ale i nic nie osiągnęłam. Genevieve musiała zrozumieć, że sytuacja jest poważna.

- Pomożesz mi? - zapytałam w końcu.

Spojrzała w okno. Patrzyła na płaskie pola sąsiadów, na rżyska, oświetlone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

- Wiem, gdzie jest Shiloh - powiedziała nagle.

Było to zbyt piękne, aby mogło okazać się prawdą, lecz moje serce mimo wszystko podskoczyło gwałtownie.

- Leży na dnie rzeki - ciągnęła Gen. - Nie żyje.

Zabrzmiało to jak wyrok. Jej głos był spokojny i pewny.

Genevieve uczyła mnie zawodu, jej głos zawsze był dla mnie głosem prawdy i rzeczywistości.

Weź się w garść, skarciłam się pośpiesznie. Przecież ona nie może tego wiedzieć, nie może mieć pewności...

Nie patrzyła na mnie, więc nie widziała wrogiego spojrzenia, jakie jej rzuciłam.

- Mogłabyś spróbować spojrzeć na to wszystko z mojej perspektywy? - zapytałam drżącym głosem.

Odwróciła się i popatrzyła na mnie. Wreszcie dostrzegłam w jej oczach odrobinę światła, jakiś znak życia.

- Staram się. Słuchałam cię uważnie i wydaje mi się, że to jedyne sensowne rozwiązanie.

Mówiła bez cienia poruszenia, zupełnie jakby Shiloh był człowiekiem, którego nigdy nie znała.

- Sama powiedziałaś mi kiedyś, że miewa okresy przygnębienia, że czasami wpada w depresję...

- Ale nie teraz! Przygotowywał się do wyjazdu do Quantico i...

- Może właśnie tego się obawiał. Może myślał, że nie poradzi sobie w FBI. Shiloh zawsze był dla siebie surowy. Perspektywa niepowodzenia mogła go naprawdę przerazić.

- Niekoniecznie...

Nagle poczułam, że jest mi za gorąco i zdjęłam kurtkę.

- Albo może obawiał się, że wasze małżeństwo okaże się niewypałem...

- Wzięliśmy ślub dopiero dwa miesiące temu!

- I już pojawiło się niebezpieczeństwo, że będziecie musieli mieszkać daleko od siebie. Poza tym w dzień przed jego wyjazdem na całe cztery miesiące ty wyjechałaś z miasta bez niego.

- Prosiłam go, żeby pojechał ze mną, na miłość boską! - wybuchnęłam. - Nie chciał!

- Możliwe - ciągnęła Gen. - Ale potem został w domu całkiem sam. Zaczął zadawać sobie pytania, jak długo jeszcze zdoła cię zatrzymać, czy kiedykolwiek sprosta wielkim wymaganiom, które sam sobie stawia. Shiloh świetnie wiedział, jak

łatwo zawodzą plany na przyszłość. W pewnej chwili poszedł na most - jest parę przecznic od waszego domu, prawda? - i skoczył...

Nagle zrozumiałam, o czym tak naprawdę mówi. Genevieve przyjechała z Minneapolis na farmę swojej siostry, ponieważ Missisipi i jej liczne mosty stanowiły dla niej zbyt wielką pokusę. Kiedy zażądałam od niej teorii na temat zniknięcia Shiloha, przedstawiła rozwiązanie, jakie sama tak często pragnęła wybrać.

- Shiloh nie popełniłby samobójstwa - powiedziałam. - Nie był nawet przynębiony.

- Była szczęśliwa w małżeństwie... - mruknęła Genevieve.

- Kto? - rzuciłam ostro, całkowicie zaskoczona niespodziewanym zwrotem w rozmowie.

- Była szczęśliwa w małżeństwie - powtórzyła Gen. - Nie był homoseksualistą. Nie cierpiała na depresję. Wiedziałabym, gdyby mnie oszukiwał. Nie należy do tych, co to wracają do domu nad ranem i nawet nie zadzwonią do matki... - Pokiwała głową, kończąc dziwną litanie. - Ile razy słyszałaś te zdania? Ty, ja, wszyscy detektywi... Żony, mężowie, rodzice - czasami oni naprawdę jako ostatni dowiadują się o ważnych faktach z życia swoich najbliższych...

Mówiła prawdę.

- Zdarza się, że depresja ma podłoże biologiczne, że nie ma żadnej zewnętrznej przyczyny - dodała. - A chorujący na depresję często doskonale ukrywają swój stan przed otoczeniem. To nie twoja wina.

Potrząsnęłam głową.

- Shiloh nie popełnił samobójstwa!

Jedną z cech, które czyniły z Genevieve świetnego oficera dochodzeniowego, był jej głos, niski i miękki, niezależnie od tego, jak okropne były pytania, które musiała zadawać. Nigdy nie słyszałam w nim większego dystansu czy wręcz obojętności niż właśnie teraz. Pograżona we własnej rozpacz, Gen nie zauważała bólu, jaki mi zadawała.

- Skoro nie samobójstwo, to może inna kobieta. Mówiłaś,

że nie wziął nic ze sobą, więc może wybrał się gdzieś niedaleko, na przykład do baru...

- Gen... - zaczęłam.

Miałam głos o wiele wyższy i bardziej spięty niż normalnie, ale ona chyba w ogóle mnie nie słyszała.

- Shiloh był zdrowym młodym facetem, którego żona wyjechała na jeden dzień z miasta. Poszedł poszukać sobie przygodnej cipki i trafił na złą kobietę. Dźgnęła go nożem albo zastrzeliła i z czyjąś pomocą pozbyła się ciała.

- W porządku... - Zakasłałam, starając się odzyskać normalne brzmienie głosu. - Chcesz snuć takie teorie, to proszę bardzo, ale przynajmniej wróć ze mną do Minneapolis i spróbuj dowieść ich słuszności. Zrobisz to?

Gdy nie zaprotestowała od razu, pomyślałam, że wygrałam.

- Kiedy jeszcze byłam gliną... - powiedziała wreszcie.

- Nadal jesteś gliną - przerwałam jej.

Zignorowała mnie.

- Kiedy jeszcze byłam gliną, wydawało mi się, że jestem cyniczna - podjęła z namysłem. - Chyba tylko dlatego, że wykonywałam taką, a nie inną pracę... Ale świat jest o wiele gorszy, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażałam... - Przerwała. - W gruncie rzeczy wcale nie chcę wiedzieć, co spotkało Shiloha...

Na dworze powoli zapadały ciemności, w kuchni cisza aż brzęczała w uszach. Nie przychodziło mi do głowy nic, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- No, dobrze... - odezwałam się w końcu. - Dzięki za kawę.

Sięgnęłam po kurtkę. Drgnęła, chyba trochę zaskoczona.

- Zostaniesz na noc, prawda? - zapytała.

Krzesło zaskrzypiało, kiedy podniosła się, żeby wyjść ze mną do korytarza.

- Nie mogę - powiedziałam. - Mam sporo spraw do załatwienia.

- Chcesz wracać do Minneapolis, teraz?

- Nie jest jeszcze późno. - Stałam już w drzwiach. - Możesz jechać ze mną. Miałam nadzieję, że to zrobisz...

Wyszła za mną na ganek. U stóp schodów odwróciłam się i spojrzałam na nią z dołu. Biorąc pod uwagę, że byłam od niej znacznie wyższa, zdarzało się to niezwykle rzadko.

- Pomóż mi, Gen. Pomóż mi go znaleźć. Nie posunę się dalej sama.

Potrząsnęła głową.

- Przepraszam...

Zrobiłam trzy kroki w kierunku samochodu i znowu się odwróciłam.

- Gdyby chodziło o Kamareię, nigdy nie przestałabym szukać jej razem z tobą - powiedziałam.

Spodziewałam się wybuchu gniewu, oskarżenia o stosowanie taniej taktyki i wykorzystywanie pamięci jej córki, ale ona tylko pochyliła głowę.

- Przepraszam... - powtórzyła.

Najstraszniejsze było to, że w jej głosie usłyszałam szczerzy żal.

Błoto na podwórku zasysało podeszwy moich butów, jakby chciało mnie tam za wszelką cenę zatrzymać. Opony auta bluzgnęły czarną mazią na pień rosnącej pośrodku jabłoni, z nim znalazły twarde gruntu i zawróciły w kierunku drogi.

Rozdział 12

Wiedziałam, że teraz przyszła kolej na Utah. Kiedy ktoś nagle znika i zupełnie nie wiadomo, gdzie go szukać, trzeba zajrzeć w jego przeszłość. Ludzie, którzy prowadzą dochodzenie w sprawach osób zaginionych, uważają tę zasadę za jedną z podstawowych, chociaż policja rzadko może pozwolić sobie na luksus jej przestrzegania. Ja jednak pracowałam tylko dla siebie i postanowiłam pojechać do Utah.

Shiloh dorastał w Ogden, na północ od Salt Lake City, w ośmioosobowej rodzinie. Wyjechał z domu jako młody chłopak. Jego rodzice zmarli parę lat później, z rodzeństwem

nie utrzymywał kontaktu, jeśli nie liczyć bożonarodzeniowych kartek, które wymieniał z najmłodszą siostrą, Naomi. Ze starszymi braćmi i bliźniaczką Naomi, Bethany, nie łączyło go nawet tyle. Oczywiście zapytałam go, co było powodem takiego zachowania.

- Religia - odparł po prostu. - W ich oczach jestem jak chronicznie chory, który z uporem odmawia leczenia. Nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego.

- Znam parę osób, które zostały wychowane w bardzo religijnych domach, katolickich i mormońskich, a potem odeszły od religii, ale ich rodziny jakoś sobie z tym radzą - zauważyłam.

- Owszem, niektóre rodziny sobie z tym radzą.

Opuścił dom, mając siedemnaście lat, przed ukończeniem szkoły, więc naturalnie o to także go zapytałam.

- Wtedy wydawało mi się to całkowicie logiczne - rzekł. - Wiedziałem, że chcę innego życia niż to, jakie zaplanowali dla mnie rodzice i że nie mam na nie szans, jeśli zostanie.

Wiele lat po rozstaniu z Utah, rodziną i religią Shiloh otrzymał list od młodszej siostry, Naomi. Odpowiedział i przez parę miesięcy pisywali do siebie, „dopóki nasze stosunki znowu się nie ochłodziły”, jak to określił.

- Dlaczego przestaliście korespondować? - zapytałam.

- Naomi zaczęła traktować mnie jak zadanie do wykonania - odparł Shiloh. - Zorientowałem się, że ta wymiana listów ma doprowadzić do mojego powrotu do domu, do pojednania, najpierw z rodziną, a potem z Bogiem.

Wszystko wskazywało na to, że Shilohowi udało się powstrzymać zapędy siostry, bo teraz wysyłali już do siebie tylko świąteczne życzenia.

Kiedy wróciłam do Minneapolis, przez parę minut przeglądałam fiszki z adresami, które trzymaliśmy w niewielkim pudełku, zanim znalazłam tę, która była mi potrzebna. Naomi i Robert Wilson, Salt Lake City. Byłam pewna, że numer telefonu znajdę w książce telefonicznej lub informacji.

Nie miałam powodu nie wierzyć, że Shiloh nie kontaktował

się ostatnio z nikim z rodziny, ale jednak musiałam to sprawdzić. Wszystko, co do tej pory zrobiłam, okazało się całkowicie bezowocną orką na ugorze i nic nie wskazywało na to, aby coś nagle miało się zmienić. Jeżeli więc w Utah nie było nawet żadnych świeżych tropów, które mogły mi pomóc w odnalezieniu Shiloha, to może natrafię na stare ślady, dzięki którym zdołam lepiej go zrozumieć.

W czasie kolacji złożonej z pszennych płatków zadzwoniłam do informacji telefonicznej i zapisałam numery wszystkich Robertów Wilsonów oraz R. Wilsonów z Salt Lake City i zabrałam się do pracy.

- Halo? - pod drugim numerem zgłosiła się młoda kobieta, która śmiało mogła być w wieku siostry Shiloha.

- Czy rozmawiam z Naomi Wilson? - zapytałam.

- Tak, słucham - odparła uprzejmie.

- Naomi, tu Sara Shiloh... - Przerwałam na chwilę, zastanawiając się, jak dalej poprowadzić tę rozmowę.

- Kto? - wykrztusiła. - Sara Shiloh, czy dobrze usłyszałam?

- Tak - powiedziałam. - Twój brat, Michael, jest moim mężem.

- Michael? Jesteś żoną Mike'a? Och, coś takiego! - Roześmiała się, wyraźnie zbita z tropu. - Spokojnie, zacznijmy od początku... Tak, tu Naomi Wilson, złapałaś mnie - znowu zaśmiała się lekko - zaskoczyłaś mnie, bo... Och, nieważne! Posłuchaj, czy mogłabym zamienić parę słów z Mikiem? Nie rozmawialiśmy od wieków!

Nagle wydało mi się, że moje serce zamienia się w kawałek ciężkiego, zimnego metalu.

- Żałuję, ale to niemożliwe. Szukam go. Nikt, włącznie ze mną, nie widział go od kilku dni.

W słuchawce zapadło milczenie.

- Co ty mówisz? - odezwała się w końcu.

- Twój brat zaginął - wyjaśniłam. - Dlatego do ciebie dzwonię...

- Ojej... - powiedziała słabo.

Zdziwiła mnie tak nieadekwatna reakcja, zaraz jednak przypomniałam sobie, że naturalnie dobra chrześcijanka nie wzywa imienia Pana Boga nadaremno.

- Gdzie jesteś, w Minneapolis? - zapytała szybko, bardzo poważnym tonem. - Mike nadal tam mieszka, prawda?

- Tak, mieszkamy w Minneapolis. Mike miał zaplanowany służbowy wyjazd do Wirginii, ale tam nie dotarł.

- Zaginął? - powiedziała powoli. - I sądzisz, że jest tutaj? Nie, nie ma go - odpowiedziała na własne pytanie. - W każdym razie nic o tym nie wiem... - poprawiła się. - Naprawdę myślisz, że jest gdzieś tutaj, w tej okolicy?

- Nie mam pojęcia - odparłam. - Muszę przyjechać i porozmawiać z tobą osobiście, może także z resztą rodziny.

- Dobrze... Kiedy zamierzasz przyjechać?

- Jutro. Przylecę pierwszym samolotem, więc powinnam być na miejscu koło dziesiątej. Czy ta godzina ci odpowiada?

- Pracuję w centrum przedszkolnym - wyjaśniła. - Do południa dyżurujemy we dwie, potem zostaję sama do piętnastej trzydzieści. Jeżeli przyjedziesz rano, na pewno uda mi się wyrwać na jakąś godzinę. Ja też chciałabym zadać ci parę pytań, dowiedzieć się, jak się poznaliście i tak dalej... Dawno nie rozmawiałam z Mikiem, więc można powiedzieć, że nie jestem na bieżąco...

Podawała mi adres przedszkola na przedmieściu Salt Lake City.

- Rozpoznasz mnie bez trudu - dodała. - Wyglądam, jakbym była w dziesiątym miesiącu ciąży.

Zadzwoiłam do linii Northwest, zarezerwowałam miejsce w samolocie do Salt Lake i podałam numer swojej karty kredytowej, a potem szybko się spakowałam. Walizka Shiloha wciąż stała w tym samym miejscu, gdzie zostawiłam ją po wydobyciu spod łóżka, gdy uświadomiłam sobie, co oznacza to, że znalazłam ją w domu. Chwilę siedziałam nieruchomo, nie spuszczać z niej wzroku, potem otworzyłam, wyjęłam stary sportowy T-shirt Shiloha i wrzuciłam go do swojej torby.

Za ścianą sypialni z hukiem przetoczył się pociąg towaro-

wy. Przeciągnęłam się. Powinnam się przespać, ale osiągnęłam stan, w którym wysiłek, jakiego wymaga rozebranie się i umycie zębów, wydaje się trudną do pokonania przeszkodą, oddzielającą nas od łóżka.

Zamiast tego sięgnęłam po leżący w walizce bilet Shiloha i przyjrzałam mu się uważnie. Był symbolem złamanej obietnicy, niedotrzymanego kontraktu i ostatnim czytelnym znakiem na prostej, jasno wytyczonej drodze życia, która w pewnym momencie skręcała w dziki, obcy teren.

Odwróciłam bilet, patrząc na wydrukowaną jasnozieloną czcionką prawa i obowiązki pasażera.

I wtedy moje serce podskoczyło gwałtownie. Na okładce biletu widniało siedem cyfr zapisanych ołówkiem, z małą przerwą między trzecią i czwartą.

Shiloh był bardzo ostrożnym i odpowiedzialnym człowiekiem, jedynymi rzeczami, które utrzymywał w absolutnym porządku, były notatki i papiery związane z prowadzonymi dochodzeniami. Wszystkie inne zwykle znajdowały się w stanie łagodnego, łatwego do opanowania chaosu. Rachunki przechowywał na stole w kuchni, adresy zapisywał na kartkach i wrzucał je do pudełka po kopertach (były tam także znaczki), telefony notował w miejskiej książce telefonicznej, a raz zdarzyło mu się zapisać jakiś numer na ścianie tuż nad aparatem. Numery, które były mu potrzebne tylko na krótko, notował na czymkolwiek, na przykład na okładce biletu lotniczego.

Postukałam palcami w miękki papier. Shiloh zapisał jakiś numer na bilecie. Czy zwykle oddajemy bilet, przechodząc przez bramkę na lotnisku, czy też Shiloh był pewny, że będzie miał bilet w kieszeni po wylądowaniu w Waszyngtonie, bo właśnie tam chciał wybrać ten numer? A może był to numer telefonu w Minneapolis i Shiloh zapisał go sobie tylko na chwilę, wiedząc, że później nie będzie mu już potrzebny?

Podeszłam do telefonu i wybrałam zapisane siedem cyfr bez żadnego numeru kierunkowego.

- Halo?

Kobiocy głos, najprawdopodobniej mieszkanie prywatne.

Starsza pani, sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt lat. W tle telewizja włączona na tyle głośno, że dokładnie słyszałam kwestie wypowiedane przez aktorów sitcomu.

- Halo, proszę pani? - odezwałam się.

- Halo? - powtórzyła.

- Czy mogłaby pani przyciszyć trochę telewizor? - poprosiłam. - Zaczekam...

- Tak, chwileczkę.

Zapadła cisza, ale na wszelki wypadek starałam się mówić głośno i wyraźnie.

- Halo, czy może mi pani podać swoje nazwisko?

- Czy pani coś sprzedaje? Jest już dość późno, więc...

- Nie, nic nie sprzedaję. Próbuję odnaleźć mężczyznę o nazwisku Shiloh, Michael Shiloh. Czy to nazwisko coś pani mówi?

- Kogo pani szuka?

- Michaela Shiloha.

- Nie znam nikogo takiego - powiedziała.

- Czy w domu jest może ktoś jeszcze, z kim mogłabym porozmawiać? - zapytałam.

- Nie, nie ma tu nikogo poza mną. - W jej głosie brzmiało zdziwienie i lekka irytacja. - A ja nie znam żadnego Michaela Shiloha, mówiłam już, że go nie znam...

Uwierzyłam jej. Zachrypnięty od papierosów głos, włączony na cały regulator dźwięk w telewizorze, co świadczyło o głuchocie - kobieta na pewno była samotną emerytką, może wdową.

- Dziękuję - powiedziałam. -I przepraszam za kłopot...

Znałam numery kierunkowe, obowiązujące w najbliższej okolicy Minneapolis. Kiedy wybrałam zapisany na bilecie numer z jednym z kierunkowych, nikt nie podniósł słuchawki, gdy z drugim, usłyszałam, że telefon został wyłączony.

Przerwałam połączenie i przytrzymałam słuchawkę ramieniem. Kolej na Waszyngton, pomyślałam. Może ten ktoś mieszka w pobliżu Quantico.

Kombinacje z obowiązującymi w okolicy Waszyngtonu

kierunkowymi zapewniły mi jeszcze dwie krótkie i bezowocne rozmowy oraz jedną nagrany informację o wyłączeniu numeru.

W Salt Lake City trafiłam na automatyczną linię firmy produkującej sprzęt narciarski i wspinaczkowy. („Twój telefon ma dla nas wielkie znaczenie...”).

Zamierzałam się już poddać, ale nagle przyszło mi do głowy, że może warto byłoby wypróbować inne kierunkowe Minnesoty. Na pewno nie zaszkodzi, pomyślałam.

W północnej części Minnesoty, w rejonie łańcucha górskiego Iron Range, takiego numeru w ogóle nie było, lecz w południowej ktoś szybko podniósł słuchawkę.

- Sportsman.
- Halo... - odezwałam się. - Kto mówi?
- Tu Bruce, a kto dzwoni?

Dwudziestoparoletni facet, profesjonalny flirciarz, sądząc po głosie. Może barman, bo w tle słychać było gwar i śmiechy.

- Czy to bar? - zapytałam. - Bo chyba nie sklep sportowy czy coś w tym rodzaju?
- Bar, wszystko się zgadza! - Roześmiał się. - Chcesz wiedzieć, jak do nas trafić?

Mam cholerne szczęście, pomyślałam. Teraz dodzwoniłam się do jakiegoś zapyziałego baru w Pipidówce Dolnej.

- Nie - odparłam. - Chciałam się tylko dowiedzieć, czy ktoś pod tym numerem zna człowieka, który nazywa się Michael Shiloh.

- Hmm... - Bruce popadł w zamyślenie. - Znam większość gości, którzy tu zaglądają, i oczywiście wszystkich pracowników, ale to nazwisko nic mi nie mówi...

- Trudno - przedstawiłam się i podałam mu swój numer do pracy. - Na wszelki wypadek, gdyby później coś ci się przypomniało - wyjaśniłam.

- Kierunkowy 612 - powtórzył. - Wygląda na to, że dzwoniisz z Minneapolis, więc chyba raczej do nas nie wpadniesz... - W tle rozległ się gromki wybuch śmiechu i entuzjastyczne okrzyki, goście baru oglądali chyba mecz w telewizji. - Szkoda, bo dam głowę, że imprezowa z ciebie dziewczyna...

Byłam gotowa dać własną głowę, że nie jestem imprezowa dziewczyną, w każdym razie nie w tej chwili.

- Dzięki - powiedziałam. - Popytaj o Michaela Shiloha, dobrze? Gdyby okazało się, że ktoś kojarzy to nazwisko, podaj mój numer. To ważne.

- Jasne - zapewnił mnie.

Kiedy umyłam zęby i twarz i zrobiłam wszystko, co zwykle robię przed snem, usiadłam po turecku na kołdrze, próbując się wyciszyć. Prawda była taka, że bałam się zasnąć.

Bałam się obrazów, które pojawiają się w moim umyśle, gdy pogrążę się w ciemności. W mrocznych godzinach wszystkie problemy wydają się jeszcze trudniejsze niż za dnia, a popełnione błędy nieodwołalnie destrukcyjne.

Kiedy oddalono oskarżenie przeciwko Royce'owi Stewartowi, mordercy Kamarei, fakt ten w całej pełni dotarł do mnie dopiero parę dni później, w środku bezsennej nocy. Musiałam wymknąć się z łóżka i uciec do salonu, żeby odgłosy mojej rozpaczki nie zakłóciły odpoczynku Shiloha.

Mimo moich starań coś jednak go obudziło. Przyszedł do ciemnego pokoju i przytulił mnie do nagiej piersi, ocierając dłonią moją mokną twarz i głaszcząc po głowie. W ciemności opowiedział mi sen, który prześladował go w ostatnich dniach.

Śni mi się, że mam na rękach krew Kamarei, powiedział.

Jego słowa bardzo mnie zaskoczyły. Przecież to nie twoja wina, w żadnym razie, odparłam.

Nie, pokręcił głową, nie chodzi mi o metaforyczne znaczenie tego określenia. Śni mi się, że naprawdę mam ręce poplamione jej krwią. Tak było tamtego dnia, kiedy ją znaleźliśmy. Później, gdy pojechałaś z nią do szpitala, starałem się uspokoić Gen i dotknąłem jej policzka, brudząc go krwią jej córki. Nie chciałem, żeby to zobaczyła, próbowałem zaprowadzić ją do kuchni, żeby obmyła twarz, ale na ścianie u stóp schodów wisiało lustro... Wiedziałem, że Gen w nie spojrzy, i tak się stało. Teraz codziennie śni mi się, że patrzę na swoje ręce i widzę na nich krew Kamarei. Potem zmywam ją wodą. Autorzy horrorów zawsze piszą, że nawet odrobina krwi nadaje wodzie różo-

wawy odcień, ale to nieprawda. Czerwień po prostu traci intensywność i zaraz znika.

Zaniepokoił mnie ton dziwnego oddalenia w jego głosie. Usiłując go pocieszyć, powtórzyłam, że to nie jego wina. Nic innego nie przyszło mi wtedy do głowy.

Nie, to jego wina, powiedział. Jego ramiona objęły mnie mocniej. Powinien był umrzeć chociażby za to, co zrobił samej Genevieve.

Czasami, kiedy ludzie, którzy nie znają dobrze Shiloha, nazywają go obojętnym i mało wrażliwym, wracam myślami do jego snu o krwi Kamarei.

Gdy w końcu położyłam się i wyłączyłam lampę przy łóżku, skoncentrowałam się na czymś pozytywnym, na następnym dniu. Rano będę już w Utah i wreszcie poznam rodzinę Shiloha.

Shiloh zawsze mówił, że jego siostra Naomi interesowała się nim najbardziej z całego rodzeństwa. Przez telefon powiedziała mi, że jest ciekawa, w jaki sposób się poznaliśmy.

Jeżeli Naomi Wilson nadal jest tak wierzącą osobą, jak wynikało z napomknień Shiloha o całej rodzinie, to może jednak nie jest gotowa poznać wszystkich szczegółów tej historii, pomyślałam.

Rozdział 13

Kilka lat temu ostatnia dziewczyna mojego ojca, której imię poznałam i zapomniałam w ciągu tygodnia, zadzwoniła do mnie z wiadomością o jego śmierci. Wspomniana Sandy (chyba właśnie tak miała na imię, chociaż nie dam sobie ręki uciąć) odnalazła mnie z trudem i tak późno, że ledwo zdążyłam na pogrzeb. Dosłownie w ostatniej chwili poinformowałam sierżanta, że następnego dnia nie będzie mnie w pracy, kupiłam czarną sukienkę, pantofle na obcasach i zabukowałam się na lot w biurze regionalnego przewoźnika za wyjątkowo promocyjną cenę.

Spędziwszy większą część dorosłego życia w Nowym Meksyku, ojciec uznał, że ma dosyć mroźnych zim oraz samotnej, górzystej okolicy i przeprowadził się do Nevady, gdzie pod pustynnym słońcem kupił sobie za oszczędności nowe życie - apartament w przyjemnym kondominium i mnóstwo rozrywek w towarzystwie nowej dziewczyny. Dziewczyna (może jednak Shelly, nie Sandy?) była dziesięć lat młodsza od niego, ale to mnie nie zdziwiło, bo ojciec zawsze był przystojnym mężczyzną i pozostał nim do chwili, kiedy upomniał się o niego rozległy zawal, w każdym razie tak mówili mi jego znajomi z Nevady.

Sandy czy Shelly zaaranżowała pogrzeb w Nevadzie, a ja nie widziałam powodu, aby przewozić zwłoki do Nowego Meksyku. Moja matka została pochowana w Minnesocie, obok swoich rodziców, mój brat zaś, który zginął w czasie pełnienia zaszczytnej służby, zasłużył na miejsce na wojskowym cmentarzu, gdzie pogrzebano go z honorami.

Tak więc ojciec spoczął w nowoczesnym ogrodzie pamięci (tak to się obecnie nazywa) pod miastem, gdzie na prawie wszystkich grobach leżą identyczne wiązanki z nienaturalnie kolorowych kwiatów, a tabliczki, też jednakowe, przesłania tak wysoka trawa, że widać je dopiero z odległości kilku centymetrów. Gdy międzywyznaniowy duchowny wygłaszał krótką mowę pod baldachimem osłaniającym trumnę i żałobników, moje myśli błądziły gdzieś daleko, sama nie wiem gdzie. Do rzeczywistości wróciłam dopiero w chwili, kiedy jeden z moich wysokich obcasów zagłębił się w miękkiej, za często podlewanej ziemi.

Jeden papierowy talerz z jedzeniem, czterdzieści pięć minut pogawędki z przyjaciółmi i sąsiadami ojca, długa jazda wynajętym samochodem i już byłam w drodze powrotnej do Minneapolis.

W pasażerskiej części czarterowego samolotu wszystkie miejsca były zajęte. Moimi towarzyszami podróży okazali się głównie emeryci, wracający z urozmaiconych hazardem wakacji w Nevadzie, która w styczniu wydawała się istnym ra-

jem w porównaniu z zimną Minnesotą. Ledwo znaleźliśmy się w powietrzu, a już pilot miękkim głosem ostrzegł nas, że czekają nas „lekkie burzowe turbulencje” nad równinami. Szybko się okazało, że nie były to próżne słowa, bo piętnaście minut później odezwał się znowu i polecił dwóm stewardesom zająć miejsca i zapiąć pasy.

Samolot podskakiwał jak sanki, zbyt szybko ciągnięte po zlodowaciałych wybojach. Metalowa puszka skrzypiała, trzeszczała i dygotała tak mocno, że śpiącej obok mnie starszej pani z ufarbowanymi na niebiesko włosami rozwiązała się kok.

Nie boję się latać, ale tamtej nocy ogarnęło mnie bardzo dziwne uczucie, które na szczęście nigdy potem już mnie nie nawiedziło. Czułam się kompletnie oderwana od świata i pozbawiona kontroli nad własnym życiem. Otaczali mnie obcy ludzie, byłam samotna i zagubiona, jakby nawet Bóg nie mógł mnie odnaleźć w tej czarnej strefie między chmurami i gwiazdami. Patrzyłam w okno z nadzieją, że zobaczę światła miasta czy cokolwiek innego, co dałoby mi jakiś punkt odniesienia, ale za szybko ziała czarna otchłań.

Nie zamówiłam sobie porządnego drinka, kiedy miałam szansę to zrobić, i teraz oddałabym wszystko za odrobinę alkoholu. Dla mnie zawsze było to fizyczne pragnienie, umiejscowione w dwóch punktach - pod językiem i w głębi klatki piersiowej. Powoli przeżuwałam ostatnie kostki lodu ze szklanki po coli i z zalem myślałam o chwili, kiedy się skończą.

Nie miałam cienia wątpliwości, że gdyby moja matka żyła, byłybyśmy sobie tak samo bliskie jak w tamtych latach. Umarła, gdy miałam dziewięć lat. Mój brat Buddy był draniem, pewnym, że należy mu się wszystko, czego zapragnie. Siła fizyczna była jedyną ludzką cechą, jaką szanował; byłam pięć lat młodsza, więc nie potrafiłam zasłużyć na jego szacunek. Ojciec, kierowca wielkich ciężarówek, sypiał w dużym pokoju naszej przyczepy, kiedy tylko" był w domu, żeby jego dzieci, Buddy i ja, mogły mieć osobne pokoje. Nigdy się o tym nie dowiedział, ale równie dobrze mógł sobie darować to poświęcenie.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy Buddy skończył osiemnaście lat i wstąpił do wojska. Ojciec widział to inaczej - spędzał dużo czasu w drodze i uważał, że trzynastoletnia dziewczynka nie powinna mieszkać sama, prawie pozbawiona opieki dorosłych, a przynajmniej starszego brata. Właśnie dlatego wsadził mnie do autobusu linii Greyhound do Minnesoty, gdzie mieszkała ciotka mojej mamy.

W Minnesocie odkryłam koszykówkę, chociaż właściwie to trener szkolnego zespołu odkrył mnie, czternastolatkę wyższą o głowę od innych dziewcząt w klasie. Można powiedzieć, że od tej pory mieszkałam w sali gimnastycznej, spędzając tam wiele godzin na treningach dla całej drużyny, a potem na własną rękę doskonaląc rzuty wolne i starając się za wszelką cenę wypracować celny rzut z trzech czwartych boiska. Tak jak niektórzy nie mogą uwolnić się od jakiejś popularnej melodii, tak ja wciąż miałam w uszach odgłosy sali gimnastycznej, nawet gdy zasypiałam - rytmiczne uderzenia piłki o podłogę, ciche skrzywienie podeszew sportowych butów, metaliczny szcęk wprawionej w drgania tablicy, do której przymocowany był kosz.

Każdy człowiek musi mieć swoje miejsce na ziemi, a dla mnie była nim właśnie sala gimnastyczna. Nasza drużyna zdobyła mistrzostwo stanu, kiedy byłam w ostatniej klasie. W klasowej księdze umieszczono zrobione tamtego wieczoru zdjęcie, wycięte z miejscowej gazety. Wykonano je już po końcowym gwizdku, kiedy to Garnet Pike, z którą na zmianę kapitałowałam drużynie, chwyciła mnie w objęcia. Obie śmiejemy się, naprawdę szczęśliwe. Garnet była odrobinę wyższa ode mnie i w tamtym roku często chodziłyśmy na siłownię, a jednak zachwiałyśmy się i runęłyśmy na podłogę, przy czym ja uderzyłam się tak mocno, że trener obawiał się, iż pękła mi kość ogonowa. Tak czy inaczej, w tamtej chwili nie czułam bólu - w moich żyłach szumiała nieśmiertelność, wszystkie byłyśmy nietykalne, niezwyciężone.

Dostałam stypendium sportowe na uniwersytecie Las Vegas i zaczęłam grać w ich zespole, ale to już nie było to samo.

Nie czułam się tam dobrze i chociaż czasami grałam, i to nieźle, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że za dużo czasu spędzam na ławce rezerwowych. Nie skarżyłam się, bo wyglądałoby to na brak dojrzałości, lecz zżerało mnie uczucie, że nie zarabiam na stypendium i nie zasługuję na miejsce na uczelni. Oceny rzeczywiście miałam marne, to jedno nie ulegało wątpliwości.

Na zdjęciu mojego roku wyglądałam na umiarkowanie szczęśliwą; włosy błyszczą mi od żelu, którego użyłam w nadmiarze chyba tylko po to, by podkreślić, jak obco czułam się w towarzystwie zadbanych, starannie uczesanych i roześmianych koleżanek z drużyny. Na początku drugiego roku nie zapisałam się na żadne zajęcia, wysłałam list do trenera, spakowałam się i wyjechałam. Przez jakiś czas pracowałam w różnych bezsensownych miejscach, ale był to już ostatni trudny etap przed podjęciem decyzji o wstąpieniu do policji.

Buddy zginął w katastrofie helikoptera nad Tennessee razem z dwunastoma innymi żołnierzami. Ojciec nie uwierzył, kiedy mu powiedziałam, że nie zamierzam przerwać szkolenia w akademii policyjnej i przyjechać na pogrzeb. W jego świecie Buddy był szlachetnym bohaterem, a ja, w jego mniemaniu, kochałam i podziwiałam brata nie mniej niż on. Do ostatniej chwili był przekonany, że jednak przyjadę.

W dniu pogrzebu Buddy'ego wróciłam wieczorem do domu i odsłuchałam nagraną na sekretarkę ośmiominutową wiadomość. Głównym motywem przemówienia ojca była mieszanka gniewnego oburzenia i rozczarowania ze szczyptą melancholii. Powiedział, że po śmierci matki starał się wychować mnie sam, co nie było łatwe. Nigdy nie pił w mojej obecności i nie wracał pijany do domu, później zaś bez żalu wysyłał do Minnesoty czeki na moje utrzymanie, chociaż ja nie napisałam do niego ani jednego listu i rzadko dzwoniłam. W końcowej części wygłosił krótki pean na cześć Buddy'ego, poległego bohatera, krótki z konieczności, ponieważ w sekretarce skończyła się taśma.

Szkoda, że był to monolog, bo później nie mieliśmy już

okazji porozmawiać. W pierwszej chwili miałam ochotę zadzwonić do niego, wiedziałam jednak, że nie zechce ani nie potrafi wysłuchać tego, co miałam mu do powiedzenia o Buddym, dzielnym rycerzu, więc nie odpowiedziałam na ten telefon i w rezultacie nasze wzajemne stosunki znalazły się w strefie cienia. Gdyby Sandy czy Shelly nie znalazła mojego adresu na starej kartce z bożonarodzeniowymi życzeniami, nie dowiedziałabym się o jego śmierci, nie pojechałabym na pogrzeb i nie wracała do domu załoczonym samolotem czarterowym.

Po wylądowaniu na lotnisku w Minneapolis poczułam tak wielką ulgę, że znowu stoję na solidnym gruncie, i tak wielkie zmęczenie po gwałtownym spadku poziomu adrenaliny, iż pragnienie alkoholu stało się jeszcze bardziej dotkliwie. Tak czy inaczej, musiałam wziąć taksówkę, więc nie widziałam żadnego powodu, dlaczego nie miałabym wstąpić do baru na lotnisku.

Poza mną nie było tam prawie nikogo. Głęboko zamyślona barmanka kroїła cytrynę na ćwiartki. Przy barowym kontuarze pił drinka wysoki, bardzo szczupły mężczyzna o kasztanowych włosach do ramion i policzkach pociemniałych od dwudniowego zarostu.

Nie usiadłam przy barze, ale przy stoliku pod ścianą, nie chcąc przeszkadzać obcemu. Ale jednak wciąż zerkaliśmy na siebie, nasze spojrzenia szepiały się ze sobą, pozornie przypadkiem. Zawieszony nad barem telewizor zwracał ku nam puste, zielonkawe oblicze. Wyglądało na to, że możemy zatrzymać wzrok tylko na sobie nawzajem; kto wie, może czuliśmy, że nosimy w sercach podobną porcję rozpacz.

Mężczyzna pochylił się nad ladą i powiedział coś do barmanki. Dziewczyna przegotowała drugą whisky z wodą i drugą wódkę, a mężczyzna zapłacił, wziął oba drinki i podszedł z nimi do mojego stolika.

Był całkiem przystojny, może tylko trochę za szczupły. Miał twarz o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych i odrobinę, ale tylko odrobinę skośne oczy, w jakiś sposób podobne do oczu geparda.

- Nie chciałbym zakłócać pani spokoju, ale pani strój na odległość pachnie mi pogrzebem - powiedział.

Przedstawiliśmy się sobie, oczywiście bez nazwisk - Sara, która właśnie wróciła z rodzinnego pogrzebu i Mike, który wracał do siebie po „bardzo krótkim i bardzo nieodpowiednim romansie”. Nie czuliśmy potrzeby, żeby dowiedzieć się o sobie czegoś więcej, nie rozmawialiśmy nawet o pracy. Po dwudziestu minutach zapytał mnie, jak zamierzam jechać do miasta.

Podwiózł mnie pod sam dom w Seven Corners, gdzie wynajmowałam tanie studio. Gdy zamknęliśmy za sobą drzwi, zostawiłam prostą czarną sukienkę i pończochy na podłodze, obok jego znoszonego ubrania i solidnych butów.

Były to dni, w których wyznawałam zasadę beztroski i czasami pozwalałam sobie na noc z przygodnym partnerem. Zawsze budziłam się na tyle, żeby usłyszeć, jak wychodzi, ale nigdy nie otwierałam oczu, pełna podskórnej, żalostnej wdzięczności, że rano już go nie będzie.

Ten facet natomiast po prostu zdematerializował się z mojego łóżka - nic nie słyszałam i obudziłam się dopiero rano. Na pewno jak zwykle poczułabym wdzięczność, gdyby nie jedno wspomnienie.

Na lotnisku w milczeniu poprowadził mnie na parking, gdzie czekał jego samochód, stara zielona catalina.

- Ładny - powiedziałam. - Ma charakter.

Nie odpowiedział, więc odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Stał oparty o betonowy słup, z zamkniętymi oczami i twarzą wystawioną na podmuchy wiejącego od lotniska zimnego styczniowego wiatru, pachnącego paliwem.

- Co się stało? - zapytałam.

- Nie - odparł, nie podnosząc powiek. - Próbuję wytrzeźwieć, żeby nie spowodować wypadku na 494...

Podeszłam do niego i spojrzałam na samolot linii North-west, który wspinał się do nieba po niewidzialnej powietrznej rampie. I nagle powiedziałam coś, co wcześniej nie przyszło mi do głowy, w każdym razie nie świadomie.

- Przeżyłam wszystkich moich najbliższych...

- Boże, żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego. - Westchnął.

Byłam na tyle pijana, że parsknęłam zaskoczonym, niepewnym śmieszkim. Otworzył oczy, popatrzył na mnie, objął mnie i przytulił, mocno, drapiąc zarostem mój policzek.

Zupełnie nie pasowało to do etykiety związków na jedną noc, było zdecydowanie zbyt intymne jak na przelotną znajomość, która z zasady miała i powinna być pozbawiona wszelkiej intymności, lecz wcale mi to nie przeszkadzało, więcej, nawet nie czułam się zaskoczona. Ten uścisk sprawił, że twarzą, skłębiona gula w głębi mojej piersi, której nie rozluźniła nawet spora porcja whisky, nagle po prostu zniknęła, może tylko na chwilę, ale jednak.

Parę dni później Genevieve i ja jak zwykle wybrałyśmy się razem na siłownię. Przechodziłyśmy obok sali do gry w kosza, kiedy zatrzymał nas czyjś okrzyk.

- Hej, Brown!

Genevieve przystanąła i odwróciła się, ja poszłam za jej przykładem.

Mężczyzna, który ją zawołał, stał na linii rzutów wolnych, w otoczeniu trzech młodszych od niego graczy.

- Może przedstawiś nas swojej koleżance? - zaproponował.

- Faceci z międzywydziałowej brygady antynarkotykowej - wyjaśniła Genevieve. - Wszyscy z wyjątkiem tego bardzo wysokiego. To Kilander, prokurator okręgowy.

- Chodzi ci o moją *bardzo wysoką* koleżankę? - odkrzyknęła. - Chcesz ich poznać? - zwróciła się znowu do mnie. - Wygląda mi na to, że szukają ludzi do drużyny, bo mają ochotę pograć...

Była zaprzyjaźniona z facetem, który nas zauważył, Radichem. Z bliska okazało się, że Radich jest mniej więcej w wieku Gen, o śródziemnomorskim typie urody - ostre rysy i zmęczone ciemne oczy. Kilander miał ponad metr dziewięćdziesiąt, jasne włosy i niebieskie oczy o szczerym spojrzeniu. W pierwszej chwili skojarzył mi się z chłopakiem z prowincji, który

zrobił karierę w telewizji i został prezenterem wiadomości w najlepszym czasie antenowym. Obok nich stał świetnie zbudowany czarnoskóry facet średniego wzrostu, w moim wieku, Hadley i wyglądający na byłego wojskowego chłopak w skandynawskim typie, o boleśnie krótko przyszyżonych włosach i płaskich błękitnych oczach, Nelson.

- A to Sara Pribek, z patrolu - przedstawiła mnie Genevieve. - Myślę jednak, chłopcy, że was najbardziej zainteresuje fakt, iż w szkole średniej grała na pozycji obrońcy w drużynie, która zdobyła mistrzostwo stanu...

Mężczyźni wymienili uśmiechy.

- Dlatego wydaje mi się, że powinniście potraktować mnie jako jej agentkę w negocjacjach, których celem jest utworzenie jakiegoś pieprzonego międzywydziałowego zespołu...

- Utworzenie? - Radich posłał jej niewinny uśmiech. - Potrzebny nam ktoś od zaraz, bo Nelson musi się zrywać. Oczywiście ty także możesz zagrać, pani detektyw...

- Oczywiście, jakżeby inaczej! - prychnęła Gen.

- Zaraz, chwileczkę - wtrąciłam się. - Jeden schodzi, a na jego miejsce wchodzi dwie osoby?

- Ja się nie liczę jako gracz - wytłumaczyła mi Gen. - W najlepszym razie traktują mnie jak pół człowieka, żeby ich pokreć...

- Nie - odparł Radich. - I tak graliśmy już w składzie trzech na dwóch. Gdzie jest Shiloh, do cholery?

- Tutaj - odezwał się nowy głos.

Pochłonięta wymianą zdań między Genevieve i Radichem, nawet nie zauważyłam, kiedy i skąd pojawił się przy bocznej linii. Odwróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć, i zamarłam.

Jego kocich oczu nie rozświetlił nawet przelotny błysk, ale mimo to wiedziałam, że mnie poznał. Tym razem był gładko ogolony. Za wszelką cenę chciałam oderwać oczy od jego twarzy i nie mogłam.

- Mike Shiloh z wydziału antynarkotykowego, Genevieve Brown z dochodzeniówki... - przedstawił Radich.

- Znam Genevieve.

- ...i Sara Pribek z patrolu.
- Cześć - powiedział.
- Panie pograją z nami chwilę. Ostatnio pierwszy wybierał Kilander, więc teraz twoja kolej, kogo wybierasz, Brown albo Pribek...

Genevieve zerknęła na mnie i przewróciła oczami, pewna werdyktu.

Spojrzenie Shiloha przemknęło po nas obu i wróciło do Gen.

- Chodź, Brown.
- Mike! - oburzył się Hadley, który grał z Shilohem.

Radich ze zdziwieniem popatrzył na Genevieve. Wzruszyła ramionami jak przestępca, który mówi: „Przeszukajcie mnie, i tak nic przy sobie nie mam!”.

Miałam nadzieję, że w całym tym zamieszaniu nikt nie zauważył wyrazu przykrego zaskoczenia, jaki z pewnością na moment pojawił się na mojej twarzy. Jedynym graczem, który przyjął decyzję Shiloha bez cienia zdziwienia, był Kilander, prokurator. Rzucił mi szybki, porozumiewawczy uśmiech, zupełnie jakbyśmy mieli wspólny, podniecający sekret.

I tak to się zaczęło. Genevieve dzielnie biegała między nami, bezskutecznie próbując wyrwać się spod straży trochę powolnego Radicha, Hadley świetnie krył Kilandera, szybkością nadrabiając niedostatek wzrostu, lecz tak naprawdę gra toczyła się między mną i Shilohem.

Był bardzo dobry, musiałam to przyznać. Wyczuł moje słabe strony i nie pozwalał mi choćby na sekundę przystanąć w miejscach, z których mogłam wykonywać rzuty za trzy punkty, ale i ja nie dałam mu zdobyć zbyt dużej przewagi. Nasze drużyny także miały co robić. Shiloh pilnował mnie, lecz był na tyle ostrożny, że ani razu mnie nie sfaulował, natomiast ja pod koniec meczu straciłam panowanie nad sobą i starano- wałam go.

Shiloh podkreślił to zwycięstwo, ani słowem nie komentując faulu. Kiedy odsuwaliśmy się, aby mógł swobodnie wykonać wolne, Genevieve zatrzymała się obok mnie.

- Właśnie załatwiłaś swojemu zespołowi porażkę! - syknęła mi z radością do ucha.

Żartowała, ale ja byłam na siebie naprawdę wściekła.

- Może nie trafi.

- On zawsze trafia.

Shiloh przyjął piłkę od Radicha, chwilę kozłował leniwie, by zdenerwować przeciwnika, tak jak robią to koszykarze na całym świecie, wreszcie rzucił i trafił w obręcz.

Roześmiałam się z ulgą, którą moi koledzy z drużyny wzięli za satysfakcję. Shiloh całkowicie mnie zignorował. W ostatecznym rozrachunku ta drobna klęska nie miała żadnego znaczenia, bo jego zespół i tak zakończył grę z kilkupunktową przewagą.

Kiedy Genevieve żegnała się z Radichem, Shiloh, który schodził już z boiska za Hadleyem, odwrócił się i spojrzał na mnie. Jego sprana zielona koszulka przykleiła się do mokrych od potu żeber i ten widok natychmiast skojarzył mi się ze zmęczonym po biegu koniem wyścigowym.

- Kilander był napastnikiem w drużynie Princeton - powiedział.

- Tak?

- Tak. Może powinnaś popracować nad podaniami, wtedy mielibyście większe szanse.

- Co to było, do diabła? - zapytała Genevieve w drodze do szatni, wyzbywając się dyplomatycznej dyskrecji.

- Co takiego?

- Nigdy w życiu nie widziałam, żeby dwoje ludzi tak ostro ze sobą rywalizowało! Znasz Shiloha?

- Dlaczego uważasz, że to moja wina? - zapytałam wymijająco.

- Bo to ty go sfaulowałaś!

- Zasłużył sobie, skoro nie wybrał mnie do drużyny. O co mu właściwie chodziło?

Genevieve się zamyśliła.

- Nie wiem - przyznała. - Nie znam go aż tak dobrze, nie

jestem pewna, czy w ogóle ktoś go dobrze zna. Nie jest szczególnie lubiany w swoim wydziale...

- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Często zachowuje się tak jak teraz wobec ciebie. Prawdopodobnie nawet nie przyszło mu do głowy, że cię uraził. - Schyliła się, żeby zasznuruować but, opierając stopę na ławce. - Z tego, co mówi Radich, wynika, że jest bardzo zdolny i kompetentny, ale słabo radzi sobie w kontaktach z ludźmi. Radich jest jego dowódcą.

Odnotowałam to wszystko w pamięci.

- Shiloh i Kilander mieli kiedyś nieprzyjemne starcie - dodała Genevieve i nagle, w chwili kiedy rozmowa zrobiła się naprawdę interesująca, zmieniła temat. - Jesteś wieczorem na służbie?

- Nie - odparłam. - Mam wolny dzień. Dlaczego pytasz?

- Mówiłam ci, że powinnaś kiedyś wpaść do nas na kolację, więc dlaczego nie dzisiaj? Gotuje moja córka, a trzeba ci wiedzieć, że Kamareiajuż teraz jest lepszą kucharką niż ja...

Pomyślałam, że będę musiała namówić Genevieve, by opowiedziała mi o Kilanderze i Shilohu, ale w następnych dniach jakoś nie było okazji. Usłyszałam o nim znowu tydzień później, kiedy dowiedziałam się, że brygada antynarkotykowa wypożycza mnie na wieczór i zleca zadanie, które miałam wykonać z detektywem Mikiem Shilohem.

Zanim wyszłam do czekającego na mnie na parkingu Shiloha, wiedziałam tylko, że mam być ubrana jak zwykle, nie specjalnego. Sam Shiloh miał na sobie rzeczy tylko odrobinę mniej znoszone niż tamtej nocy, kiedy spotkałam go na lotnisku. Przywitał mnie kiwnięciem głowy i pokwitował odbiór ciemnozielonej vegi bez policyjnych numerów rejestracyjnych.

- Dokąd jedziemy? - zapytałam, gdy znaleźliśmy się na drodze.

- Za miasto - powiedział. - Do Meth.

Milczał tak długo, że zaczęłam wątpić, czy jeszcze w ogóle się odezwie.

- Nie będzie to specjalnie ciekawa akcja - rzekł w końcu. - W małym miasteczku trudniej jest wtopić się w tło, trudno nawet zaparkować na dłużej, nie wzbudzając zainteresowania. W towarzystwie kobiety zawsze można udawać parę na randce.

- Więc pomyślałeś o mnie...

- Nie - odparł spokojnie. - To był pomysł Radicha.

Zastanawiałam się, czy nie może mi wybaczyć tego, że widziałam go słabego i potrzebującego obecności drugiego człowieka. Ciekawe, czy przyszło mu do głowy, że ja także mogę być wściekła, ponieważ widział mnie w takiej samej sytuacji... Niewykluczone, że do końca służbowej znajomości będziemy unikać jakiegokolwiek odniesienia do faktu, że spędziliśmy razem noc, pomyślałam. Tak czy inaczej, ja nie zamierzałam poruszać tego drażliwego tematu.

- Muszę mu podziękować - zauważyłam lekkim tonem.

- Nie ma potrzeby. To nie jest szczególnie interesujące zadanie, mówiłem już, że pewnie się wynudzisz.

- Co ci się stało w ramię? - zapytałam, patrząc na opatrunek na jego rękę.

- Słucham? - Podążył za moim spojrzeniem. - A, to... Oddałem krew. Mam grupę zero minus, uniwersalną, więc dzwonią do mnie dwa razy w roku... - Odlepił plaster, odsłaniając jasną skórę.

Nie rozmawialiśmy więcej do chwili, kiedy dotarliśmy na parking naprzeciwko nieciekawie wyglądającego baru.

Shiloh wyłączył silnik.

- Dlaczego tutaj? - zagadnęłam.

- Obaj podejrzani często tu zaglądają. Sądzimy, że prowadzą laboratorium w jednym z domów przy tej drodze, a bar służy im jako biuro... I dobrze się składa, bo bardzo trudno jest niepostrzeżenie obserwować wiejski dom. Nie mielibyśmy żadnego pretekstu, żeby tam parkować.

- Czemu szukamy?

- Dowodu, że nie są to tylko dwaj bezrobotni faceci, któ-

rzy spędzają za dużo czasu w barze. Mam nadzieję, że jeżeli trochę tu postoję, zjawią się jacyś ich klienci, ktoś, kogo już znamy. Wielu takich gości ma bardzo grube akta. Wychodzą z więzienia i od razu wracają do swojej roboty... - Zwrócił się lekko ku mnie, sygnalizując zainteresowanie postawą, jeżeli nie twarzą. Uświadomiłam sobie, że wchodzi w rolę. Byliśmy na randce. - Muszę przytapać ich na kontaktach z naszymi starszymi znajomymi. Co prawda, to jeszcze nie dosyć, aby uzyskać nakaz aresztowania, ale zawsze coś...

Delikatnie położył mi rękę na ramieniu, ja zaś skupiłam się na udawaniu, że jego dotyk nie robi na mnie wrażenia.

- Genevieve mówiła, że pochodzisz z Utah - odezwałam się, chcąc podtrzymać rozmowę.

- Tak jest.

- Jesteś mormonem?

- Nie, skądże znowu. - Przez jego twarz przemknął wyraz lekkiego rozbawienia.

- Co w tym śmiesznego?

- Mój ojciec był duchownym niewielkiego protestanckiego odłamu - powiedział. - Nawet nie uważał mormonów za chrześcijan...

- Był fundamentalistą?

Lekceważąco wzruszył ramionami.

- Uwielbiamy przyklejać innym etykiety... Dla mojego ojca na świecie istniały po prostu tylko dwie kategorie ludzi: owieczki i kozły.

- Tylko te dwie?

Nie pociągała mnie przynależność ani do jednej, ani do drugiej grupy. Wtedy nie znałam jeszcze tego fragmentu Biblii, który mówi o Sądzie Ostatecznym.

- Przykro mi - odparł sucho.

Gdybym znała go lepiej, może parsknęłabym śmiechem.

- Jak trafiłeś z Utah do Minneapolis? - zmieniłam temat.

- Nie zależało mi, aby trafić akurat do Minneapolis...

Opowiedział trochę o szkoleniu i pierwszej pracy w patrolu w Montanie, potem o przeniesieniu na wschód, do brygady an-

tynarkotykowej, o latach wędrówek, likwidowaniu grup dealerów i skomplikowanych operacjach, w których uczestniczył jako wtyka. Często przenosił wzrok z mojej twarzy na ulicę. Nie próbowałam prowadzić obserwacji razem z nim, bo i tak nie wiedziałabym, kogo wypatrywać. Od czasu do czasu muskał palcem moją szyję i obojczyk zaborczym, pełnym czułości gestem. Utrzymywał się w roli.

Po jakimś czasie zmęczył się opowiadaniem o sobie.

- Skąd jesteś? - zapytał.

- Z północy - odparłam. - Z okolic Iron Range.

Była to moja standardowa odpowiedź na potrzeby świeżo poznanych ludzi. Nie wiem dlaczego, ale o Nowym Meksyku wspominałam tylko tym, z którymi znajomość chciałam podtrzymać. Wydawało mi się, że Mike Shiloh nie należy do tej kategorii, lecz jego następne pytanie zmusiło mnie do złamania zasady.

- Urodziłaś się w Minnesocie?

- No, nie... Do trzynastego roku życia mieszkałam w Nowym Meksyku.

- A potem?

- Potem przyjechałam tutaj.

Wcale nie usiłowałam go zniechęcić do dalszej rozmowy, świadoma, że musimy jakoś spędzić czas oczekiwania. Zawsze mam jednak wrażenie, że dzieciństwo jest podobnym tematem jak pogoda - można rozmawiać o nim bez końca, ale nic z tego nie wynika.

- Dlaczego? - zapytał.

Nie był natrętny - zadawanie pytań to instynkt każdego gli-niarza. Zachowują się tak nawet wobec ludzi, którzy nie są przestępcami ani podejrzanymi, coś jak owczarki szkockie, próbujące zaganiać małe dzieci, gdy w pobliżu nie ma zwierząt, jakimi mogłyby się zaopiekować.

- Mieszkała tu moja ciotka. Ojciec uznał, że powinnam zamieszkać u niej, ponieważ był kierowcą ciężarówki i nie mógł poświęcić mi tyle czasu, ile chciał... - Przerwałam. - Moja matka zmarła, kiedy miałam dziewięć lat, na raka.

- Przykro mi...

- To było dawno temu. Ojciec umówił się z ciotką, właściwie była to ciotka mamy, że przyśle mnie do niej. Uważał chyba, że w okresie dorastania powinnam mieć kontakt z kobietą, która w pewnym sensie mogłaby zastąpić mi matkę. Nie pozbył się mnie z domu dlatego, że byłam trudnym dzieckiem czy zrobiłam coś złego...

Cholera jasna, pomyślałam. Nie miałam zielonego pojęcia, dlaczego to powiedziałam. Może podświadomie się obawiałam, że on wyciągnie taki właśnie wniosek, kto wie...

Ale Mike Shiloh albo nie zauważył mojego zażenowania, albo nie chciał tego okazać.

- Jeździsz czasami do Nowego Meksyku? - zapytał.

- Teraz już nie. Nie mam tam już nikogo bliskiego, a lata, które spędziłam u ciotki, wydają mi się strasznie odległe, zupełnie jakby... - próbowałam znaleźć odpowiednie słowa. - Jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu. To dziwne, ale...

Przerwałam. Co ty wyprawiasz, kretynko?

- Przepraszam - powiedziałam. - Okropnie się rozgadałam. Chodzi mi o to, że w tamtych latach nie działo się nic niezwykłego czy ciekawego. W Nowym Meksyku nie zdarzyło się nic, co... Po prostu nic.

Czułam, jak na policzki wpełza mi gorący rumieniec, lecz Mike Shiloh i tym razem postanowił nie zwracać uwagi na moją konsternację.

- Znam to uczucie. - Uśmiechnął się lekko. - To samo mógłbym powiedzieć o moim życiu w Utah...

Mówił jakby od niechcienia, ale jego spojrzenie było poważne. Nie, nie tak... Przyglądał się uważnie, jakby próbował mnie ocenić, lecz w jego oczach wyczytałam też dziwną łagodność, która sprawiła, że...

- Chodź tutaj, bliżej, bliżej! - powiedział szybko, wyrывая mnie z zamyślenia. - Muszę popatrzeć na nich znad twojego ramienia, tak, żeby mnie nie widzieli, dobrze?

Usiadłam mu na kolanach. Przez parę następnych chwil

wyglądaliśmy jak mocno zainteresowana sobą para. Shiloh splótł dłonie na moich plecach, ukrył twarz na moim barku.

- Doskonale - mruknął.

Cała sytuacja nie nosiła znamion intymności także i dlatego, że bez przerwy myślałam o tym, co robię. Usiłowałam zachowywać się jak najbardziej naturalnie, a jednocześnie przyjąć taką pozycję, by nie przeszkadzać mu w obserwacji podejrzanych.

- Spokojnie... - Shiloh wtulił usta w moją szyję. - Odwróć się odrobinę i spojrzysz na faceta w ciemnej kurtce, który właśnie wychodzi z parkingu...

Spełniłam jego polecenie i przekrzywiłam głowę, dotykając podbródkiem ramienia.

- Widzę go...

Mężczyzna zniknął za nieprzeszklonymi podwójnymi drzwiami baru.

- Znam go jeszcze z Madison - powiedział Shiloh. - Chodzi mi o to, że raz już go aresztowałem, więc nie mogę tam teraz wejść.

- Ale ja mogę?

- Właśnie. Wejdiesz i usiądziesz w takim miejscu, żeby mieć go na oku. Przyjrzyj się, z kim siedzi. Nie, jeszcze nie... Damy mu kilka minut, żeby się rozgościł.

- W porządku. - Uśmiechnęłam się lekko, zadowolona, że dopuszcza mnie do akcji.

- Możesz już zejść z moich kolan - zauważył.

Pośpiesznie przesiadłam się na swoje miejsce. Gdyby nie było zupełnie ciemno, niepokoiłabym się, że zobaczy mój rumieniec.

W barze panowały niemal równie gęste ciemności jak na dworze. Człowiek, którego miałam obserwować, siedział na tyle blisko baru, że mogłam zerkać na niego od lady, lecz dwaj towarzyszący mu mężczyźni zwróceni byli do mnie plecami.

Pociągnęłam łyk zamówionego piwa, zostawiłam szklanekę na kontuarze i podeszłam do automatu z papierosami. Chwilę grzebałam w kieszeniach, nawet nie musząc udawać zdenerwowania.

Zbliżyłam się do stołu, przy którym siedzieli podejrzani.

- Przepraszam, czy moglibyście rozmiąć mi dolara na cztery dwudziestopięciocentówki? - zagadnęłam.

- Przykro mi, nie mam drobnych, skarbie - rzucił chłodno Madison.

- Ja mam ćwiartki - odezwał się jeden z jego towarzyszy.

Był bardzo wysoki, o czym świadczyły długie, daleko wysunięte nogi.

- Dziękuję. - Uśmiechnęłam się, kładąc podniszczony banknot na okrągłym blacie i biorąc ćwierćdolarówki z jego dłoni.

Wróciłam do automatu, kupiłam paczkę old goldsów i ruszyłam w kierunku damskiej toalety, lecz wyminęłam ją i wyszłam na dwór tylnymi drzwiami, których mężczyźni nie mogli widzieć od swojego stołu.

Przystanąłam przy oknie vegi od strony kierowcy. Shiloh opuścił szybę.

- Dwóch blondynów - powiedziałam. - Jeden naprawdę wysoki, długie włosy, niebieskie oczy, gładko ogolony. Drugi średniego wzrostu, trochę podobny do tego z Madison, tyle że ma jaśniejsze i krócej ostrzyżone włosy, i tatuaż na lewym przedramieniu.

- Bransoleta z drutu kolczastego?

- Tak - odparłam z satysfakcją. - Jeden i drugi gładko ogoleni. Ten wysoki ma na sobie...

- Wystarczy - przerwał mi. - Nie muszę wiedzieć, jak są ubrani.

- Co teraz?

Ruchem głowy wskazał miejsce obok siebie.

- Teraz wracamy do Minneapolis.

- Naprawdę? - zapytałam z rozczarowaniem.

Wydawało mi się, że nic nie zrobiliśmy.

- Naprawdę - powiedział. - Dobrze się spisałaś.

Mniej więcej tydzień później poszliśmy z Genevieve poćwiczyć. W szatni Gen zapytała, jak podobała mi się moja pierwsza poważna akcja.

- Skąd o tym wiesz? - zdziwiłam się.

- Wczoraj znowu wpadłam na Radicha. Wiesz, jak to jest, czasami nie widzisz kogoś całymi miesiącami, a potem przypadkiem spotykasz go dwa razy w tygodniu...

- Było w porządku - odparłam. - Nudy na pudy.

W głębi serca byłam innego zdania, ale skoro Shiloh uważał, że była to najnormalniejsza pod słońcem sytuacja, to nie chciałam zdradzić się z entuzjazmem; wolałam sprawiać wrażenie zdegustowanej i znużonej.

- Myślałam, że może zechcesz przejść do brygady antynarkotykowej, skoro i tak zaczęłaś dla nich pracować. - Genevieve uniosła brwi.

- Nie nazwałabym tak tego, w końcu to tylko jedna akcja...

- A rewizja?

- Jaka rewizja?

Popatrzyła na mnie uważnie.

- Mają przeprowadzić nalot na laboratorium, oczywiście z zaskoczenia. Radich mówił, że zamierza poprosić twojego sierżanta, by wypożyczył mu ciebie na tę akcję, ale chyba jeszcze tego nie zrobił...

- Lundquist nic mi nie wspominał...

- Nie powinnam ci o tym mówić, bo może...

- Bo może Lundquist się nie zgodzi? - przerwałam. - Nie przejmuj się, jakoś to przeżyję.

- Pewnie Radich jeszcze z nim nie rozmawiał, to wszystko. Lundquist nie odmówi, jestem pewna. Ma sporo ludzi, a dla ciebie ta akcja to szansa nauczenia się czegoś nowego. Poza tym Radich chce sprawić ci frajdę, bo im pomogłaś...

- Pomogłam im? Siedziałam na kolanach Shiloha i udawałam jego dziewczynę...

- Przeszkadzało ci to? Nelson nie mógł tego zrobić.

- Nie, wszystko było w porządku. - Wzruszyłam ramionami.

- Shiloh także?

- Jasne. A przy okazji, co chciałaś powiedzieć mi o nim i Kilanderze tamtego wieczoru?

- O Kilanderze? - Lekko zmarszczyła brwi.
- Tak, o tym, że nie są najlepszymi przyjaciółmi.
- Ach, tak... To nic ważnego. Nie pamiętam wszystkich szczegółów, ale zaraz po przeniesieniu z Madison Shiloh brał udział w przeszukaniu jakiegoś klubu w północnej części Minneapolis. Cała sprawa była dość wątpliwa, Kilander prowadził ją z ramienia urzędu prokuratorskiego i miał nadzieję, że Shiloh... - Genevieve szukała w myśli najłagodniejszych, najbardziej neutralnych określeń, w każdym razie takie odniosłam wrażenie. - Że Shiloh będzie z nim współpracował i złoży odpowiednie zeznania... Nie pytaj mnie, o co chodziło, bo naprawdę nie pamiętam. Tak czy inaczej, Shiloh uznał, chyba słusznie, że oskarżenie jest bardzo chwiejne i powiedział, że nie zamierza ubarwiać zeznań. - Gen otworzyła drzwiczki szafki. - Kilander zrozumiał, że nie może liczyć na aktywną pomoc ze strony Shiloha i postanowił w ogóle nie wzywać go jako świadka. I przegrał sprawę.

- Co myśleli o tym ludzie z wydziału Shiloha? - zapytałam.

W moich oczach opinia policjanta zawsze liczy się bardziej niż zdanie prokuratora.

- No, nie ulega wątpliwości, że ktoś puścił tę historię w obieg, skoro i ja ją znam - mruknęła. - Ktoś przysłał Shilohowi do pracy materiały o gliniarzach, którzy niechętnie współpracują z oskarżeniem i starają się być zbyt wyrozumiali wobec oskarżonych, takie tam różne... Zupełnie jakby było w tym coś wstydliwego... Wątpię, żeby zrobił to Kilander, bo to zupełnie nie w jego stylu. - Genevieve zawiązała sznurowadła. - Czemu pytasz?

- Zawsze dobrze jest znać krążące po wydziale plotki - odrzekłam lekko.

Kiedy dotarłam na komisariat, na biurku czekała na mnie kartka od sierżanta Lundquista. *Skontaktuj się z porucznikiem Radichem.*

Trudno jest prowadzić obserwację farmy i równie trudno zaskoczyć jej mieszkańców, dokładnie z tych samych powodów. Radich wyjaśnił nam, że sytuacja nie wymaga zbytnej delikatności. Mieliśmy wpaść do domu o świcie, z nakazem rewizji w rękę, i przyłapać podejrzanych zaspanych i nieprzygotowanych do obrony.

Była piąta dwadzieścia pięć rano. Jechałam w kierunku Anoki tą samą zieloną vegą, którą wcześniej podróżowałam z Shilohem, ale tym razem towarzyszył mi Nelson.

Prawie nie rozmawialiśmy. W towarzystwie ostrzyżonego najeża Nelsona czułam się swobodniej niż przy Shilohu. Nelson był glińiarzem z gatunku tych, do których przywykłam - niczego nie owijał w bawełnę, wyrażał się dosadnie i traktował mnie jak kolegę po fachu. Cóż, nie widział mnie nagiej czterdzieści pięć minut po tym, jak poznałam go w barze na lotnisku...

Patrolowałam ulice od pierwszej w nocy i nawet nie miałam szansy odrobinę się zdrzemnąć. Fakt, że czekała mnie cała noc pracy, trochę niepokoił Radicha i Lundquista, ale najwyraźniej musieli wyczytać w mojej twarzy, jak bardzo zależy mi na tym zadaniu, bo ostatecznie wyrazili zgodę.

Ich niepokój okazał się zbędny, bo nie byłam ani trochę senna. Szczerze mówiąc, czułam się tak, jakbym połknęła spore stado os i popiła je dużą ilością czarnej kawy.

Shiloh podszedł do mnie, kiedy sprawdzałam broń, osłonięta drzwiczkami samochodu.

- Chyba powinnam podziękować Radichowi, że znowu o mnie pomyślał - odezwałam się.

- Nie, to był mój pomysł - odparł spokojnie. - Słuchaj, chciałem ci coś powiedzieć...

- Radich wszystko mi wytłumaczył - przerwałam mu. - Mam trzymać się za Nelsonem i osłaniać go; ty i Hadley wchodźcie od frontu, ja i Nelson od tyłu.

- Nie o to mi chodzi... Pewien psycholog powiedział mi, że jeżeli czegoś się boisz, chociaż my, oczywiście, nigdy się niczego nie boimy... - Zawiesił głos i uśmiechnął się lekko,

dając mi do zrozumienia, że żartuje. - Zatem kiedy się boisz, możesz oprzeć dłoń na masce samochodu czy czymkolwiek innym i wyobrazić sobie, że zostawiasz tam swój strach.

Schowałam broń do pochwy.

- W ten sposób można dyskretnie uspokoić się i pozbyć lęku w obecności innych ludzi - dokończył.

- Dziękuję - odparłam krótko.

Nie dał się nabrać na mój uprzejmy ton.

- Nie miałem na myśli, że jesteś przestraszona, nic z tych rzeczy - powiedział pośpiesznie.

- Wiem.

Odwrócił wzrok i popatrzył na dom.

- Rób wszystko tak, jak ustaliliśmy. Ta rewizja nie powinna sprawić nam żadnych kłopotów.

Parę godzin wcześniej to samo powiedział mi Radich, więc chyba nic dziwnego, że w tej sytuacji los postanowił spłatać nam figla.

W salonie na parterze spało dwoje ludzi. Shiloh i Hadley od razu pognali na górę, słysząc przyciszone odgłosy kroków. Nelson postawił pod ścianą tego wysokiego, którego widziałam w barze - teraz nie miałam już cienia wątpliwości, że facet ma metr dziewięćdziesiąt parę wzrostu - i zaczął nakładać mu kajdanki. Towarzyszka aresztowanego, chuda kobieta między dwudziestką i trzydziestką, rzuciła się w stronę najbliższego okna.

Skoczyłam za nią, jeszcze zanim Nelson zdążył odwrócić głowę w jej kierunku. Była szybka, jednym ruchem szarpnęła okno do góry i wychyliła się na zewnątrz, a gdy chwyciłam ją w pasie, tak mocno zacisnęła dłoń na metalowym parapecie, że ostra krawędź rozcięła jej skórę. Wrzasnęła głośno.

- Patrz, co narobiłaś, ty suko! - wykrztusiła, podtykając mi przed oczy zakrwawione palce.

- Proszę założyć ręce na plecy - poinstruowałam ją.

- Zabieraj łapy, gnido! Patrz, co zrobiłaś! Zabieraj łapy, pierdolona kurwo!

- Trace... - zrezygnowanym tonem odezwał się mężczyzna.

Najwyraźniej wiedział, że sprawa jest już przegrana, ale Trace, czy może raczej Tracy, wydawała się go nie słyszeć. Po prostu nie słuchała, za to wydierała się na mnie na całe gardło, kiedy próbowałam wygłosić formułkę o prawach aresztowanego. Denerwowałam się, bo nie byłam pewna, czy w razie czego nie powie później w sądzie, że nie słyszała mojego ostrzeżenia i, co za tym idzie, jakimś cudem wykpi się z odsiadki.

Kątem oka widziałam Hadleya i Shiloha, schodzących na dół z trzecim podejrzanym. W końcu udało mi się zaobrączkować Tracy, ale w myśli wciąż się modliłam, żeby wreszcie ucichła. Zaczęłam czuć się źle i nieswojo, ponieważ jako jedyna z naszej czwórki miałam kłopoty z osobą aresztowaną.

Właśnie wtedy zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Od zewnętrznej strony schody zamknięte były zwyczajną balustradą z toczonymi drewnianymi tralkami i nagle spomiędzy dwóch tralek wysunął się jakiś gruby brunatny sznur (sprawiało to takie wrażenie, jakby część balustrady ożyła) i wylądował na podłodze tuż przed Nelsonem. Nelson podskoczył, ale nie odsunął się, a jego jasnoniebieskie oczy o mało nie wyszły z orbit.

Nie musiałam przyglądać się spoczywającemu przed nim ruchliwemu sznurowi, żeby zorientować się, co się dzieje. Z dzieciństwa doskonale pamiętałam ten dźwięk - charakterystyczny, ostrzegawczy grzechot. Nelson stał oko w oko z grzechotnikiem.

Na ułamek sekundy wszyscy zamarli, znieruchomiał nawet szykujący się do ataku wąż.

Zrobiłam krok do przodu, mocno chwyciłam zwierzę tuż za trójkątną głową i szybkim ruchem skręciłam mu kark.

Uporczywe grzechotanie nie ucichło od razu, chociaż wąż już nie żył. Hadley i Nelson wpatrywali się we mnie takim wzrokiem, jakbym przed chwilą dokonała rozszczepienia atomu. Tracy umilkła i patrzyła na mnie z szeroko otwartymi ustami. Tylko Shiloh nie wydawał się zaskoczony czy zbity z tropu, chociaż w jego oczach czał się błysk jakiejś niemożliwej do odczytania myśli.

- Może powinniśmy wszyscy wyjść na dwór - zasugerował.

Wyszliśmy, ale ktoś musiał jednak wrócić i upewnić się, czy w domu nie ma więcej węży. Nelson i Hadley nie wyglądali na chętnych, obaj patrzyli na mnie wyczekująco.

- Ty jesteś pogromcą smoków - powiedział Hadley, tylko półżartem.

- Jasne. - Kiwnęłam głową. - Czemu nie?

- Pójdę z tobą - zaproponował Shiloh.

Sprawdziliśmy wszystkie pokoje. Nigdzie nie było buszujących węży, ale w sypialni na górze znaleźliśmy terrarium.

W jednym końcu świetlówka ogrzewała szeroki, płaski kamień, w drugim urządzono drewnianą budkę do chłodzenia ciał. Na piasku spały dwa dorosłe węże, splecione ze sobą.

- Boże, wybaw mnie od dealerów i ich przeklętych upodobań... - Shiloh westchnął ze znużeniem.

- Chyba powinniśmy zadzwonić do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. - Przykucnęłam przed lodówką, w której były nie tylko martwe myszy, ale także małe buteleczki z surowicą.

- Do nich? Chyba żartujesz! - prychnął. - Nie zajmą się nimi. Musimy skontaktować się z zoo, co oznacza, że jedno z nas tu zostanie. Nie mamy innego wyjścia.

- Mogę zostać - powiedziałam.

- Nie, Nelson i ja musimy i tak spisać wszystkie dowody. Idź do samochodu, weź dane więźniów i uzupełnij formularze. Hadley z radością odwiezie cię do miasta. Wydaje mi się, że zakochał się w tobie.

Był to żart, ale zobaczyłam, że nagle uświadomił sobie, co powiedział. Przypadkiem przywołał coś, o czym oboje ze wszystkich sił usiłowaliśmy zapomnieć. Cały czas stąpaliśmy po cienkim lodzie, który Shiloh skruszył jedną niewinną uwagą. Oboje poczuliśmy, jak zimna woda zalewa nasze świeże porozumienie.

Tak czy inaczej, Shiloh miał rację. Hadley zadzwonił do mnie parę dni później. Umawialiśmy się przez sześć przyjem-

nych tygodni, z powodzeniem ukrywając to przed naszymi kolegami.

Jakiś czas później samotnie patrolowałam wieczorem ulice. Przechodząc przez most Hennepin, zauważyłam stojące na wąskim chodniku tekturowe pudło. W pobliżu nie było żywej duszy. Wydało mi się to trochę dziwne, więc powoli podszłam bliżej, żeby zajrzeć do środka.

Okazało się, że w tym wypadku ostrożność była całkowicie zbędna. Wewnątrz, na pogniecionych gazetach, siedziały dwa kocięta.

Ktoś w ostatniej chwili zlitował się nad zwierzętami - ogarnięty wyrzutami sumienia nie zdobył się na to, aby rzucić je do rzeki. Postanowiłam zawieźć kotki na komisariat i rano zadzwonić do schroniska.

Nie śpieszyło mi się do samochodu, więc długą chwilę stałam na moście, patrząc na Missisipi i jej brzegi. Na moście nie było żadnego ruchu i czułam się trochę jak wśród filmowych dekoracji w opustoszałym atelier. W centrum miasta okna wieżowców lśniły od świateł, z oddali dobiegał szum samochodów, pędzących drogą 35W, trochę podobny do szumu przepływającej w żyłach krwi, słyszanego przez stetoskop. Były to jedyne oznaki życia. Pomyślałam, że nie jest to normalne, nawet o drugiej trzydzieści nad ranem, ale nie miałam nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie, wydało mi się to przyjemnie tajemnicze.

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Daleko w dole biegła jakaś samotna postać.

Poruszała się długim krokiem, jak finiszujący przełajowiec, środkiem pustej ulicy, której mokra nawierzchnia lśniła w świetle latarni.

Wystarczyło mi kilka sekund obserwacji, aby odgadnąć parę rzeczy. Po pierwsze, mężczyzna utrzymywał to tempo od dłuższego czasu i mógł przebiec jeszcze całkiem spory dystans, nie zwalniając. Po drugie, bieg środkiem prawie zupełnie pustej ulicy sprawiał mu przyjemność i dodawał energii. Po trzecie, mężczyzna był entuzjastą biegania, takim, który potrafi po

prostu biec przed siebie, nie licząc kilometrów i nie myśląc o tym, kiedy się zatrzymać, w przeciwieństwie do mnie.

Gdy się zbliżył, uświadomiłam sobie, że go znam. To był Shiloh.

Przebiegł pod mostem. W tej samej chwili nocną ciszę rozdarł warkot dwóch silników. Tuż obok mnie przejechały dwa samochody, kierując się na wschód. Niezwykły spokój rozwiązał się jak mgła.

Kilka dni później umówiłam się z Hadleyem na lunch, w czasie którego omówiliśmy kwestię naszego związku. Zgodziliśmy się, że nie ma on przyszłości; nie pamiętam, które z nas powiedziało, że „na dłuższą metę nic z tego nie będzie”, ale chyba byłam to ja.

Nie zadzwoniłam do Mike'a Shiloha i nie starałam się „przypadkiem” wpaść na niego w kwaterze głównej policji.

Nikt więcej nie poprosił mnie o udział w akcji brygady antynarkotykowej, chociaż Radich wstąpił na komisariat, żeby podziękować mi za pomoc. Incydent z grzechotnikiem przysporzył mi chwilowej sławy, która szybko umarła śmiercią naturalną. Znowu byłam zwykłą policjantką, która pracuje na zmiany i spokojnie patroluje ulice.

Do Minneapolis zawitała wczesna wiosna. Genevieve wzięła tydzień urlopu w czasie międzysemestralnej przerwy w szkole Kamarei; nie chciało mi się samej chodzić na siłownię, więc przez parę dni biegałam po południu spacerową trasą nad rzeką. Powtarzałam sobie, że bynajmniej nie unikam zaimprovizowanych meczów koszykówki, w których czasami grywali faceci z brygady antynarkotykowej, po prostu pracuję nad formą, a poza tym pogoda jest zbyt ładna, aby marnować czas w sali gimnastycznej.

Ostatnie kilkaset metrów zawsze pokonywałam wolniejszym krokiem, żeby trochę ochłonać. Tamtego wieczoru też szłam niespiesznie, wdychając pachnące wiosną i pizzą powietrze i zastanawiając się, czy później nie przebrać się i nie zajrzeć do restauracji, którą właśnie mijałam. Skręciłam w ulicę

przy której mieszkałam, i zobaczyłam parę długich nóg, spoczywających na moich schodach. Pozostałej części ciała gościa nie widziałam, bo siedział na najwyższym stopniu, ale nieco zniszczone buty wydały mi się dziwnie znajome, podobnie jak zielona catalina, zaparkowana przed domem.

Ucieszyłam się, że wcześniej domyśliłam się, kto na mnie czeka. Dzięki temu miałam szansę pokazać Mike'owi Shilohowi spokojną twarz i pozornie bez wrażenia spojrzeć na niego po raz pierwszy od dwóch miesięcy.

Bo przecież od naszego ostatniego spotkania minęły prawie dwa miesiące... Nie da się ukryć, że widok Shiloha przyprawił mnie o lekki wstrząs, spowodowany zaskoczeniem i świadomością, iż jego wizerunek, który namalowałam i zamknęłam w pamięci, nie jest do końca prawdziwy. Nagle wszystko zauważyłam od nowa - lekko skośne oczy, wyraziste, jakby odrobinę eurazjatyckie rysy, długie, wijące się włosy, nie strzyżone przez te dwa miesiące, a przede wszystkim bezpośrednio, bynajmniej nie przepraszające spojrzenie. Nasze oczy znajdowały się prawie na tej samej wysokości, chociaż on siedział.

- Pomyślałem sobie, że skoro masz ranną zmianę, to o tej porze będziesz w domu - odezwał się na powitanie. - Jadłś już coś?

- Nie przyszło ci do głowy, żeby najpierw zadzwonić? - zapytałam.

- Przepraszam - powiedział. - Hadley na ciebie czeka?

Jego usta nawet nie drgnęły, ale wyczułam, że jest trochę rozbawiony. Był zadowolony, że odgadł coś, co Hadley i ja starannie ukrywaliśmy.

- Nie spotykam się już z detektywem Hadleyem na gruncie towarzyskim - odparłam, uciekając się do najbardziej oficjalnego zwrotu, jaki przyszedł mi do głowy, i do najchłodniejszego tonu.

- Miło mi to słyszeć - oświadczył. - W ubiegły piątek wieczorem widziałem detektywa Hadleya w Lynlake z młodą kobietą ubraną tak, jakby spotykała się z nim na gruncie towarzyskim...

- Cieszę się.
- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. - Lekko przekrzywił głowę. - Jesteś głodna? Bo jeśli tak, to znam bardzo przyjemną koreańską restaurację w St. Paul. Oczywiście nie upieram się, wszystko zależy od tego, na co masz ochotę...

Uświadomiłam sobie, że już od paru chwil staram się określić, kim jest ten mężczyzna, czy mi się podoba i że wciąż nie mogę się zdecydować.

- Zanim się gdzieś wybierzemy, chciałabym cię o coś zapytać - powiedziałam sztywno.

- Słucham...

- Dlaczego piłeś w barze na lotnisku?

Zaskoczyłam go, wyczytałam to w jego twarzy. Chwilę pocierał kark, potem podniósł wzrok.

- Lotniska mają własną policję - odparł. - Chciałem pójść gdzieś, gdzie nie wpadnę na gliniarzy, których znam.

Usłyszałam prawdę w jego słowach. Prawdę, nie łatwy cynizm, którego dźwięk pozwoliłby mi bez wahania odprawić tego człowieka z niczym i raz na zawsze przestać o nim myśleć.

- Wejdz na chwilę - powiedziałam. - Muszę się przebrać.

Rozdział 14

Naomi Wilson, z domu Shiloh, ani trochę nie przesadziła, opisując swoją sylwetkę. Miała na sobie luźną żółtą sukienkę i rozpięty koralowy sweter, tylko częściowo osłaniający jej ogromny brzuch. Stała na brzegu zadbanego placu zabaw i obserwowała dzieci.

Widziałam, że obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, gdy szłam w jej stronę, i na chwilę zatrzymała wzrok na czarnej skórzaney kurtce, którą uznałam za najlepsze okrycie na jesień na Zachodzie.

- Jesteś Sara, prawda? - zapytała. - Naomi Wilson...

Miała włosy ciemniejsze niż Shiloh, w jej otwartej, miłej

twarży nie mogłam dopatrzeć się podobieństwa do brata. Oczywiście sposób bycia stanowi część ogólnego wizerunku każdego z nas, a im jesteśmy starsi, w tym większym stopniu nasze twarze stają się odbiciem naszego życia i naszych myśli. Nie miałam już cienia wątpliwości, że pod tym względem Naomi i Shiloha dzieliły całe światy.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy porozmawiały tutaj? - Naomi wskazała piknikowy stolik. Nie było jej za chłodno w samym swetrze, najwyraźniej przywykła do przebywania na dworze z dziećmi. - Jeżeli wolisz wejść do środka, poproszę Marie, żeby została z dziećmi...

- Porozmawiajmy tutaj.

- Napijesz się herbaty, wody albo soku jabłkowego? - zapytała z uśmiechem. - Może zjesz żytynego krakersa?

- Wystarczy kawa, dziękuję.

- Nie mamy kawy, niestety - powiedziała przepaszająco.

Dopiero teraz przypomniałam sobie słowa Shiloha, który kiedyś mówił mi, że trzy czwarte procent populacji Utah to mormoni i dlatego nawet w automatach można tu dostać tylko bezkofeinową kawę albo colę.

- Nie szkodzi, wszystko w porządku.

Minęła dłuższa chwila, zanim Naomi wygodnie usadowiła się przy stole.

- To dziewiąty miesiąc? - zapytałam.

- Nie, dopiero siódmy.

- Bliźnięta?

Kiwnęła głową.

- U nas to rodzinne.

- Gdzie mieszka twoja siostra bliźniaczka?

- Bethany jeszcze studiuje. Nie skończyła uczelni w cztery lata. Nie spieszyło jej się, w przeciwieństwie do mnie.

Miałam ochotę od razu przejść do rzeczy, lecz Naomi przyglądała mi się w zamyśleniu, jakbym nagle pojawiła się przed nią w niewyjaśnionych okolicznościach.

- Więc Mike się ożenił... - Westchnęła. - Nie wiem, dlaczego, ale właściwie jestem trochę zaskoczona...

- Tak?
- Tak. Zawsze był samotnikiem.
- I nadal taki jest. Zanim zaginął, wybierał się na szkolenie do akademii FBI w Wirginii. Byłby poza domem aż cztery miesiące, ale rozumiałam jego decyzję.

- Zamierzał zostać agentem FBI?

- Tak.

- Coś takiego... - Naomi parsknęła śmiechem. - To zdumiewające! Mike agentem FBI...

- Dlaczego cię to dziwi? Wiedziałaś przecież, że pracuje w policji.

- To prawda - odparła. - Wiedziałam, ale mimo wszystko...

- Był trudnym nastolatkiem?

Spojrzała w górę, jak zwykle robią to ludzie, którzy usiłują sobie coś przypomnieć.

- Jakby to powiedzieć... Nie jestem pewna, ale chyba tak, w każdym razie takie wrażenie wyniosłam z naszego domu...

- Tak mówili ci rodzice?

- Tak, a także Adam i Bill. Tyle że teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie mogę sobie przypomnieć nic konkretnego... Może sama doszłam do wniosku, że ktoś, kto w tak młodym wieku opuścił dom, musiał mieć skłonność do łamania zasad, nie wiem...

- Doszłaś do wniosku, że musiał być wyrzutkiem?

- Coś w tym rodzaju - odparła. - Jak się poznaliście?

Naomi wyglądała na bardziej zainteresowaną życiem Shiloha w Minnesocie niż faktem jego zaginięcia. Może było to naturalne, ostatecznie w ich świadomości Shiloh zniknął dawno temu.

- W pracy - powiedziałam. - Jestem policjantką.

- Powinnam była się domyślić... Wyglądasz na policjantkę, chodzi mi o to, że jesteś...

- Wysoka, wiem - dokończyłam z uśmiechem. - Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z Mikiem?

Czułam, że najwyższy czas przejść do rzeczy, szkoda tylko, że nie bardzo wiedziałam, czego tak naprawdę szukam w Utah.

- W ogóle z nim nie rozmawiam. - Naomi rzuciła mi nieco zdziwione spojrzenie. - Dostaję od niego kartki na święta...

- Ale przecież to ty, jako jedyna z rodziny, odnalazłaś Mike'a - zauważyłam. - Wydawało mi się, że łączą was najcieplejsze uczucia...

- Nie powiedziałałabym, że kiedykolwiek byliśmy sobie bliscy. - Uniosła brwi. - Kiedy Mike wyjechał z domu, miałam osiem lat.

- Dlaczego zaczęłaś go szukać?

Zamyśliła się.

- W naszej rodzinie zawsze odgrywałam rolę kronikarki, tak mi się w każdym razie wydaje. Rodzina jest dla mnie bardzo ważna, zresztą nie tylko dla mnie, ale to ja zawsze robiłam zdjęcia na rodzinnych spotkaniach i wklejałam do albumów. I chyba właśnie dlatego pod koniec szkoły średniej zaczęłam myśleć o Mike'u i zastanawiać się, w jaki sposób mogłabym go odnaleźć.

- Zgłosiłaś się do jednej z internetowych firm, które zajmują się poszukiwaniem ludzi?

Naomi potrząsnęła głową.

- Wtedy nie było mnie na to stać, więc szukałam innymi sposobami. Miałam dużo przyjaciół i znajomych i kiedy ktoś z nich gdzieś wyjeżdżał, prosiłam, żeby zajrzał do ksiązek telefonicznych innych miast. Na szczęście mamy dość rzadko spotykane nazwisko, więc w końcu moja koleżanka Diana zadzwoniła do mnie z Minneapolis i powiedziała, że znalazła Michaela Shiloha w tamtejszej książce, tylko numer telefonu, bez adresu. Byłam zbyt nieśmiała, żeby tak po prostu do niego zadzwonić, więc zapytałam w informacji telefonicznej o numer Michaela Shiloha, zamieszkałego przy Fifth Street i wtedy usłyszałam, że mają numer zarejestrowany na to nazwisko, ale przy 28th Avenue. Wtedy poczułam, że jestem już prawie w domu. Kuzynka Diany znalazła dla mnie jego pełny adres w spisie osób uprawnionych do głosowania.

- Szkoda, że niektórzy moi koledzy w pracy nie mogą pochwalić się taką pomysłowością. - Westchnęłam.

Nie chciałam pochlebiać Naomi - jej rzutkość naprawdę mi zaimponowała. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Byłam wtedy na pierwszym roku studiów - podjęła. - Napisałam do Mike'a list, chociaż starałam się nie wiązać z tym zbyt wielkich nadziei. Byłam nawet trochę zaskoczona, kiedy trzy tygodnie później dostałam odpowiedź. Nie był to długi list, ale na pewno przeczytałam go co najmniej cztery razy. Po prostu nie mieściło mi się w głowie, że naprawdę go znalazłam, wcześniej był dla mnie postacią nierzeczywistą. Ma taki zabawny charakter pisma, trochę spiczasty...

- Wiem - odparłam. - Co napisał?

- Odpowiedział na pytania, które mu zadałam. Pisał, że to faktycznie on i krótko opowiedział o swoich „straconych latach”, kiedy to pracował w Montanie, Illinois, Indianie i... Zaraz, zaraz, gdzie jeszcze? Ależ tak, w Wisconsin. Mówił, że skończył szkołę średnią jako ekstern i pracuje w policji, podobna mu się w Minneapolis, ale nie jest pewny, czy chciałby mieszkać tu na stałe. I że nigdy nie był i nadal nie jest żonaty. To sformułowanie wydało mi się trochę zabawne, zupełnie jakby zeznawał przed komisją Senatu... - Naomi przerwała i zamyśliła się. - Radził mi, żebym nie śpieszyła się z małżeństwem i macierzyństwem, żebym wzięła urlop na jeden semestr i zwiedziła trochę świata, a przynajmniej Amerykę, bo to pomoże mi spojrzeć na życie z pewnej perspektywy i rozważniej podejmować decyzje. Na koniec napisał, żebym poważnie traktowała studia i dużo się uczyła... - Zmrużyła oczy, patrząc na coś za moimi plecami. - Przepraszam, zaraz wrócę...

Odwrociłam się i przełożyłam nogę nad ławką. Patrzyłam, jak Naomi rozstrzyga gorącą dysputę na temat prawa do jakiejś zabawki. Wydanie ostatecznej decyzji i ukojenie zranionych uczuć obu stron konfliktu zajęło jej parę minut.

- Na czym skończyłam? - zapytała po powrocie.

- Na pierwszym liście, który dostałaś od Michaela.

- Tak... Cóż, wyglądało to obiecująco, więc odpisałam, a potem on napisał drugi list. I tak dalej, kilka razy. Zwykle odpisywałam zaraz po otrzymaniu jego listu, natomiast Mike

odpowiadał dopiero po paru dniach, czasami nawet tygodniach. W końcu zapytałam, czy myśli o powrocie do domu, do Utah, skoro nie jest pewny, czy na pewno chciałby zapuścić korzenie w Minneapolis, i dlaczego tak długo nie kontaktował się z nami. Dodałam, że wszyscy bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdyby przyjechał przynajmniej na krótko, z wizytą. Nie odpowiedział na ten list. Po sześciu tygodniach milczenia zdecydowałam się do niego zadzwonić... - Uśmiechnęła się lekko, odrobinę ironicznie. - No i zadzwoniłam... Podniósł słuchawkę, a ja powiedziałam: „Cześć, tu Naomi”. „Tak, słucham cię, Naomi”, odparł. Pomyślałam, że nie wie, kto dzwoni, więc powiedziałam, że to ja, Naomi, jego siostra. „Wiem”, odrzekł. Poczułam się trochę dziwnie. Nasza rozmowa przebiegała zupełnie inaczej, niż wyobraziłam to sobie na podstawie jego listów... Powiedziałam, że dzwonię, żeby porozmawiać. „O czym?”, zapytał.

Czułam jej zażenowanie i prawie słyszałam chłodny ton głosu Shiloha.

- Nie pamiętam już, co odpowiedziałam, ale trochę zaparło mi dech w piersiach... - ciągnęła. - Zdołałam zakończyć rozmowę, nie odkładając nagle słuchawki, lecz z całą pewnością nie zachowywałam się swobodnie... Nigdy więcej nie ośmieliłam się do niego zadzwonić. - Zaśmiała się cicho, chyba nadal skrępowana tamtą sytuacją. - Potem skontaktowałam się z nim dopiero po śmierci taty. Najstraszniejsze było to, że rok wcześniej umarła nasza mama, a ja w ogóle się do niego nie odezwałam... Wiem, jak to zabrzmiał, jeśli powiem, że po prostu o tym zapomniałam, ale śmierć mamy zupełnie mnie załamala i w ogóle nie myślałam wtedy o Mike’u. Kiedy po roku zmarł tata, byłam na to w pewnym sensie przygotowana. Było mi trochę łatwiej, poza tym miałam Roba. Byliśmy już zaręczeni i Rob wspaniale mnie wspierał. Okazało się, że Mike zmienił adres i zastrzegł swój numer telefonu, ale zostawiłam mu wiadomość w pracy. Oddzwonił i tym razem wszystko było zupełnie inaczej... - Przerwała, wracając pamięcią do tamtych dni. - Rozmawiał ze mną bardzo serdecznie, był na-

prawdę wzruszony. Chciał wiedzieć, co się ze mną dzieje, pytał o Bethany i resztę rodzeństwa. Powiedziałam mu, kiedy i gdzie odbędzie się pogrzeb i... - Naomi lekko ściągnęła brwi. - I chyba niepotrzebnie założyłam z góry, że przyjdzie... Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, żeby mi to obiecał... Tak czy inaczej, nadszedł dzień pogrzebu, a Mike'a nie było. Przesłał kwiaty, i tyle. Muszę przyznać, że poczułam się zraniona, uznałam, że zlekceważył całą rodzinę...

Pamiętałam, jak Shiloh zamawiał wieniec. Właścicielka kwiaciarni zadzwoniła do domu, żeby zapytać, z jakich kwiatów ma go zrobić. Gdyby nie to, nie dowiedziałabym się o śmierci ojca Shiloha. Zaproponowałam, że pojadę z nim na pogrzeb, lecz odrzekł, że nie wybiera się do Utah i dał mi do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmowy na ten temat.

W dzień pogrzebu pił od wczesnego ranka, a przez parę następnych tygodni trudno było z nim wytrzymać. Chętnie brałam wtedy dodatkowe dyżury w pracy i dużo czasu spędzałam z Genevieve i Kamareią.

- Śmierć waszego ojca dotknęła go mocniej, niż przypuszczasz - powiedziałam teraz.

Naomi spojrzała na mnie uważnie. Opowiadając rodzinną historię, chyba zapomniała, że mieszkalam z Shilohem i byłam świadkiem jego codzienności.

- Możliwe... - odparła. - Dwa miesiące później, kiedy wyszłam za Roba, przysłał nam prezent. Wspomniałam mu o naszym ślubie w czasie rozmowy przed pogrzebem taty... - Podmuch wiatru wzburzył jej ciemne włosy. Szybkim ruchem odgarnęła je z czoła. - Dostaliśmy od Mike'a piękny, oprawny w skórę album na zdjęcia, zupełnie jakby wiedział, że robienie i układanie fotografii to moje ulubione zajęcie... Był to idealny prezent, chociaż Mike nie dołączył do niego żadnego listu. Potem znowu zaczęliśmy wymieniać kartki z życzeniami świątecznymi, ale on zawsze wybierał te z gotowymi nadrukami i po prostu je podpisywał, trochę tak, jakby nie stać go było na coś bardziej osobistego... - Westchnęła cicho. - Chyba w ogóle go nie rozumiem...

- Mike nie jest łatwym człowiekiem - przyznałam. - A czasami potrafi być...

Nie mów tylko, że potrafi być kutasem, upomniałam się pośpiesznie.

- Czasami bywa zwykłym idiotą - uzupełniłam.

Naomi zachichotała.

- Ale przecież wyszłaś za niego! - powiedziała, rozbawiona i jednocześnie zgorzonna moją demonstracją małżeńskiej nielojalności.

Nagle spoważniała.

- Naprawdę zaginał? - zapytała, zupełnie jakby dopiero teraz to do niej dotarło.

- Naprawdę.

Na placu zabaw za nami rozległ się wysoki pisk i obie odwróciłyśmy się gwałtownie. Mały chłopiec siedział na wyźwiorowanej ścieżce, z wyciągniętymi przed siebie nogami, z zadrapanego łokcia kapała krew. Poranione łokcie i kolana - oto typowe dolegliwości wieku dziecięcego, pomyślałam.

Tym razem poszłam za Naomi, która wyjęła z kieszeni swetra paczkę chusteczek higienicznych i przycisnęła jedną do zranionego łokcia malca. Dookoła zgromadziły się inne dzieci, miniaturki dorosłych, których często widywałam, wykonując swoją pracę - oni także na chwilę porzucali swoje zajęcia, aby popatrzeć na wypadek.

- To może trochę potrwać, muszę zaprowadzić go do łazienki - wyjaśniła Naomi wysokim, sztucznie pogodnym głosem. - No i po co tyle płaczu, Bobby? Nic się przecież nie stało, prawda?

- Oczywiście - powiedziałam, korzystając z przerwy w monotonnaych pojękiwaniach Bobby'ego.

- Może wpadłabyś do nas wieczorem na kolację? - zapytała. - Wtedy mogłybyśmy swobodnie pogadać...

Sama miałam zamiar zaproponować jej takie rozwiązanie, ale teraz już nie musiałam tego robić.

- Doskonale. Jeżeli masz jakieś zdjęcia Shiloha, rodzinne albo szkolne, to bardzo chętnie je obejrzę.

- Jasne, mam mnóstwo rodzinnych zdjęć. - Naomi pomogła Bobby'emu podnieść się z ziemi.

- Nie bardzo mam czym zająć się przez resztę dnia, więc pomyślałam, że może porozmawiałabym z twoimi starszymi braćmi i z Bethany. Muszę zadać im kilka podstawowych pytań, dowiedzieć się, kiedy ostatni raz widzieli Shiloha lub z nim rozmawiali. Masz może przy sobie telefony, pod którymi dałoby się ich teraz zastać?

Pochylona nad Bobbym Naomi rzuciła mi nieco roztargnione spojrzenie.

- Chyba sama mogę odpowiedzieć na te pytania... Nie rozmawiali z nim od lat, znacznie dłużej ode mnie. Wiem, że jestem jedyną osobą z rodziny, która starała się go odnaleźć.

- To dość jasno wynika z tego, co dziś mi powiedziałaś - zauważyłam. - Ale mimo wszystko muszę się upewnić. Nie mogę niczego zaniedbać, mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Wejdźmy do środka. - Naomi pociągnęła chłopca za sobą. - Znam ich telefony na pamięć, zaraz ci je zapiszę.

Mniej więcej pół godziny później taksówka zabrała mnie spod przedszkola. Poproszona o radę kobieta zawiozła mnie do prowadzonego przez miejscową rodzinę dwupiętrowego motelu w centrum Salt Lake City.

- Nie muszę mieszkać w pobliżu Tempie Square - powiedziałam jej. - Nie jestem turystką.

- Tak czy inaczej, warto trochę zwiedzić miasto, skoro już tu pani przyjechała...

- Może następnym razem.

Wiedziałam, jak będzie wyglądało to popołudnie. Kiedy bardzo zależy ci, żeby kogoś złapać, zwykle okazuje się nieuchwytny i ze słuchawki dobiega tylko głos automatycznej sekretarki.

Przygotowałam się na taką możliwość, kupując kanapkę, colę i trochę lodu w automacie w holu. W pokoju próbowałam zadzwonić się do rodzeństwa Shiloha, wybierając podane przez Naomi numery, ale oczywiście nikogo nie zastałam, zo-

stawiłam więc im wiadomości w pracy. Potem zjadłam lunch i zapadłam w drzemkę, czekając na telefony.

Musiałam dość mocno zasnąć, bo kiedy zadzwonił telefon i usłyszałam męski głos, wzięłam swego rozmówcę za Shiloha, podobnie jak wcześniej zdarzyło mi się to z Vangiem.

- Shiloh? - zapytałam nieprzytomnie.

- Adam Shiloh, zgadza się - odparł mężczyzna, chyba nieco rozbawiony moją reakcją. - Czy rozmawiam z Sarą Pribeek?

- Przepraszam... - powiedziałam, siadając na brzegu łóżka. - Masz głos podobny do brata...

- Do Mike'a? Czy ja wiem... Nie rozmawiałem z nim od wielu lat, więc trudno mi się z tym zgodzić lub zaprzeczyć...

W tle słyszałam głos dobiegający z biurowego intercomu - Adam Shiloh dzwonił z pracy.

- Oczywiście bardzo tego żałuję - dodał.

Porozmawialiśmy chwilę o Shilohu, lecz szybko stało się dla mnie jasne, że Adam, który przez ostatnie sześć lat mieszkał w Waszyngtonie, nic nie wiedział o dorosłym życiu brata. Po paru minutach usłyszałam kobiecy głos, przebijający się ponad zwykłe biurowe odgłosy. Zrozumiałam tylko ostatnie słowa - kobieta pytała, czy Adam idzie na zebranie.

- Muszę kończyć - powiedział. - Gdybym mógł coś jeszcze dla ciebie zrobić, daj mi znać, dobrze?

- Dziękuję, nie zapomnę.

Godzinę później Bethany Shiloh zadzwoniła do mnie z akademika w południowym Utah. Odbyłyśmy bardzo podobną rozmowę jak ta z Adamem, tyle że krótszą. Bethany nie wiedziała się z Shilohem i nie rozmawiała z nim od dnia jego wyjazdu z domu. Nie znała też żadnych starych przyjaciół lub znajomych mojego męża. Wyraziła chęć spotkania się ze mną, pewnego dnia, gdy „cała ta historia już się skończy”.

Odłożyłam słuchawkę i wyjęłam notatnik, zaraz jednak zorientowałam się, że nie mam co notować. Rozmowy z Adamem i Bethany były koniecznym elementem śledztwa, ale nie przyniosły żadnych przydatnych informacji.

Najbliższą rodzinę Shiloha łączyło jedno - wszyscy bardzo

spokojnie podchodzili do jego zniknięcia. Może należało się tego spodziewać, bo przecież nie widzieli go naprawdę od lat. Nie mogłam ich oceniać i sądzić. Niewykluczone, że oni odnieśli podobne wrażenie co do mnie. Możliwe, że ja także traktowałam sprawę zaginięcia mojego męża zbyt spokojnie. Oczywiście, na zewnątrz.

Naomi i jej mąż, Robert, mieszkali na przedmieściu Salt Lake City, w parterowym domu. Zadzwoiłam do ich drzwi o umówionej godzinie i Naomi powitała mnie w progu w tej samej sukience, jaką miała na sobie w pracy.

- Szukałam jakichś rzeczy Shiloha, ale okazało się, że właściwie mam tylko moje albumy - powiedziała. - Przejrzemy je po kolacji, jeżeli możesz zaczekać...

- Wydawało mi się, że słyszę dzwonek... - Do korytarza wszedł młody mężczyzna, wysoki, szczupły blondyn o zielonych oczach, wyjątkowo przystojny. - Czy to twoja szwagierka, Naomi?

- Tak, to jest Sara. Saro, to mój mąż, Robert.

- Mów mi Rob. - Uśmiechnął się.

W rękę trzymał duży metalowy widelec. Wyglądało na to, że to Rob przygotowuje kolację.

Przy stole zasypał mnie pytaniami na temat pracy w policji. W końcu przerwała mu Naomi, która chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat zniknięcia Shiloha.

Opowiedziałam im, w jakich okolicznościach zniknął, czy raczej jak odkryłam, że zniknął. Starałam się nie malować sytuacji w zbyt ciemnych barwach, może żeby pocieszyć Naomi, a może samą siebie.

- Zostaw naczynia - powiedziała Naomi do męża, kiedy zjedliśmy kolację. - Pokażę teraz Sarze kilka rzeczy i porozmawiamy sobie, a potem sprzątnę ze stołu.

Poszłam za nią do pokoju gościnnego, który najwyraźniej świeżo przerobili na pokój dla dziecka. Stał tam już fotel na biegunach i krzesło, chyba przeniesione z salonu specjalnie dla mnie.

- Kiedyś trzymaliśmy tutaj niepotrzebne rzeczy - wyjaśniła Naomi. - Musimy jeszcze uporządkować szafę...

Wyjęła z niej kilka albumów i położyła na kanapie między nami.

- Najbardziej zainteresuje cię pewnie ten pierwszy. Jest tu mnóstwo fotografii z okresu naszego dzieciństwa.

Usiadłam w fotelu na biegunach i zaczęłam przeglądać zdjęcia.

Album opowiadał godną uwagi historię, która nie wymagała słów. Na pierwszej stronie znajdowały się fotografie rodziców Shiloha jeszcze sprzed ślubu, nad jeziorem, w większej grupie młodych ludzi, a także w kościele, na nabożeństwie.

Dalej zobaczyłam zdjęcia ze ślubu. Pannę młodą z dumną matką i siostrą, i zdenerwowanego pana młodego z drużbami - prawie słyszałam ich wesoły śmiech i żartobliwe uwagi. Później pierwszy dom. Niemowlęta. Dzieci. Shiloh z rudawymi włosami, przyciętymi na pazia. Shiloh ze starszymi braćmi przed domem i w ogrodzie. Pojawienie się dwóch dziewczynek, Naomi i Bethany. Patrzyłam, jak Shiloh zmienia się z chudego dzieciaka w szczupłego nastolatka, jak jego twarz traci dziecięcą otwartość i przybiera wyraz zamyślenia i dystansu, tak charakterystyczny dla mężczyzny, którego znałam. Gdybym była sama, mogłabym oglądać te fotografie przez całą noc, ale ponieważ nie dostrzegłam w nich nic, co by mi pomogło, zaczęłam szybciej przewracać kartki.

Nagle cofnęłam się o jedną.

- Kto to jest?

Naomi nachyliła się, aby popatrzeć na wskazane przeze mnie zdjęcie. Cała rodzina upozowana na nienaturalnie niebieskim tle - tradycyjny portret studyjny. Nastoletni Shiloh stał obok dziewczyny prawie tak wysokiej jak on, o długich, lśniących miedzianych włosach, o dwa odcienie jaśniejszych od jego włosów. Miała na sobie białą, marszczoną pod szyją sukienkę i nie uśmiechała się.

- Sinclair. Dwa lata starsza od Mike'a, cztery lata młodsza od Adama.

Ależ tak, sześcioro dzieci, pomyślałam. Słyszałam o dwóch starszych braciach, Naomi i jej bliźniaczej siostrze, Bethany. Shiloh był piąty. Wcześniej nie zwróciłam uwagi, że coś się tu nie zgadza.

- Dlaczego nie mają jej na innych zdjęciach? - zapytałam.

- Na niektórych jest, ale tylko na niektórych, pewnie dlatego, że przez większą część dzieciństwa nie mieszkała z nami. Przyszła na świat głucha i uczyła się w specjalnej szkole... - Naomi przewróciła kilka kartek. - O, tu widać ją w tle...

Spojrzałam na fotografię przedstawiającą rodzinę w trakcie gorączkowych przygotowań do bożonarodzeniowego obiadu. Wcześniej wzięłam małą dziewczynkę o intensywnie rudych włosach za kuzynkę, która przyjechała z wizytą.

- Nie wiedziałam, że Shiloh miał niesłyszącą siostrę.

- Naprawdę? - zdziwiła się Naomi. - Nie rozumiem, zawsze byli ze sobą bardzo blisko...

- Jestem pewna, że nigdy o niej nie wspominał.

- Rzadko była z nami w domu. Wróciła na dłużej, kiedy miała siedemnaście lat i po roku znowu wyjechała, dość nagle.

- Opowiedz mi o tym.

Naomi usadowiła się wygodniej.

- Cóż, Bethany i ja prawie jej nie znałyśmy. Z Mikiem byliśmy oczywiście bardziej żyte, ale też nie bardzo - oparła dłoń na ciężarnym brzuchu. - Kiedy dorastałyśmy, Sinclair była w szkole dla głuchoniemych. Wcześniej chyba przyjeżdżała do domu na wakacje, lecz ja już tego nie pamiętam. Gdy przywykła do życia wśród głuchoniemych i znalazła w szkole przyjaciół, zjawiała się tylko na Boże Narodzenie. Rodzice musieli przedstawiać ją Bethany i mnie - miałyśmy pięć, sześć lat. „To wasza starsza siostra, pamiętacie?“, mówiła mama, a my odpowiadałyśmy: „Jasne, cześć!“, zupełnie jakby Sinclair była kuzynką, która rzadko wpada z wizytą. Kiedy skończyłyśmy sześć lat, Sinclair była siedemnastoletnią dziewczyną. Za rok miała pójść na studia i mama postanowiła ściągnąć ją na dłużej do domu. Zawsze byliśmy żytą rodziną, chyba już to mówiłam, prawda? Mama ciężko zносиła fakt, że Sin-

clair niemal cały rok mieszkała wśród obcych, dlatego razem z tatą doszli do wniosku, że z pomocą tłumacza poradzi sobie przez ostatni rok w publicznej szkole i postanowili ściągnąć ją do domu. Pomysł był dobry, ale sytuacja nie była prosta. Żadne z nas nie władało biegle językiem migowym, z wyjątkiem Mike'a, który został rodzinnym tłumaczem. Sinclair wcale nie była szczególnie zadowolona z powrotu do domu, była... Szczerze mówiąc, nie znam szczegółów, wiem tylko, że po niecałym roku wyjechała.

- Uciekła?

- Można to tak nazwać. Miała osiemnaście lat, lecz stało się to w środku roku szkolnego. - Naomi wciąż wpatrywała się w zdjęcie. - Kiedy Mike wyjechał, rodzice winili o to właśnie Sinclair.

- Przecież wyjechał rok później, bo sam miał wtedy siedemnaście lat...

- Tak, ale doszło do tego z jej powodu. Mike wpakował się w kłopoty, ponieważ wpuścił Sinclair do domu. Nie miała gdzie przemocować, a on wpuścił ją w tajemnicy przed rodzicami.

- Chcesz powiedzieć, że wasi rodzice wyrzucili go z domu? Tylko z tego powodu? - Nie miałam pojęcia, że rodzice Shiloha mieli aż dyktatorskie zapędy.

- Nie wydaje mi się, żeby zmusili go do opuszczenia domu - powiedziała niepewnie.

Wyczułam, że nie wie, jak to naprawdę wyglądało. Dla Naomi tamte wydarzenia należały do odległej przeszłości i nie miały nic wspólnego z nią samą.

- Myślę, że sam podjął decyzję - dodała.

- Dlaczego?

- Późnym wieczorem doszło do gwałtownej sceny. Nie pamiętam dokładnie, o co poszło. Bethany wyszła z naszej sypialni, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale rodzice kazali jej wrócić do pokoju. Powiedziała mi, że widziała Sinclair, która schodziła po schodach ze sportową torbą na ramieniu. Podejrzewam, że zastali ją w pokoju Mike'a. - Głos Naomi nabrał pewności, zupełnie jakby za wszelką cenę usiłowała przeko-

nać samą siebie, że naprawdę było tak, jak mówiła. - Ojciec był strasznie zły. Sinclair wyniosła się z domu natychmiast, a Mike następnego dnia.

- Ach, tak...-mruknęłam.

Naomi przewróciła dwie kartki.

- Popatrz... To ostatnie zdjęcie Mike'a, zrobione pięć dni przed jego odejściem.

Spojrzałam na przypadkową, trochę prześwietloną fotografię. Shiloh siedział na kanapie, wyciągając przed siebie długie nogi. Połowę twarzy zasłonił dłonią, oślepiiony nagłym błyskiem lampy, jakby patrzył prosto w światła nadjeżdżającego samochodu. W tle widać było kilka lśniących punkcików, które skojarzyły mi się z robaczkami świętojańskimi.

- Może świadczy to o mojej hipokryzji, ale nigdy nie próbowałam nawiązać kontaktu z Sinclair. - Naomi westchnęła. - Zawsze była dla mnie kimś obcym, osobą, z którą w żaden sposób nie mogłam się porozumieć...

- Dasz mi to zdjęcie?

- To? - zdziwiła się. - Oczywiście, jeśli chcesz...

Odgiełam chroniącą kartkę celofanową warstwę i wyjęłam zrobioną polaroidem fotografię.

- Kto z rodziny może wiedzieć coś więcej o Sinclair? - zapytałam.

- Mike - odparła Naomi. - Cała nasza szóstka była podzielona na pary, przypominało to minipokolenia - Adam i Bill, Mike i Sinclair, Bethany i ja. Mike i Sinclair siłą rzeczy spędzili ze sobą mniej czasu niż Bethany i ja czy Adam i Bill, ale kiedy Sinclair była w domu, zwykle trzymali się razem, nie tylko z powodu zbliżonego wieku, lecz także dlatego, że Mike dobrze znał język migowy.

- Kto jeszcze? Potrzebny mi ktoś, z kim mogłabym porozmawiać.

- Chyba Bill. Bill był w domu tamtego wieczoru, kiedy ojciec przytąpał Mike'a i Sinclair... - Zawiesiła głos i zamyśliła się na moment. - Ale Bill zawsze mówi o niej jako o Sarze, nie Sinclair. Sinclair to panieńskie nazwisko naszej babki, które

Sara przyjęła jako imię, kiedy odeszła z domu - wyjaśniła. - Dlatego byłam taka zaskoczona, kiedy zadzwoniłaś wczoraj wieczorem. Przedstawiłaś się jako Sara Shiloh, a mnie wydawało się, że chyba śnię...

- Tak, rozumiem, że cię to zaskoczyło.

Pozostała część wieczoru upłynęła mi na zadawaniu prostych pytań. Chciałam poznać nazwy szkół w Ogden, do których chodził Shiloh, i dowiedzieć się, czy Naomi pamięta nazwiska jakichś jego bliskich przyjaciół i kolegów z tamtego okresu. Zapytałam także, czy jakieś sformułowania z jego listów lub kartek świątecznych wydają jej się teraz istotne. Naomi nie mogła sobie nic takiego przypomnieć.

- Przykro mi, ale nic nie przychodzi mi do głowy - powiedziała. - Czy jest coś jeszcze, co mogłabym zrobić?

- Pozwolisz mi skorzystać z telefonu? Nie udało mi się skontaktować dziś z Billem, a chciałabym zapytać, czy mógłby się ze mną spotkać, najlepiej jutro. Nie chcę okazać się niegrzeczna i dzwonić do niego zbyt późno...

Naomi skinęła głową.

- Oczywiście. W sypialni jest aparat, tam możesz z nim spokojnie porozmawiać.

Położyła album z fotografiami na kanapie, obok pozostałych. Wstałam i przeciągnęłam się, czekając, aż podniesie się z krzesła.

- Wiesz, naprawdę martwię się o Mike'a - odezwała się cicho. - Jeżeli odniosłaś wrażenie, że nie poruszyło mnie jego zniknięcie, to dlatego, że on i Sinclair byli czarnymi owcami w rodzinie... Trudno jest myśleć o buntowniku jako o kimś wrażliwym i kruchym...

Podniosła wzrok i zamiast wstać, lekko dotknęła mojej ręki.

- Pomodlisz się ze mną? - zapytała. - W intencji Michaela?

Rozdział 15

Następnego ranka, w piątek, wynajęłam granatowego nisaną i pojechałam do Ogden szosą I-15. Właśnie tam, w mieście, gdzie Shiloh i jego rodzeństwo spędzili dzieciństwo i wczesną młodość, mieszkał teraz Bill Shiloh z rodziną. Zaraz za miastem okazało się, że ruch na drodze jest niewielki.

W torbie, poza zwykłym bałaganem, wiozłam zdjęcie, które dostałam od Naomi Wilson, starannie zapakowane w plastikową torebkę, zamykaną na suwak. Nie chciałam go uszkodzić, bo nie byłam pewna, czy Naomi nie upomni się o nie pewnego dnia.

Policjanci często proszą rodzinę o zdjęcia zaginionych osób i może dlatego Naomi dała mi je bez wahania. Gdyby zastanowiła się nad całą sytuacją, na pewno zdziwiłoby ją, dlaczego nie mam zdjęcia Shiloha i dlaczego wybrałam to sprzed ponad dziesięciu lat. Stara polaroidowa fotografia nie mogła przydać mi się w poszukiwaniach Shiloha, ale chciałam ją mieć.

Nie było to znakomite zdjęcie portretowe, ot, po prostu niecodzienne ujęcie, przedstawiające młodego człowieka zaskoczonego przez osobę, która postanowiła go sfotografować, patrzącego nie w obiektyw, ale gdzieś obok, usiłującego w ostrym świetle zobaczyć, kto to taki.

Rysy Shiloha wcześniej nabrały cech dorosłości i chłopak ze zdjęcia był bardzo podobny do mężczyzny, którego znałam. Z uniesioną dłonią, osłaniającą oślepienie błyskiem lampy oczy, wyglądał dziwnie wzruszająco, jak ktoś, kto patrzy prosto w jasne serce tajemnicy, ktoś, kto lada chwila zniknie. I rzeczywiście, niedługo potem na dobre zniknął z życia Shilohów.

Można powiedzieć, że Shiloh zaginął dwukrotnie. Opuścił rodzinę tak nagle, jakby zaginął, chociaż oni wiedzieli, że odszedł od nich z rozmysłem i znali przyczynę jego decyzji.

Kiedy zaczęłam się zastanawiać, dlaczego porzucił dom, zrozumiałam, że właściwie nic o tym nie wiem. Shiloh powiedział mi, że chodziło o różnice na tle religijnym, ale nie wspo-

mniał o rodzinnym kryzysie związanym z siostrą, która została wygnana z domu i najwyraźniej rzeczywiście była kimś w rodzaju czarnej owcy.

Bill Shiloh chciał spotkać się ze mną w pracy, nie w domu. Shiloh mówił mi, że jego bracia „chyba zajmują się wyposażeniem biur”, ale okazało się, że Bill pracuje w papierni.

- Przepraszam za ten hałas na zewnątrz - powiedział, kiedy znaleźliśmy się w jego gabinecie. - Na szczęście tutaj jest cicho, zresztą musi tak być, bo dużo czasu pochłaniają mi rozmowy telefoniczne.

Wszystko wskazywało na to, że produkcja idzie pełną parą, lecz zamknięte drzwi gabinetu skutecznie blokowały huk i szum. Pokój był wąski, tylko z jednym oknem, wychodzącym na halę produkcyjną. Pod ścianą za biurkiem stało kilka metalowych szafek na dokumenty, nad nimi wisiały trzy dziecięce rysunki z wyraźnie wypisanym słowem „Tata”. Patrząc na rodzinne zdjęcie, przedstawiające Billa z żoną i trójką dzieci, pomyślałam, że każdy rysunek wykonało zapewne inne dziecko.

- Więc jesteś żoną Michaela... - Dokładnie tak samo zareagowała Naomi. - Ustatkował się?

- Tak - odparłam, zupełnie jakby wcześniej Shiloh prowadził szalone życie.

- Jak długo jesteście małżeństwem?

- Dwa miesiące.

Bill Shiloh uniósł brwi.

- Niezbyt długo... - Zabrzmiało to jak negatywna ocena. - I pracujesz w policji w Minneapolis?

- Tak, w biurze szeryfa okręgu Hennepin.

- Przyjechałaś tu jako oficer dochodzeniowy? - zapytał.

- Pięć dni temu zaginał mój mąż - rzuciłam ostro. - Dlatego tu jestem.

- Nie chciałem cię urazić - rzekł pojednawczo.

Od przyjazdu do Utah miałam wrażenie, że reprezentuję Shiloha wobec jego bliskich i teraz poczułam gniew w jego imieniu, słysząc osąd w pozornie niewinnych uwagach. Z trudem przełknęłam ślinę.

- Nie uraziłeś mnie.
- Jak mógłbym ci pomóc? - W głosie Billa zabrzmiała cieplejsza nuta.

Wyglądał na trochę zmęczonego. Dobrze znałam ten stan.

- Dlaczego uważasz, że Mike jest w Utah? - dodał.

- Wcale tak nie uważam. Przyjechałam, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o jego wcześniejszym życiu. Może okazać się to pomocne, chociaż nie musi... - Nagle uświadomiłam sobie, że nie zadałam mu najważniejszego pytania. - Nie miałeś żadnych wiadomości od Mike'a, prawda?

- Nie.

- Kiedy ostatni raz się z nim kontaktowałeś?

Moje pytanie zaskoczyło Billa, podobnie jak wcześniej jego siostrę.

- Nie rozmawiałem z nim od dnia, kiedy uciekł z domu.

Skinęłam głową. Równie dobrze mogłam spróbować wyjaśnić tę kwestię od razu.

- Wiem od Naomi, że byłeś świadkiem jakiejś sceny, która doprowadziła do wyjazdu Mike'a. To prawda?

- Tak. Czy to ma coś wspólnego z jego zaginięciem?

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyłam lekko ramionami. - Jest to jedyna część jego życia, o której prawie nic nie wiem. Mike powiedział mi, że odszedł z domu, ponieważ coraz bardziej oddalał się od religii, w której wszyscy zostaliście wychowani.

Bill znowu uniósł brwi.

- Tak powiedział? - Zdecydowanie pokręcił głową. - Nie, ja zapamiętałem to zupełnie inaczej...

- W takim razie, o co chodziło?

- O narkotyki.

- Mówisz poważnie? - zapytałam, chociaż widziałam, że tak właśnie jest. - Shiloh brał?

- Nie wiem, czy brał stale, ale ojciec przyłapał go na przyjmowaniu narkotyków w naszym domu.

- Naomi nic mi o tym nie mówiła...

- Prawdopodobnie nie wie o tym - powiedział Bill. - Ona i Bethany były jeszcze małe. Ze mną było inaczej, ja zna-

lazłem się w samym centrum wydarzeń. Chcesz poznać całą tę historię?

Kiwnęłam głową.

- To było w Wigilię...

A więc w tle świeciły nie robaczki świętojańskie, tylko lampki na choince.

- Następnego dnia wszyscy mieliśmy świętować Boże Narodzenie. Przyjechałem do domu ze szkoły, Adam miał przyjechać następnego dnia, razem z Pam, swoją żoną, i ich dzieckiem, zaraz po świątecznym śniadaniu u rodziców Pam w Provo. Na tę noc przydzielono mi stary pokój Mike'a i Sary, a dziewczynki spały tam gdzie zawsze. Następnego dnia musiałem przenieść się do Mike'a, by zwolnić sypialnię dla Adama i jego żony. Tak czy inaczej, chodziłem wtedy na poważnie z jedną dziewczyną, Christy. Obiecałem jej, że zadzwonię do niej o północy; Christy pojechała na święta do rodziny w Sacramento, więc musiałem zadzwonić o pierwszej w nocy naszego czasu. Cicho podniosłem się z łóżka i na palcach zszedłem do salonu, bo wszyscy już spali. Porozmawiałem z Christy i właśnie wracałem na górę, kiedy nagle zobaczyłem, że drzwi łazienki otwierają się i jakaś dziewczyna wchodzi do pokoju Mike'a i zamyka za sobą drzwi.

- Nie poznałeś własnej siostry?

- Nie. W korytarzu było prawie ciemno, a ona zamiast długich włosów miała krótki koński ogon. Widziałem, że ma na sobie koszulkę Mike'a. Znieruchomiałem i pomyślałem, że to po prostu nie do wiary... Zawsze wiedziałem, że Mike ma zimną krew, ale to, że sprowadził sobie dziewczynę w wigilijny wieczór... No, to było naprawdę coś. W tym momencie ojciec usłyszał, że ktoś chodzi po domu, otworzył drzwi i zapytał mnie, co się dzieje... - Bill przerwał i na chwilę zamilkł. - Często wracam myślami do tamtej nocy... Gdybym wtedy wiedział to, co teraz, na pewno powiedziałbym, że nic się nie dzieje, żeby spokojnie wracał do łóżka, ale ja myślałem, że Mike w tajemnicy zaprosił dziewczynę do swojego pokoju, w wieczór wigilijny, wyobrażasz sobie? A ja mogłem tylko zadzwoni-

nić do mojej dziewczyny i chwilę z nią porozmawiać... „Tęsknię za tobą, skarbie”, i to wszystko. Krótko mówiąc, byłem zły i rozgoryczony. Więc powiedziałem: „W pokoju Mike'a jest dziewczyna”... - Bill zniżył głos, podświadomie wracając do tamtych chwil. - Ojciec popatrzył na mnie z niedowierzaniem, ale włożył szlafrok i wyszedł na korytarz. Podszedł do drzwi pokoju Mike'a i rzucił mi takie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że będę miał poważne kłopoty, jeżeli nikogo tam nie będzie, a potem zapukał, otworzył i zapalił światło. „Co się tu dzieje, do diabła?!”, ryknął. Pierwszy i ostatni raz usłyszałem wtedy przekleństwo w jego ustach. Próbowałem zajrzeć do środka, ale gwałtownie zatrzasnął za sobą drzwi. Słyszałem, jak krzyczał. Mama wyszła z pokoju, Bethany także. Nie wiem, jakim cudem Naomi przespała tę wrzawę. Po jakiejś minucie, może dwóch, z pokoju Mike'a wyszła dziewczyna i wtedy zobaczyłem, że jest to Sara. Nadal miała na sobie koszulkę Mike'a i spodnie dresowe. W jednej ręce trzymała buty, w drugiej torbę. Zbiegła po schodach i wypadła na dwór, nawet nie wkładając butów. Stałem w progu pokoju. Mike siedział na brzegu łóżka, z twarzą ukrytą w dłoniach. Ojciec kazał Bethany i mnie wracać do siebie, i widziałem, że nie żartuje. Nie mieściło mi się w głowie, że do tego stopnia wściekł się na Mike'a tylko za to, że pozwolił Sarze przenocować w domu, ale najwyraźniej coś było nie tak. Mike wyniósł się dzień później. Następnego ranka ojciec zwołał nas wszystkich i powiedział, że przyłapał Sarę i Mike'a na przyjmowaniu narkotyków.

- Jakich narkotyków?

- Tego nam nie powiedział. Musiało to być coś gorszego niż odrobina marihuany, chociaż nie mówię, że uważam palenie marihuany za niewinny żart... - Bill się wyprostował. - Chyba zrobię sobie filiżankę kawy... Napijesz się?

- Tak, z przyjemnością.

Wrócił po chwili z dwiema filiżankami kawy.

- Naomi mówiła, że Sara wyjechała z własnej woli, ale z twojej opowieści wynika, że rodzice zakazali jej wstępu do domu.

Bill się zamyślił.

- Rzeczywiście wyjechała z własnej woli, ale mam wrażenie, że rodzice powiedzieli jej: „Jeżeli stąd odejdziesz, nie wracaj, dopóki nie będziesz gotowa żyć zgodnie z naszymi zasadami. Nie wracaj po pieniądze, ani na gorący posiłek, ani żeby przeprać brudne rzeczy”. - Spojrzał na mnie, jakby chciał sprawdzić, jak to przyjmę. - To trudna miłość, nie sądzisz?

- Mhmm... - mruknęłam niezobowiązująco. Nie przyjechałam tu przecież po to, żeby dyskutować o metodach wychowawczych jego rodziców. - Czy wcześniej wiedziałeś, że waza siostra bierze?

- Nie. - Wsypał śmietankę w proszku do swojej kawy. - Oczywiście rodzice mogli o tym wiedzieć...

- Kontaktowałeś się z nią później?

- Nie, żadne z nas nie utrzymuje z nią kontaktów. Wiem, że jest poetką, ale wydaje swoje utwory pod innym nazwiskiem. Jej obecne imię, Sinclair, to panięskie nazwisko naszej babci, a nazwisko jej męża brzmi... W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć...

- Goldman - powiedziałam.

Nagle stanęła mi przed oczami biblioteczka w salonie naszego domu w Minneapolis. Sinclair Goldman, takie imię i nazwisko znajdowało się na grzbiecie jednego z cienkich tomików poezji, po które czasami sięgał Shiloh.

- Tak. - Kiwnął głową. - Goldman... Kiedyś pamiętałem, jak ma na imię jej mąż, coś na D... To Żyd. - Bill przerwał, znowu zamyślił się na chwilę. - To strasznie dziwne, ale gdyby ktoś ze znajomych nie powiedział mi, że Sara jest poetką, przeszedłbym obok jej książki w księgarni i nigdy nie przyszedłoby mi do głowy, że napisała ją moja siostra...

- Czy poza tym epizodem z narkotykami pamiętasz jakieś inne oznaki buntu Sinclair? - zapytałam.

- Buntu? - powtórzył. - Nie, Sara nie była zbuntowana, raczej twarda. Jeżeli chciała spotkać się z przyjaciółmi, to robiła to, nawet jeśli musiała wykradać się z domu. Myślę, że rodzice nie tyle byli na nią źli, ile bali się o nią. Sara była głucha i to

narażała ją na rozmaite niebezpieczeństwa, nawet jeżeli sama nie chciała się do tego przyznać. Do tego dochodziła jeszcze sprawa z używaniem języka migowego albo mówieniem...

- To znaczy?

- Sara uczyła się w szkole mówić i nagle po prostu przestała. Rodzice bardzo się tym denerwowali, bo gdyby mówiła, byłoby jej znacznie łatwiej, zresztą nam także, ale ona doszła do wniosku, że nie chce mówić, i tyle. Taka już była... Nie robiła tego na złość rodzicom, po prostu podjęła decyzję i już...

Pokiwałam głową.

- Czy wasz ojciec był bardzo surowy?

Kawa była wodnista i kwaśna, gorsza nawet niż ta, jaką można dostać na posterunku policji w zabitej deskami wsi, więc odsunęłam filiżankę.

Bill rzucił mi zdziwione spojrzenie.

- Nie - odparł. - Kiedy zrobiliśmy coś złego, zawsze musieliśmy wysłuchać długiego przemówienia. Bardzo długiego kazania o woli Boga w naszym życiu, z mnóstwem biblijnych cytatów... - Uśmiechnął się z nieskrywaną czułością. - Gdy trzeba było wymierzyć prawdziwą karę, co czasami się zdarzało, gdy byliśmy mali, zajmowała się tym matka. Dlaczego pytasz?

Starałam się znaleźć najwłaściwszy sposób sformułowania tego, o co mi chodziło.

- Po prostu wydaje mi się dziwne i chyba dość ekstremalne, że tak długie rozstanie z rodziną wynikło z jednej młodszej przygody z narkotykami - powiedziałam w końcu.

Bill wzruszył ramionami.

- Myślę, że chodziło nie tyle o narkotyki, ile... - umilkł.

- O co?

- Musiałabyś znać mojego ojca, żeby to zrozumieć - rzekł.

- Spróbuj mi wyjaśnić.

- Nie należę do szczególnie wymownych osób... - powiedział z wahaniem.

- Ja także nie. - Uśmiechnęłam się lekko. - Spokojnie, nie przemawiasz przecież przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ...

- W porządku. - Bill postukał długopisem o blat biurka, zbierając się w sobie. - Ojciec był łowcą dusz. Mam pełną świadomość, że to określenie może ci się wydać przesadne, wręcz dziwaczne, ale gdybyś go znała, wiedziałabyś, że tak właśnie było. Zanim został pastorem, podróżował po całym kraju i ewangelizował. To był najlepszy okres w jego życiu.

W obudowie telefonu na biurku zamigotała lampka, ale dzwonek się nie odezwał. Bill nastawił odbiór na pocztę głosową.

- Kiedy rodzice się pobrali, mama jeździła razem z nim, była częścią tego życia... Potem urodził się Adam, potem ja i oboje zrozumieli, że muszą gdzieś osiąść na stałe. Wydaje mi się, że ojcu niełatwo było skończyć z ewangelizacją w drodze i zostać pastorem. Życie na czele kongregacji i spełnianie jej potrzeb jest bardziej skomplikowane niż wędrowka po kraju i nawracanie...

- Udzielanie ślubów i ceremonie pogrzebowe... - podsunęłam.

- Właśnie. Nieustanna troska o stan ducha parafian, coroczne planowanie budżetu, spotkania z radą parafialną - nawet najmniejsze Kościoły nie mogą uniknąć takich problemów. Z poświęceniem wykonywał swoją pracę i starał się, aby była ona wyzwaniem, a może to Bóg starał się, żeby tak było. Ojciec czuł powołanie, aby osiedlić się w północnej części Utah, w samym sercu krainy mormonów... Nie chciał parafii, gdzie „wygłaszałyby kazania do chóru”. Uwielbiał toczyć bitwy.

Skąd ja to znam, pomyślałam.

- Często jeździł do Salt Lake City i wygłaszał kazania na rogach ulic. Wręczał ludziom traktaty pod świątynią mormonów. Kupił dla kościoła stary szkolny autobus i sam zajął się jego remontowaniem. Kiedy skończył, do kraty z przodu przybił duży krzyż, z boku namalował napis „Kościół Nowego Życia”, a z tyłu „Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem”... - Bill zaśmiał się cicho. - O tak, kiedy jechaliśmy gdzieś, nie sposób było nas nie zauważyć... Warto dodać, że ojciec kupił ten autobus, kiedy nasz własny samochód wymagał naprawy

mniej więcej za osiemset dolarów... Mama zносиła to, bo rozumiała, jak wielkie znaczenie ma dla niego nawracanie... To było całe jego życie, nie praca. Kiedyś w środku nocy zadzwonił do niego nienawrócony przyjaciel, Whitey. Facet przez wiele miesięcy traktował ojca jak powietrze i zbywał gładkimi dowcipami jego zaproszenia do kościoła. I nagle zadzwonił w nocy, bo chciał porozmawiać o Jezusie. Tata ubrał się, włożył kurtkę, wziął Biblię, kluczyki do samochodu i pojechał na drugi koniec miasta, zupełnie jak lekarz, wezwany do ciężko chorego pacjenta. Gdy wrócił do domu, powiedział nam, że Whitey znalazł Chrystusa o czwartej trzydzięci rano... - Znowu pokręcił głową i uśmiechnął się. - Tak naprawdę żadne z nas nie poszło w jego ślady, chociaż oczywiście wszyscy jesteśmy chrześcijanami. Moja żona i ja należymy teraz do kościoła prezbiteriańskiego, co niedzielę chodzimy z dziećmi na nabożeństwo i modlimy się z nimi, ale ja nigdy nie czułem się powołany do tego, aby zostać pastorem czy kaznodzieją. Podobnie Adam. Może to było pewnym rozczarowaniem dla naszego ojca, ale myślę, że dość wcześnie się zorientował, że nie mamy takich zamiarów. Jeżeli spodziewał się, iż któryś z nas przejmie pałeczkę, to chyba liczył na Mike'a...

- Mówisz poważnie? - zapytałam.

- Tak. Mike całymi godzinami czytywał Biblię, znał Słowo Boże niemal na pamięć. - Bill przerwał na moment. - Wiesz, na czym polega rytuał dotykania węży?

- Słyszałam o tym - odparłam, zbita z tropu nieoczekiwaną zmianą tematu.

- Sama idea wywodzi się z Ewangelii według św. Marka, gdzie Chrystus mówi, że Jego apostołowie będą dotykać jadowitych węży i nic im się nie stanie. Kiedy Mike miał czternaście lat, do naszego kościoła dołączyły dwie rodziny, które przeprowadziły się do Utah z północnej Florydy. Ci ludzie zbierali się na modlitewnych spotkaniach, podczas których podawali sobie z rąk do rąk jadowite węże. Mike uczestniczył w tych ceremoniach, chociaż z początku nic o tym nie wiedzieliśmy...

- Naprawdę?! - wykrztusiłam.

Spojrzał na mnie z lekkim rozbawieniem.

- Tak jest. Nie mówił ci o tym?

Potrząsnęłam głową.

- Tak, robił to. Kiedy mama dowiedziała się o wszystkim, omal nie dostała ataku serca. Oboje z tatą z trudem wytłumaczyli mu, że nie są to praktyki, którym powinien się oddawać i Mike w końcu się poddał, chyba głównie dla jej spokoju ducha... Próbuję ci powiedzieć, że nasz ojciec dostrzegał w Mike'u samego siebie, tę część swojej osobowości, której nie odziedziczyły jego pozostałe dzieci. Chyba dlatego tak bardzo cierpiał, gdy go stracił. Przez wiele lat nie wymawiał jego imienia.

- A Sinclair?

- Sara? Ona była po prostu inna. Chodziła do świeckiej szkoły dla głuchoniemych. Bardzo szybko po jej powrocie do domu wszyscy się zorientowaliśmy, że nie wierzy w Boga. Od początku zaczęła zachowywać się tak, jakby chciała podkreślić swoją odmienność. Malowała się, wymykała się z domu na randki, wracała późno i czasami zalatywało od niej alkoholem. Rodzicom było bardzo ciężko, ale czasami myślę, że dzięki temu mieli czas przyzwyczaić się do myśli, że ją tracą. Było to tak, jakby... Znasz biblijną przypowieść o siewcy?

- Nie.

- Jest w niej mowa o różnych rodzajach nasion, o tym, że niektóre w ogóle nie wschodzą, inne wschodzą bardzo szybko i wyglądają obiecująco, ale ostatecznie obumierają, a jeszcze inne wschodzą powoli, lecz w końcu stają się zdrowymi roślinami, które wydają owoc. To metafora.

- Metafora ewangelizacji - uzupełniłam.

- Tak, symboliczny obraz przedstawiający różnych ludzi, tych, którzy zwracają się do Chrystusa, i tych, którzy odwracają się do niego plecami i nie chcą Go znać. Sara była jak ziarno, które pada na skalistą glebę i nie wydaje owocu, natomiast Mike był nasieniem, które wygląda obiecująco, ale szybko obumiera. Mike był wśród wierzących i nagle odszedł. Ojcu byłoby chyba lżej, gdyby Mike nigdy nie wierzył w Chrystusa. Myślę, że dlatego później w ogóle o nim nie mówił.

- Później? - powtórzyłam.

Słowa Billa brzmiały bardzo kategorycznie, kreśliły prostą, ostrą linię.

- Po odejściu Mike'a - odparł. - Może rodzice wydają ci się wyjątkowo surowi, osądzasz ich za to, że nie starali się odnaleźć Mike'a i Sary, czy choćby dowiedzieć się, co się z nimi dzieje, ale ojciec nigdy nie martwił się o byt fizyczny, tylko o zdrowie duszy. Kiedy zaczął wspominać o Michaelu i Sarze, mówił, że przecież Bóg wie, gdzie są i tylko to się liczy. Powtarzał też, że jeśli odwrócili się od Boga, to równie dobrze mogliby mieszkać po drugiej stronie ulicy, bo jeśli byli straceni dla Boga, to i dla niego. - Bill patrzył na mnie uważnie, nie pewny, czy go rozumiem. - Ojciec zawsze mówił, że Bóg potrafi przebaczyć wszystko, ale trzeba Go o to poprosić...

W pokoju zapadła cisza. Nie przeszkadzała mi, nie czułam się źle, ale po chwili przerwałam milczenie.

- A ty? - zagadnęłam.

- Co chciałybyś wiedzieć?

- Lubiłeś Mike'a?

- Czy go lubiłem? Tak, chyba tak... - Był zaskoczony moim pytaniem, ale zastanawiał się tylko sekundę. - Kiedy był mały, chodził wszędzie za Adamem i za mną. Skakaliśmy z mostu na pociągi towarowe, żeby szybko dostać się na drugi koniec miasta, i Mike zawsze dotrzymywał nam kroku, nigdy nie musieliśmy zwalniać z jego powodu. Często pływaliśmy w jeziorze wśród wzgórz, ze stromym, skalistym brzegiem z jednej strony, i Mike skakał do wody z dużej wysokości, w ogóle się nie bał. Nawet ja skoczyłem tylko raz, a on nigdy się nie wahał... No i nawet jako dziecko miał ogromną wiedzę, zabawnie było z nim rozmawiać. Gdy podrósł, zaczęło mnie to drażnić, chociaż on nie popisywał się swoją erudycją. - Bill zamyślił się. - Po prostu był naprawdę wyjątkowo inteligentny i nawet kiedy nic nie mówił, wiadomo było, że jest bystrzejszy od nas wszystkich... Mike wiedział, że jest inny. Pewnie dlatego wściekłem się, kiedy uznałem, że sprowadził sobie dziewczynę w wigilijny wieczór. Jakby uważał, że wolno mu, bo jest

kimś lepszym. Od tamtego dnia ciągle żałują, że wyspałem go przed ojcem... - Potrząsnął głową. - Nie przyszło mi do głowy, że wyprowadzi się z domu w pewnym sensie przeze mnie...

Umilkł. Dopiero po chwili zrozumiałam, że nie ma mi już nic więcej do powiedzenia. Ta historia nie miała morału ani zakończenia, chyba że byłby nim wyraz lekkiego żalu, malujący się na jego twarzy.

Chciałam zadać mu jeszcze jedno pytanie, ale wydawało mi się, że znam już odpowiedź.

- Nie sądzę, aby Mike miał kłopoty - powiedziałam. - Ale gdyby je miał, to twoim zdaniem, do kogo zwróciłby się o pomoc?

- Do Sary - odparł Bill. - Na pewno zwróciłby się do niej.

Rozdział 16

Po dwóch rozmowach, w których czasie zarzucałam się w poszukiwaniu wszystkiego, co mogło okazać się przydatne, wreszcie miałam jasno wytyczony cel - odnaleźć Sinclair Goldman.

W południe wybrałam się do biblioteki publicznej. Nikt z rodzeństwa Shiloha nie miał ani obecnego, ani choćby starego numeru telefonu czy adresu siostry. Oczywiście Sinclair była głucha, ale zakładałam, że ma telefon dostosowany do potrzeb ludzi z wadami słuchu.

W normalnych okolicznościach odszukanie numeru telefonicznego nie sprawiłoby mi żadnych problemów. Vang mógł sprawdzić w Minneapolis każde podane przeze mnie nazwisko, wprowadzając je do ogólnokrajowego systemu komputerowego, lecz w tym wypadku nie mogłam się zdecydować, jakie dane mu przekazać. Sinclair prawdopodobnie nosiła nazwisko Goldman, nie mogłam jednak wykluczyć, że rozwiodła się z mężem i wróciła do panieńskiego - Shiloh. Mogła figurować w bazie systemu pod imieniem Sinclair, jeżeli przyjęła je legalnie, lub Sara.

Usiadłam przy dużym stole w czytelnicy i zaczęłam zapisywać rozmaite kombinacje na skrawku papieru. Sinclair Goldman. Sara Goldman. Sinclair Shiloh. Sara Shiloh. Cztery możliwe połączenia. Nie, sześć połączeń, uświadomiłam sobie nagle, bo przecież Naomi mówiła mi, że jej siostra używała imienia Sarah, z „h” na końcu. Tak czy inaczej, wykonując rutynowe czynności śledcze, nauczyłam się jednej rzeczy - zawsze należy brać pod uwagę pomyłki urzędników, zwłaszcza częste błędy w pisowni różnych imion. Michele i Michelle. Jon i John. Dotarło do mnie, że jeżeli poproszę Vanga o tę przysługę, muszę dodać Sarah Goldman i Sarah Shiloh jako kolejne możliwości, a to sprawi, że lista wydłuży się do kilkuset pozycji.

Możliwe, że niektóre z tych kobiet zastaną w domu za pierwszym razem, ale i tak będę musiała zostawić wiadomość na dziesiątkach sekretarek automatycznych i w pocztach głosowych, a potem utknę przy telefonie w jakimś tanim motelu, czekając na odpowiedzi.

Istniała także spora szansa, że telefon Sinclair jest zarejestrowany nie na nią, lecz na jej męża, którego imienia nawet nie znałam. Jakoś tak na D, powiedział Bill Shiloh.

Musiałam znaleźć lepszy sposób niż przeglądanie oficjalnej bazy danych.

Kiedy szukamy ludzi, którzy nie są przestępcami i nie ukrywają się, najlepiej zacząć od wykonywanego przez nich zawodu.

Sinclair była poetką, raczej słabo znaną (trudno powiedzieć, czy naprawdę istnieją znani poeci, oczywiście nie licząc tych, których cytują w swoich mowach inauguracyjnych kolejni prezydenci), ale jednak należało zaliczyć ją do grona osób półpublicznych. Jej imię i nazwisko, Sinclair Goldman, było jej marką, znakiem rozpoznawczym, więc najprawdopodobniej nie zmieniła go, nawet jeżeli rozstała się z mężem.

Przez otwarte drzwi po lewej stronie widziałam sąsiednią salę, pełną komputerów. Wzięłam swój skrawek papieru i ruszyłam w tamtą stronę.

Wszystkie stanowiska były zajęte. Tabliczka na ścianie gło-

siła: *Proszę wpisywać czas korzystania z Internetu; jeżeli inni czekają na dostęp do komputera, ograniczyć się do 30 minut.* Niżej wisiał notatnik z wpinanymi kartkami.

Prawie wszyscy korzystający byli w wieku szkolnym. Czy w szkole zwalniają ich z zajęć, żeby mogli wyszukiwać dane w komputerze do swoich prac? A może po prostu uciekają z lekcji, żeby poszperać w Internecie? Sama często wagarowałam, ale nigdy po to, żeby pójść do biblioteki.

Najmłodszy szperacz wyglądał najwyżej na piętnaście lat i przeglądał zdjęcia samochodów wyścigowych.

- Przepraszam bardzo... - odezwałam się, podsuwając mu pod nos swoją odznakę. - Muszę skorzystać z komputera, to sprawa służbowa...

Jego oczy rozszerzyły się lekko i pośpiesznie wstał, sięgając po leżący pod krzesłem plecak.

- Możesz zostawić rzeczy - powiedziałam. - Nie zajmie mi to dużo czasu.

Usiadłam na wygrzonym miejscu i wpisałam w okienko nazwę ulubionej wyszukiwarki Shiloha. Kiedy ekran wypełnił portal, wprowadziłam hasło „Sinclair Goldman”.

Trafiłam. Wyszukiwarka podała mi dane wydawnictwa Last Light Press, co wydało mi się obiecujące, jeszcze bardziej zainteresowały mnie jednak dane uczelni Bale College.

Kliknęłam kilka razy i dowiedziałam się, że Sinclair Goldman w tym semestrze wyklada w Bale College i prowadzi zajęcia z twórczego pisania oraz poezji. Moje serce nagle stało się lżejsze, jak zwykle gdy natrafiałam na trop.

Trochę dalej znalazłam informację, że zajęcia Sinclair odbywają się właśnie tego dnia, było już jednak za późno, żebym mogła ją tam złapać, Bale College jest chyba w północnej części Utah... Choć nie. Z mapki wynikało, że uczelnia znajduje się na południe od Santa Fe, w Nowym Meksyku.

- Jeszcze sekundę - rzuciłam niecierpliwie w stronę czekającego chłopaka.

Kliknęłam stronę „Kontakt” i sięgnęłam po jedną z leżących na stoliku kartek i mały ołówek.

Zadzwoiłam z ukrytej w mrocznym zakątku korytarza budki w pobliżu toalet. Telefonistka połączyła mnie z wydziałem literatury.

- Detektyw Sara Pribek - przedstawiłam się młodemu człowiekowi, który podniósł słuchawkę. - Chciałabym skontaktować się z Sinclair Goldman. Wiem, że nie słyszy - dodałam szybko, bo właśnie brał oddech, żeby mi to wyjaśnić. - Muszę jednak porozmawiać z nią dzisiaj, to sprawa służbowa...

- Sinclair Goldman jest w tej chwili na terenie uczelni, prowadzi zajęcia z poezji od czternastej do szesnastej. - Miał niezdecydowany, jakby pusty głos i studencki akcent.

Spróbowałam go sobie wyobrazić, nie mam pojęcia, dlaczego. Koło dwudziestki, z bardzo krótko ostrzyżonymi włosami, ufarbowanymi na platynowy blond, żeby choć w ten sposób nadać sobie interesujący wygląd...

- Jestem w Utah - powiedziałam. - Jadę do Santa Fe, ale na pewno nie zdążę przed szesnastą.

- Nasza uczelnia nie znajduje się w Santa Fe, tylko...

- Jakoś do was trafię - przerwałam mu. - Potrzebna mi tylko informacja, gdzie mogę skontaktować się z Sinclair Goldman po zajęciach, numer telefonu albo adres.

Natychmiast stał się bardzo oficjalny.

- Nie podajemy adresów wykładowców.

Spodziewałam się tego i nie mogłam nic na to poradzić. Rozmawiałam z nim przez telefon, miał rację, nie udzielając mi takich informacji wyłącznie na podstawie moich słów, że jestem policjantką.

- W takim razie poproszę numer telefonu - powiedziałam.

- Nie sądzę, żeby pani Goldman miała telefon... - W jego głosie zabrzmiała nuta wahania. - Ma przecież upośledzony słuch.

- Wiem o tym, ale...

- Mogę powiedzieć pani, że ma dyżur we wtorek od...

Cholera jasna, pomyślałam.

- Proszę posłuchać, pracuję w policji w Minnesocie. Nie

wybieram się do Nowego Meksyku, żeby porozmawiać z panią Goldman o pracy semestralnej i nie mogę czekać do wtorku. Może pan poszukać jej telefonu?

Milczenie.

- Proszę zaczekać...

Wrócił mniej więcej po minucie.

- Mam numer - oznajmił ze zdziwieniem. - Ale obok w nawiasach wpisane jest inne imię i nazwisko. Ligieia Moore - mówi to coś pani?

Zapisałam numer na kartce.

- Dziękuję za pomoc - powiedziałam.

Ignorując jego pytanie, przerwałam połączenie i zaczęłam wybierać podany numer.

Sinclair prowadziła teraz zajęcia, więc czy miałam szansę zastać kogoś w domu? Może D. Goldmana, jej męża, albo Ligieię Moore, kimkolwiek była. Może ten telefon pełnił funkcję czegoś w rodzaju skrzynki kontaktowej. Może Ligieia była asystentką Sinclair lub jej wydawcą, kto wie...

Po czterech sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo?

Miły kobiecy głos.

- Nazywam się Sara Pribek, pracuję w policji i staram się skontaktować z Sinclair Goldman. Z kim rozmawiam?

- Tu Ligieia - powiedziała. - Sinclair nie ma teraz w domu. Jest pani z policji?

- Tak, na stanowisku detektywa w biurze szeryfa okręgu Hennepin w Minnesocie - wyjaśniłam. - Muszę porozmawiać z panią Goldman, to konieczne ze względu na prowadzone przez nas dochodzenie. Dzwoniłam już do Bale College, podano mi ten numer. Czy powinnam zadzwonić gdzie indziej?

- Nie - odparła Ligieia. - To właściwy numer. Władza pani językiem migowym?

- Niestety nie. Chce pani powiedzieć, że mogę porozmawiać z nią wyłącznie za pośrednictwem tłumacza, czy tak?

- Tak. Zwykle ja tłumaczę dla Sinclair na zajęciach i czy-

tam jej wiersze na spotkaniach autorskich. Jeżeli chce pani umówić się na spotkanie, najłatwiej będzie zrobić to przeze mnie. Ustalę z nią datę, kiedy wróci do domu.

- Czy jej mąż mógłby tłumaczyć naszą rozmowę? - zaskarżyłam.

- Sinclair nie jest mężatką.

- Więc się rozwiódła...

Ligieia milczała, najwyraźniej przyswajała fakt, że trochę wiem o Sinclair.

- Tak - przyznała. - Będę musiała jej powiedzieć, o co właściwie chodzi...

Ostatnie zdanie miało wyraźnie pytającą intonację. W tej chwili szczerze żałowałam, że nie znam języka migowego. Już teraz korzystanie z pomocy pośredniczki nie było zbyt miłe, a co dopiero, kiedy znajdę się twarzą w twarz z Sinclair...

- Jak mówiłam, pracuję w biurze szeryfa okręgu Hennepin - powiedziałam. - Mój mąż nosi nazwisko Shiloh...

- Och... - W jej głosie usłyszałam zdziwienie.

Znała to nazwisko.

- Jestem też szwagierką Sinclair. Jej brat, a mój mąż, Michael, zaginął parę dni temu, więc chcę się z nią widzieć w sprawie służbowej, a jednocześnie rodzinnej...

- Ojej... - Była wyraźnie przejęta i chyba młodsza, niż sądziłam. - W porządku... Jest pani w naszym mieście czy w Santa Fe?

- Na razie muszę złapać samolot do Santa Fe, ale postaram się dotrzeć tam jak najszybciej. Chciałabym porozmawiać z Sinclair jeszcze dziś wieczorem.

- Powinam porozumieć się z nią, zanim coś ustalimy - powiedziała. - Mogę do pani oddzwonić?

- Nie w tej chwili, nie zastanie mnie pani pod telefonem. Naprawdę byłoby lepiej, gdybyśmy mogły umówić się od razu. - Wiedziałam, że stawiam ją pod ścianą, ale nie miałam innego wyjścia. - Poda mi pani adres?

- Nie mogę tego zrobić... Jestem jej współlokatorką i czasami służę jako tłumaczka, to wszystko. Sinclair jest całkowi-

cie niezależna, nie jestem kimś w rodzaju opiekunki osoby niepełnosprawnej...

- Rozumiem.

- Może zechce umówić się z panią w domu, a może będzie wolała spotkać się na kampusie albo gdzieś w mieście, nie wiem...

- W takim razie ja zadzwonię, kiedy będę już w Santa Fe - skapitulowałam.

- Doskonale.

- Skoro zwykle tłumaczy pani dla Sinclair, to czemu nie towarzyszy jej pani teraz? - zapytałam z zaciekawieniem. - W Bale powiedziano mi, że prowadzi w tej chwili zajęcia...

- Tak, ale Bale ma podwydział języka migowego - wyjaśniła Ligieia. - Sinclair się zgodziła, by tłumaczył ją dzisiaj jeden z najlepszych studentów, przy okazji trochę poćwiczy, więc ja mam czas, żeby popracować.

- Studiuje pani na tym podwydziale?

- Nie, chodzę na seminarium z twórczego pisania, piszę wiersze, ale przez całą szkołę średnią miałam głuchoniemego chłopaka i tak nauczyłam się migać.

Grupka hałaśliwych dzieci z podstawówki przeszła obok mnie w drodze do biblioteki. Zatkaną wolne ucho palcem i odwróciłam się.

- Mam nadzieję, że nie pomyślała pani sobie, iż Sinclair jest sztywną formalistką - dodała Ligieia. - To naprawdę zdumiewająca osoba... Jestem pewna, że z radością się z panią spotka.

Jeżeli chciałam liczyć na rozmowę z Sinclair Goldman jeszcze tego wieczoru, musiałam bardzo się spieszyć, więc kiedy tylko wyjechałam z miasta, zwiększyłam prędkość do stu dwudziestu na godzinę. Niestety, prawie natychmiast o mały włos nie wpadłam na skrzyżowaniu na długą czarną limuzynę. Gdy zwolniłam, zauważyłam, że czarny wóz był jednym z wielu podobnych, sunących przede mną długim łańcuchem. Spojrzałam w lewo, usiłując dostrzec początek procesji. Pierwsza limuzyna, wioząca trumnę, wjeżdżała właśnie przez szeroką

kamienną bramę na wąską boczną drogę, równą wstążką przecinającą zadbane, szmaragdowozielone trawniki.

Miałam nadzieję, że karawan nie wiezie na miejsce ostatniego spoczynku osoby tak młodej jak Kamareia.

Kierownictwo domu pogrzebowego, w którym wystawiono trumnę Kamarei, wyraźnie przejęło się gwałtownym ochłodzeniem, bo wewnątrz było aż za ciepło. Na dodatek miałam na sobie czarną wełnianą sukienkę, tę samą, którą kupiłam na pogrzeb ojca, więc nagle zrobiło mi się gorąco. Patrząc na salę, powoli wypełniającą się krewnymi i przyjaciółmi Genevieve, myślałam głównie o tym, żeby przynajmniej na chwilę wymknąć się z przegrzanego pomieszczenia.

Shiloh siedział po prawej stronie sali, ubrany w ciemny garnitur, który zwykle wkleadał do sądu. Wzięłam dzień urlopu, aby być z Genevieve i jej bliskimi, którzy zatrzymali się u niej, by pomóc jej przejść przez ceremonię wystawienia zwłok, nabożeństwo żałobne i wreszcie pogrzeb. Shiloh zamienił się na późniejszą zmianę, żeby być w domu pogrzebowym na wystawieniu.

W tym wypadku wystawienie zwłok na widok publiczny było dość skomplikowane, bo nawet specjaliści od pośmiertnego makijażu niewiele mogli zrobić z twarzą tak posiniaczoną i poranioną jak twarz Kamarei. Trumna umieszczona przed rzędami krzeseł była kosztowna, lśniąca i zamknięta. Patrzyłam na nią o chwilę za długo, potem odwróciłam wzrok i spojrzałam w kierunku drzwi wejściowych.

Moją uwagę przykuł jeden z wchodzących żałobników.

Genevieve czasami wspominała o swoim krótkim małżeństwie. Była biała i pochodziła z katolickiej rodziny należącej do klasy pracującej, dzieciństwo i młodość spędziła na północy, w dużym mieście; on był czarnoskóry, urodził się na wsi, w Georgii i jego rodzina należała do pierwszego afrykańskiego kościoła baptystów. Kiedy te różnice ostatecznie doprowadziły do klęski ich związku, przeniósł się do Hartemu, stamtąd zaś wyjechał do Europy, gdzie jako prawnik prowadził sprawy wielkich korporacji, ona natomiast wstąpiła do policji i pod-

jęła pracę w Minneapolis, gdzie jej rodzina zapuściła korzenie kilka pokoleń wcześniej.

Nigdy nie widziałam zdjęcia Fincenta, ale Genevieve opisała go kiedyś na moją prośbę, na samym początku naszej przyjaźni, więc gdy go zobaczyłam, nie było powodu, abym pomyślała: „Kto to jest, do diabła?”. Mimo wszystko właśnie to pytanie przemknęło mi przez głowę, zanim uświadomiłam sobie, na kogo patrzę.

Kiedyś miałam zwyczaj kategoryzować ludzi według rodzajów sportu, jakim mogli zajmować się w szkole - na pomocników w drużynie futbolowej, przełajowców, pływaków, obrońców w zespole koszykówki. Tym razem okazało się to po prostu niemożliwe. Vincent Brown miał jakieś metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu i potężną sylwetkę, której nie dało się scharakteryzować. Emanował potęgą i siłą; miał na sobie jednobarwny garnitur w doskonałym gatunku, co mogłam dostrzec nawet z pewnej odległości. W wydatnych kościach policzkowych i orlim nosie było coś azteckiego. Jego mroczne oczy w niczym nie przypominały jasnoorzechowych, szeroko rozstawionych oczu Kamarei. Trudno było wyobrazić go sobie jako ojca tej pogodnej, łagodnej dziewczyny i męża Genevieve, z którym kiedyś założyła rodzinę.

Vincent szybko wypatrzył wśród zebranych osobę, której szukał - Genevieve. Podeszedł do niej, a wtedy jej bracia i siostry odsunęli się, tworząc wolną przestrzeń wokół nich dwojga. Gdy Genevieve podniosła ku niemu twarz, pocałował ją. Nie w policzek ani w czoło, ale w czubek głowy. Zamknął oczy i z niewystłowioną czułością dotknął wargami jej włosów.

I wtedy nagle zobaczyłam to, czego jeszcze przed sekundą nie widziałam - bliskość, jedność. Ci dwoje należeli do siebie mimo wszystkich okoliczności, jakie ich rozdzieliły.

Zamienili parę słów, potem Vincent odwrócił się i spojrzał na mnie. Zdałam sobie sprawę, że to ja byłam tematem ich rozmowy. Pośpiesznie odwróciłam wzrok, ale Vincent zmierzał już w moją stronę, więc nie ruszyłam się z miejsca, gdzie stałam.

— Sara... — powiedział.

- Vincent?

Było to pół powitanie, pół pytanie. Vincent nie uścisnął mi ręki, lecz ujął ją i na moment zatrzymał w swojej dłoni.

- *Byłaś z Kamareią, prawda? — zapytał. — Wtedy, w drodze do szpitala?*

- *Tak*

- *Dziękuję.*

Na lotnisku Salt Lake City znalazłam lot do Albuquerque i wpisałam się na listę oczekujących. Za bilet zapłaciłam kartą kredytową.

Z wyciągów bankowych i stanu konta karty kredytowej Shiloha nie wynikało zupełnie nic, natomiast ja zostawiałam za sobą szeroki papierowy trop, który bez większego trudu mogłoby odczytać nawet dziecko: międzymiastowe rozmowy na kartę, płatności za wynajęcie samochodu, za bilety samolotowe i tak dalej.

Kiedy nie wywołano mojego nazwiska, chwilę jeszcze stałam przy bramce, patrząc, jak pracownik lotniska zamyka przejście do samolotu. Po chwili czerwone literki na elektronicznej tablicy, tworzące napis LOT nr 519 - ALBUQUERQUE - 15.25 zgasły.

Załapałam się na lot o 16.40. Na miejsce mieliśmy dotrzeć po godzinie i dwudziestu minutach, mieliśmy, bo kiedy zbliżyliśmy się już do Albuquerque, nadano komunikat pilota.

- Z powodu złych warunków meteorologicznych nie możemy w tej chwili lądować w Albuquerque, nie zmienimy jednak miejsca lądowania. To nie potrwa długo, ale musimy poczekać na pozwolenie na lądowanie. Przepraszam za tę niedogodność. - W głosie pilota zabrzmiała ciepła, przyjazna nuta. - A skoro już mówimy o pogodzie, powinni państwo chyba wziąć pod uwagę, że podróż samochodem może dziś wieczorem potrwać dłużej, niż zakładaliście, bo w Albuquerque leje jak z cebra. Proszę zachować ostrożność - zależy nam, abyście bezpiecznie dotarli do celu i w przyszłości jeszcze wiele razy podróżowali naszymi liniami...

Oparłam głowę o obudowę małego okienka i zasłuchałam się w niecierpliwym rytm mojego serca.

Szansę na to, że jeszcze tego samego wieczoru uda mi się porozmawiać z Sinclair, zmniejszały się z każdą chwilą. Byłam pewna, że jeśli zjawię się późno, Sinclair i Ligieia umówią się ze mną na następny dzień, prawdopodobnie gdzieś w mieście.

Nie chciałam spotkać się z Sinclair w kawiarni czy w restauracji. Skoro już miałam rozmawiać przez tłumaczkę z najbliższą krewną Shiloha, to chciałam przynajmniej, by odbyło się to w ruchliwym, hałaśliwym miejscu, którego atmosfera z pewnością nie sprzyja intymnym wynurzeniom.

Otoczenie, w jakim rozmawiałam z Naomi Wilson, było wprost idealne. W domu siostry Shiloha panował miły nastrój i miałyśmy dość czasu, aby prowadzić rozmowę w najwłaściwszym tempie. Nic nie wskazywało, by odtworzenie tej sytuacji z Sinclair było możliwe, ale chciałam pojechać do jej domu, zresztą nie tylko po to, żeby stworzyć sobie i jej odpowiednie warunki.

Każde z nas ma to jedno, jedyne miejsce, w którym szukamy schronienia, gdy nasze życie obraca się w gruzy. Z mojej rozmowy z Billem wynikało jasno, że dla Shiloha takim miejscem mógł być dom jego siostry, gdziekolwiek by się znajdował.

Ale przecież życie Shiloha nie obróciło się w gruzy, przecież Shiloh zmierzał we właściwym kierunku... Wkrótce miał zacząć nową pracę, pracę, o której marzył, jego małżeństwo było udane i bardzo młode. Mimo to musiałam zyskać absolutną pewność, że Shiloh, działając pod wpływem okoliczności i stresu, o których nie miałam pojęcia, nie poszukał schronienia w tym odległym zakątku.

Byłoby to naprawdę dziwne, w każdym razie tak mi się wtedy wydawało, gdyby Shiloh rzeczywiście postanowił ukryć się w Santa Fe. O ile wiedziałam, nigdy wcześniej tam nie był, natomiast jedno z moich najwcześniejszych wspomnień wiązało się właśnie z tym miastem.

Miałam mniej więcej cztery lata, kiedy mama zabrała mnie na wycieczkę do Santa Fe po jakieś zakupy, których nie mogła zrobić w naszym miejscowym sklepie. Musiało to być jesienią albo zimą. We wspomnieniach widzę zimny deszczowy wieczór i ciepłe, zapraszające światła wysokich budynków; pamiętam, że jadłam w restauracji zupę-krem, chyba z dyni, i byłam bardzo szczęśliwa, bo siedziałam przy stoliku tylko z mamą i miałam ją wyłącznie dla siebie...

Z zamyślenia wyrwał mnie głos pilota. Dostaliśmy zezwolenie na lądowanie w Albuquerque. Kątem oka zauważyłam stewardesę, która przechodziła środkiem, sprawdzając, czy gdzieś nie pozostała taca po posiłku i czy ktoś nie rozmawia przez komórkę.

Samolot zanurzył się w warstwę chmur, gładką jak powierzchnia oceanu. Zapadł zmierzch i zachmurzone niebo przybrało ciemnoszarą barwę. Po zewnętrznej stronie szyby pojawiło się kilka kropli, które szybko spływały, kreśląc mokre ukośne linie. Otuleni grafitową mgłą, przez chwilę wszyscy znajdowaliśmy się w jakimś dziwnym, niemożliwym do zdefiniowania miejscu, między światami.

Zdawałam sobie sprawę, jak śmieszny jest pomysł, że zastanę Shiloh'a w domu jego siostry w Nowym Meksyku, ale też wiedziałam, dlaczego nie chcę go odrzucić. Było to trudne do zrozumienia i skomplikowane, a jednak ta myśl naprawdę wydawała mi się pociągająca.

Kiedyś słyszałam, jak owdowiała kobieta w miesiąc po śmierci męża, który zginął w wypadku samochodowym, mówiła, że zaczęła pocieszać się pewną fantazją. Wyobrażała sobie, że jej mąż nie zginął, ale porzucił ją i mieszka w innej części kraju. Wtedy uznałam, że jest to mało pocieszająca iluzja, a już na pewno nie obraz, który chętnie przywołuje się wieczorami, lecz teraz doskonale rozumiałam tamtą wdowę. Jej miłość była bezwarunkowa - pragnęła tylko, aby mąż był cały i zdrowy, z nią czy bez niej.

Ze wszystkich realnych możliwości, którymi mogłam tłu-

maczyć sobie zniknięcie Shiloha, ta wcale nie była najgorsza, więcej, miała w sobie promyk nadziei.

Białe światła lotniska uniosły się i wybiegły nam na spotkanie.

Rozdział 17

Wmieszałam się w tłum zmierzający do głównego terminalu. Sama myśl o tym, co jeszcze powinnam zrobić tego wieczoru, przyprawiała mnie o ból głowy. Na ścianie przede mną widniał rząd automatów telefonicznych, aleja wiedziałam już, że nie zadzwonię do Ligiei.

Plany miast, które zwykle rozdawano w wypożyczalniach samochodów, nie były dość dokładne jak na moje potrzeby. W kiosku z prasą znalazłam to, czego szukałam - dokładną mapę całego stanu Nowy Meksyk.

W wypożyczalni dodałam do kolekcji następny element, pożyczając hondę. Rozłożyłam mapę na kontuarze i palcem wskazałam niewielkie miasto, w którym znajdował się Uniwersytet Bale.

- Ile czasu zajmie mi podróż? - zapytałam.

Urzędniczka odwróciła się i zerknęła na mapę.

- Godzinę - odparła. - Może trochę dłużej, bo robi się ciemno, a pani nie zna okolicy.

- Czy samochód ma pełny bak?

- O tak, wszystkie nasze wozy są zawsze zatankowane do pełna. Musi pani zwrócić samochód w takim samym stanie, albo zapłacić za zużyte paliwo.

- Jest w nim uchwyt do kubka?

- Słucham? - zdziwiła się.

- Muszę napić się kawy, a naprawdę nie mam czasu...

- Rozumiem. - Z błyskiem w oku kiwnęła głową.

Nie ulegało wątpliwości, że ona także była uzależniona od kawy i rozpoznała we mnie bratnią duszę.

Ale w końcu, nie chcąc tracić cennych minut, nie poszłam do kawiarni Starbucks w głównej hali lotniska ani nie zatrzymałam się nigdzie po drodze. Szybko wyjechałam z miasta.

Lekka mgła opadała powoli, więc włączyłam wycieraczki. Miałam nadzieję, że nie zaczną lać, bo zamierzałam dać gaz do dechy. Wiedziałam, że i tak zjawię się pod domem Sinclair nieprzychylnie późno. Nie chciałam zrazić jej do siebie, więc liczyła się każda sekunda.

Dopóki byłam na autostradzie międzystanowej, pędziłam sto trzydzieści na godzinę. Kiedy zjechałam na drogę do Bale College, wijącą się wśród wzgórz, zwolniłam, ale nie na tyle, aby zmieścić się w dozwolonej prędkości, nie byłam więc szczególnie zaskoczona, gdy migające światła radiowozu przemieniły krople deszczu na tylnej szybie hondy w czerwono-niebieski kalejdoskop.

Natychmiast zjechałam na pobocze, sygnalizując gotowość do współpracy. Policjant drogówki, który podszedł do mnie z boku, wyglądał na dwudziestolatka. Z identyfikatora wynikało, że jest zastępcą szeryfa i nazywa się Johnson.

- Wie pani, z jaką prędkością pani jechała? - zapytał.

- Wydawało mi się, że jakieś osiemdziesiąt, ale prawdopodobnie zaraz powie mi pan, że miałam na liczniku trochę więcej... - odparłam z nieco wymuszoną wesołością.

- Dużo więcej. - Pokiwał głową bez uśmiechu. - Mój radar mówi, że wyciszyła pani setkę.

- Na pewno ma pan rację. Jadę pożyczonym samochodem, a to często wprowadza człowieka w błąd.

- Niekoniecznie, jeżeli patrzy się na prędkościomierz - poczył mnie belferskim tonem. - Kiedy trochę pada, tak jak teraz, powinno się zachować szczególną ostrożność. Ludzie często myślą, że niewielkie opady stwarzają mniejsze zagrożenie niż ulewa, ale na asfalcie zbierają się resztki oleju i paliwa, i...

Zapłacę mandat, nawet podwójny, tylko przestań gadać i szybko go wypisz, pomyślałam. Johnson był jednak jeszcze bardzo młody i traktował swoją pracę wyjątkowo poważnie.

Mniej więcej minutę później zakończył przemówienie i za-

brał moją kartę identyfikacyjną, żeby sprawdzić dane w komputerze. Zaczęłam grzebać w torbie, szukając policyjnej odznaki.

Wrócił z kartą i wypisał mandat. Schowałam go do kieszeni.

- Dziękuję za uprzejmość i cierpliwość - powiedział.

- Chwileczkę, dobrze? Chciałabym pana o coś zapytać... - Pokazałam mu odznakę. - Pracuję w biurze szeryfa okręgu Hennepin, który obejmuje Mirmepolis i okolice...

Uniósł brwi, na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, niekoniecznie miłego.

- Nie chodzi mi o to, żeby skasował pan mój mandat - zapewniłam go pośpiesznie. - Przekroczyłam ustaloną prędkość, więc zapłacę. Jestem tutaj służbowo i potrzebna mi pomoc. Byłam w drodze na najbliższy posterunek, kiedy mnie pan zatrzymał. Mam tutaj numer telefonu, bez adresu, a muszę go znaleźć. - Uśmiechnęłam się, dając mu do zrozumienia, że traktuję to jako przysługę z jego strony. - Gdyby mógł pan zadzwonić na posterunek i przekazać ten numer, może zdołają odszukać adres, zanim do nich dotrę...

Zastępca Johnson zmarszczył brwi.

- Skąd pani jest? - zapytał niepewnie.

- Jestem detektywem okręgu Hennepin. Mogę podać panu całodobowy numer do wydziału dochodzeniowego, gdyby ktoś chciał mnie sprawdzić.

- I prowadzi pani dochodzenie?

- Tak, w sprawie osoby zaginionej.

Johnson uświadomił sobie chyba, że trafiła mu się interesująca przerwa w monotonnym polowaniu na niesfornych kierowców.

- Proszę dać mi ten numer.

Poszedł do wozu i sięgnął po krótkofalówkę.

- Szukają - powiedział po powrocie i udzielił mi jasnych wskazówek, jak dojechać do posterunku. - Gdyby potrzebowała pani pomocy w tej okolicy, niech pani wpadnie, detektyw Pribek. - Uśmiechnął się.

Wyglądało na to, że zastawianie pułapek na niesfornych kierowców nie jest dla niego zbyt fascynującym wyzwaniem.

Dopiero na posterunku ktoś zadał mi zupełnie oczywiste pytanie, choć nie wprost.

- Okręg Hennepin musi mieć spore nadwyżki budżetowe, skoro może pozwolić sobie na rozsyłanie ludzi po całym kraju w poszukiwaniu zaginionych - mruknął dyżurny, ironicznie unosząc brew.

- Nic z tych rzeczy. - Pokręciłam głową. - Takie sytuacje zdarzają się nam niezwykle rzadko.

Zapisał mi adres na kartce.

- To szczególnie wypadek? - zapytał.

- Coś w tym rodzaju... - Nie miałam ochoty tłumaczyć mu, o co chodzi. - Hej, czy to może kawa?

Dziesięć minut później zatrzymałam się przed niskim drewnianym domem, niedaleko miejsca, gdzie zgodnie z mapą znajdował się Uniwersytet Bale. Koniec podjazdu oświetlała lampa stylizowana na uliczną gazową latarnię z epoki wiktoriańskiej, mocna żarówka wydobywała z ciemności całe podwórko. Garaż był zamknięty, a na chodniku nie widać było żadnego samochodu. Szanse, że znajdę tu Shiloha, nagle zmalły.

Kiedy zapukałam, wewnątrz rozległy się kroki, ale drzwi się nie otworzyły. Zasłonka w bocznym okienku drgnęła, co świadczyło o godnej pochwały ostrożności. Po chwili na progu stanęła młoda kobieta. Miała metr sześćdziesiąt parę wzrostu i dwa ciemnobrązowe warkocze z kręcącymi się końcami. Top nad kraciatymi spodniami od pizamy odsłaniał płaski brzuch, dwa odcienie jaśniejszy od kakao. Była boso.

- Tak?

- Rozmawialiśmy dzisiaj przez telefon, nazywam się Sara Pribek. Zamierzałam zadzwonić przed przyjazdem, ale mój samolot miał spore opóźnienie - mówiłam szybko, starając się, by przyjęła moje słowa jako wyjaśnienie. - A ponieważ w sprawach osób zaginionych każda chwila jest dosłownie na wagę złota, od razu przyjechałam tutaj...

Brązowe oczy Ligiei patrzyły na mnie uważnie. Nie powie-

działa jeszcze, że Sinclair woli spotkać się ze mną następnego dnia, więc poczułam lekką ulgę.

- Mam ze sobą notatnik. - Dotknęłam wiszącej na ramieniu torby. - Nie będzie pani musiała tłumaczyć, jeżeli to niedogodne...

Cofnęła się do środka.

- Proszę wejść - odezwała się niechętnie. - Zapytam Sinclair, czy może pani zostać.

Kiedy zamykała drzwi, do holu wbiegła mała dziewczynka. Jej rude włosy mokrymi falami opadały na ramiona, owinięta była w ciemnopomarańczowy ręcznik, który przytrzymywała pod pachami. Przystanęła obok Ligie i spojrzała na mnie, potem zaś podniosła ręce i zaczęła gestykulować. Ręcznik zjechał na podłogę.

- Hope! - zawołała Ligieia i przyklękła, żeby ponownie okryć małą.

Podniosła wzrok i na widok rozedrganych kącików moich ust sama parsknęła śmiechem, wznosząc oczy do sufitu. Lody pękły w jednej chwili - była to najlepsza sytuacja, jaka mogła mi się przytrafić.

- Córka Sinclair? - zapytałam.

- Tak, to Hope. Posługuje się językiem migowym, co pewnie od razu zdradza, czyim jest dzieckiem.

Patrzyłam na Hope, lecz kątem oka dostrzegłam jakiś ruch z prawej strony. Za plecami Ligie stała wysoka kobieta z rozpuszczonymi rudymi włosami. W skupieniu przyglądała mi się leciutko skośnymi oczami.

Sinclair. Ligieia jeszcze jej nie zauważyła. Wyprostowałam się i skinęłam głową. Odpowiedziała w ten sam sposób.

Nasze powitanie wydało mi się nieco oficjalne, i to nie tylko dlatego, że nie mogłam się do niej odezwać. Na moment ogarnęło mnie uczucie, że oto odnalazłam zaginioną osobę. Zaledwie dwa dni wcześniej nie miałam jeszcze pojęcia o jej istnieniu, nie znałam jej imienia, a teraz wydawało mi się, że patrzę na kogoś, kogo od dawna usiłowałam odszukać.

- Trzymaj ręcznik, skarbie. - Ligieia uśmiechnęła się do Hope.

Potem podniosła się i zwróciła się do Sinclair, jednocześnie mówiąc i poruszając dłońmi.

- To jest Sara Pribek. - Przeliterowanie mojego imienia i nazwiska znakami zajęło jej parę sekund. - Twierdzi, że w sprawach osób zaginionych czas jest bardzo ważny, więc przyjechała tu prosto z lotniska. Chce dzisiaj z tobą pomówić.

Hope w milczeniu przyglądała się tej rozmowie. Sinclair uniosła dłonie.

- Ma pani pokój w mieście? - Ligieia spojrzała na mnie.

Cholera jasna, zakląłam w myśli, wyczuwając odprawę.

- Jeszcze nie - odpowiedziałam.

Sinclair znowu wykonała parę gestów.

- Mówi, że pościele pani w gościnnym pokoju - przetłumaczyła Ligieia.

Sinclair wzięła córkę na ręce i poszła z nią w głąb holu, zostawiając mnie z Ligieia. Jej gościnność całkowicie mnie zaskoczyła. W końcu byłam dla niej obcą osobą.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Ligiei.

- Chodźmy do kuchni, dobrze? - zaproponowała. - Miałam właśnie zaparzyć herbatę. I może mówmy sobie po imieniu, tak będzie łatwiej...

Skinęłam głową.

- Posłuchaj, naprawdę nie musisz tłumaczyć - powiedziałam, idąc za nią. - Jest już dość późno, a ty jesteś w piżamie...

- Nie kładłam się jeszcze spać, zabierałam się do czytania trzeciego aktu *Kupca weneckiego*. - Ligieia zdjęła czajnik z kuchenki i poruszyła nim, sprawdzając, czy w środku jest wystarczająco dużo wody. - Muszę skończyć na jutro, chociaż w gruncie rzeczy to strata czasu. Nikt nie wystawia dziś tej sztuki, zresztą nic dziwnego, bo jest potwornie antysemicka. Myślę, że rzadko się już ja nawet czyta...

Potarła zapałkę i zapaliła gaz pod czajnikiem. Kuchenka sprawiała wrażenie przedpotopowej.

- Od dawna znasz Sinclair? - zapytałam.

- Od trzech lat, odkąd zaczęła wykładać w Bale. Od początku przydzielili jej mnie jako tłumaczkę, trochę później zaczęłam czytać jej wiersze.

- To znaczy?

- Czytam wiersze Sinclair na spotkaniach autorskich. To dla mnie poważne wyzwanie, bo nie chodzi tylko o recytowanie, ale przede wszystkim o właściwe przekazanie ładunku emocjonalnego utworów. Musiałam naprawdę dobrze poznać Sinclair, żeby czytać je tak, jak przeczytałaby je sama, gdyby posługiwała się mową...

Usłyszałam lekkie kroki za sobą, odwróciłam się i zobaczyłam Hope. Jej miedziane włosy były starannie wyszczotkowane, miała na sobie białą koszulkę nocną i wpatrywała się we mnie z dziecięcą powagą.

- Mama powiedziała mi, że mówisz - oznajmiła, na wszelki wypadek gestykulując.

Miała głos o wyjątkowo przyjemnym brzmieniu i wypowiedziała słowa bardzo wyraźnie. Aż do tej chwili myślałam, że i ona jest głuchoniema.

- Twoja mama ma rację - odparłam.

- I nazywasz się Sara?

- Hope, czy mama wie, że tu jesteś? - przerwała małej Ligieia.

Dziewczynka utkwiała oczy w podłozde. Najwyraźniej nie chciała kłamać.

- Wiesz, co myślę? - Ligieia schyliła się i uniosła ku sobie bródkę Hope. - Myślę, że mama zapakowała cię już do łóżka i teraz ma nadzieję, że wciąż tam jesteś...

Hope odwróciła się i wybiegła z kuchni.

Ligieia pokręciła głową, jednocześnie rozbawiona i zniecierpliwiona.

- Zawsze musi wiedzieć, co się dzieje. - Dotknęła boku czajnika. - Najinteligentniejszy dzieciak, jakiego widziałam, słowo daję... Kiedy z nią rozmawiasz, masz wrażenie, że to co najmniej dziesięciolatka. Płynnie włada migowym. Jestem pewna, że kiedy podrośnie, matka będzie miała w niej ogromną po-

moc. Hope wyrośnie na wielką osobowość, dam sobie rękę uciąć...

- Kiedy Sinclair rozwiódła się z jej ojcem?

Ligieia nie odpowiedziała, zapatrzona w przestrzeń za moimi plecami. Kiedy się odwróciłam, ujrzałam Sinclair.

Shiloh też był taki, poruszał się niczym duch albo jakaś cholerna chmura. Często słyszałam go dopiero wtedy, gdy był tuż za mną.

- Naleję herbatę - powiedziała Ligieia.

Poszłyśmy do salonu, dość niskiego i pełnego roślin doniczkowych, których ciemną zielenią tu i ówdzie urozmaicały inne kolory. Usadowałam się w fotelu na biegunach i podniosłam do ust filiżankę z herbatą, świadomie odwołując początek rozmowy. Przyjechałam tu, uparcie twierdząc, że koniecznie muszę jak najszybciej pomówić z Sinclair, lecz tak naprawdę nie miałam do niej żadnych pilnych pytań. Zjawiłam się w jej domu po to, aby uzyskać pewność, że nie ma w nim Shiloha i teraz nie miałam już co do tego żadnych wątpliwości.

Milczenie przerwała Sinclair, nie ja.

- Cieszę się, że przyjechałaś - powiedziała przez Ligieię. - Jestem bardzo ciekawa, co dzieje się z Michaeliem, nie widziałam go od lat, ale wiem, że na pewno masz jakieś pytania...

Postawiłam filiżankę na stole.

- Oto pierwsze - kiedy widziałas go ostatni raz?

Sinclair ściągnęła brwi w zamyśleniu. Ligieia czekała.

- Jakies pięć, sześć lat temu - powiedziała w końcu. - Nie pamiętam dokładnej daty. Byłam wtedy w Minneapolis. Miałam spotkanie autorskie i gościnny wykład na uniwersytecie, później pojechałam jeszcze z wykładami do Carleton. Pobyt w Carleton zapamiętałam dość dobrze, bo zjawiłam się tam parę dni po strasznym wypadku drogowym w pobliżu Minneapolis, w którym zginęło troje studentów Carleton. Prawdziwa tragedia... Takie rzeczy zawsze wpływają na atmosferę w małych uczelniach...

- Tak, ja też to pamiętam. - Pokiwałam głową.
- Chcesz, żebym sprawdziła datę?
- Niekoniecznie. Było to tak dawno temu, że prawie na pewno nie ma związku z obecnymi wydarzeniami... Chciałabym raczej wiedzieć, czy w ogóle utrzymywałaś kontakty z Shilohem. Spotkaliście się wtedy?
- Tak. Wpadliśmy na siebie na ulicy.
- Więc umówiłaś się z nim na spotkanie?
- Nie wiedziałam nawet, że tam mieszka.
- Czy później pisaliście do siebie lub wysyłałiście sobie e-maile?

Potrząsnęła głową.

- Czy kiedy dowiedziałaś się, że zaginął, przyszło ci do głowy, co mogło się z nim stać?

Znowu ten sam gest. Zdawałam sobie sprawę, że te krótkie odpowiedzi są w gruncie rzeczy wyrazem uprzejmości i zrozumienia dla mojej sytuacji. Sinclair pokazywała, że pragnie porozumieć się ze mną bezpośrednio.

- Dlaczego uciekł z domu, kiedy miał siedemnaście lat? - zapytałam. - Co o tym myślisz?

Przeniosła wzrok z rąk Ligiei na moją twarz i szybko przesunęła kciukiem po czubkach palców drugiej dłoni. Pomyślałam, że może ten ruch ma podobne znaczenie, jak oblizywanie warg przez osobę mówiącą i ma zwolnić tempo rozmowy.

- Dowiedziałam się o jego ucieczce dopiero parę lat po fakcie, ale wydaje mi się, że powodem były nieporozumienia z ojcem, podobnie jak w moim wypadku.

- Twój brat i siostra mają inne zdanie na ten temat...

Tym razem pauza była dłuższa. Ligiei zaczęła, aż dłonie Sinclair znieruchomieją i dopiero wtedy zaczęła tłumaczyć.

- Widzieli to, co chcieli zobaczyć. Moi bliscy przywykli do postrzegania mnie jako osoby innej, ale bardzo zależało im, by Mike był taki jak oni.

- Co robiłaś po odejściu z domu?

- Zatrzymałam się w Salt Lake City, u przyjaciół, którzy byli zreformowanymi mormonami... - Ligieia potknęła się na

nieznanym określeniu. - Mormonami, którzy oderwali się od swojej świątyni.

Wiedziałam, o czym mówi. Shiloh mówił mi o zreformowanych mormonach.

- Kiedy wyjechali z miasta na Boże Narodzenie, poczułam się samotna i pojechałam do domu. Michael przemycił mnie do swojego pokoju przez okno, weszłam tam po drzewie, które rośnie na trawniku, co nie było trudne.

Sinclair przerwała na chwilę, bo Ligieia nie nadała.

- Zostaliśmy przyłapani, ojciec bardzo się rozgniewał. Żałowałam, że wpędziłam Mike'a w kłopoty, ale on i tak wcześniej czy później odszedłby z domu.

- Czy później Mike odszukał cię w Salt Lake City?

- Nie. Mówiłam ci już, że o jego ucieczce z domu dowiedziałam się po paru latach.

Moje pytania, wzrok Sinclair, głos Ligiei... Nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu, że zdobywam informacje poprzez system podobny do starej wiejskiej linii telefonicznej, gdzie do rozmowy zawsze może włączyć się trzecia osoba. Było to bardzo dziwne uczucie.

- Jak myślisz, dlaczego nie przyjechał do ciebie?

Musiałam zapytać ją o coś jeszcze, ale wolałam zostawić to na później.

Oczy Sinclair, tak podobne do oczu Shiloha, wpatrywały się w moją twarz.

- Mike zawsze był bardzo niezależny - przetłumaczyła Ligieia. - Czy mogę wiedzieć, dlaczego o to pytasz? Wszystko to działo się tak dawno temu...

Sięgnęłam po filiżankę, ale nie napiłam się herbaty. Kiedy Ligieia nalewała ją w kuchni, zachwyił mnie jej intensywnie różowy kolor, lecz w smaku okazała się kwaśna i nijaka.

- To jego historia - odpowiedziałam. - Szukam wzorów pewnych sytuacji i zachowań... - Zmusiłam się do przełknięcia łyku wodnistego napoju. - Ale skoro przez te wszystkie lata nie miałś z nim żadnego kontaktu, to chyba nie mam już żadnych pytań...

Dość długie milczenie przerwała w końcu Ligieia.

- Czy i wy macie ochotę na łyk czegoś mocniejszego, czy tylko ja? - zagadnęła.

Zerknęła na Sinclair, która lekko machnęła ręką, nie wyrażając ani wielkiego entuzjazmu, ani dezaprobaty. Zaczynałam podejrzewać, że właśnie takie ma podejście do życia - bierze wszystko takim, jakie jest, spokojnie, bez ekscytacji.

Ligieia wyszła z pokoju. Teraz wreszcie możemy naprawdę pogadać, pomyślałam, patrząc na Sinclair. Miałam ochotę porozmawiać z nią bez Ligie; dziewczyna zrobiła na mnie bardzo miłe wrażenie, ale przecież nie znała Shiloha i nie miała pojęcia, jakim jest człowiekiem.

- Nie mogę zasnąć - odezwał się nagle pełen niezadowolenia głosik.

Podążyłam za spojrzeniem Sinclair. Hope weszła do pokoju boso, tylko w nocnej koszulce. Sinclair potrząsnęła głową z macierzyńską bezradnością.

Ligieia wróciła z butelką dżinu w rękę i przystanąła na widok Hope.

- Co jest? - Popatrzyła na Sinclair. - Nie wstawaj, zaraz odprowadzę ją do łóżka...

Sinclair uniosła ręce i powiedziała coś, wywołując wybuch śmiechu dziewczyny.

- Sinclair mówi, że nikt nie lubi iść spać, gdy inni dobrze się bawią... - Znowu zerknęła na Hope. - No, dobrze, mała, mama pozwoliła ci zostać, ale tylko na trochę...

Odwróciła się, nalała odrobinę dżinu do szklanki Sinclair, a potem do swojej filiżanki.

- Ja dziękuję - powiedziałam, lecz było już za późno.

- Przepraszam, jeżeli naprawdę nie chcesz, zrobię ci jeszcze herbaty...

- Nie, nie - zaprotestowałam. - Nie rób sobie kłopotu, napiję się z wami.

Ligieia postawiła butelkę na stole i wróciła na swoje miejsce na kanapie.

- Chodź no tutaj, panno Hope. - Uśmiechnęła się, pokle-

pując dłonią poduszkę między sobą i Sinclair. - Tu będzie ci wygodnie....

Ale Hope usadowiła się w fotelu obok mnie. Ponieważ nie był duży, przytuliła się do mnie i oparła mi głowę na ramieniu.

Ligieia uniosła brwi. Nawet Sinclair wyglądała na nieco zdziwioną i powiedziała coś kilkoma ruchami.

- Szybko zdobywasz przyjaciół - przetłumaczyła Ligieia.

- Zazwyczaj nie aż tak szybko.

Hope podniosła głowę i zjrzała mi w twarz.

- Masz na imię Sara, prawda? - powtórzyła wcześniejsze pytanie.

Wcześniej mówiła, że nie mogła zasnąć, ale w jej oczach i głosie czaiła się senność. Nagle zdałam sobie sprawę, że mnie także chce się spać.

- Tak - odpowiedziałam.

Hope uniosła dłoń i zaczęła poruszać palcami.

- Literuje twoje imię. - Ligieia się uśmiechnęła. - Popisuje się...

- Jestem pod wrażeniem - powiedziałam do Hope. - Uwaga, teraz musimy wychylić się trochę do przodu... - ostrzegłam.

Fotel zakołysał się, kiedy sięgnęłam po zimną herbatę z dzinem. Poruszyłam kubkiem, łącząc oba płyny. Ewidentna gra na czas, podobnie jak odbijanie piłki od podłogi tuż przed wykonaniem rzutu wolnego w koszykówce.

Nie zamierzałam pić ginu. Od chwili gdy zrozumiałam, że Shiloh zaginął, wystrzeżałam się alkoholu jak ognia, wiedziałam, że nie mogę sobie pozwolić nawet na jednego drinka. Pierwszy drink prowadzi do następnych, mówiłam sobie. Ciepło alkoholu może i wypędziłoby lęk z mojego serca i rozluźniło wiecznie napięte mięśnie ramion, ale także oderwałoby mnie od rzeczywistości, stępiło umysł i spowolniło poszukiwania, a przecież teraz tak wiele zależało od szybkości mojego myślenia i działania. Mój mąż mnie potrzebował.

I nagle, zupełnie wbrew sobie, pociągnęłam duży łyk. Byłam tak potwornie zmęczona, poza tym dzin poprawił smak herbaty...

- Teraz twoja kolej na zadawanie pytań - odezwałam się.

Sinclair uniosła dłonie i od razu przeszła do rzeczy.

- Czy Mike ma jakieś kłopoty?

Zdecydowanie potrząsnęłam głową. Był to jeden z niewielu gestów, jakim mogłam porozumieć się z nią bez słów.

- Nie, w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Coś mu się przydarzyło, próbuję się dowiedzieć, co...

- Jak się poznaliście?

- W pracy, oboje jesteśmy policjantami. - Poczulałam żal, że stać mnie tylko na tę półprawdę, że nie mogę opowiedzieć Sinclair prawdziwej historii naszego pierwszego spotkania, ale to uczucie szybko zniknęło. - W czasie akcji przeciwko handlarzom narkotykami.

Nawet gdybyśmy były same w pokoju, tamta historia była zbyt długa i złożona, by ją teraz przytaczać, nie mówiąc już o tym, że nigdy nikomu jej nie opowiadałam.

- Jaki jest teraz Michael?

Napiłam się znowu, by mieć chwilę na zastanowienie.

- Trudno opisać go w kilku słowach - powiedziałam. - Na pewno jest szczerzy do bólu...

Od mojego brzucha rozptywało się na całe ciało przyjemne, znajome ciepło. W czasach, kiedy naprawdę piłam, nawet nie poczułabym tak niewielkiej dawki alkoholu. Pociągnęłam kolejny łyk i zaczęłam lekko odpychać się od podłogi stopami, kołysząc Hope i siebie.

- Jak długo jesteście małżeństwem?

Ligieia podniosła się, żeby dolać mi ginu. Nie zaprotestowałam.

- Dopiero dwa miesiące. Niedługo.

- Długo znaliście się przed ślubem?

- Mniej więcej pięć lat, ale nie przez cały ten czas byliśmy ze sobą. Rozstaliśmy się na parę miesięcy.

Może sprawił to dzin, lecz niespodziewanie straciłam poczucie, że rozmawiam z Sinclair z udziałem Ligieia. Zwłaszcza kiedy patrzyłam na Hope, która zasnęła na mojej piersi, głos Ligieia stawał się głosem Sinclair.

- Dlaczego?

- Utknęliśmy w martwym punkcie - powiedziałam powoli, wracając pamięcią do tamtych chwil. - Właściwie ze względów zawodowych... Stałam niżej w hierarchii i bardzo mi to przeszkadzało. Kiedy byłam młodsza, łatwo wpadałam w gniew. Często wściekałam się na Shiloha i nawet nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje...

Upiłam się, pomyślałam. Powinnam natychmiast przestać. Ale nie przestałam.

- Poza tym czasami wydawało mi się, że jest gdzieś daleko, że oddała się ode mnie, a w tamtym okresie chwytalam się wszystkiego, co wydawało mi się potrzebne - ciągnęłam. - Przestraszyłam się, że nigdy nie zdobędę jakiegosć części jego serca...

Poczułam się tak, jakbym bosą stopą stanęła na ostrym kawałku smutku, którego wcześniej nie zauważyłam. Ukryłam twarz w dłoniach, ostrożnie i niezdarnie, ponieważ nie chciałam obudzić Hope.

Sinclair podeszła, stanęła przede mną i zrobiła coś dziwnego i cudownego zarazem - położyła mi dłoń na czole, jakby chciała sprawdzić, czy nie mam gorączki, i powoli pogładziła mnie po włosach.

- Tęsknię za nim - powiedziałam cicho.

Kiwnęła głową.

Gdy przemówiła tym razem, jej usta poruszały się razem z dłońmi i mogłabym przysiąc, że rozumiałam ją, jeszcze zanim Ligieia zdążyła przetłumaczyć jej słowa.

- Opowiedz mi coś o Mike'u. Cokolwiek.

Dolałam sobie dzinu i opowiedziałam jej, jak Shiloh schwytał Annelise Eliot.

Rozdział 18

Kiedy Shiloh dopiero zaczynał pracę nad sprawami umorzonymi, pojechał któregoś dnia do Eden Prairie, na przedmie-

ściu Minneapolis, gdzie kilka kościołów wspólnie założyło hospicjum. Miał tam przesłuchać umierającego na AIDS mężczyznę w średnim wieku, aby pamięć o dawno dokonanej zbrodni nie zgasła razem z ledwo tłącym się płomykiem życia. Shiloh usiadł przy łóżku chorego, wysłuchał go i zrobił notatki, a gdy tamten zasnął, wielebna Aileen Lennox, która pomagała prowadzić hospicjum, zaproponowała, że oprowadzi go po budynku, żartobliwie nazywając to „wycieczką za grosik”.

Shiloh obszedł rozległe hospicjum, słuchając, jak ta wysoka, skromnie ubrana kobieta z cichą dumą opowiada o budynku, który dopiero rok wcześniej został wyremontowany i przeznaczony na ostatni przystanek na drodze życia śmiertelnie chorych ludzi. Wielebna Lennox z satysfakcją pokazywała mu detale, które miały zapewniać umierającym wygodę, i opowiadała o firmach i osobach prywatnych, nie skąpiących czasu i pieniędzy, aby przyjść im z pomocą. Kobieta mówiła, Shiloh poczuł nagle, jak włosy podnoszą mu się na karku.

Od zniknięcia kobiety minęło wtedy dwanaście lat. Była dwanaście lat starsza i jej wysokie kości policzkowe zdążyły nabrać łagodniejszego zarysu, chłodne, niebieskie oczy otoczyły kurze stopki, a dawniej jasne włosy z pasemkami ufarbowane były na brąz, lecz Shiloh dostrzegł prawdę w jej oczach, budowie i postawie. Aileen Lennox to Annelise Eliot, pomyślał.

- Usłyszałem Montanę w jej głosie - powiedział mi tamtego wieczoru. - Ale kiedy zapytałem ją, odparła, że nigdy tam nie mieszkała.

- Bzdury! - rzuciłam. - Nie ma czegoś takiego jak montañski akcent!

- Jest - odrzekł. - Wyczułem go, naprawdę.

Annelise Eliot dorastała w Montanie. Była córką właścicieli olbrzymich terenów w tym stanie, niezliczonych tartaków i papierni. Jej imię, ze swymi europejskimi konotacjami, przywoływało obraz arystokratki, może odrobinę neurastenicznej, z siateczką błękitnych żył pod białą jak papier, delikatną skórą. Nic nie mogło być bardziej odległe od prawdy. Anni, jak nazywano ją, zanim zła sława utrwaliła opinii publicznej imię An-

nelise, była wysoka, mocno zbudowana, silna i sprawna. W jej włosach lśniły jaśniejsze pasemka, zrobione w modnym i droгим salonie fryzjerskim, ale paznokcie często miała brudne, ponieważ sama zajmowała się ukochanymi końmi.

Od najwcześniejszych lat Anni miała kilka szybkich koni rasy appaloosa, na których wygrywała liczne zawody w czasie rodeo. Ledwo skończyła szesnaście lat, a już ojciec kupił jej czerwonego forda mustanga coupe - gdy na złamanie karku pędziła w nim krętymi drogami, radary miejscowych policjantów w przedziwny sposób przestawały normalnie działać. Podobnie opowieści o letniej rezydencji Eliotów we Flathead Lake i odbywających się tam dzikich imprezach z morzem alkoholu, rozbieranym pokerem i innymi figlami, z całą pewnością niedozwolonymi, przynajmniej do pewnego wieku, pozostały tylko opowieściami, historyjkami o Anni i jej przyjaciółkach, powtarzanymi z nutą zazdrości przez dorosłych, zbyt starych i rozsądnych, aby mogli pozwolić sobie na tego rodzaju zachowanie. Anni była czarującą dziewczyną o łobuzerskim spojrzeniu, która wiodła cudowne życie i sądziła, że wszystko jej się należy.

Kłopoty dopadły ją niedługo po dziewiętnastych urodzinach. Anni od trzech lat miała chłopaka, Owena Greena, i wyglądało na to, że jest to poważna sprawa - ich związek bez większych zgrzytów przetrwał jego decyzję o podjęciu studiów w Kalifornii. Green studiował prawo na Uniwersytecie San Diego, miał średnią 3,9 i był bardzo lubiany przez profesorów i kolegów. I wtedy nagle Marnie Hahn, ładna dziewczyna z San Diego, uczennica ostatniej klasy szkoły średniej, oskarżyła go, że zgwałcił ją po przyjęciu w bogatej dzielnicy La Jolla.

Hahn, która nie mogła poszczycić się dobrymi wynikami w szkole i pracowała w pizzerii niedaleko uczelni, poszła na imprezę z własnej woli. Była nieletnia i sporo wypita na prywatce. Niewiele wskazywało na to, aby jej oskarżenie o gwałt, wytoczone przeciwko bogatemu chłopakowi z college'u, miało szanse powodzenia w sądzie, ale Hahn uparcie trzymała się swego.

Nie wiadomo, co Green powiedział Annelise w czasie rozmowy telefonicznej, lecz parę dni później Annelise poleciała do Kalifornii, aby wesprzeć ukochanego prywatnie i publicznie. W czasie jej wizyty policja znalazła martwą Hahn, załuszczoną twardym narzędziem, którego nigdy nie udało się odnaleźć ani zidentyfikować.

Green miał mocne alibi na czas zabójstwa, natomiast Annelise nie. Rozpoczęło się śledztwo, początkowo oparte głównie na poszlakach, później na coraz liczniejszych dowodach. Świadkowie widzieli samochód, który wynajęła Annelise, zaparkowany pod domem Marnie. Pod matą w tymże wozie po stronie kierowcy znaleziono odrobinę krwi Marnie, śladową ilość, ale jednak.

Policja działała szybko, lecz nie tak szybko jak Eliotowie. Zanim zgromadzono dość dowodów, aby aresztować dziewczynę, Annelise zniknęła.

Rodzice zdecydowanie zaprzeczali, jakoby wiedzieli cokolwiek o jej zniknięciu. Obwarowali się adwokatami i wydali publiczne oświadczenie, domagając się, aby policja potraktowała zniknięcie ich córki jako porwanie i natychmiast podjęła odpowiednie działania. Policjanci i agenci FBI wiedzieli, że Eliotowie przekazują córce pieniądze, ale robili to, nie pozostawiając żadnych śladów.

I w tym punkcie dochodzenie utknęło na wiele lat, mimo wielkich wysiłków FBI i policji dwóch stanów. Tysiące tropów kończyło się w ślepych zaułkach, lecz chyba najwięcej frustracji przysporzył wszystkim fakt, że ustalenie odcisków palców Annelise okazało się po prostu niemożliwe. Nigdy nie była aresztowana i zawsze miała wokół siebie grupę przyjaciółek, które oczywiście dotykały jej rzeczy i stale je pożyczaly. Nie istniała żadna szansa, aby określić, które odciski pozostawiła właśnie Annelise.

Jej sprawa stała się szeroko znana w całym kraju, ale szczególnie w Montanie, gdzie osiemnastoletni Shiloh śledził rozwój wydarzeń w prasie. Pracował wtedy w jednej z grup drwali, zatrudnionych przez starego Eliota, ojca Annelise, o czym

z lubością się rozpisywali dziennikarze w okresie jej aresztowania.

Jednak początkowo, kiedy Shiloh uwierzył, że znalazł Annelise Eliot w Minneapolis dwanaście lat po popełnieniu przez nią morderstwa, jego teoria na nikim nie wywarła szczególnego wrażenia. W tamtych dniach nie zaniepokoiła nawet samej Annelise.

Podobnie jak większość śledczych, Shiloh zataczał coraz węższe kręgi, podważając skrawki nowej tożsamości Annelise i odkrywając, jak bardzo jest krucha i wiotka. Gdy nie ustawał w zadawaniu pytań, uprzejmych, lecz konkretnych, Annelise zaczęła się denerwować. Najpierw spróbowała potraktować Shiloha z góry i napisała do niego list, w którym prosiła, aby zaprzestał tych działań, później zaś złożyła na niego skargę do zwierzchników. Kiedy ze skargą wystąpili także parafianie wielbnej Aileen Lennox, przełożeni Shiloha trochę się przestraszyli.

To praworządna kobieta, powiedzieli mu, więcej, filantropka i osoba duchowna. Niemożliwe, aby to była Annelise Eliot. Wszyscy doskonale wiedzą, gdzie jest Annelise - mieszka w Szwajcarii albo w jakimś innym kraju, gdzie dolary jej rodziców wystarczają na każdą jej zachciankę. Na pewno nie ma jej w Minnesocie, zimnym, środkowozachodnim stanie, i na pewno nie jest teraz pastorem małego kościoła opierającego się na filozofii New Age, na pewno nie karmi bezdomnych i nie opiekuje się umierającymi, skądże znowu!

Podkreślili też, że co prawda dochodzenie w sprawie Annelise Eliot nigdy nie zostało zakończone, ale nie było prowadzone w Minnesocie. Annelise mieszkała w Montanie, a zabiła w Kalifornii. Wycofaj się, powiedzieli. Zajmij się swoimi sprawami.

Shiloh się wycofał, lecz tylko po to, aby dokonać szybkiego przegrupowania sił i poszukać nowych śladów w życiu Annelise, nie Aileen. Rozmawiał z detektywami z Montany. Zaczął rozmawiać z agentem FBI, który prowadził dochodzenie w sprawie Eliot, ale ten nie okazał większego zainteresowania.

I wreszcie nawiązał kontakt z ludźmi, którzy dwanaście lat wcześniej dobrze znali Annelise, nie z jej przyjaciółmi, ale dawnymi znajomymi.

Zajęło to dużo czasu, bo przecież nie mógł zaniedbywać normalnych zajęć, w końcu nadszedł jednak dzień, kiedy odbył długą, przyjacielską rozmowę z koleżanką Annelise ze szkoły średniej. Kobieta przypomniała sobie nagle, że podczas zajęć z biologii w ostatniej klasie pracowały razem w laboratorium i wtedy określiły sobie nawzajem grupę krwi. I jeszcze... Och, tak, rzeczywiście, pobrały swoje odciski palców... Zupełnie o tym zapomniała.

Spokojnym głosem, chociaż serce waliło mu jak po długim biegu, Shiloh zapytał, czy ma jeszcze swoje szkolne rzeczy.

Może, odparła. Moi rodzice nigdy niczego nie wyrzucają, więc kto wie...

Tamtego wiosennego wieczoru Shiloh wrócił z pracy trochę później. Kiedy wyszłam na ganek, przesunął dłońmi od mojej talii ku pachom i podniósł mnie wysoko, jak młody ojciec ukochane dziecko.

Kilka dni później, prawie rok po tym, jak poznał Aileen Lennox, Shiloh otworzył dostarczoną przez Federal Express przesyłkę, zawierającą odciski palców Annelise Eliot. Porównanie z odciskami pobranymi z uprzejmego, chłodnego listu, który napisała do niego Aileen Lennox, wykazało dziewiętnastopunktową zgodność.

Teraz Jay Thompson, agent specjalny FBI, wykazał zainteresowanie. Przyleciał do Minnesoty. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy ujrzałam go na progu naszego domu. Był bardzo szczupły, wręcz chudy, bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki. Wyglądał na zmęczonego i szczęśliwego, a takie połączenie to rzecz naprawdę rzadka u agentów służb federalnych.

- Bierzmy ją, Mike - powiedział.

Nie było to jednak łatwe, nawet na tym etapie. Thompson poleciał do Montany, gdzie owdowiała matka Annelise nadal mieszkała w pięknym starym domu. Thompson i detektyw, który przed laty prowadził dochodzenie w Montanie, mieli na-

kaz przeszukania rezydencji Eliotów; kilku innych detektywów pospieszyło im z pomocą.

Wdowa Eliot była równie wysoka jak córka, a w jej jasnych włosach dopiero zaczęły pojawiać się siwe pasemka. Zdażyła przywyknąć do wizyt składanych przez policjantów, zwłaszcza przez detektywa z Montany, Oldhama. Jeżeli nawet zdenerwowała się, że tym razem przyjechali z nakazem rewizji, to nie okazała tego po sobie, powiedział później Thompson. Poczęstowała policjantów domowymi pierniczkami.

Dała z siebie wszystko, ale musiała zdawać sobie sprawę, że jej wysiłki skazane są na niepowodzenie. Chociaż w domu niewiele wskazywało na to, że utrzymywała stały kontakt z córką (w wykazie rozmów telefonicznych nie było żadnych numerów w Minnesocie), na starym biurku w gabinecie leżał zaklepany list bez adresu zwrotnego. Położono go oddzielnie, jakby pani Eliot zamierzała sama wrzucić go do skrzynki pocztowej w mieście. Na kopercie nie było nazwiska adresata, ale adres mówił prawie wszystko: Eden Prairie, Minnesota.

List znalazł Thompson i natychmiast zrozumiał, że od tej chwili musi zachować maksymalną ostrożność. Koperta nie była schowana, więc Thompson słusznie wątpił, aby pani Eliot uwierzyła, że jej nie widzieli, nawet gdyby nie otworzył jej i zostawił w tym samym miejscu. Niezależnie od wszystkiego, zaraz po wyjściu policji wdowa Eliot na pewno pobiegnie do telefonu i wybierze numer w Minnesocie.

Thompson nie mógł się jednak wycofać i otworzył list. „Kochana Anni”, przeczytał u góry strony. Wsunął list do kieszeni, odnalazł Oldhama i kazał mu ponownie przesłuchać matkę Annelise.

- Zajmij ją czymś - polecił.

Podczas gdy Oldham jadł pierniczki i popijał herbatę w salonie na parterze, Thompson wrócił do gabinetu na piętrze i cicho wykonał dwa telefony do Minneapolis - pierwszy do sądziego, drugi na numer komórkowy Shiloha.

- Musimy zrobić to dzisiaj - powiedział. - Jesteśmy w domu Eliotów. Mamy ją i matka wie o tym. Zaraz załatwię ci na-

kaz, będzie do odebrania za dwadzieścia minut... - Spojrzał w duże okno, za którym rozciągała się spokojna, przysypana marcowym śniegiem ziemia Eliotów. - Zgarnij ją teraz, Mike...

Annelise nigdy nie wierzyła, że Shiloh naprawdę ją złapie i kiedy tamtego popołudnia zapukał do drzwi gabinetu w budynku parafialnym, w pierwszej chwili pomyślała, że znowu przyszedł zasypać ją całą serią szczegółowych, bezwocnych pytań. Dopiero gdy Shiloh wyrecytował jej prawa przysługujące osobie aresztowanej, w końcu uświadomiła sobie, co się naprawdę dzieje.

Wyraz jej oczu, powiedział mi później Shiloh, musiał być dokładnie taki, jaki Marnie Hahn ujrzała tuż przed śmiercią - błysk wściekłości zrodzonej z frustracji, z rozczarowania wynikającego ze świadomości, że ktoś taki jak ona, Annelise, mimo wszystko nie stoi ponad prawem. Popatrzyła tak na Shiloha, a potem sięgnęła po nóż do papieru. Shiloh w ostatniej chwili zdołał osłonić się uniesioną dłonią.

- Naprawdę sądziła, że uda jej się wybrnąć z tej sytuacji, zabijając go? - zapytała Ligieia.

Dłonie Sinclair nie drgnęły. Ligieię zaciekała ta historia, pytanie zadała sama z siebie.

- Nie jestem pewna, czy próbowała go zabić, powodował ją gniew - powiedziałam. - Ona naprawdę nie wierzyła, że Shiloh zgromadzi dowody przeciwko niej. Poza tym, myślę, że... - Przerwałam i spojrzałam na Sinclair. - Myślę, że w głębi serca uznała, iż spłaciła już swój dług wobec społeczeństwa, bo przecież zrobiła dużo dobrego w Minnesocie. Może nawet uwierzyła, że odpokutowała za śmierć Marnie Hahn, nie wiem...

- A kiedy Mike nie zadowolił się jej filantropijną działalnością, gdy zorientowała się, że jednak zmusi ją, by naprawdę zapłaciła za swój czyn, znowu wpadła we wściekłość - odezwała się Sinclair za pośrednictwem Ligieia. - Tak samo, jak wiele lat wcześniej wściekła się na Marnie Hahn, dziewczynę, która zrujnowała jej życie...

Pokiwałam głową. Sinclair miała wybitną inteligencję i niezwykłą intuicję Shiloha, a na dodatek doskonale rozumiała

brata. Bez trudu pojęła, że jako bardzo młody człowiek zareagował słusznym gniewem na dokonane z zimną krwią zabójstwo Marnie Hahn i podsycił to uczucie podczas długiego, pozornie bezowocnego dochodzenia, które w końcu jednak przyniosło efekty.

Potem opowiedziałam Sinclair i Ligiei resztę, tę część, którą uważałam za aneks do całej historii.

Marnie Hahn była owieczką biedaka, wyjaśnił mi Shiloh wieczorem tego dnia, kiedy aresztował Annelise Eliot.

- To biblijne pojęcie, prawda? - rzuciłam.

Nie znałam tej opowieści, ale wiedziałam, że Shiloh często posługuje się biblijnymi porównaniami.

- W Starym Testamencie król Dawid zauważa pewnego dnia piękną kobietę, która okazuje się mężatką, zaczyna jej pożądać i w końcu zdobywa ją i zostaje jej kochankiem - rzekł Shiloh. - Betszeba zachodzi w ciążę i kiedy Dawid zdaje sobie sprawę, że nie może dłużej ukrywać swego grzechu, wysyła jej męża na wojnę, na pewną śmierć. I mąż Betszeby ginie. Aby uświadomić królowi jego grzechy, prorok Natan opowiada Dawidowi historię bogacza, który ma wiele owiec - jest to obraz króla Dawida - ale zabija jedyną owieczkę swego uboższego sąsiada, żeby nie poświęcić żadnej ze swoich.

- Czy Marnie Hahn była jedynaczką? - zapytałam.

- Tak. Ale nie o to chodzi, bo Annelise także jest jedynaczką... - Przerwał na chwilę. - Sęk w tym, że Annelise i Owen mieli prawie wszystko, a Marnie Hahn nie miała prawie nic. I oto oni zabrali jej to trochę, co miała...

Tamtego wieczoru usłyszałam w jego głosie zdecydowane przekonanie o istnieniu ostrego podziału na dobro i zło, swobodnego credo, które niewątpliwie wywodziło się z okresu jego dzieciństwa. Przyszło mi wtedy do głowy, że wielbnego Shiloha i jego syna może wcale nie dzieliła tak głęboka przepaść ideologiczna, jak im się obu wydawało.

Kiedy skończyłam, Sinclair podziękowała mi, chyba za tę historię. Ja też miałam ochotę podziękować jej za to, że mnie

wysłuchiwała, bo mówiąc o Shilohu, odzyskałam zachwianą równowagę.

Wstała, znowu podeszła do mnie i popatrzyła na zarumienioną buzię uśpionej córeczki. Schyliła się, wzięła Hope na ręce i zrobiła zapraszający ruch głową w kierunku korytarza. Zrozumiałam, że powinnyśmy już położyć się spać. Ligieia poszła przodem.

Zanim Sinclair odwróciła wzrok, odezwałam się bez uprzedzenia, patrząc jej prosto w twarz, żeby mogła czytać z ruchu moich warg.

- Czy wiesz coś o tym, aby Mike kiedykolwiek przyjmował narkotyki? - To było pytanie, którego nie zadałam jej wcześniej.

Sinclair zmarszczyła brwi, wyraźnie zaskoczona i zdecydowanie potrząsnęła głową. Nie.

Wydawało mi się, że tuż przed zaśnięciem, już na granicy snu, usłyszałam stukot staroświeckiej maszyny do pisania, ale nie mogłam wstać i sprawdzić, co się dzieje, a zaraz potem stukanie klawiszy ucichło, jak odgłosy przejeżdżającego pociągu.

Rozdział 19

- Mógłbyś powtórzyć? - poprosiłam Sorensona, dowódcę zmiany na III posterunku w Minneapolis.

Moje białe stopy powoli sztywniały z zimna na kuchennym linoleum. Wszystko wskazywało na to, że w czasie mojej krótkiej wyprawy na stosunkowo ciepły Zachód Minnesotę zaatakował prawie zimowy chłód.

- Facet z kryminalnego zgarnął z ulicy dziwkę za namawianie do uprawiania nierządu. Dziewczyna chce przekazać jakieś informacje w zamian za łagodniejsze potraktowanie, ale mówi, że będzie rozmawiała wyłącznie z detektyw Pribeke.

- Jakie informacje?

- Twierdzi, że chodzi o poważne przestępstwo. - Sorenson odchrząknął. - Wiem, że jesteś na urlopie z przyczyn osobistych, z powodu sytuacji z twoim mężem, ale ona prosi, żebyś przyjechała...

- W porządku - odparłam. - Zaraz u was będę.

Spodziewałam się, że zobaczę chudą jak szczapa dziewczyninę na haju, może jeszcze nastolatkę, mało atrakcyjną, gotową wsypać swojego alfonsa za coś, co jej zrobił, ale w pokoju przesłuchań czekał na mnie ktoś zupełnie inny. Trudno powiedzieć, w jakim była wieku. Miała wspaniałą, promienną cerę i lśniące włosy młodej dziewczyny, lecz jej spojrzenie i sposób bycia znamionowały znacznie starszą kobietę.

Zdjęła płaszcz na futrze, pod którym miała białą skórzaną sukienkę z odkrytymi ramionami. W budynku III posterunku było bardzo ciepło, ale moje stopy były nadal zimne jak lód.

- Podobno chcesz mi coś powiedzieć - odezwałam się.

- Masz papierosa?

Miałam ochotę zaprzeczyć, choćby po to, aby przejąć kontrolę nad rozmową, lecz ona wcale nie wyglądała na zdenerwowaną. Nie wątpiłam, że może odmówić złożenia zeznań, jeżeli nie spełni jej prośby.

W holu zatrzymałam detektywa z trzeciej zmiany, świeżo nawróconego chrześcijanina, którego trochę znałam.

- Potrzebne mi papierosy - powiedziałam. - I zapalniczka...

Bez słowa kiwnął głową.

Prostytutka zapaliła, otaczając się gęstą chmurą dymu. Zaciągnęła się jeszcze raz, wypuściła dym z ust i zgmiotła papierosa w popielniczkę.

- Dziękuję - rzekła gardłowym głosem.

Zrozumiałam, że muszę pokazać jej, kto tu rządzi. Do diabła z informacjami...

- Może jeszcze to do ciebie nie dotarło, ale naprawdę cię zgarnęli - rzuciłam. - Życzę przyjemnych dziewięćdziesięciu dni za kratkami...

Położyłam już dłoń na klamce, kiedy zdecydowała się odezwać.

- Nie chcesz się dowiedzieć, co stało się z twoim mężem?
Odwrociłam się.

Zmierzyła mnie chłodnym, twardym spojrzeniem, od włnianej czapki i szarego T-shirtu po poplamione solą zimowe buty. Nie przebrałam się w służbowe rzeczy, ponieważ był środek nocy.

- Zabiłam go - powiedziała, krzyżując nogi w długich, sięgających do pól uda butach.

Usiadłam przy stole naprzeciwko niej. Czułabym się pewniej, stojąc, ale wolałam ukryć ręce przed jej spojrzeniem, żeby nie zauważyła ich drżenia.

- Mocno w to wątpię. - Spokojnie pokręciłam głową. - Potrafisz tego dowieść?

- Daję ogłoszenia w tygodnikach - rzuciła. - Zadzwonił do mnie, chciał seksu. Kiedy weszłam tu dzisiaj, rozpoznałam go na zdjęciu wiszącym na tablicy.

- Chodzi mi o dowody, nie o poszlaki - warknęłam.

Dlaczego moje stopy wciąż były tak piekielnie zziębnięte?

- Mogę powiedzieć ci, gdzie jest pochowany.

- Bzdura. Gdybyś naprawdę go zamordowała, nie przyznałabyś się do tego.

- Był świetny w łóżku, prawda? - Uśmiechnęła się lekko.

- Daruj sobie. Przeczytałaś o zaginięciu Shiloha w „Star Tribune” i doszłaś do wniosku, że może opłaci się nabrać gli-niarzy na fałszywe zeznania...

- Nie, chciałam tylko na ciebie spojrzeć. Powiedział mi, że kiedyś złapałaś grzechotnika i skręciłaś mu kark. To prawda?

- Tak... - Teraz ręce naprawdę mi drżały.

Nie miałam pojęcia, od kogo wyciągnęła tę historyjkę.

- Zapytałam go, dlaczego szuka obcej cipki, skoro ma w domu taką kobietę. - Nachyliła się ku mnie przez stół i zniżyła głos. - Twój mąż odparł, że nigdy nie umiesz do końca rozluźnić się w łóżku z powodu tego, co zrobił ci twój brat, gdy byłaś mała.

Obudziło mnie mocne, gorączkowe bicie serca. Minęła dłuższa chwila, zanim uświadomiłam sobie, gdzie jestem. Moją

pamięć ożywił dopiero widok plakatu Festiwalu Szekspirowskiego w Ashland - byłam w Nowym Meksyku, w domu siostry Shiloha. Był sobotni ranek.

Spałam na kanapie w gabinecie Sinclair, owinięta kilkoma kocami. Stopy, które wystawały spod przykrycia, były lodowato zimne.

Zesztywniała jak stary pies, który zasnął na twardej podłodze, z trudem wstałam. Rozruszałam się trochę, składając koce w równy, zwieńczony poduszką stos na kanapie. Potem schyliłam się i wrzuciłam swoje rzeczy do torby. Grzebałam w niej chwilę, szukając sportowej, wyblakłej koszulki, w której Shiloh zwykle grał w kosza. Nagle ogarnęło mnie pragnienie, aby ją włożyć.

Kiedy weszłam do kuchni po prysznicu, jeszcze z mokrymi włosami, Ligieia siedziała przy stole, pogrążona w lekturze *Kupca weneckiego*. Słyszając moje kroki, podniosła głowę.

- Jest Sinclair? - zapytałam, chociaż czułam, że już wyszła.

- Nie. - Ligieia potwierdziła moje przecucia. - Miała kilka spraw do załatwienia.

Wyjęłam z torby notatnik, wyrwałam kartkę, złożyłam ją na pół i zapisałam swój telefon do domu i do pracy oraz adres e-mailowy.

- Gdyby coś przyszło jej do głowy, zadzwoń, proszę - powiedziałam. - Sinclair może też skontaktować się ze mną sama, przez Internet.

Potem zarzuciłam torbę na ramię.

- Dziękuję za wszystko. Powtórz Sinclair, że żałuję, iż nie udało mi się z nią pożegnać.

Ligieia odprowadziła mnie do frontowych drzwi.

- Mogę cię o coś zapytać? - odezwała się.

- Oczywiście.

- Co zamierzasz teraz zrobić? Chodzi mi o twojego męża...

- Wracam do Minneapolis - odparłam. - Mam kilka innych poszlak, które powinnam jak najszybciej sprawdzić.

- Życzę ci powodzenia - powiedziała.

W drodze powrotnej do Albuquerque starałam się nie przekraczać ustalonej prędkości, zresztą do czego miałam się spieszyć. Chciałam złapać pierwszy lepszy samolot do Minneapolis, ale nie miałam pomysłu, co robić dalej.

Pracowałam już w policji na tyle długo, że gdy osoba cywilna, w tym wypadku Ligieia, zapytała mnie, jak przebiega dochodzenie, po prostu skłamałam. Niezależnie od tego, jak powoli posuwa się dochodzenie, policjanci nigdy nie mówią, że znaleźli się w ślepych zaułku. Zawsze powtarzają, że codziennie natrafiają na nowe poszlaki i na razie nie zamierzają o niczym informować.

I zwykle jest to prawda. Sprawy zaginięć, zabójstw, napałów na banki - wszystkie poważne przestępstwa budzą żywe zainteresowanie opinii publicznej, co z kolei owocuje poszlakami. Większość poszlak jest bezużytecznych. Są to wizje osób chorych psychicznie i pseudojasnowidzów, łgarstwa anonimowych dowcipnisiów, telefony od uczciwych obywateli, którzy widzieli coś, co nie ma żadnego znaczenia dla sprawy.

Vang obiecał mi, że będzie czujny i zostawi wiadomość, jeżeli natrafi na coś obiecującego, ale jak dotąd nie odezwał się ani razu.

Po wylądowaniu w Denver wykonałam pierwszy z dwóch codziennych telefonów do pracy. Nagrany głos poinformował mnie, że mam jedną wiadomość. Ku mojemu zdumieniu, dzwoniła Genevieve.

- To ja - usłyszałam jej głos. - Chyba spróbuję złapać cię trochę później...

Przesłuchałam jeszcze raz krótką, nic nie mówiącą wiadomość. W głosie Genevieve brzmiał stłumiony gniew. Nie miałam pojęcia, czego mogła ode mnie chcieć. Postanowiłam zatelefonować do niej zaraz po powrocie do Minneapolis. Gdyby Gen miała dla mnie jakieś ważne informacje, na pewno by je nagrała.

Lecąc na wschód, robiłam obfite, choć może na pierwszy rzut oka niezbyt zrozumiałe notatki. Próbowałam ustalić, jakie działania powinnam teraz podjąć.

Jeszcze raz porozmawiać z sąsiadami? Gdyby to była część

szkolenia policyjnego, prawdopodobnie właśnie coś takiego uznałabym za następny krok. Trop Shiloha wydawał się najświeższy w naszym sąsiedztwie, tam gdzie dzień przed zniknięciem zrobił zakupy na stacji Conoco i gdzie pani Muzio widziała go idącego ulicą z gniewnym wyrazem twarzy, najpewniej w sobotę, czyli w dniu zniknięcia.

Nie byłam jednak na ćwiczeniach i dręczyło mnie poczucie zagubienia i bezradności. Jeżeli najistotniejszą informacją, jaką udało mi się zdobyć, była wiadomość, że w sobotę Shiloh szedł dokądś ze zmarszczonym czołem, to tak naprawdę nie miałam nic. Nic nie rozumiałam, nie wiedziałam, w jaki sposób i dlaczego zniknął.

Pomysły Genevieve były najprostsze i najbardziej prawdopodobne. Shiloh zginął gdzieś niedaleko domu - może skoczył z mostu do rzeki, a może został zamordowany przez jakąś prostytutkę lub jej alfonsa.

Do diabła z Genevieve, pomyślałam nagle. To ona przywołała sen, który miałam w nocy. Shiloh i ja zawsze byliśmy doskonale zgrani pod względem seksualnym, nigdy nie miałam powodu, aby w to wątpić. To Genevieve użyła określenia „obca cipka”, które powtórzyła prostytutka z mojego snu.

Teorie o zdradzie małżeńskiej czy samobójstwie zupełnie nie pasowały do tego, co wiedziałam o Shilohu; zastanawianie się nad nimi było oznaką braku szacunku wobec jego... wobec niego, nie wobec jego pamięci, do diabła!

Zamknęłam notatnik i wsunęłam do torby. Moja dłoń przypadkiem dotknęła sztywnego prostokąta z papieru, gładszego niż wszystkie notatki, pokwitowania i dokumenty, które ostatnio tam wrzucałam.

Była to spora koperta, w której na pewno znajdowało się kilka kartek, bo była dość wypchana. Nieznany mi charakterem pisma wypisano na niej moje imię.

To od Sinclair, pomyślałam, otwierając kopertę. Wyjęłam z niej plik kartek i mniejszą kopertę, kremową, zaklejoną i nie zaadresowaną.

Położyłam ją na wolnym miejscu obok i rozłożyłam kartki.

Saro,

Mam uczucie, że będę musiała wyjść, zanim wstaniesz. Żałuję, że nie miałyśmy więcej czasu, by porozmawiać. Zastanawiając się nad tym, o czym mówiłyśmy, rozumiałam, że nic z tego raczej nie przyda ci się w poszukiwaniach, ale wiem, że pragniesz poznać korzenie Mike'a, a ja chyba mogę ci w tym pomóc. Znam cię bardzo krótko, ale Hope od razu cię polubiła, a ja wiem, że moja córka jest doskonałym sędzią ludzkich charakterów.

O okresie dorastania Mike'a i atmosferze w naszym domu nie mogę powiedzieć wiele, bo sporą część dzieciństwa spędziłam w szkole z internatem. Mike i ja poznaliśmy się lepiej, dopiero kiedy wróciłam do domu na dłużej. Tamte dni pamiętam doskonale, ponieważ były dla mnie dość trudne.

Kiedy rodzice wysyłali mnie do szkoły, mieli poważne wątpliwości, czy postępują słusznie, po pierwsze dlatego, że byliśmy bardzo zżytą rodziną, a po drugie, bali się, jaki wpływ wywrze na mnie towarzystwo ludzi świeckich, najczęściej niewierzących. Aby złagodzić ewentualne zagrożenia, zapakowali mi do walizki Biblię dla dzieci, a później często przysyłali książeczki z modlitwami i religijnymi rozważaniami. Gdy przyjeżdżałam do domu na wakacje, zawsze chodziłam z całą rodziną do kościoła i modliłam się przy stole przed posiłkami, lecz koniec końców, obawy moich rodziców okazały się w pełni uzasadnione.

W szkole miałam dużo wolności, nie obowiązywał tam nakaz uczestniczenia w nabożeństwach i modlitwach. W szkolnej bibliotece mogłam czytać wszystko, co chciałam, moje koleżanki pochodziły z różnych środowisk i kultur, i często dyskutowałyśmy o naszych religijnych przekonaniach. Nigdy nie kwestionowałam przepaści dzielącej moje dwa światy, przyjmowałam po prostu, że szkoła to szkoła, a dom to dom.

Oczywiście kochałam moją rodzinę i cieszyła mnie wiadomość, że mam na stałe wrócić do domu, ale szczerze mówiąc, przeżyłam szok. Nabożeństwo kościelne w niedzielę rano, spotkanie z grupą młodzieży aktywnej w kościele w niedzielę wie-

czorem, czytanie Biblii w środę wieczorem, żadnego oglądania telewizji, żadnych „nieodpowiednich” filmów... Najtrudniejsze było jednak to, że w domu nikt nie posługiwał się językiem migowym tak dobrze jak w szkole. Obaj moi starsi bracia radzili sobie z migowym zdecydowanie słabo, po prostu zapomnieli większości znaków, a Naomi i Bethany były jeszcze za małe. Rodzice wciąż zachęcali mnie do mówienia na głos, ale ja nie chciałam. Niektóre koleżanki ze szkoły opowiadały mi, że normalnie mówiący i słyszący ludzie wyśmiewają się z tego, jak mówią głusi, porównując wydawane przez nich dźwięki do beczenia owiec albo mowy delfinów, więc duma nie pozwalała mi podjąć tego ryzyka.

Wiele rzeczy, które wtedy robiłam, spowodowanych było pychą lub rozpaczliwym pragnieniem wolności. Nagle znalazłam się poza murami mojej bezpiecznej prywatnej szkoły, w szerokim świecie, a jednak czułam się bardziej ograniczona niż wcześniej, ograniczona zasadami moich rodziców i stylem życia całej rodziny, kontaktem ze słyszącymi i mówiącymi młodymi ludźmi, którzy pośpiesznie odwracali ode mnie wzrok w obawie, że spróbuję porozumieć się z nimi, a oni mnie nie rozumieją, niechcianymi uściskami znajomych z kościoła, którzy uważali, że upośledzenie czyni mnie osobą „wyjątkową”, dziecinną i czystą moralnie. Zaczęłam wpadać w panikę, jakby ilość tlenu w powietrzu gwałtownie się zmniejszała.

W tym okresie tylko w towarzystwie jednego człowieka czułam się tak jak w szkole. Tym człowiekiem był Michael.

Minęło lato, nadszedł wrzesień, a ja ciągle nie widziałam Mike'a. Szczerze mówiąc, nie widziałam go przez cały rok. Ostatnią przerwę międzysemestralną spędziłam w szkole, a gdy przyjechałam do domu w czerwcu, Mike zdążył już wyjechać na całe lato na obóz dla młodzieży z naszego kościoła i budował domy na terenie rezerwatu indiańskiego, tak więc ciągle się mijaliśmy. We wrześniu wrócił później, niż powinien, ponieważ złamał rękę, spadłszy z dachu, na którym pracował i organizatorzy pozwolili mu zostać na miejscu dłużej, by nie musiał podróżować z gipsem.

Lecz wreszcie pewnego wieczoru na początku września, gdy pisałam recenzją jakiejś książki do szkoły, poczułam, że ktoś za mną stoi (ludzie głusi są w tym naprawdę dobrzy), odwróciłam się i zobaczyłam Mike'a.

W pierwszej chwili pomyślałam, że mam przed sobą kolegę Adama lub Billa, bo od mojego ostatniego pobytu w domu bardzo urósł i nagłe okazało się, że jest wyższy ode mnie. Kiedy zapytał mnie, czy czytam coś ciekawego, zdałam sobie sprawę, że doskonale posługuje się językiem migowym i ogarnęła mnie wielka ulga.

Potem zaczęliśmy spędzać ze sobą dużo czasu. Nie widzieliśmy się tak długo i zmieniliśmy się tak bardzo, że teraz właściwie poznawaliśmy się od nowa. Prowadziliśmy długie rozmowy. Mike świetnie znał Biblię i potrafił dyskutować o chrześcijaństwie jak teolog, ale kiedy mówiłam mu, czego nie rozumiem i w co nie mogę uwierzyć, nigdy mnie nie osądzał. Szybko rozumiałam, że on także traci wiarę. Nie zamierzałam pogłębiać jego wątpliwości, ale nie potrafiłam kłamać i udawać, że myślę inaczej, niż myślę. Musiałam mieć kogoś, przy kim mogłam być naprawdę sobą i tą osobą był właśnie Mike. Odchodzenie od wiary było dla niego bardzo trudne — trudniej jest stracić wiarę, jak on, niż uświadomić sobie, że w gruncie rzeczy nigdy się jej nie miało, jak ja.

Moje stosunki z rodzicami układały się coraz gorzej. Pragnęłam wolności i znajdowałam ją w tych sferach, gdzie zwykle znajdują ją młodzi ludzie — w alkoholu i seksie. Nie mogłam powiedzieć, że bym była dumna z tego, jak się wtedy zachowywałam, ale byłam bardzo młoda. Rodzice szukali rozwiązania sytuacji w ostrzejszych ograniczeniach, kazali mi coraz wcześniej wracać do domu. Zaczęłam wykradać się wieczorami, lecz kiedy przyłapali mnie kilka razy, przestałam próbować. Wiedziałam, że po prostu muszę poczekać do swoich osiemnastych urodzin i dopiero wtedy odejść z domu. Coraz więcej czasu spędzałam z Mikiem, którego obecność czyniła moje życie znosnym. Mike był tlenem w powietrzu, kiedy nie miałam już czym oddychać.

Zdają sobie sprawą, że moje zwierzenia w niczym ci nie pomogą, chcą po prostu, żebyś wiedziała, jak było. Mike ma teraz własne życie, ja także, ale zawsze bądźcie dla mnie kimś wyjątkowym. Gdy mówiłaś o nim wczoraj wieczorem, widziałam, jak wiele Mike dla ciebie znaczy; nie muszą z nim rozmawiać, aby dowiedzieć się, jak wiele ty musisz znaczyć dla niego, ponieważ Mike jest bardzo lojalnym człowiekiem. Ma szczęście, że cię poznał. Wiem, że na pewno go odnajdziesz — daj mu wtedy kopertę, którą dołączam do tego listu.

Sinclair

Po przeczytaniu listu ogarnęło mnie uczucie dziwnej lekkości, zupełnie jakby ktoś nieoczekiwanie okazał mi mnóstwo dobroci. Spojrzałam na leżącą na sąsiednim fotelu małą kopertę i wzięłam ją do ręki.

Otwórz ją - tak podpowiadał mi instynkt. Prowadzisz dochodzenie, liczy się każda informacja.

Nie bądź śmieszna, skarciłam się ostro. Pomysłu, że Sinclair poddała mnie swego rodzaju egzaminowi, wydał mi się po prostu żałosny. Sinclair na pewno nie zamierzała bawić się w testy w chwili, gdy bezpieczeństwo i życie jej brata mogło być zagrożone.

Koperta z zamkniętym w niej listem była gestem podwójnego zaufania - świadczyła o tym, że Sinclair wierzy, iż odnajdę jej brata, oraz że bez jego pozwolenia nie przeczytam przeznaczonej dla niego wiadomości. Był to miły, subtelny i sprytny gest. Wsunęłam kopertę do kieszeni skórzanej kurtki.

Genevieve, Shiloh, a teraz Sinclair... Jeżeli Bóg istnieje, to dlaczego stawia na mojej drodze ludzi znacznie inteligentniejszych ode mnie i dlaczego właśnie na moje barki składa odpowiedzialność za tyle ważnych spraw, które dzieją się w naszym życiu?

Rozdział 20

Może to z powodu snu, który miałam nad ranem, zaraz po przylocie do Minneapolis pojechałam do pracy. Chciałam spokojnie przejść korytarzami w jasnym, normalnym dziennym świetle, poczuć się w budynku jak na własnym terytorium, zobaczyć się z Vangiem i sprawdzić, czy dowiedział się czegoś, co mogło wydać mu się nie aż tak ważne, żeby do mnie dzwonić.

Kiedy jednak dotarłam na miejsce, Vanga nie było. Naciśnęłam przycisk poczty głosowej przy moim biurku - nie miałam żadnych wiadomości. Nagle przypomniałam sobie o telefonie Genevieve.

- Co się dzieje? - zapytałam, gdy podniosła słuchawkę. - Dzwoniłaś do mnie wcześniej...

- To on - odparła bez wstępów. - Ten skurwysyn Krótki. Ma diabelskie szczęście, przeklęty kutas.

W ustach Genevieve tego rodzaju język był czymś naprawdę szokującym.

- Co się stało? - wykrztusiłam.

- Ukradł samochód tego starego i nawet go za to nie przytkną!

- Chwileczkę... - powiedziałam. - Spokojnie, dobra? Jaki samochód? Jakiego starego?

- Wszyscy uważali, że zaginął stary mężczyzna - odparła Gen. - Znaleźli rozbity pikap na poboczu wiejskiej drogi pod Blue Earth i uznali, że kierowca musiał odejść z miejsca wypadku w stanie szoku...

- Tak, pamiętam to z wiadomości. - Kiwnęłam głową.

- Ten facet znalazł się dwa dni temu, okazało się, że wybrał się do Luizjany, w odwiedziny do przyjaciela, a jego pikapa ktoś ukradł z parkingu przy dworcu kolejowym linii Amtrak w czasie jego nieobecności. Miejscowi gliniarze zdjęli odciski palców i wprowadzili je do komputera. Jak myślisz, czyje nazwisko wyskoczyło z bazy danych?

- Royce'a Stewarta.

- Tak jest! Ale oczywiście on wcisnął im jakąś gówniana

historyjkę, powiedział, że przypadkiem zauważył rozbitego pikapa w drodze do domu z miasta, gdzie naturalnie pił, jak zwykle.

- Mhmmm...-mruknęłam.

- Podobno zajrzał do środka, żeby sprawdzić, czy nie ma tam rannych, a potem uznał, że skoro nikomu nic się nie stało, to może zostawić samochód na poboczu i przestać się przejmować. Prawdziwy święty z tego naszego Krótkiego.

- Ma alibi?

- Nikt nie potrafi określić, kiedy dokładnie skradziono samochód - powiedziała Genevieve. - Właściciel zostawił wóz na parkingu, co poważnie komplikuje sprawę. Ale ja wiem swoje - to jest akcja w stylu Krótkiego. Nie miał samochodu, zobaczył pikapa, który przypadł mu do gustu, więc go ukradł, a teraz ujdzie mu to na sucho.

- Dzwoniłaś do mnie tylko z tego powodu?

- To niewystarczający powód? - oburzyła się. - Dlaczego nikt nie widzi tego drania w takim świetle jak ja?

- Ja widzę go w dokładnie takim samym - zapewniłam ją. - Ale nic na to nie poradzimy. Nie martw się, prędzej czy później powinnaś *mu* się noga...

Milczała. Wiedziała, że moja odpowiedź wcale nie poprawiała jej nastroju.

- Powinnaś zapytać, jak przebiega poszukiwanie Shiloha? - odezwała się w końcu.

- Nie - odparłam.

Potem długą chwilę nieruchomo siedziałam przy biurku. Myślałam o ludziach, których dane mi było poznać, o krewnych osób zaginionych. Większość co jakiś czas kontaktowała się z Genevieve albo ze mną. Usiłowali zainteresować dziennikarzy „rocznicowymi” historiami. Czekali, żeby ktoś wreszcie wyspał współwzięnia lub byłego chłopaka, żyli nadzieją, że kiedyś może odprawia prawdziwy pogrzeb, że będą mogli pójść na grób i złożyć na nim kwiaty. Tylko tyle...

Kiedy ja znajdę się na tym etapie?

W ciągu pięciodniowego poszukiwania tropu Shiloha nie

dowiedziałam się niczego, po prostu niczego. Nie mogłam przypomnieć sobie żadnej sprawy, gdy w ciągu kilku dni zrobiłabym tak małe postępy.

W holu na parterze kątem oka dostrzegłam plakat w kształcie dużej strzałki. ODDAJ DZIŚ KREW, przeczytałam.

Shiloh miał grupę 0 Rh minus i regularnie oddawał krew.

Ryan Crane, pracownik kadr, którego dość dobrze znałam, wyszedł zza rogu z jaskraworożowym bandażem w zgięciu ręki. Zdażył już odwiedzić punkt krwiodawstwa.

- Dasz się pokłuć, detektyw Pribek? - zagadnął pogodnie.

- Nie myślałam o tym - odparłam z wahaniem. - Zeszłam na dół, żeby...

- O cholera, zupełnie zapomniałem! - Uderzył się dłonią w czoło. - Dowiedziałas się czegoś o mężu?

- Nie. Wciąż nad tym pracuję.

Pokiwał głową ze współczuciem. Miał chyba najwyżej dwadzieścia dwa lata, żonę i dwójkę dzieci.

Poszedł dalej, lecz ja nie otworzyłam drzwi prowadzących na parking.

Moja grupa, A Rh plus, była dość powszechna, ale nie tak przydatna jak grupa Shiloha. Jednak Shiloh tym razem nie mógł oddać krwi, a ja nie mogłam pozbyć się tej myśli, zupełnie jakbym podświadomie uważała, że powinnam zrobić to w jego imieniu.

Tak czy inaczej, rozmowy z sąsiadami to nic pilnego, bo i tak trudno było się spodziewać, aby przyniosły jakieś rezultaty.

Pracownicy stacji krwiodawstwa zajęli największą salę konferencyjną. Pod ścianami stały cztery rozkładane fotele, a obok nich stojaki z podwieszonymi plastikowymi torbami, powoli napełniającymi się krwią lub jeszcze pustymi.

Wszystkie fotele były zajęte, co wcale mnie nie zaskoczyło. Kiedy patrolowałam ulice, dość często słuchałam pogadanek na temat konieczności oddawania krwi. Chociaż większość policjantów dożywa emerytury bez poważnych wypadków, oficerowie chętnie uświadamiają stojącym najniżej w hierarchii

podwładnym, że oddana krew naprawdę może uratować życie kolegi rannego na służbie.

Czekając na wolny fotel, odpowiedziałam na serię pytań, które mogłyby zdyskwalifikować mnie jako krwiodawcę: Czy ja sama lub ktoś z mojej rodziny cierpi na chorobę Creutzfelda-Jakoba? Czy kiedykolwiek płaciłam za usługi seksualne narkotykami lub przyjmowałam narkotyki w zamian za usługi seksualne? Czy uprawiałam seks z kimś, kto mieszkał w Afryce przed 1977 rokiem?

Pielęgniarka wynagrodziła wszystkie moje „nie”, kłując mnie w czubek palca miniaturowym lancetem.

- Proszę usiąść na fotelu - poleciła. - Podejdę do pani, kiedy otrzymam wyniki badań.

Położyłam się obok szpakowatego policjanta, którego znałam z patrolu.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Jak pełna krwi ofiara - odparłam lekko.

Nienawidzę gabinetów lekarskich, ale widok igieł nigdy nie budzi we mnie lęku, szczególnie jeżeli badania krwi przeprowadzane są w pracy, w miejscu, gdzie czuję się najbardziej swobodnie.

- Proszę, niech pani to weźmie. - Młoda kobieta w białym fartuchu podała mi białą gumową piłeczkę. - Zaraz zacniemy. Proszę zacisnąć pięść i rozluźnić, zacisnąć i rozluźnić...

Żyła szybko wystąpiła mi w zagięciu ramienia. Pielęgniarka przetarła skórę środkiem dezynfekcyjnym, zaciągnęła gumową opaskę i wkłuła igłę w żyłę. Potem zwolniła zacisk na rurce.

- Proszę dalej ścisnąć piłkę - poradziła. - Tylko nie za mocno, dobrze? Potrwa to jakieś dziesięć minut.

Rurka wypełniła się krwią, która umykała z mojego ciała, jakbym rzeczywiście miała jej za dużo.

Mój sąsiad czytał „Biuletyn FBI”, ja nie miałam przy sobie żadnej lektury. Zamknęłam oczy i wróciłam myślami do ostatniej rozmowy z Genevieve. Doszłam do wniosku, że alibi Krótkiego niestety ma ręce i nogi.

Kiedy ktoś kradnie samochód, najlepsze odciski palców

zawsze znaleźć można na lusterku wstecznym. Każdy poprawia je, wsiadając do obcego samochodu, każdy, nawet złodziej. Ale Genevieve sama powiedziała, że policjanci z Blue Earth znaleźli fragmenty odcisków palców tylko na drzwiach.

Natychmiast wyobraziłam sobie, jak Genevieve pyta mnie: „I co z tego?”. Bardzo długo była moją partnerką w tego rodzaju dyskusjach, zwykle omawiałam wszystkie wątpliwości właśnie z nią.

A to, odrzekłam w myśli, że odciski na drzwiach potwierdzają jego wersję wydarzeń - zajął do środka, żeby sprawdzić, czy w samochodzie nie ma rannych, wcale go nie ukradł. Nie dotykał lusterka, ponieważ nie zamierzał nigdzie jechać.

Miał rękawiczki, natychmiast odpowiedziała Gen. Słyszałam w jej głosie rozdrażnienie, gniew, że biorę stronę Krótkiego. Dlaczego miałyby dotykać drzwi gołymi rękami, a potem włożyć rękawiczki, aby poprawić lusterko, zapytałam w myślach.

„Ponieważ działa pod wpływem impulsu. Niczego nie planuje”.

Więc dlaczego w ogóle włożył rękawiczki? Skoro działał pod wpływem impulsu, to dlaczego wybrał się aż na dworzec kolejowy, żeby ukraść samochód?

„Wziął pikapa z parkingu przy dworcu, bo wiedział, że właściciel zostawił go tam tuż przed wyjazdem i nieprędko zgłosi kradzież”.

Ale takie założenie sugeruje, że jednak planował, a sama mówiłaś, że on tak się nie zachowuje... I co, zamierzał przez parę dni jeździć tym wozem po okolicy, gdzie każdy mógł zobaczyć go za kierownicą skradzionego samochodu? Przecież to bez sensu! Taka kradzież miałyby sens tylko wtedy, gdyby ktoś potrzebował samochodu tylko na parę godzin, a później zamierzał go gdzieś porzucić...

Otworzyłam oczy, czując, że wyobraziłam sobie coś, co jest fizycznie niemożliwe.

- Nie ma mowy... - szepnęłam, siadając gwałtownie.

Samochód jest bronią i może być narzędziem zbrodni, powiedział Shiloh.

Świat poszarzał przed moimi oczami. Kiedy usłyszałam okrzyk przerażenia, pomyślałam, że wszyscy doznaliśmy tego samego objawienia. Fotel zaczął osuwać się pode mną, coraz niżej i niżej.

- Nogi wyżej! - Nie był to głos Genevieve, ale kogoś, kto starał się dotrzeć do mnie przez spowijającą wszystko mgłę. - Słyszysz mnie pani? Proszę poruszyć stopami, pokręcić nimi w kółko... Duże kółko, no, dalej...

Otworzyłam oczy, a może zrobiłam to już wcześniej. Tak czy inaczej, szary odcień zniknął powoli i dość wyraźnie widziałam własne stopy. Usłuchałam polecenia, poruszyłam nimi energicznie.

- W porządku, w porządku, niech pani dalej kręci kółka. - Pielęgniarka, która wbiła mi igłę w ramię, stała tuż obok.

Druga szybkim krokiem szła w naszą stronę z papierową torbą w ręku. Strzepnęła nią mocno, papier zaszeleścił.

- Proszę zasłonić usta i nos torbą, i chwilę tak pooddychać - odezwała się.

- Nic mi nie jest - powiedziałam.

Spróbowałam usiąść, ale natychmiast zakręciło mi się w głowie.

- Niech się pani położy, powiemy pani, kiedy będzie pani mogła usiąść. Proszę oddychać...

Wzięłam torbę i wykonałam kilka wdechów i wydechów. I tak potrzebowałam paru minut, żeby spokojnie się zastanowić.

Na razie nie mogłam do nikogo zadzwonić, ponieważ nie miałam dowodów. Czekają mnie jeszcze sporo pracy.

Minęło co najmniej dwadzieścia minut, nim pozwolono mi wstać. Najpierw musiałam usiąść na brzegu fotela, dopiero po paru chwilach pozwolono mi przejść do kącika dla krwiodawców, gdzie stały krzesła i stół, a na nim sok pomarańczowy i batoniki. Dokładnie obejrzały moją twarz i przyjrzały się, jak chodzę. Wreszcie wyszłam na parking, do samochodu. Miałam założony opatrunek z jasnozielonej gazy. Oddałam zaledwie połowę przeciętnie ściąganej porcji krwi.

Kiedy kopniakiem otworzyłam zacinające się kuchenne drzwi, czułam się już prawie normalnie, byłam może tylko trochę zmęczona. Bezceremonialnie rzuciłam płócienną torbę, z którą wyruszyłam w podróż do Utah, na podłogę i nogą odsunęłam ją pod ścianę. Nie miałam teraz czasu na wypakowywanie brudnych rzeczy.

Szybko wybrałam jeden z dwóch numerów, których zdażyłam się już nauczyć na pamięć, ten zapisany na okładce biletu Shiloha, z kierunkowym 507. Parę dni temu dodzwoniłam się w ten sposób do baru, ale wtedy byłam przekonana, że to fałszywy trop.

Południowa Minnesota trochę zbyt często pojawiała się ostatnio w moim życiu, na dodatek zwykle w negatywnych konfiguracjach losowych.

- Sportsman - usłyszałam.

Znowu mój kumpel Bruce i barowy gwar w tle.

- Może to głupie pytanie, ale gdzie właściwie jesteście? - odezwałam się, siląc się na lekki, swobodny ton.

- Na zachodnich obrzeżach miasta - odparł Bruce.

- Jakiego miasta?

- No, proszę, rzeczywiście nie wiesz, gdzie nas szukać! -

Parsknął zdumionym śmiechem. - Blue Earth.

Blue Earth...

- Powiedz, jak do was dojechać - powiedziałam.

- Skąd jedziesz?

- Och... Z Mankato - potknęłam się nieudolnie na kłamstwie.

Lecz Bruce nie usłyszał wahania w moim głosie. Szybko i sprawnie podał mi wskazówki, najwyraźniej przyzwyczajony do tego rodzaju sytuacji.

- Wybierasz się do nas na drinka aż z Mankato? - zakończył. - Miło się z nami pije, to prawda, ale nie miałem pojęcia, że nasza sława sięga aż tak daleko...

- Czy jest tam Krótki? - zapytałam.

Minęło parę sekund, nim odpowiedział. Teraz w jego głosie brzmiało raczej zaskoczenie niż chęć flirtu.

- Nie. Kto mówi?

Odłożyłam słuchawkę. Teraz wiedziałam już prawie wszystko.

Od Blue Earth dzieliła mnie dość duża odległość, mniej więcej trzy godziny jazdy, ale czas działał na moją korzyść. Problem polegał na tym, że Bruce, który sprawiał wrażenie zakumplowanego z facetami przy barze, mógł powiedzieć Krótkiemu, że pytała o niego jakaś kobieta, która wolała się nie przedstawiać. Niewykluczone, że przypomni sobie także, iż parę dni wcześniej rozmawiał przez telefon z niejaką Sarą Pribeek i uprzedzi Krótkiego, który wyjątkowo wykaże się bystrością umysłu i ucieknie.

Drugi numer, którego w ostatnich dniach nauczyłam się na pamięć, należał do Lowesów, u których mieszkała teraz Genevieve. Słuchawkę podniosła Debora.

- Cześć, Deb, to ja - odezwałam się, pewna, że poznaje mnie już po głosie. - Mogę porozmawiać z Genevieve?

- Co się dzieje? - usłyszałam po chwili głos Gen, pozbawiony choćby odrobiny zaciekawienia.

- Potrzebna mi pewna informacja... Znasz adres Krótkiego, prawda?

- Słucham? - Obojętność znikła w jednej chwili.

- Od dawna nie spuszczasz faceta z oka, więc na pewno wiesz, gdzie mieszka...

- Co się dzieje? - powtórzyła, tym razem bardzo czujnie.

- Podaj mi jego adres, to wszystko.

- Muszę poszukać. - Położyła słuchawkę obok aparatu.

Wiedziała, że Gen wydobywa się z przygnębienia tylko wtedy, gdy zaczynam mówić o Krótkim i teraz także, zgodnie z moimi oczekiwaniami, okazała wyraźne zainteresowanie. Czułam też, że prawdopodobnie domyśli się, iż zamierzam złożyć Krótkiemu wizytę i może zechce mi towarzyszyć.

Z jednej strony chciałam, żeby ze mną pojechała, z drugiej zdawałam sobie sprawę, że nie jest to dobry pomysł. Niewykluczone, że będę musiała pogadać z Krótkim, a nawet spróbować być dla niego miłą, pomyślałam. Opętana pragnieniem ze-

msty Genevieve mogła w takim wypadku tylko utrudnić sytuację, a to z pewnością nie było mi potrzebne.

Gen wróciła do telefonu i podała mi adres. Nie zdziwiłam się, słysząc, że mieszka przy drodze numer 165.

- Co jest? - znowu zapytała Genevieve.
- Może nic ważnego, nie wiem. Zadzwoń do ciebie jutro.
- Jedziesz tam? Co teraz zrobił?
- Zadzwoń - powtórzyłam.
- Saro...

Odłożyłam słuchawkę. Nie miałam czasu na wyrzuty sumienia. Szybko pobierałam niezbędne rzeczy - klucze, kurtkę, broń. Nie mogłam się już doczekać, kiedy znajdę się na drodze, dokładnie tak samo jak Shiloh.

Rozdział 21

Jadąc drogą 169 na południe, trzeci raz w ciągu jednego tygodnia, uświadomiłam sobie, że za każdym razem pokonuję trasę z większą prędkością. Niewątpliwie stanowiło to symboliczne odbicie nieszczęsnego przyspieszenia, jakie ostatnio miało miejsce w moim życiu. Gdy dotarłam na obrzeża Mankato, spostrzegłam, że udało mi się skrócić podróż o dobre trzydzieści minut w stosunku do poprzedniej. To zdumiewające, ale nie natknęłam się na żaden patrol drogowy. Nie minęło dużo czasu, a już jechałam spokojnymi uliczkami Blue Earth.

Zastanawiałam się, czy Krótki będzie w domu, czy w barze. Ludzie mówią, że typowe barowe ćmy, zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej, odwiedzają swoje ulubione „pijalnie” co wieczór, lecz zwykle jest to przesada. Było całkiem możliwe, że Krótki nie ruszył się tego dnia z domu.

Już z daleka zobaczyłam jaskrawą neonową kaczkę, zrywającą się do lotu nad niskiego budynku o przyciemnianych szybach. Nie musiałam krążyć dookoła, aby zorientować się, że znalazłam Sportsmana.

Gdybym była mądra, rozważna i ostrożna, czekałabym kilkanaście godzin i zaskoczyłabym Krótkiego w pracy, w trzeźwym świetle dnia, przygniatając go wagą mojego urzędu, ale ja nigdy nie byłam szczególnie mądra, a głos ostrożności, jakiej nauczyłam się w wyniku bolesnych doświadczeń, umilkł, przytłumiony szybkim i głośnym biciem serca, poganianego gwałtownym pragnieniem poznania prawdy.

Jak na sobotni wieczór w barze nie było dużo ludzi. Na ekranie telewizora toczył się mecz z udziałem baseballowej drużyny Timberwolves. Szafa grająca nastawiona była na tyle cicho, aby obecni mogli słyszeć głos komentatora sportowego. Krótki siedział przy barze z dwoma kumplami, w każdym razie barowymi kumplami. Niewykluczone, że za dnia nawet by go nie rozpoznali.

Kiedy podeszłam do niego, zagapili się na mnie niemal wszyscy w barze.

Krótki widział mnie w czasie swojego wstępnego przesłuchania, gdzie zeznawałam jako osoba blisko zaprzyjaźniona z Kamareią i główny świadek oskarżenia. Oczywiście wiedział, że jestem policjantką. Teraz, gdy zobaczył mnie zmierzającą w stronę baru, jego oczy rozszerzyły się wyraźnie. Sprawiał wrażenie tak przestraszonego, że przez chwilę myślałam, iż zaraz rzuci się do ucieczki.

Szybko odzyskał kontrolę nad sobą, bo przypomniał sobie, że sprawa przeciwko niemu została przecież umorzona. Jego twarz przybrała wyraz obraźliwego lekceważenia, patrzył mi prosto w oczy.

Przystanęłam krok od jego stołka.

- Muszę z tobą porozmawiać - rzuciłam. - Na zewnątrz.

To był mój pierwszy błąd, nie powinnam była mówić, że chcę z nim pomówić na dworze. Wystarczyło, aby odmówił i już straciłabym twarz. Krótki zerknął na swoich kumpli i na jego twarz wypełził nieprzyjemny uśmiešek.

- Hmm... - zamruczał.

Spojrzałam na towarzyszących mu mężczyzn, którzy nie wyglądali na awanturników, przynajmniej na pierwszy rzut

oka. Wyjęłam odznakę i położyłam ją na ladzie. Nie otworzyłam jej, ponieważ nie chciałam pokazywać jej wszystkim obecnym, ale znajomi Krótkiego zobaczyli ją i popatrzyli na mnie pytająco.

- Zostawcie nas - powiedziałam krótko.

Wstali, zabrali swoje szklanki z piwem i usadowili się w kabinie pod oknem. Dobry nastrój Krótkiego rozwiązał się w jednej chwili. Zmarszczył brwi i skrzywił się niechętnie. Usiadłam na stołku zwolnionym przez jednego z jego kumpli.

- Czego chcesz? - odezwał się.

- Opowiedz mi o Mike'u Shilohu.

Niepokój stał resztki wzdorliwego uśmiechu z jego twarzy.

- Nie wiem, kto to jest - skłamał i pociągnął łyk piwa, gorączkowo szukając jakiegokolwiek ucieczki z niewygodnej sytuacji.

- Owszem, wiesz. Jeżeli nie powiesz mi prawdy teraz, zaraz wrócę po ciebie z nakazem aresztowania.

Tym razem to ja skłamałam, nie miałam żadnych podstaw do wystąpienia o nakaz.

- Molestujesz mnie - oświadczył Krótki. - Nietrudno domyślić się, że to z powodu tej sprawy w Minneapolis. Nikt ci nie uwierzy.

Z powodu tej sprawy, czyli gwałtu i morderstwa, przekłętą skurwysynu, pomyślałam. Nie nastawiaj go do końca przeciwko sobie, upomniałam się zaraz, bo niczego się nie dowiesz. Spokojnie.

- Powiedz mi, co się stało, zanim utopisz się w tym bagnie - mruknęłam. - Będzie ci łatwiej...

- Łatwiej niż kiedy? Ostatnim razem dałam sobie z tobą radę bez najmniejszego trudu. Nie mogło być łatwiej.

W tym momencie najwyraźniej uświadomił sobie, że niebezpiecznie zbliżył się do przyznania się do winy. Śledztwo przeciwko niemu zostało umorzone z powodu braku niepodważalnych dowodów, ale nie uniewinniono go, ponieważ nie doszło do procesu. W świetle tego Krótki nie bardzo wiedział, co może bezpiecznie powiedzieć, a czego nie.

- Naprawdę chcesz, żebym dobrała ci się do tyłka? - zapytałam. - Jeżeli bardzo ci na tym zależy, to zachowuj się tak dalej. Trzymaj gębę na kłódkę i nie mów mi, co wiesz.

- Powiedziałem ci już... - wymamrotał. - Spadaj, nic na mnie nie masz...

Wstałam i ruszyłam do drzwi, nie oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy Krótki mnie obserwuje, czy nie.

Pod barem skręciłam w lewo, niestety, niezgodnie z przepisami, i wyjechałam z miasta. Po paru minutach zjechałam na pobocze. Stałam tam tak długo, zastanawiając się, co dalej, że w końcu wyłączyłam silnik.

Nie udało mi się wydobyć od Krótkiego żadnych interesujących mnie informacji. W zasadzie nie było w tym nic szczególnie dziwnego, Krótki nie miał żadnego powodu, żeby ze mną rozmawiać. Byłam pewna, że nie zgodzi się także, abym rozejrzała się po jego domu, na czym bardzo mi zależało.

Zastanawiając się nad następnym posunięciem, ogryzałam paznokieć środkowego palca prawej dłoni - ogryzanie paznokci było fatalnym przyzwyczajeniem, do którego zawsze wracałam w trudnych chwilach. Spojrzałam na swoją rękę i nagle uświadomiłam sobie, że mam bardzo krótkie paznokcie. Niedawno obcięte, nie przeze mnie, ale przez Shiloha, który dokonał tego zabiegu w dniu przed naszym rozstaniem.

Prewitt uprzedził, że oczekuje, abym w trakcie dochodzenia w sprawie zniknięcia Shiloha pamiętała o tym, że reprezentuję biuro szeryfa okręgu Hennepin; oznaczało to, że nie winnam nawet myśleć o włamaniu się do domu Krótkiego.

Kiedy stałam tam, na poboczu drogi, miałam pełną świadomość, że tak naprawdę wcale się nie zastanawiam, wcale nie myślę. Starałam się tylko jakoś usprawiedliwić już podjętą decyzję.

Ciemna wstążka szosy, którą nova tak żarłocznie pochłaniała, była tą samą drogą, którą Krótki wracał z baru do domu. Nie była bardzo długa, ale też nie był to spacer, więc na pewno nie tylko jakoś drinków sprawiała, że Krótki tak chętnie spędzał wieczory w Sportsmenie i w nocy wracał pieszo do

domu, nawet zimą i wczesną wiosną. Taniej i wygodniej mógł się napić w domu, lecz nie byłoby to tak przyjemne. Najprawdopodobniej wolałby raczej zrezygnować zjedzenia niż z budweisera popijanego w towarzystwie kumpli.

„Dom” Krótkiego okazał się czymś w rodzaju szopy na narzędzia, stojącej za jednopiętrowym domem. Przejechałam obok niego tylko na światłach stopu. W domu było zupełnie ciemno, okna na parterze i piętrze przypominały oślepe oczy. Zawróciłam i wjechałam na podwórko tak ostrożnie i powoli, jakbym sądziła, że moja nova umie posuwać się na palcach.

Stałam za domem, żeby samochód był niewidoczny od strony drogi, wyłączyłam światła i silnik. Wsiadłam i zostawiłam drzwi niedomknięte, by nie trzasnęły, wcześniej zaś wyłączyłam wewnętrzną lampkę, nie chcąc obciążać akumulatora.

Wetknęłam latarkę pod pachę i szybko przygotowałam narzędzia potrzebne do otworzenia zamka. Drzwi wyglądały na bardzo cienkie, więc pewnie wystarczyłyby ze dwa kopniaki, aby je wyważyć, oczywiście, gdybym mogła pozwolić sobie na tak bezpośrednie działania.

Kiedy położyłam rękę na klamce, natychmiast się zorientowałam, że nie będę musiała grzebać w zamku, bo drzwi już były otwarte.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że coś tu jest nie w porządku, ale powiedziałam sobie, że to i tak nieistotne. Czy ktoś taki jak Krótki może mieć coś, co warto ukraść? Oczywiście że nie i właśnie dlatego nie zamyka drzwi. Wszystko w porządku, do dzieła.

Weszłam do środka i zapaliłam latarkę.

W paśmie światła jakaś postać poderwała się gwałtownie do skoku, niebezpiecznie blisko mnie. Błyskawicznie sięgnęłam po broń.

- Saro, nie strzelaj, to ja! - Cień przede mną przypadł już do ziemi.

- Gen? - Skierowałam latarkę w dół.

Genevieve osłoniła oczy dłonią.

- Co ty tutaj robisz? - zapytałam.

- Czekałam na ciebie - odparła. - Jestem tu od pół godziny. Nie świeć mi po oczach.

Dopiero później uświadomiłam sobie, jak inaczej się zachowywała, jaka była ożywiona w porównaniu z tamtą obojętną Gen z ostatnich miesięcy, która do złudzenia przypominała zombie.

Serce z pewnym opóźnieniem zaczęło mi walić jak oszalałe.

- Zwariowałaś?! - syknęłam. - Mało brakowało, a naprawdę bym cię zastrzeliła!

- Przestań świecić mi w oczy - powtórzyła. - Znalazłam tu coś, co powinnaś zobaczyć...

Kiedy się podniosła, światło padło na rękę, w której coś trzymała.

- Co tam masz? - zapytałam.

Bez słowa przesunęła dłoń jeszcze bardziej w kierunku światła i otworzyła ją. Coś zalśniło. Była to holograficzna pieczęć stanu Minnesota, przystawiona na prawie jazdy. Prawie jazdy Micheala Davida Shiloha...

Miałam teraz pewność, której szukałam, ale nie byłam gotowa jej przyjąć. Nie wiem, jak długo wpatrywałabym się w prawo jazdy Shiloha, gdyby Gen znowu się nie odezwała.

- Co jest grane, do diabła?

- Gdzie to znalazłaś? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Wskazała palcem. Podążyłam pasmem światła za jej gestem. Na podłodze leżał plecak, także Shiloha. Brał go czasami ze sobą, kiedy szedł do biblioteki i wiedział, że przyniesie ze sobą kilka książek, zdarzało się to jednak na tyle rzadko, że w domu po prostu nie zwróciłam uwagi na puste miejsce na półce w szafie.

Uklękłam. W środku znajdował się atlas połączeń kolejowych i pomarszczone jabłko. I portfel, oczywiście pusty.

- Krótki... - wyszeptałam. - Ten skurwysyn...

Genevieve pokiwała głową.

- Ale co się właściwie stało? - zapytała. - Skąd wiedziałas, że powinnaś szukać właśnie tutaj?

Wymierzyłam latarkę w biały sufit, żebyśmy mogły widzieć się nawzajem w przyćmionym, rozproszonym świetle.

- Myliłaś się - powiedziałam cicho, starając się panować nad drżeniem głosu. - To nie Krótki ukradł tego pikapa, to Shiloh...

- Shiloh? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Przyjechał tutaj w zeszłym tygodniu, kiedy byłam u ciebie. Gdy tylko wyjechałam z domu, wskoczył do towarowego...

- Do pociągu?

- Tak. Kiedy był dzieckiem, razem ze swoimi braćmi często pokonywał w ten sposób niewielkie odległości, ot tak, dla żartu. Umieeli to robić. Właśnie dlatego Shiloh nie zostawił za sobą żadnego tropu. Nie wyjechał z Minneapolis żadnym normalnym środkiem komunikacji. Nigdzie nie kupił biletu, nikt go nie widział, nikt go nie podwoził... W wagonie pociągu towarowego dostał się na dworzec w Blue Earth i z tamtejszego parkingu linii kolejowych Amtrak ukradł samochód, którego braku przez pewien czas najprawdopodobniej nikt by nie zauważył. Potem mógł zostawić wóz w dowolnym miejscu i wrócić do domu, także pociągiem towarowym...

- Ale dlaczego?

- Z powodu Kamarei... - powiedziałam.

Przerwałam nagle, bo z zewnątrz dobiegły nas niepokojące odgłosy. Furtka zaskrzypiała, ktoś trzasnął nią mocno. Genevieve szybko podeszła do brudnego, niczym nie przesłoniętego okna i zbliżyła twarz do szyby, żeby zobaczyć coś w ciemności.

- Wygląda na to, że Krótki zakończył dzisiejszą popijawę - odezwała się całkiem spokojnie.

Zerwałam się na równe nogi.

- Nie może nas tu zastać, weszliśmy nielegalnie!

- Nie mam zamiaru uciekać przed tym skurwielem - powiedziała, rzucając mi wyzywające spojrzenie spod oka. - A ty?

- Też nie - odparłam. - Przytrzymaj latarkę żarówką w dół, dobra?

Genevieve przykucnęła z latarką w rękę. Na palcach pod-

biegłam do drzwi. Na zewnątrz żwir zatrzeszczał pod podszwami, potem klamka obróciła się w prawo.

Gdy Krótki zrobił krok naprzód, z całej siły uderzyłam go pięścią w splot słoneczny. Zgiął się wpół, a wtedy chwyciłam go za włosy i walnęłam jego głową w moje kolano. Runął na podłogę, z cichym jękiem wypuszczając powietrze z płuc.

- Jak tam twoje klejnoty koronne, Krótki? - warknęłam. - Doszłam do wniosku, że właściwie nie skończyliśmy naszej rozmowy w barze...

Gen wciąż trzymała latarkę żarówką w dół.

- Zapal światło - poradziłam.

Pociągnęła za zwisający nad stołem sznurek i pomieszczenie zalało światło bijące z gołej żarówki.

Dom Krótkiego był marną, zaniedbaną norą. Wąski tapczan w rogu, stół na środku, składane krzesło, tania komoda. Za otwartymi drzwiami łazienka - stara, brudna wanna, równie stara umywalka na porcelanowej nodze. Całe wyposażenie kuchni stanowił zlew i elektryczna kuchenka z dwiema fajerkami.

Ale Krótki był jednak zawodowcem, posiadał pewne umiejętności i najwyraźniej przerabiał domek na rezydencję. Na podłodze w łazience dostrzegłam narzędzia, śruby i kilka rur. W głównym pokoju zostawił rzeczy, których na pewno używał w pracy - poplamione robocze ubranie, pędzle i wałki do malowania, wałek do przyklejania tapet z długą rączką i nóż do papieru i tektury z błyszczącym, niesymetrycznym ostrzem.

Krótki przewrócił się na bok, żeby spojrzeć na drugą osobę. Na widok Genevieve na jego twarzy pojawił się wyraz absolutnego przerażenia, zupełnie jakby dom odwiedziły dwie harpie.

- Opowiedz mi o Mike'u Shilohu - powiedziałam.

- Pieprz się... - wymamrotał.

Wcześniej bał się odezwać w ten sposób do policjantki, teraz uznał, że sytuacja uległa zmianie.

- Masz tu jego rzeczy, plecak, pusty portfel i prawo jazdy - ciągnęłam spokojnie. - Nie wygląda to zbyt dobrze, chyba zdajesz sobie z tego sprawę...

Krótki usiadł.

- Znalazłem je - stęknął. - W rowie.
- Gdzie?
- Przy drodze pod miastem.
- Niedaleko miejsca, gdzie zostawiłeś mnóstwo odcisków palców na pikapie? - zapytałam.
- Łamiecie prawo - oświadczył, przygryzając wargi. - Wtargnęłyście do mojego domu. Wydaje się wam, że jakikolwiek sędzia uzna za dowody rzeczy, które tu znalazłyście? To nielegalna rewizja, do kurwy nędzy...

Krótki, podobnie jak wielu przestępców, wiedział co nieco o działaniu systemu prawnego. W jego oczach dostrzegłam małą spryt, który w sprzyjających okolicznościach mógł na krótko zastąpić prawdziwą inteligencję.

Wyciągnęłam rewolwer i wymierzyłam w niego.

- Nikt w tym pokoju nie myśli o sądzie - powiedziałam. - Nikt poza tobą...

Podniósł się z podłogi i stanął naprzeciwko mnie. Wyglądał na twardziela, chociaż dolną część twarzy miał kompletnie zalaną krwią. Milczał. Nie wiem, jak to zrobił, ale nie ulega wątpliwości, że wyczytał z mojej twarzy prawdę - wyczuł, że mimo tego, co zrobił, nie zdecyduję się nacisnąć spustu. Kąciki jego ust uniosły się w kpiącym uśmiešku, takim samym jak w barze. Potem odwrócił się do Genevieve.

- Twoja córka uwielbiała się ze mną pieprzyć...

Jego spojrzenie szybko znowu spoczęło na mojej twarzy, jakby chciał się przekonać, jak zareaguję na jego mały żart i w tym momencie popełnił błąd. Zależało mu chyba, żeby zrobić wrażenie na mnie, nie dość uważnie popatrzył na Genevieve i nie zobaczył w jej oczach tego, co powinien był zobaczyć.

- Gen, nie! - krzyknęłam, ale było za późno.

Błyskawicznym ruchem chwyciła nóż do tapet i wbiła go w szyję Krótkiego, przecinając żyły. Wszystko to rozegrało się dosłownie w ułamku sekundy.

Krótki wydobył z gardła dźwięk przypominający kaszel, a ja nie zdążyłam odskoczyć dość szybko, aby jego krew nie trysnęła mi na kurtkę. Zatoczył się do tyłu, zwracając oczy na

Genevieve. Pchnęła go jeszcze raz, wbijając ostrze głębiej w szyję.

- Gen! - Złapałam ją za ramię.

Krótki poleciał do tyłu, poderwał ręce do szyi. Jego dłonie załała intensywnie czerwona krew, buchająca z przeciętej tętnicy.

- Dzwon na 911! - rzuciłam.

Genevieve spojrzała na mnie. Bez trudu odgadłam, o czym myślała. Jeżeli Krótki umrze, a my porządnie zatrzemy ślady, nic nam nie grozi, jeśli nie, nie mamy po co wracać do pracy. Pójdziemy siedzieć, a wszystko z powodu gwałciciela i mordercy. W głębi serca wiedziałam, że Gen nie zadzwoni na pogotowie.

- Chyba nie ma tu telefonu - odezwała się.

Z ust leżącego na podłodze Krótkiego wyrwało się głucho, źle wróżące gulgotanie.

- Na pewno jest w tamtym domu - powiedziałam. - Idź, pospiesz się!

Popatrzyła na Krótkiego, potem na mnie, odwróciła się i wyszła.

Krew na podłodze utworzyła już spore jezioro. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Uciskaj szyję - mruknęłam.

- W tamtym domu nikogo nie ma... - zachrypiął.

- Nikogo?

Nie mógł kiwnąć głową, bo bał się, że rana otworzy się jeszcze głębiej, ale w jego oczach dostrzegłam potwierdzenie.

Uklękłam, chociaż krew natychmiast nasączyła moje spodnie od kolan w dół.

- Więc prawdopodobnie nie przeżyjesz - powiedziałam. - Wiesz o tym, prawda?

- Tak - odparł.

- Chcę się tylko dowiedzieć, jak to się stało... - Krew wydawała mi się gęsta, nieprzyjemnie ciepła. - Chciałabym zabrać go do domu i pochować, ale nawet jeżeli to niemożliwe, muszę wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło...

W kąciku ust Krótkiego wykwitł krwawy bąbelek. Zakaszał.

- Proszę, powiedz mi...

Milczał tak długo, że byłam już pewna, iż jego serce stwardniało na kamień, lecz wreszcie jednak się odezwał.

- Wracałem do domu, było już późno... - zaczął z wysiłkiem. - Minał mnie pikap, duży ford, taki, jakim jeździ wielu moich kumpi z pracy...

Skinęłam głową. Duży pikap z potężnym silnikiem, solidną maską i dużą kratą z przodu. Taki samochód, którym można, jeżeli ktoś ma w sobie dość wściekłości i odwagi, przejechać człowieka, nie doznając żadnych obrażeń.

Krótki powoli wciągnął powietrze.

- Może pięć minut później znowu usłyszałem warkot silnika, tym razem głośniejszy. Pomyślałem, że ten pikap chyba zawrócił, ale nigdzie nie było go widać. I nagle zobaczyłem słabe światła, wyłoniły się z mroku, znikąd... Facet jechał z przygaszonymi reflektorami, bardzo szybko, po niewłaściwej stronie. Po mojej stronie... Nie miałem pojęcia, kto to jest, wiedziałem tylko, że chce mnie zabić. Rzuciłem się przed siebie i upadłem, bo droga była oblodzona. Siedziałem na ziemi i patrzyłem prosto w światła. Myślałem, że już po mnie...

Mocniej zacisnął dłonie na szyi. Przypomniałam sobie, że widziałam tego czarnego pikapa w telewizji, kiedy oglądałam wiadomości. Masywny, z mżącymi białym ogniem światłami musiał wydać się Krótkiemu połańcem śmierci.

- Wtedy facet zjechał na środek drogi. Minał mnie i okręcił się wokół własnej osi na zamrzniętej kałuży. Nie zdążył chyba nawet nacisnąć hamulca. Wpadł na drzewo. Dłuższą chwilę czekałem, aż kierowca wysiadzie albo nadjedzie inny samochód, ale nic się nie działo, więc podszedłem... - Znowu ostrożnie odetchnął. - Facet, który siedział za kierownicą, nie widział mnie, chociaż miał otwarte oczy. Był w szoku, nieprzytomny, więc złapałem jego plecak i uciekłem...

- Zostawiłeś go w samochodzie?

- Tak. Krwawił, ale oddychał i nie wyglądał na ciężko ranego. Tak czy inaczej, nie miałem zamiaru wzywać pomocy... -

Oczy Krótkiego spoczęły na mojej twarzy. Sprawdzał, jak zareaguję na tę część jego opowieści. - Zaczął się na mnie, z własnej winy wpakował się w to gówno...

- Jesteś pewny, że zjechał na środek i minął cię, a nie po prostu stracił kontrolę nad kierownicą? - zapytałam.

Musiałam mieć pewność. Wpatrywałam się w oczy Krótkiego, szukałam w nich prawdy. Nagle pamięć podsunęła mi słowa Kilandera - konający nie muszą już kłamać. Wierzyłam, że naprawdę tak jest.

- Zrobił to celowo... - Głos Royce'a brzmiał coraz słabiej. - Stracił kontrolę, bo skręcił, żeby mnie wyminąć, na pewno.

Nie miałam nic więcej do powiedzenia. Genevieve wciąż nie było. Krótki znowu zakasłał, zakrztusił się własną krwią.

- Chciałem... - wyszeptał. - Chciałem...

Nie skończył tej myśli. Zaczynał zdanie pięć, może sześć razy, aż w końcu jego oczy zamgliły się i znieruchomiały.

Podniosłam się, wyszłam na zewnątrz i straciłam poczucie czasu.

Kiedy Genevieve wróciła, siedziałam pod wierzbą i patrzyłam na księżyc w ostatniej kwadrze, który wyłonił się nad drzewami. Gen pomachała mi ręką przed oczami i powiedziała coś, ale nie zrozumiałam jej. Nagle jej dłoń przemknęła gdzieś na granicy mojego pola widzenia i uderzyła mnie w twarz.

- Co jest? - wykrztusiłam, pocierając piekący policzek.

- No, teraz już trochę lepiej... - mruknęła z ulgą. - Musimy spalić budę Krótkiego. Ty miałaś dość rozsądku, żeby przyjechać tu w rękawiczkach, ale ja nie... - Światło księżycy odbiło się od metalowej puszkii w jej rękach. - Możesz tu posiedzieć, jeśli chcesz. Przynieść ci rzeczy Shiloha?

- Jego rzeczy? - zapytałam nieprzytomnie.

- Tak, plecak i całą resztę. Skup się, Saro, nie odpływaj znowu! Zajmę się wszystkim sama, ale nie odjadę stąd dwoma samochodami jednocześnie...

- Masz tu samochód? Gdzie?

- Tam. - Wskazała. - Nie zauważyłaś go wcześniej, podobnie jak Krótki, bo zaparkowałam pod boczną ścianą dużego

domu. Nie wiedziałam, w jakim celu tu przyjechałaś, ale wydało mi się, że lepiej będzie nie reklamować naszej obecności...

Weszła do domu. Poruszała się lekko i energicznie. Po chwili znowu była obok mnie.

- Za chwilę podpalę, a potem powinniśmy stąd jak najszybciej odjechać, rozumiesz?

- Rozumiem - odparłam tępo.

- Pojedziesz za mną do mojej siostry, dobrze?

- Dobrze...

Nie potrafiłam zmusić się, aby zapytać, czy próbowała znaleźć telefon i zadzwonić na pogotowie, zanim plan działania ostatecznie ukształtował się w jej głowie. Byłam zresztą pewna, że znam odpowiedź na to pytanie.

Zostałyśmy na tyle długo, aby zobaczyć, jak płomienie ogarniają dom Krótkiego. Może stałyśmy tam trochę dłużej, niż było trzeba, nie mogę wykluczyć, że patrzyłyśmy na pożar jak na spektakl. Zniszczenie przyciągało nas, podobnie jak my przyciągałyśmy zniszczenie.

Genevieve pojechała przodem, ale zatrzymała się, kiedy zobaczyła, że zjeżdżam z drogi obok drzewa, które nagle wyłoniło się z ciemności.

W świetle reflektorów długo wpatrywałam się w ciemną, matową trawę, aż wreszcie dostrzegłam to, czego szukałam - mały kawałek szkła.

Przysiadłam na piętach i ostrożnie wygrzebałam połyskujący okruch z ziemi. Genevieve wysiadła z samochodu i podeszła do mnie.

- Od początku miałaś rację - odezwałam się. - Shiloh jest na dnie rzeki. Prawdopodobnie dotarł aż na brzeg Blue River, w przeciwnym razie policjanci, którzy szukali właściciela pikapa, znaleźliby gdzieś jego ciało...

- Byłoby lepiej, gdyby nikt nie zobaczył tutaj ani nas, ani naszych samochodów - powiedziała łagodnie. - Nic nie powinno nas łączyć z pożarem...

- Myślę, że teraz jego ciało jest już na dnie rzeki... Nigdy nie da się go wydobyć...

- Chodź już, Saro. - Gen położyła rękę na moim ramieniu. - Musimy się pospieszyć, naprawdę...

Ale moje stopy były dziwnie ciężkie, jakby sparaliżowane. Gen wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do samochodu.

Jakimś cudem, wpatrzona w jej czerwone tylne światła, znalazłam się na drodze do Mankato.

Czy rzeczywiście mogłam mieć pewność, że Shiloh nie żyje? Zdawałam sobie sprawę, że jeżeli jego ciało porwała rzeka, jak powiedziałam Genevieve, na dnie mojego serca zawsze drzemać będą wątpliwości. Ze słów Krótkiego wynikało jasno, że Shiloh przeżył wypadek, ale od jego zniknięcia minęło już siedem dni; teraz, kiedy do pewnego stopnia znałam przebieg wydarzeń, wiedziałam, że jest to o sześć dni za długo. Blue Earth otaczały rolnicze tereny, lecz nie była to dżungla, w której ktoś mógłby zgubić drogę, nawet jeżeli ten ktoś doznał urazu głowy. Skoro Shiloh nie zgłosił się nigdzie po pomoc, skoro nie widział go nikt spośród biorących udział w poszukiwaniach Thomasa Halla, właściciela pikapa, znaczyło to, że nie żyje.

Na podstawie kontaktów z rodzinami osób zaginionych wiedziałam, że system prawny uznaje zaginionego za zmarłego dopiero po długim, skomplikowanym procesie dochodzeniowym. Prawdziwym punktem zwrotnym, ukrytym przed światem, jest najczęściej chwila, gdy współmałżonek, partner, rodzic lub dziecko osoby zaginionej uświadamia sobie, że poszukiwany nie żyje i w głębi duszy przyznaje rację wewnętrznemu głosowi, który wyjawia tę przerażającą prawdę.

Genevieve wjechała na dziedziniec przed domem Lowesów, wyłączyła światła i zatrzymała się. Zrobiłam to samo.

Wsuwając kluczyki do kieszeni czarnej skórzanej kurtki, dotknęłam sztywnego papieru i wyjęłam kopertę, którą dała mi Sinclair. List tkwił w niej od rana, od chwili gdy otworzyłam go w samolocie.

Spojrzałam na Genevieve, stojącą na schodach domu siostry. Spodziewałam się, że znowu okaże zniecierpliwienie i znacznie mnie poganiać, jak wcześniej pod tamtym drzewem na poboczu, lecz teraz, gdy znalazłyśmy się już w bezpiecznej od-

ległości od Blue Earth, przez nikogo niezauważone, Gen wyraźnie się rozluźniła. W ciemności mogłam dostrzec tylko jej sylwetkę, ale widziałam spokój w linii ramion i pleców, kiedy tak patrzyła w ciemne niebo, oparta o balustradę.

Uchyliłam drzwiczki samochodu, żeby lampka oświetliła przednie siedzenie, wsunęłam paznokieć pod brzeg kremowej koperty i rozciąłam ją.

Sinclair zakleiła kopertę, ponieważ chciała, żeby otworzył ją Shiloh. Był to z jej strony gest zaufania do mnie, doskonale to rozumiałam i pozostałam posłuszna jej woli aż do teraz, do chwili, kiedy spodziewałam się, że zaraz usłyszę ten szczególny wewnętrzny głos.

Przeznaczona dla Shiloha wiadomość była tak krótka, że mały kawałek papieru, na którym ją napisała, wydawał się dziwnie wielki w porównaniu z rządkami liter.

*Michaelu,
Szczepze cieszą się szczęściem twoim i Sary.
Proszę, bądź naprawdę szczęśliwy.*

S.

Genevieve i ja położyliśmy się mniej więcej godzinę po tym, jak wśliznęliśmy się do domu. Deb i jej mąż na szczęście się nie obudzili.

Podczas gdy pracująca w piwnicy pralka usuwała ślady śmierci Royce'a Stewarta z naszych ubrań, lecz nie dłoni, ułożyliśmy wiarygodną historyjkę. Ustaliśmy, że zadzwoniłam do Genevieve z Minneapolis i zapytałam, czy mogę do niej przyjechać. Billing telefoniczny mógł to potwierdzić, oczywiście zakładając, że w ogóle dojdzie do sytuacji, w której ktoś będzie sprawdzał nasze słowa. Najpierw pojechałam do Blue Earth aby porozmawiać z Krótkim, który nie chciał mi nic powiedzieć o kradzieży samochodu i wypadku, co nam obu wydawało się mocno podejrzanym. Potem zawróciłam do Mankato. Genevieve czekała na mój przyjazd i wpuściła mnie, co tłumaczyło, dlaczego nie zadzwoniłam do drzwi i nie obudziłam Lo-wesów.

Później, niczym współlokatorce w akademiku, długo rozmawiałymy przyciszonymi głosami, leżąc w łóżkach w pokoju gościnnym. Opowiedziałam Gen historię, którą usłyszałam od umierającego Krótkiego, o tym, jak Shiloh w ostatniej chwili zmienił decyzję i nie przejechał go.

- Znajdujesz w tym jakąś pociechę? - zapytała Genevieve.

- W czym?

- W świadomości, że Shiloh nie mógł zdobyć się na to, aby przejechać Krótkiego.

- Tak - odparłam. - Widzę, ale czuję się trochę dziwnie...

Wszystko, co wiedziałam, czy raczej uważałam, że wiem, okazało się nieprawdą...

Przerwałam. Nagle dotarło do mnie, jak trudno będzie mi wyjaśnić te słowa, które Gen na pewno wydały się całkowicie niezrozumiałe.

Ale Genevieve leżała spokojnie, z zamkniętymi oczami, oddychając powoli i regularnie. Zasnęła.

Wszystko, co wiedziałam, okazało się nieprawdą.

W naszym wydziale to ja miałam opinię impulsywnej, „nieobliczalnej” dziewczyny, jak kiedyś ujął to Kilander. To ja skończyłam do Missisipi, żeby ratować niedoszlą samobójczynię. Genevieve uchodziła za niezwykle cierpliwą osobę, której podczas przesłuchania zwierzają się nawet najtwardsi przestępcy.

Z całej naszej trójki, mówię o mnie, Gen i Shilohu, to ja pierwsza powinnam ulec podpowiedziom swojego ukrytego, morderczego „ja”, potem Shiloh, a dopiero na końcu łagodna, spokojna Genevieve.

A jednak to Gen wbiła ostrze noża do papieru w gardło bezbronnego człowieka, później zaś bez drżenia podpaliła miejsce zbrodni. To Shiloh planował morderstwo, powodowany głębokim, powoli narastającym gniewem, którego ja ani nie wyczułam, ani nie dostrzegłam, lecz w ostatniej chwili porzucił swój plan. To ja siedziałam przy konającym mężczyźnie, który z całego serca nienawidził kobiet i policji, i skłoniłam go, aby wyznał mi prawdę. I to ja modliłam się w Salt Lake City razem z siostrą Shiloha...

Popatrzyłam na Genevieve. Była teraz morderczynią, lecz spała spokojnie, zmorzona niosącym odpoczynek snem. Nie potrafiłam tego wszystkiego zrozumieć.

Nie mogłam też zasnąć. Pierwsze promienie słońca wkradły się pod białą zasłonkę z lekkiego płótna, kogut zapiał w kurniku, a ja wciąż jeszcze nie spałam.

Genevieve poruszyła się i otworzyła oczy. Na mój widok uśmiechnęła się, zupełnie jakby zapomniała o wydarzeniach ostatniej nocy.

Potem wyciągnęła rękę, podałam jej swoją, a ona ścisnęła ją mocno.

Kiedy usłyszaliśmy kroki Debory i Douga w korytarzu, wstałyśmy. Gospodarze powitali moją obecność okrzykami zdziwienia.

- Sara miała coś do załatwienia niedaleko stąd - wyjaśniła Gen. - Zadzwoniła dość późno, więc pewnie nie słyszeliście telefonu, zresztą udało mi się odebrać po pierwszym dzwonku...

- Ach, tak... - mruknął Doug, pocierając szczękę.

Nawet jeżeli oboje mieli jakieś wątpliwości co do słów Genevieve, to tego nie okazali.

- Jesteście głodne? - zapytała Deb. - Właśnie zaparzyłam kawę...

- Chętnie się napiję - powiedziałam.

Ze zdumieniem odkryłam, że może nawet coś zjem.

Piętnaście minut później wszyscy siedzieliśmy przy stole w kuchni, jedząc jajka sadzone na bekonie, chleb z masłem i popijając doskonałą kawę. Mniej więcej w tym samym czasie Shiloh wszedł do budynku, w którym znajdował się posterunek policji w Mason City w stanie Iowa, i oddał się w ręce przedstawicieli prawa za morderstwo popełnione na Stewarcie, lepiej znanym jako Krótki.

Rozdział 22

Pamięć płata figle, powiedział policyjny psycholog, który przeprowadził rozmowę z Shilohem. Mocne przekonanie Shiloha, że zabił Royce'a Stewarta, było owocem amnezji wstecznej. Podobnie jak wiele ofiar wypadków, Shiloh nie pamiętał chwil bezpośrednio przed wypadkiem i po nim, natomiast jego umysł podsunał mu szczegóły, które okazały się nieprawdziwe. Shiloh sam nieświadomie się o to postarał.

Przygotowując plan zamordowania Stewarta, wielokrotnie powtarzał sobie scenariusz wydarzeń, wciąż wracał do niego, by nabrać absolutnej pewności, że musi osiągnąć cel. W wyniku szoku powypadkowego wyobraźnia w jakiś sposób zajęła miejsce pamięci.

- Miałem to przed oczami - powiedział mi Shiloh. - Kiedy myślałem o tym, widziałem, jak Stewart pada na szosę pod kołami samochodu, czułem, jak pikap uderza w jego ciało. Naprawdę w to wierzyłem.

Nie pamiętał dokładnie, co działo się między wypadkiem a jego pojawieniem się na posterunku. Wiedział, że zranił się w głowę i ma gorączkę, ale nie szukał pomocy medycznej. Opętał go paranoiczny lęk, był pewny, że policja go poszukuje, a strach ten wydawał mu się w pełni uzasadniony, ponieważ po niebie krążył helikopter, którego załoga szukała przedwcześnie uznanego za zaginionego Thomasa Halla, właściciela skradzionego przez Shiloha pikapa.

Wciąż szedł przed siebie, wbrew zdrowemu rozsądkowi wędrował na południe, z każdą chwilą coraz bardziej oddalając się od Minneapolis, gdzie mieszkali ludzie, którzy mogliby udzielić mu schronienia i pomocy.

Pewnego ranka, po spokojnie przespanej nocy, obudził się znacznie przytomniej szy niż poprzednio i zrozumiał, że musi oddać się w ręce policji.

Minęło sporo czasu, zanim wszystkim zainteresowanym udało się uporządkować wydarzenia i ustalić szczegóły.

O 7.20 w niedzielę rano dyżurny sierżant w Mason City de-

lektował się właśnie kubkiem mocnej kawy i myślał, że za czterdzieści minut jego zmiana dobiegnie końca, kiedy Shiloh wkroczył na posterunek i złożył zeznania.

Powiedział, że to on przejechał Royce'a Stewarta w Blue Earth w stanie Minnesota.

- Nie zakładajcie mi kajdanków - poprosił na koniec. - Nie zamierzam stawiać oporu, zresztą chyba złamałem rękę.

Sierżant potraktował go z całą ostrożnością należną człowiekowi, który przed chwilą przyznał się do morderstwa. Zamknął Shiloha w celi i zadzwonił do swojego przełożonego. Obaj nie mieli wątpliwości, że Shiloh jest nie tylko ranny, ale także chory, dlatego wysłali go w asyście policjanta do szpitala, gdzie lekarze zajęli się jego złamaną ręką, ranami głowy i trzydziestodwujęciostopniową gorączką.

Potem przekazali całą sprawę szeryfowi okręgu Faribault.

Bez większego trudu udało się potwierdzić tożsamość Shiloha. Kiedy zgłosił się na policję, nie miał przy sobie żadnych dokumentów, lecz na podstawie nazwiska policjanci z Faribault dowiedzieli się nie tylko tego, że Shiloh nigdy wcześniej nie był aresztowany i nie wszedł w żaden konflikt z prawem, ale także, że znajduje się na liście osób zaginionych i jest policjantem.

Telefon w kwatrze głównej policji w Minneapolis zadzwonił się o 9.45. Mniej więcej dwadzieścia minut później oficer dyżurny zostawił wiadomość na mojej poczcie głosowej.

Gdyby nie była to niedziela i gdyby wszystkie zaangażowane w sprawę instytucje miały normalną obsadę, miejsce pobytu i los Royce'a Stewarta zostałyby ustalone znacznie szybciej i sprawniej. Pracujący w okręgowym sądzie przyjaciel Genevieve miał przecież jego aktualny adres. Kiedy jednak po sprawdzeniu danych w komputerze okazało się, że Royce Stewart wcale nie figuruje na liście ofiar zabójstw ani nawet ostatnio zmarłych, miejscowa policja długo sprawdzała, co się dzieje ze Stewartem.

Wydział Komunikacji dysponował adresem Stewarta z okresu, gdy wystawiono mu prawo jazdy. Był to adres jego matki, zamieszkałej pod Imogene. Policja skontaktowała się z panią

Stewart, a ta wyjaśniła, gdzie obecnie przebywa jej syn. Royce, który zawsze miał smykałkę do robót remontowych, zawarł nieformalną umowę z pewnym małżeństwem. Jego znajomi zgodzili się, aby mieszkał za darmo w małym domku na terenie ich posiadłości i w zamian doprowadził to miejsce do stanu użyteczności.

W domku, o którym była mowa, nie było jeszcze linii telefonicznej. Pani Stewart powiedziała, że dzwoni do syna do właścicieli posesji, oni zaś proszą go do telefonu. Znała tylko ich imiona - John i Ellen - natomiast nie miała adresu.

Wreszcie policji z Faribault przy współpracy dyżurujących w czasie weekendu pracowników Wydziału Telekomunikacji udało się dopasować adres do numeru telefonu podanego przez panią Stewart i zastępcę szeryfa okręgu, Jim Brooke, pojechał do domu Johna i Ellen Brewerow. Brooke ledwo zdążył wysiąść z radiowozu, a już zorientował się, że coś jest nie tak.

Powiedziano mu, że Royce Stewart mieszka w małym budynku za domem, tymczasem teraz, stojąc na podjeździe Brewerow, w miejscu, gdzie miał się znajdować domek Krótkiego, widział niewielką kupkę poczerniałych, wciąż dymiących gruzów.

Mniej więcej w tym czasie, gdy zastępca szeryfa dokonał powyższego odkrycia, stałam w pokoju gościnnym Lowesów i patrzyłam, jak Genevieve pakuje swoje rzeczy. Postanowiła wrócić ze mną do miasta, więc chociaż każda z nas miała jechać własnym samochodem, czekałam na nią.

Pakowanie zajęło mojej przyjaciółce sporo czasu. Przebywała na wsi od ponad miesiąca i jej rzeczy zdążyły już rozprześcić się po całym domu.

Przez parę minut spacerowałam po korytarzu, ale nie byłam spięta. Naprawdę wierzyłam, że Shiloh nie żyje, więc nie miałam powodu się spieszyć. Mój umysł był spokojny, chociaż niewątpliwie nieco otepiały.

Mimo wszystko postanowiłam sprawdzić swoją pocztę głosową w Minneapolis. Taki miałam zwyczaj, i tyle. Odsłuchałam jedną wiadomość, od Beth Burkę, dowódcy zmiany dzień-

nej. Wcześniej płonęłabym z podniecenia i ciekawości, co porucznik Burke ma mi do powiedzenia, teraz postanowiłam odzwonić wyłącznie z poczucia obowiązku.

- Muszę zadzwonić do Minneapolis! - zawołałam do Genevieve. - Zostawię dwa dolary przy aparacie, dobrze?

Nie spodziewałam się, że Gen odpowie, a nawet jeżeli coś powiedziała, i tak nie usłyszałam, bo już wybierałam numer.

Zaraz potem dosłownie odjęło mi mowę i pozostałam w tym stanie przez dobrych parę minut. W pierwszej chwili zrozumiałam, że porucznik Burke informuje mnie, iż Shiloh oddał się w ręce policji w Iowa i przyznał się do morderstwa ostatniej nocy. W ogóle nie pojmowałam, co się dzieje, pogubiłam się tak kompletnie, że nawet nie potrafiłam wymyślić żadnych kłamstw. Potem co kilka sekund powtarzałam: „Co?"; mój wkład w rozmowę ograniczył się do tego jednego słowa.

- Nie obchodzi mnie, co zrobił ani czego nie zrobił, proszę mi tylko powiedzieć, gdzie on teraz jest! - wyrzuciłam z siebie na koniec.

Wreszcie odłożyłam słuchawkę i zawołałam Genevieve.

Koło południa eksperci ze straży pożarnej wydobyli z popiołu, niedopalonych resztek desek i wody ciało Krótkiego. W świetle zeznania Shiloha wszystkim wydało się to mocno podejrzane. Dwaj detektywi z okręgu Faribault natychmiast wyruszyli na południe, do Mason City, żeby porozmawiać z Shilohem. Genevieve i ja dotarliśmy na miejsce mniej więcej trzydzieści minut po nich.

- Proszę usiąść - poradziła mi dyżurująca w recepcji szpitala pielęgniarka. - Policja zabroniła wpuszczać tam kogokolwiek, dopóki nie skończą z nim rozmawiać.

- W którym jest pokoju? - zapytałam. - Chcę tylko wiedzieć, żebym później nie błędziła...

- W pokoju 306.

- Dziękuję - powiedziałam, ale zamiast wrócić do holu, przeszłam obok jej biurka, kierując się do korytarza.

- Hej! - zawołała za mną.

Nie odwróciłam się.

Pokazałam odznakę mundurowemu siedzącemu pod drzwiami pokoju 306, a on nie próbował mnie zatrzymać.

Kiedy weszłam, obaj detektywi podnieśli wzrok. Tylko Shiloh nie wyglądał na zaskoczonego moim widokiem.

- Potrzebujesz adwokata - odezwałam się twardym głosem, ignorując przesłuchujących.

- Nie wolno tu pani wchodzić - rzucił ostro jeden z nich.

Obaj byli do siebie trochę podobni - w średnim wieku, biali, przysadziści. Jeden nosił wąsy, drugi był gładko ogolony.

- Miał poważny wypadek samochodowy - powiedziałam. - Doznał szoku i urazu głowy. Nic z tego, co dzisiaj z niego wyciągniecie, nie można uznać za dowód.

Drugi policjant wstał z krzesła, żeby wyprowadzić mnie na korytarz.

- Niech pani lepiej wyjdzie, złotko - mruknął.

- Jestem jego żoną.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- I policjantką.

- Nic mnie to nie obchodzi - powtórzył, ujmując mnie za ramię.

- Nie! - odezwał się Shiloh po raz pierwszy, wystarczająco zdecydowanym tonem, aby obaj mężczyźni przenieśli wzrok na niego. - Już skończyliśmy.

- Mamy więcej pytań...

- Skończyliśmy - powtórzył.

Detektywi popatrzyli po sobie, ten drugi wyjął dłoń spod mojego łokcia.

- Bierze pan adwokata? - zapytał pierwszy.

Shilohowi chodziło o coś innego, ale wiedział, że ten argument przemówi do nich najmocniej.

- Tak. Biorę adwokata.

Pierwszy detektyw zerknął na partnera. Po chwili zabrali swoje notatniki i wyszli. Drzwi się zamknęły. W pokoju było zupełnie cicho, kiedy Shiloh i ja przyglądaliśmy się sobie z od-

ległości półtora metra. Był wychudzony i nieogolony, i bardzo przypominał tamtego policjanta z brygady antynarkotykowej, którego wiele lat temu poznałam w barze na lotnisku. Długą chwilą nie mogłam nic powiedzieć, w końcu to on przerwał milczenie.

- Przepraszam...

Dopiero wtedy wszystko dotarło do mnie w pełni - to był Shiloh, żywy, znowu na niego patrzyłam. Podeszłam do łóżka, ukryłam twarz na jego piersi, między szyją i ramieniem, i rozpłakałam się.

Trzymał mnie tak mocno, że w normalnej sytuacji na pewno poczułabym ból. Jego wystające kości uwierały mnie mocno. Stracił kilka kilogramów, nie miałam co do tego żadnych wątpliwości.

- Przepraszam, kochanie, bardzo cię przepraszam... - powtarzał raz po raz.

Głaskał mnie po włosach, szeptał czułe i pocieszające słowa, i tulił mnie do siebie tak, jakby to on był silny, a ja słaba.

Shiloh spędził w szpitalu dwa dni na badaniach. W końcu lekarze uznali, że nie wymaga stałej opieki medycznej. Po tem przewieziono go do Minnesoty, do więzienia okręgowego w Faribault.

Chociaż nikt nie potrafił ustalić, gdzie przebywał Shiloh w noc śmierci Krótkiego, złożone przez niego zeznania oraz towarzyszące im dowody fizyczne - obrażenia po wypadku - okazały się wystarczająco przekonujące, aby wykluczyć możliwość jego powrotu do Blue Earth i zamordowania Krótkiego. Było natomiast oczywiste, że ukradł samochód i do tego ograniczyło się oskarżenie.

W czasie wstępnego przesłuchania adwokat Shiloha złożyła wniosek o zwolnienie za kaucją, powołując się na fakt, że jej klient po raz pierwszy wszedł w konflikt z prawem i jako pracownik policji zawsze cieszył się nienaganą opinią zawodową. W odpowiedzi sędzia wskazał, że obecnie Shiloh nie

jest już policjantem i najprawdopodobniej nigdy więcej nie będzie pracował w tej instytucji, a poza tym dowiódł, że potrafi wymknąć się przedstawicielom organów ścigania nawet w trudnych okolicznościach. Wniosek o zwolnienie za kaucją został odrzucony.

Nie miałam nic więcej do roboty w okręgu Faribault. Wróciłam do Minneapolis, żeby nie oszaleć, i dopiero w domu odkryłam, że zmiana miejsca pobytu nie jest lekiem na niepokój, którego nie umiałam uciszyć ani wysiłkiem fizycznym, ani oglądaniem telewizji. Pierwszego dnia po powrocie zatelefonowałam do Utah i zostawiłam Naomi wiadomość, że Shiloh odnalazł się cały i mniej więcej zdrowy. Potem napisałam krótki list do Sinclair i wrzuciłam go do skrzynki.

Naomi oddzwoniła następnego dnia po południu i poprosiła o więcej szczegółów, zrobiłam więc, co mogłam, aby jak najlepiej wytłumaczyć motywy i postępowanie mojego męża. Nie była to krótka rozmowa i niebo za oknem zdażyło pociemnieć, zanim się pożegnałyśmy. Gdy odłożyłam słuchawkę, usiadłam na kanapie i zaczęłam najzupełniej bezproduktywnie zastanawiać się nad przyszłością. Nie chciało mi się zapalać światła, w salonie zapadł wczesny zmrok.

Dziesięć minut później jechałam drogą numer 94 do St. Paul. Chciałam sprawdzić, jak Genevieve radzi sobie po powrocie do domu, a co ważniejsze, dowiedzieć się, kiedy będzie gotowa wrócić do pracy. Sama miałam ogromną, niepohamowaną chęć, by zająć się codziennymi działaniami i pozwolić, żeby pochłonęły mnie bez reszty.

Kiedy jednak dotarłam na miejsce, drzwi wcale nie otworzyła mi Genevieve.

- Vincent... - bąknęłam, starając się ukryć zaskoczenie.
- Witaj, Saro - odparł były mąż Genevieve.

Spojrzenie, które skierował na mnie spod ciężkich powiek, było uważne i skupione, wręcz badawcze. Nie wiem, dlaczego, ale nagle poczułam się nieswojo.

W plamie światła za plecami Vincenta pojawiła się Genevieve. Znowu zwróciłam uwagę, jak bardzo urosły jej za-

zwyczaj krótkie włosy - teraz sięgały prawie podbródka i były na tyle długie, że poruszały się wraz z nią i lśniły w świetle, a kiedy odgarnęła je za prawe ucho, odsłoniła subtelny srebrny kolczyk.

- Chodźże! - zawołała. - Zaraz zaparzę kawę.
- Dobry pomysł...

Wieczór był zimny, lecz pierwszy śnieg jeszcze nie spadł. Ostre podmuchy wiatru przeganiały ostatnie liście z chodników i ulic.

- Zrób sobie przerwę i usiądź z nami, Vincencie - proponowała Genevieve.

- Nie, jeszcze trochę popracuję - odparł, idąc w kierunku schodów.

- Co on tutaj robi? - zapytałam, kiedy znalazłyśmy się w kuchni.

- Uprząta pokój Kamarei...

Ta odpowiedź niczego właściwie nie wyjaśniała, wyczułam jednak, że jest to tylko wstęp i postanowiłam poczekać na resztę.

Genevieve wyjęła opakowanie mielonej kawy z pojemnika na drzwiach lodówki i wsypała parę łyżeczek do papierowego filtra.

- Szczerze mówiąc, porządkujemy i uprzątamy cały dom - powiedziała. - Złożyłam ostateczne wypowiedzenie w pracy...

- Naprawdę? - Mój głos wydał mi się dziwnie wysoki.

- Kiedy Vincent będzie wracał do Paryża, pojedę razem z nim. - Wzruszyła lekko ramionami i nalała wody do ekspresu.

- Chyba żartujesz!

- Nie. - Odwróciła się twarzą do mnie.

- Dlaczego?!

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę tu dłużej mieszkać. Nie w tym domu, nie w St. Paul. Może uda mi się nauczyć żyć bez Kamarei, ale na pewno nie tutaj.

W milczeniu patrzyłam na Gen, kobietę, która przez dwa ostatnie lata była moją partnerką w pracy, a znacznie dłużej

najlepszą przyjaciółką. Myślałam o tych wszystkich zimnych porankach, kiedy fantazjowałyśmy, że uciekniemy do jakiegoś odległego raju, na przykład do San Francisco albo Nowego Orleanu. Teraz Genevieve spełniała swoje marzenia - wyjeżdżała nawet dalej, niż sobie wyobrażałyśmy. Na stałe. I beze mnie...

Nie możesz wyjechać, pomyślałam zupełnie jak dziecko.

- Chcesz trochę alkoholu do kawy? Vince dostał to w samolocie... - Podniosła miniaturową buteleczkę bailey'sa i taką samą dzinu.

Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Genevieve późnym wieczorem, w środku zimy, zrobiła prawie dokładnie to samo - zaparzyła świeżą kawę.

- Jesteś po służbie, masz ochotę jakoś to uczcić? - zapytała wtedy i dołała trochę drogiego likieru z białej czekolady do mojego i swojego kubka.

Świetnie pamiętam, jak wielką przyjemność sprawiła mi wtedy jej hojna gościnność, jak dobrze poczułam się w domu kogoś, kto miał dużą kuchnię i prawdziwy, dobrze wyposażony barek, a nie kawalerkę i parę puszek budweisera w lodówce.

Wątpię, czy wiedziała, ile znaczy dla mnie jej przyjaźń.

- Ta sprawa z Vincentem... - zaczęłam niepewnie. - To dość nagłe, prawda?

- Nagłe i jednocześnie w pewien sposób spodziewane. Nie bez powodu nie wyszłam powtórnie za męża i nigdy z nikim się nie umawiałam...

Jej pełen szczęścia głos był dla mnie niczym dzwon pogrzebowy, obwieszczający koniec naszego partnerstwa. Wyjęła z kredensu dwa ciężkie szklane kubki i napełniła je kawą, potem dołała do obu odrobinę likieru. - Vince miał parę spraw do załatwienia w Chicago, potem wrócił tutaj i wtedy oboje uświadomiliśmy sobie, że... No, sama wiesz....

Cieszyłam się z jej świeżo odnalezionego szczęścia, ale to zachowanie trochę mnie dziwiło. Może w końcu wyszła z okresu nieprzytomnej rozpaczki po śmierci Kamarei, lecz śmierć

Royce'a Stewarta była czymś zupełnie innym. Ta pamięć była wciąż bliska i krwawa, tymczasem Genevieve próbowała pogrzebać ją w pośpiesznie wykopanym, nieoznaczonym grobie, którego nigdy nie zamierzała odwiedzać. Po prostu odwracała się plecami do swoich czynów, i tyle. Kto wie, może takie rozwiązanie było najlepsze, może od początku miała rację, może pewnych spraw zwyczajnie nie warto zamykać...

- Och, Boże, tak mi przykro... - Popatrzyła na mnie uważnie i natychmiast była tuż obok mnie. - Nawet nie zapytałam o Shiloha... Co z nim?

Źle odczytała moje niewypowiedziane na głos myśli. Pociągnęłam łyk kawy.

- Sama nie wiem - odparłam. - Chce przyznać się do winy i odsiedzieć wyrok, ale jego adwokat stara się namówić go do zmiany decyzji. Uważa, że może wytknąć pewne błędy proceduralne w sposobie uzyskania jego zeznań, powołać się na uraz głowy i tak dalej. Twierdzi, że ma dość argumentów, aby obalić podstawy oskarżenia.

- Myślisz, że Shiloh na to pójdzie?

Obrzuciłam ją chłodnym, martwym spojrzeniem.

- Nie, nie pójdzie. Shiloh chce... - Chwilę szukałam najwłaściwszego słowa. - Chce odpokutować za to, co zrobił...

Chyba było to jednak zbyt łagodne określenie. Szczerze mówiąc, Shiloh chciał wymierzyć sobie karę za to, że uległ morderczym impulsom, ale jednak nie pomścił Kamarei; za zrujnowanie swojej kariery i narażenie mnie na tydzień niepokoju i niepewności.

- Może sędzia okaże się wyrozumiały - podsunęła Genevieve.

Wreszcie szczęśliwa, próbowała obdarować mnie odrobiną nadziei.

- Nie - powiedziałam znowu. - Shiloh pójdzie siedzieć.

Nie stać mnie było na okłamywanie samej siebie.

- A co będzie z wami? - zagadnęła Gen. - Rozmawialiście o przyszłości?

Pokręciłam głową.

- Nigdy nie rozmawiałaś z nikim w więzieniu, prawda? - Uśmiechnęłam się gorzko. - W sali widzeń, gdzie przychodzą żony, dziewczyny i krewni więźniów? Cóż, nie jest to idealne miejsce do prowadzenia dyskusji o przyszłości...

- Więc co będzie? - nie poddawała się.

- Jak to co? Shiloh odsiedzi swoje.

- Za kradzież samochodu - powiedziała. - Dostanie niewielki wyrok. Pytam, co będzie z wami, z waszym małżeństwem, kiedy Shiloh wyjdzie...

Nie znałam prostej odpowiedzi na to pytanie. Grając na zwłokę, odwróciłam głowę i spojrzałam w okno, na posrebrzone księżycowym blaskiem gałęzie drzew.

Jak słusznie podkreślił sędzia w czasie przesłuchania wstępnego, Shiloh nie miał szans na powrót do pracy w policji, on, który przez całe dorosłe życie nie robił nic innego, od dnia, kiedy szukał zaginionych dzieci w górzystej Montanie aż po aresztowanie osławionej przestępczyni. I to teraz, gdy pewnego dnia wyjdzie za bramę więzienia, wszystko, na co pracował, okaże się tylko wspomnieniem, cieniem przeszłości. Ja nadal będę policjantką, natomiast Shiloh będzie byłym skazańcem. Takie różnice potrafią zatruć każdy związek, nawet najsilniejszy. Powoli. Boleśnie.

Podczas wszystkich naszych rozmów ta sytuacja wisiała między nami, niemożliwa do zapomnienia i zbyt trudna, aby przyjąć ją do wiadomości.

- Przejdziemy przez ten most, kiedy przyjdzie czas - powiedziałam.

Genevieve łagodnie przykryła dłonią moją spoczywającą na brzegu stołu prawą rękę.

- Ale co z tobą? - zapytała. - Dobrze się czujesz?

- Nie jestem pewna - odparłam uczciwie.

Po drodze do domu wstąpiłam do pracy, by powiedzieć Vangowi, że ja wrócę następnego dnia, natomiast Genevieve już nigdy.

- Słyszałam. - Pokiwał głową. - Tutaj nic nie da się ukryć.

A właśnie... - dorzucił pogodniejszym tonem. - Przyłapali faceta, który wydzwaniał do żon i dziewczyn policjantów, pamiętasz tę aferę?

- Jasne. Tego, który powiadamiał o śmierci policjanta podczas pełnienia służby, tak?

- Tak jest. Sierżant Rowe powiedział żonie o tych telefonach, a ona kupiła magnetofon i podłączyła go do aparatu. - Vang wzruszył ramionami. - Może to i paranoja, ale się opłaciło. Gość zadzwonił do niej i powiedział, że Rowe zginął w czasie strzelaniny, ona udała, że umiera z rozpacz, więc gadał do niej dłuższą chwilę, podając różne zmyśnione szczegóły. Potem Rowe przyniósł taśmę do pracy i dał ją audiotechnikowi do przesłuchania.

- I co, ten facet to ktoś z wydziału?

- Nie, pracuje w biurze koronera. Nikt z nas nawet go nie znał, nazywa się...

, - Frank Rossella - dokończyłam za niego.

Vang popatrzył na mnie z absolutnym zdziwieniem w oczach.

- Skąd wiesz? - wykrztusił.

Epilog

Shiloh został skazany na dwadzieścia dwa miesiące więzienia. Jak na Minnesotę był to surowy wyrok, zwłaszcza za pierwsze przestępstwo. Sędzia oświadczył, że podjął taką decyzję bo Shiloh jako przedstawiciel organów ścigania zawiódł zaufanie społeczne. Wydaje mi się jednak, że sędzia najwyraźniej w świecie nie potrafił zapomnieć, jak niewiele brakowało, aby Shiloh został oskarżony o morderstwo z premedytacją.

Było oczywiste, że wysoki sąd nie żywi cienia sympatii dla skazanego, musiał jednak pamiętać, że Shiloh przygotował grunt pod skazanie wielu niebezpiecznych przestępców, którzy

odsiadywali wyroki we wszystkich więzieniach na terenie stanu Minnesota. W tej sytuacji, nie mogąc przymknąć oczu na kwestię bezpieczeństwa Shiloha, sędzia zwrócił się do Urzędu Więziennictwa, który skierował skazanego poza granice Minnesoty, do Wisconsin.

Shiloh został tam przewieziony natychmiast po otrzymaniu wyroku. Pojechałam zobaczyć się z nim mniej więcej tydzień później, na początku grudnia. W nocy spadł pierwszy śnieg i pola oraz zabudowania Wisconsin wydawały się nierealnie piękne w świeżej białej szacie.

Nie wiem, czy kierownictwo więzienia podjęło taką decyzję z powodu na wpół koleżeńskiej uprzejmości, ale pozwolono mi porozmawiać z Shilohem w małym, prywatnym pokoju widzeń. Mój mąż znowu był gładko ogolony, jak zwykle, ale nie przybrał na wadze i koszula wisiała na nim tak jak wtedy, gdy się odnalazł.

- Jak się czujesz? - spytał od razu.
- W porządku - odparłam.
- Dobrze cię traktują w pracy?

Gdybym miała być szczerą, musiałabym powiedzieć, że strasznie brakuje mi Genevieve, częściowo dlatego, iż ona jedna traktowałaby mnie zupełnie normalnie. Wszyscy byli wstrząśnięci, kiedy się dowiedzieli, co zrobił Shiloh i nie mieli pojęcia, jak i czy w ogóle powinni ze mną o tym rozmawiać. W rezultacie zdecydowana większość moich kolegów nigdy nie poruszała tego tematu i po prostu nie wspominała o Shilohu.

- Jasne...

Shiloh usłyszał nutę kłamstwa w moim głosie.

- A naprawdę?
- Wszyscy traktują mnie normalnie - powiedziałam. - Przyjechałam porozmawiać z tobą o czymś innym...

Rozejrzałam się dookoła. W pokoju nie było nikogo poza nami, wiedziałam jednak, że musi tu być zainstalowane jakieś elektroniczne urządzenie, musiałam więc starannie i ostrożnie dobierać słowa.

Milczałam tak długo, że Shiloh nie potrafił ukryć niepokojów.

- Posłuchaj... - zaczął. - Zdaję sobie sprawę, że to, co zrobiłem w Blue Earth, mogło odmienić twoje uczucia do mnie...

- Nie, nie... - zaprzeczyłam pośpiesznie. - Nie o to mi chodzi...

- Więc o co? - ponaglił mnie łagodnie.

- Poznałam ją - zdecydowałam się w końcu. - Wiem, dlaczego uciekłeś z domu. I wiem, co robiliście w tamtą Wigilię-

Ubrałam w słowa jedyną rzecz na świecie, która naprawdę mogła przerazić. W rysich oczach Shiloha, w jego skupionym na mojej twarzy ostrym spojrzeniu wyczytałam potwierdzenie, którego szukałam. Wcześniej nie byłam tego pewna.

- Powiedziała ci o tym? - odezwał się.

Potrząsnęłam głową. Sinclair nie powiedziała mi prawdy o skomplikowanym związku między nią i jej bratem, w każdym razie nie wprost. Zdradziły ją długie chwile milczenia i fakt, że opowiedziała mi historię swojego życia, zamykając w niewidzialnych nawiasach jej najważniejszy aspekt.

Byli sobie tak bardzo bliscy, a jednak po ucieczce z domu Shiloh nie próbował odnaleźć Sinclair w Salt Lake City. Zamiast tego uciekł jeszcze dalej, w przeciwną stronę, na północ, aż do Montany.

Spotkali się przypadkiem, kiedy Sinclair przyjechała do Minnesoty. Ani słowem nie wspomniała mi o jakiejś kłótni czy choćby nieporozumieniu, a jednak po jej wyjeździe nigdy więcej się nie kontaktowali.

I ten Mike bez nazwiska, którego przed pięciu laty poznałam w barze na lotnisku, świeżo po bardzo krótkim, bolesnym romansie...

Skorzystałam wszystkich faktów zupełnie niespodziewanie, jakby przypadkiem, w czasie podróży samolotem z Utah do domu. Sinclair powiedziała, że ostatni raz widziała brata w Minnesocie, zimą, mniej więcej w tym czasie, kiedy troje studentów z Carleton straciło życie w tragicznej katastrofie. Nie potrafiłabym umiejscowić tych wydarzeń, gdybym nie należała do grupy policjantów wysłanych na miejsce wypadku, do którego

doszło na oblodzonej autostradzie w pobliżu Minneapolis pod koniec bardzo zimnego stycznia. Pamiętałam, kiedy to było, ponieważ parę dni później dowiedziałam się o śmierci mojego ojca i wyruszyłam w krótką podróż na zachód, na pogrzeb, a po powrocie poznałam Shiloha, który pił w barze na lotnisku, usiłując zapomnieć o tajemniczym namiętym związku. Nie zapytałam go o szczegóły ani wtedy, ani w ciągu następnych miesięcy i lat.

Nic dziwnego, że udało mu się ukryć przede mną zamiar wyprawy do Blue Earth. Od początku nauczył się nie dzielić ze mną swoimi sekretami, a ja pozwoliłam mu na to. Nie wiedziałam nawet, że zna język migowy.

Shiloh i Sinclair ze wszystkich sił usiłowali zapomnieć, to było dla mnie jasne. Przez całe dorosłe życie unikali się nawzajem, rozszerzając tę separację na całą rodzinę. Shiloh odrzucił nawet niewinne próby nawiązania kontaktu ze strony Naomi, wystarczyło, że przekroczyła niewidzialną, lecz tak niezwykle istotną dla niego granicę i zasugerowała, żeby przyjechał do domu.

Nie mógł wrócić do domu z tego samego powodu, dla którego nie był w stanie pojechać na pogrzeb ojca - nie potrafił znieść myśli, że będzie musiał spojrzeć w oczy starszym braciom z uczuciem niepewności, czy wiedzą o wszystkim i tylko udają, bo prawda jest zbyt straszna, czy też może jednak rodzice nic im nie powiedzieli.

Nie musiał się tak szarpać. Jego bracia i siostry żyli we mgle całkowitej nieświadomości. Naomi nigdy się nie zastanawiała, co właściwie wywołało tamtą wigilijną awanturę. Bill miał w ręku wszystkie fragmenty tajemnicy, ale nigdy nie złożył ich w całość. „Mike zniknął nagle, zupełnie niespodziewanie, powiedział. Ojciec zawsze powtarzał, że Bóg wybaczy wszystko, ale trzeba Go o to poprosić”. Nawet nie przyszło mu do głowy, że Mike i Sara mogą być winni czegoś więcej niż zwykłych ludzkich grzeszków. Nie dopuścił do siebie pytania, jak to możliwe, że jeden eksperyment z narkotykami na dobre zniszczył związki Mike'a z całą rodziną.

Jak bardzo musiał cierpieć ojciec Mike'a, najprawdopodobniej naprawdę „boży człowiek”, kiedy okłamał dzieci, ukrywając przed nimi to, co naprawdę robili wtedy Sara i Mike... Może ja także nie odczytałabym wszystkich znaków - miałam przecież więcej powodów niż bracia i siostry Mike'a, żeby podświadomie się oszukiwać - gdyby nie list Sinclair. *Cieszę się szczęściem Twoim i Sary. Proszę, bądź szczęśliwy.* Wiadomość krótka jak wiersz haiku, będąca jednocześnie pozdrowieniem i pożegnaniem, list, którego każde słowo dźwigało brzemień gorzko-słodkiej czułości kochanki i łagodnego żalu, list, jakiego raczej nie napisałaby siostra...

Przywiozłam go ze sobą i teraz w milczeniu podałam kartkę Shilohowi.

Wpatrywał się w nią dużo dłużej, niż wymagało tego przeczytanie dwóch zwięzłych zdań. W końcu odezwał się tak cichym głosem, że prawie go nie słyszałam.

- Bóg wie, że starałem się zrozumieć, dlaczego tak się stało, ale nigdy mi się to nie udało. Czasami człowiekowi pokręci się coś w głowie i...

Postukał się jednak dwoma palcami nie w skroń, aby oskarżyć swój umysł, ale w pierś, oskarżając serce.

- Miałem piętnaście lat, kiedy wróciła do domu - podjął. - Była dla mnie obcą osobą, lecz dobrze się rozumieliśmy. Potrafiłem z nią rozmawiać, nie tylko dlatego, że znałem język migowy... Mogłem z nią naprawdę rozmawiać... - Nie odrywał wzroku od podłogi. - Staliśmy się sobie bardzo bliscy, za szybko... Pewnej nocy siedzieliśmy na dachu domu i obserwowaliśmy deszcz meteorytów. Zapytałem, czy mogę wziąć ją za rękę, a ona zgodziła się. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że właśnie otwieramy drzwi, których nigdy nie uda nam się zamknąć...

Umilkł. To nie był koniec ich historii, ale powiedział mi wszystko, co miało znaczenie.

Pamięć podsunęła mi jej obraz, obraz siostry Shiloha, chyba najpiękniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek widziałam. Nie potrafiłam wzbudzić w sobie nienawiści. Sinclair miała w so-

bie to samo wewnętrzne światło, które przyciągnęło mnie do Shiloha. Nie mylił się, naprawdę należeli do tego samego gatunku, byli do siebie bardzo podobni.

Co takiego powiedziała Sinclair? „Bałam się, że nigdy nie będę miała go całego”. Mówiłam o pierwszym okresie naszego związku, ale moje obawy nigdy nie zniknęły. Teraz wiedziałam, że mój strach wcale nie był bezpodstawny.

- Przez cały ten czas nie zdawałam sobie sprawy, że muszę skakać przez tak wysoko ustawioną poprzeczkę... - powiedziałam cicho. - Od początku nie miałam szans, przecież ja nie mogę się z nią równać...

- To nieprawda! - zaprzeczył gwałtownie.

Nagle pokój wydał mi się za ciasny.

- Przepraszam... - szepnęłam. - Nie powinnam była tu przyjeżdżać...

Poderwałam się z krzesła, ale Shiloh zawsze był równie szybki jak ja. On też się zerwał, ułamek sekundy po mnie, i mocno zacisnął dłonie na moich ramionach.

- Nie, Saro, zaczekaj! - powiedział.

- Hej, hej, kolego, wystarczy! - Do pokoju wpadło dwóch strażników w mundurach. - Puść ją, ale już!

- Nic się pani nie stało? - zapytał jeden z nich.

Krzesło Shiloha leżało na podłodze, przewrócił je, próbując mnie zatrzymać. Nie ulegało wątpliwości, że na ekranie monitora musiało to wyglądać bardzo niepokojąco.

- Wszystko w porządku - odparłam.

- Czas na ciebie, gościu. - Drugi strażnik popchnął Shiloha w stronę drzwi.

W progu Shiloh odwrócił się i spojrzał na mnie jeszcze raz. Potem wyszedł.

Przekroczyłam właśnie granicę stanu Minnesota, kiedy zabrzączał telefon komórkowy. Nie odrywając oczu od drogi, sięgnęłam po niego wolną ręką, nieporna na wszystkie pouczenia, jakich często udzielałam kierowcom.

- Pribek? - odezwał się gładki, miękki, znajomy głos. - Tu

Chris Kilander. Chciałem zamienić z tobą parę słów. Gdzie jesteś?

- Za miastem, jakieś dwadzieścia pięć minut drogi - odparłam. - Nie zamierzałam wracać dzisiaj do pracy...

Było późne popołudnie. Słońce już zaszło.

- Nie szkodzi - powiedział. - Może nawet lepiej, żebyśmy spotkali się na zewnątrz, przy fontannie. Za pół godziny, w porządku?

Miał na myśli fontannę na placu w pobliżu Centrum Rządowego.

- Nie zajmie nam to dużo czasu - dodał.

Zaparkowałam w obstawionej licznikami strefie niedaleko miejskiego ratusza i przedzierając się między zdążającymi głównie w przeciwnym kierunku ludźmi, przeszłam do budynku sądu. Po drugiej stronie ulicy, na krawędzi placu, zbity, ciepło ubrany tłumek czekał na miejskie autobusy. Pod koniec dnia kolejki na przystankach autobusowych zwykle były zdumiewająco długie, zupełnie jak przed koncertami znanych grup rockowych.

Kilander stał przy fontannie, nie spacerował. Miał na sobie długi ciemny płaszcz i w każdym calu wyglądał na prawnika. Przebiegłam przez jezdnię, korzystając z krótkiej przerwy w ruchu, i podeszłam do niego.

- Jak się masz, Saro...

- Nieźle.

- Cieszę się. Skąd wracałaś?

- Z Wisconsin - odparłam.

- Z więzienia?

Kiwnęłam głową.

Kilander nie zapytał o Shiloha. Usiadł na obmurowaniu fontanny i wskazał mi miejsce obok siebie. Ciemny, usiany jaśniejszymi punkcikami kamień był nie tylko wolny od śniegu, ale także suchy. Przyjęłam zaproszenie i usiadłam.

Oczy Kilandera spoczęły na tłumie pracowników biurowych na przystanku autobusowym, potem przeniósł spojrzenie na moją twarz.

- Nikt z wydziału nie sugerował, że nie powinnaś wrócić do pracy, co?

- Nie.

Kilander z zamyśloną miną skinął głową. Był to jeden z gestów, do jakich często uciekał się na sali sądowej.

- Zeznania Shiloha wzbudziły duże zainteresowanie śmiercią Royce'a Stewarta. Miejskowa policja stara się dowiedzieć, jak naprawdę zginął.

- Naprawdę? A jak zginął? - zapytałam, sięgając po lekki, obojętny ton.

- Nadal to badają - odrzekł. - Specjaliści od podpaień dokładnie przeszukali wszystko, co zostało z tej nieszczęsnej psiej budy, w której mieszkał i twierdzą, że pożar raczej nie wybuchł z przyczyn naturalnych.

- Tak?

- Poza tym wszędzie dookoła głównego budynku znaleźli mnóstwo śladów opon, zdecydowanie za dużo, biorąc pod uwagę, że właściciele wyjechali, a Krótki miał zepsuty samochód. Bardzo uważnie przyglądają się tym śladom...

Śladom moich opon. I opon Genevieve. Gen za dwa dni wyjeżdżała do Paryża. Nie tracąc czasu, odcinała się od wszystkiego, co łączyło ją z Minneapolis i w tej chwili byłam bardzo zadowolona z jej decyzji.

- Znajomi Stewarta mówią, że wieczorem w dzień jego śmierci w barze w Blue Earth zjawiła się policjantka, która chciała z nim porozmawiać. Bardzo wysoka policjantka w szarozielonej koszulce z wypisaną dużymi literami nazwą jakiegoś zespołu sportowego... Jej opis nie pasuje do nikogo z okręgu.

Niezbyt sprawnie zatarłam po sobie ślady, zresztą Genevieve także. Na pewno zachowałybyśmy większą ostrożność, gdybyśmy wiedziały, że zamierzamy zabić Royce'a Stewarta, ale przecież nie przyjechałyśmy do Blue Earth z tą intencją. Śmierć Krótkiego była niezaplanowana, właściwie był to wypadek. Musiałam myśleć o tym w taki sposób, nie mogłam traktować mojej partnerki jako morderczyni, po prostu nie mogłam.

Nagle uświadomiłam sobie, że najprawdopodobniej świat także nie uznałby jej za winną morderstwa. Dowody wcale nie wskazywały na Genevieve, nikt nie widział jej w Blue Earth. Kuple Krótkiego widzieli tylko mnie.

Co więcej, Genevieve była policjantką cieszącą się ogromną sympatią, zmiażdżoną osobistą tragedią, która zrezygnowała z pracy i postanowiła wyjechać do innego kraju. Sprowadzenie jej stamtąd wymagałoby nakazu ekstradycji, a to z kolei wiązało się z koniecznością odwalenia całej masy papierkowej roboty, negocjacji, a także współpracy międzynarodowej.

Oczywiście wszystko to nie powinno mieć znaczenia, ale ja wiedziałam, że ma, bo w rzeczywistości te sprawy są trudne, skomplikowane i niewygodne. Tymczasem ja nie byłam tak dobrze znana jak Genevieve. Nie miałam wrogów, w każdym razie byłam nieświadoma ich istnienia, ale do swoich przyjaciół mogłam zaliczyć głównie policjantów z patrolowego i szeregowych detektywów. Dla stojących wyżej w hierarchii służbowej i administracyjnej byłam jedynie nazwiskiem, młodą policjantką skażoną małżeństwem z człowiekiem, który okazał się złym gliniarzem.

No i nie wybierałam się do Paryża ani gdziekolwiek indziej. O każdej porze dnia i nocy można mnie znaleźć w Minneapolis, nawet nie tyle w zasięgu działania systemu, ile w samym jego sercu, pracującą pod czujnym i podejrzliwym spojrzeniem zwierzchników...

- Rozumiem - powiedziała cicho.

Łagodnie położył mi rękę na ramieniu. Nie zaprotestowałam. W przeszłości widziałam Kilandera jako miłego uwodziciela, na którego można z przyjemnością popatrzeć z daleka, w żadnym razie nie obdarzając go zaufaniem. Teraz ogarnęło mnie zdumienie, bo nagle odkryłam, że myślę o nim jako o przyjacielu.

- Słyszałaś kiedyś powiedzenie: „Boskie żarna miały powoli, lecz bardzo dokładnie”?

- Tak.

Nie znałam tego powiedzenia, ale wiedziałam, o co mu chodzi.

Kiedy podniósł się, poszłam za jego przykładem. Staliśmy bardzo blisko siebie, więc tym dotkliwiej odczuwałam dzielącą nas różnicę wzrostu, ponad dziesięć centymetrów. Trzymając jedną dłoń na moim ramieniu, drugą uniósł ku sobie moją twarz i delikatnie pocałował mnie w usta. Łańcuch ulicznych latarni zamigotał, zupełnie jakby na granicy pola mojego widzenia przebiegła błyskawica.

Kilander puścił mnie i cofnął się.

- Boskie żarna miały powoli - powtórzył. - Pamiętaj o tym...

W jego słowach nie było cienia ironii, podobnie jak w jego pocałunku ani śladu pożądania.

Dwa autobusy podjechały na przystanek i uprzątęły czekających przy krawężniku ludzi, więc tłum zniknął. Na placu zostało kilka osób, śpieszących w różne strony. Ich sylwetki niewyraźnie rysowały się w gęstniejącej ciemności, mgliste jak duchy. Stałam i patrzyłam na wracającego do Centrum Administracji Kilandera. Podmuch wiatru uniósł brzeg jego długiego płaszcza, tego samego wiatru, który rozpryskiwał dookoła wodę z fontanny. Kilander się nie obejrzał. Stałam tam, dopóki nie wszedł do jasnego atrium w Centrum Administracji Okręgu Hennepin, wieży światła i porządku, w której pracował.